

ZESZYT TRZYDZIESTY PIERWSZY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1975

ZESZYT TRZYDZIESTY PIERWSZY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1975

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 252

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE

Bogusław MIEDZIŃSKI

POLITYKA WSCHODNIA PIŁSUDSKIEGO

W ostatnich miesiącach trwania rządu Paderewskiego jego współpraca jako ministra Spraw Zagranicznych z Piłsudskim była bardzo ścisła. Od styczniowych rozmów — w których Paderewski patrzył jeszcze na międzynarodową sytuację przez różowe okulary Dmowskiego i nie podzielał poglądu Piłsudskiego, że na stosunku mocarstw zachodnich do Polski wciąż ciążyć będzie wzgląd na interesy Rosji — przyszły doświadczenia z obrad Kongresu Wersalskiego, ze sprawy Małopolski wschodniej. Występowało na każdym kroku skwapliwe i zazdrosne rezerwowanie praw imperium rosyjskiego, nie tylko do wszystkich terytoriów na wschód od granicy Kongresówki, ale nawet do ziem, do których Rosja nigdy żadnych historycznych praw nie posiadała (pretensje do nich zgłosiła dopiero w czasie przejściowych zwycięstw 1914 i 1915 roku). Przekonało to Paderewskiego, że istotnie jedyną drogą postępowania z naszej strony jest polityka faktów dokonanych, uprawiana przez Piłsudskiego. Po zakończeniu obrad Kongresu Wersalskiego, Rada Najwyższa mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych trzymała się w dalszym ciągu tej samej linii. I to nie tylko Francja i Anglia. Ku wielkiemu zmartwieniu Paderewskiego, Stany Zjednoczone przyłączyły się również do tej samej polityki trzymania Polski w cuglach i pilnowania interesów rosyjskich. Zarysowało się już wyraźnie bankructwo polityki Wilsona w jego własnym kraju; jego podsekretarz stanu, Lansing, nie tylko stosował się do polityki Lloyd George'a, ale w szeregu wypadków zarówno on sam, jak i drugi przedstawiciel Stanów Zjednoczonych w Radzie Najwyższej, Poole, zakładali protest przeciw każdemu rozszerzeniu prerogatyw Polski, nawet w tych wypadkach kiedy Anglia i Francja godziły się na powierzenie Polsce takich czy innych zadań na wschód od Niemiec, zadań które jedynie przez polską, wciąż rosnącą, siłę zbrojną mogły być

wykonane. Rządy francuski i angielski gotowe były powierzyć Polsce likwidację armii Bermonta Awałowa, zagrażającej niepodległości Litwy z jednej strony, zaś Łotwy i Estonii z drugiej. Generalissimus sił sprzymierzonych marszałek Foch nie widział również innego wyjścia, wobec stwierdzonej przez niego kategorycznie niemożności wysyłania na to terytorium jakichkolwiek kontyngentów ekspedycyjnych z Zachodu. Sprzeciwili się temu przedstawiciele Stanów Zjednoczonych. Sprawa ta została załatwiona mimo to w sposób dość sensacyjny i niespodziewany w perspektywie poprzedniej polityki Lloyd George'a, mianowicie przez łączną akcję brytyjskiej marynarki wojennej na Bałtyku oraz manifestacyjne zaofiarowanie pełnego poparcia zbrojnego państwom bałtyckim przez Piłsudskiego i przesunięcie w tamtym kierunku kilku dywizji polskich. Te sankcje uczyniły skutecznym wydany Niemcom przez marszałka Foch'a rozkaz wycofania i likwidacji sił Bermonta Awałowa. Mimo ostentacyjnie pronieemieckich rządów na Litwie Kowieńskiej — w wypadkach gdy chodziło o rozbieżność między stanowiskiem Litwy i Polski — przedstawiciele Stanów Zjednoczonych opowiadali się za Litwą, posuwając się aż do zaprzeczania Polsce praw do zajęcia Suwałszczyzny w momencie gdy wojska niemieckie ją opuszczały. Ba, Stany Zjednoczone troszczyły się również pieczołowicie, aby broń Boże interesy niemieckie nie były ze strony polskiej w jakikolwiek sposób narażone.

We wszystkich tych sprawach, rozgrywających się w ciągu ostatnich czterech miesięcy 1919 roku, Paderewski w wystąpieniach swoich wobec Rady Najwyższej, wobec rządów francuskiego i angielskiego, trzymał się już stale podstawowych wytycznych Piłsudskiego. W szczegółach, w taktyce, zarysowywały się nieraz pewne zgrzyty. Spraw Europy Wschodniej Paderewski nigdy dobrze nie znał. Skłonny był do pewnego lekceważenia nowych zjawisk, takich jak powstawanie państw bałtyckich, i nie doceniania ich doniosłości dla polityki polskiej. W tej dziedzinie Piłsudski starał się o ile możliwości osobiście nadawać kierunek polityce i brał na siebie zasadnicze rozmowy i pertraktacje. Z pewnych rozmów z tego okresu odnosiłem wrażenie, że jeśli chodzi o sprawy rosyjskie, to — w czasie gdy Paderewski przebywał dłuższy czas bez kontaktu z Naczelnikiem Państwa w Paryżu i w Londynie — posuwał się nieco zbyt skwapliwie po linii gotowości Polski do bardzo daleko posuniętych działań przeciwko Sowietaom. We wrześniu mianowicie, w rozmowie Paderewskiego z Lloyd George'm w Londynie, gdy Paderewski zgodnie z instrukcją Piłsudskiego domagał się wyjaśnienia polityki Wielkiej Brytanii w stosunku do Rosji bolszewickiej, wysunięta została kwes-

tia możliwości uderzenia przez armię polską, z wiosną 1920 roku, na Moskwę. Lloyd George zainteresował się siłą zbrojną, jaką Polska w tym czasie mogłaby wystawić dla tego celu, oraz rozmiarami pomocy finansowej i materiałowej, jaka byłaby ze strony państw zachodnich potrzebna. Paderewski podał odnośne cyfry, stwierdzając, że operacja taka będzie, w przeciągu kilku miesięcy, leżała w zakresie możliwości armii polskiej. Oczywiście domaganie się skonkretyzowania polityki brytyjskiej wobec Rosji sowieckiej było po myśli Piłsudskiego; tak samo kwestia pomocy finansowej i w sprzeczce wojennym dla armii polskiej; sądzę jednakże, że wskazanie Moskwy jako celu operacji było już myślą Paderewskiego z Piłsudskim nie uzgodnioną. Sprawa ta była poważnie rozpatrywana przez szereg tygodni między Paryżem a Londynem, mimo zadeklarowanego negatywnego stosunku Stanów Zjednoczonych. Zarysowały się też różnice zdań zarówno w rządzie angielskim, jak francuskim. W rezultacie rzecz upadła, w głównej mierze dzięki stanowisku Stanów Zjednoczonych. Postanowiono w dalszym ciągu kierować wszelką pomoc dla „białych” formacji rosyjskich, pozostawiając siłom polskim rolę drugorzędną, o charakterze dywersji pomocniczej. Stało się tak mimo trwających już od kilku miesięcy ostrzeżeń Piłsudskiego, który przewidywał niechybną porażkę białych formacji rosyjskich.

Jednakże w grudniu 1918 roku słyszałem z ust Piłsudskiego wyraźnie negatywny stosunek do owego projektu wyprawy na Moskwę.

„Dużo się zmieniło w ciągu ostatniego półrocza — mówił Komendant. — Zaczynają się już przyzwyczajać do tego na Zachodzie, że my nie jesteśmy tylko kłopotem i ciężarem dla nich, ale możemy być siłą wykonawczą ewentualnej wspólnej polityki na wschodzie Europy, i to siłą nie do zastąpienia. Uśmiecham się pod wąsem, gdy słyszę, że sam pan Lloyd George gotów jest pobłogosławić mnie do marszu na Moskwę. Tylko że jeśli chodzi o akcję przeciwko Rosji, to już do mnie należałaby decyzja jak i gdzie mam uderzyć. Myślę, że jeśli sprawy pójdą tak jak przewiduję, to może i mógłbym za pięć czy sześć miesięcy pójść na Moskwę i bolszewików z niej wypędzić. Tylko co ja tam potem będę robił? Każdy cokolwiek umiejący oficer czerwonej armii zna sakramentalną strategię Kutuzowa. Oni mi się od generalnego starcia uchylą, mają miejsca dosyć. A ja Moskwy na Londyn, ani nawet Warszawę, nie przerobię. A zrobić z Moskali katolików, jak Zygmunt III, na pewno nie będę próbował. Chyba więc wezmę sobie satysfakcję za moje gimnazjalne wileń-

skie czasy i każe napisać na murach Kremla: „Tu zabrania się mówić po rosyjsku”.

„Nie — mówił dalej Komendant — nie przez Moskwę droga. To jest prawda, że bolszewików trzeba pobić i to niedługo, póki jeszcze nie wzrosli w siłę. Trzeba ich zmusić do tego, aby przyjęli rozstrzygającą rozprawę i sprać ich tak, aby ruski miśnięć popamiętali. Ale żeby to osiągnąć, trzeba im nadeprnąć na tak bolesne miejsce, żeby nie mogli się uchylać i uciekać. Moskwa takim miejscem nie jest. Kijów, Ukraina, to jest ich czuły punkt. Z dwóch powodów: po pierwsze, Moskwa bez Ukrainy będzie zagrożona głodem; po drugie, jeśli pójdzie dalej nasze porozumienie z Ukraińcami, jeśli zawiesimy nad nimi groźbę zorganizowania się niepodległej Ukrainy, to tej groźby oni nie będą mogli zaryzykować i będą musieli pójść na wałną rozprawę”.

Komendant mówił te rzeczy tak, jak gdyby myślał głośno. Mimo że na początku tej konferencji, gdy jeszcze był obecny Szef Sztabu Generalnego, gen. St. Haller i wiceminister spraw zagranicznych Wł. Skrzyński, zastrzeżona została najściślejшая tajemność. Komendant, odchodząc, jeszcze raz nam to przypomniał. W kilka miesięcy później, gdy przygotowania do wyprawy kijowskiej były już w pełnym toku, zrozumiałem łączność tych myśli przewodnich Komendanta z motywami i istotnymi celami naszej polityki i strategii w roku 1920.

Wtedy to właśnie, na przełomie lat 1919-1920, dojrzała w myśleniu Piłsudskiego koncepcja Rzeczypospolitej federacyjnej, której pierwszą zapowiedzią była tzw. Odezwa Wileńska. Była ona nawrotem do starych tradycji jagiellońskich i do ich — niewykonanego niestety — przedłużenia, jakim była Umowa Hadziacka z roku 1659. W wieku dwudziestym tego rodzaju rozwiązanie kwestii — stworzenie poważnego i trwałego organizmu państwowego na terytorium międzymorza Bałtyk - Morze Czarne — było istotnie jedyną formą stabilizacji stosunków w tej części Europy, mogącą jednocześnie znaleźć akceptację ze strony światowej opinii publicznej. A to ostatnie było wówczas rzeczą niepospolitej wagi. Jeśli bowiem naród polski miał warunki i tradycje pozwalające mu podjąć to zadanie i wyzyskać szczególną koniunkturę w czasie, przewidywaną już w Magdeburgu przez Piłsudskiego — to niepodobnięstwem było obejść się bez pomocy świata zachodniego w dziedzinie finansowej i ekonomicznej. Jasne było, że nastroje panujące wówczas w miarodajnych sferach Londynu i Paryża, Rzymu i Waszyngtonu (nie mówiąc już o ideologii Ligi Narodów, budzącej tyle złudnych nadziei) nie sprzyjały poparciu polityki, która by podpadała pod piętno imperializmu. Co więcej, pewne było że się takiej polityce przeciwsta-

wią. Stan zaś, w jakim znalazła się Polska w konsekwencji stuletniej przeszłości polityki zaborców, a potem zniszczeń wojennych, całkowitej zatury dorobku pokoleń przez bankructwo waluty wszystkich państw zaborczych i zrujnowanie nawet jej skromnego przemysłu — skazywał nas z konieczności na pomoc zewnętrzną. Doświadczenia z okresu Kongresu Wersalskiego, przychylna reakcja mocarstw zachodnich na Odezwę Wileńską, zapowiadającą że Polska wraca na swe historyczne tereny nie prawem podboju, lecz pod hasłem wspólnego interesu ludów dawnej Rzeczypospolitej dla ukonstytuowania się we wspólny organizm państwowy, budziły pod tym względem poważne nadzieje. Świadomość zagrożenia całej kultury europejskiej, jakie stanowił bolszewizm moskiewski, nadzieje te powiększała.

Czynnikiem niepośledniego znaczenia był też zwrot w zagadnieniu ukraińskim. Opanowanie przez bolszewików Ukrainy z Kijowem i Odessą włącznie, rozwinięty na tych terenach straszliwy terror, nieubłagane niszczenie narodowych żywiołów ukraińskich, obudziło tam wreszcie świadomość — tak samo, jak w połowie XVII wieku — że nie istnieje możliwość zorganizowania się państwowego Ukrainy inaczej, niż w połączeniu sił bądź z Polską, bądź z Rosją. Tak samo też jak w okresie paktów hadziackich, na podstawie doświadczenia doszli patrioci ukraińscy do przekonania, że nie mają żadnych szans na uzyskanie ze strony Moskwy czegokolwiek innego, jak tylko bezwzględnej zależności. Możliwość kompromisu — a ten stał się oczywistą koniecznością — zarysowywała się tylko z Polską.

Oczywiście zadanie było wysoce ambitne i niepospolicie trudne. Wymagało nie tylko akceptacji czynników zewnętrznych. Trzeba było pełnego wysiłku i zrozumienia dla myśli federacyjnej, zarówno w narodzie polskim, jak i ukraińskim. Okazało się wkrótce, że zawiodło ono z obu stron. Jeśli chodzi o Polskę, sprawa polityki federacyjnej Piłsudskiego, postawiona na porządku dziennym (po zapowiedzi wileńskiej z kwietnia 1919 roku) przez traktat z Petlurą, podpisany w listopadzie tegoż roku — spotkała się z bezwzględnym sprzeciwem ze strony Dmowskiego.

Jego kontrakcja na terenie Sejmu polskiego przeciwko koncepcjom Piłsudskiego została — jak pamiętamy — zahamowana przez Paderewskiego, który przekonał się w Paryżu, że właśnie stanowisko Piłsudskiego zostało przychylnie przyjęte przez Zachód i wywołało akceptację faktu dokonanego wkroczenia Polski na jej dawne ziemie kresowe. Musiał wówczas Dmowski wraz ze swym obozem ustąpić. Traktat z Petlurą wywołał najbardziej zasadnicze może skrzyżowanie długofalowych koncepcji Piłsudskiego i Dmowskiego.

Jak pamiętamy z wypowiedzi ich obu w roku 1918, zarówno Piłsudski jak Dmowski uważali zgodnie, że wskrzeszona Rzeczypospolita Polska nie mogłaby liczyć ani na trwałość, ani na odegranie poważnej i twórczej roli w Europie Środkowej i Wschodniej, gdyby okrojona została do granic ściśle etnograficznych. Jeśli chodzi o niezbędne granice na wschodzie, zgodność poglądów Piłsudskiego i Dmowskiego została już wykazana w grudniu 1918 roku. Jednakże w konsekwencjach tej zgodności, w nadaniu form organizacyjnych i konstytucyjnych odtwarzającej się Rzeczypospolitej, ujawniła się krańcowa rozbieżność.

Od chwili kiedy — na przełomie XIX i XX wieku — zaczęła się kształtować nowoczesna polityka polska, na plan pierwszy, na obu skrzydłach tej polityki, wybijały się stopniowo dwie indywidualności: Józef Piłsudski i Roman Dmowski. Jeśliby za podstawę do oceny wielkości ludzi działających wziąć rozmiary ich wpływu na współczesnych — można by powiedzieć, że cała historia nasza w ciągu przeszło trzech dziesiątków lat życia tych dwóch ludzi stała pod znakiem ich działań, ich koncepcji, które niestety niemal nigdy się nie zgadzały, ani nawet nie dopełniały wzajemnie, lecz w sposób fatalny krzyżowały. Można by też powiedzieć, że nie ustało to nawet z chwilą ich śmierci. Do dzisiaj jeszcze łatwo prześledzić w liniach politycznego myślenia Polaków dalszy ciąg tego przeciwieństwa i wpływu tych dwóch najpotężniejszych indywidualności na kształtowanie się wszelkich, bardziej dalekosiężnych koncepcji co do przyszłości naszego narodu.

Wolno dziś jeszcze spierać się o walory ich koncepcji, lub porównywać ich talenty jako mężów stanu. Nie ulega jednak kwestii, że wybijali się ci dwaj ludzie wysoko ponad poziom swego pokolenia potęgą woli, indywidualnością, autorytetem i talentem organizacyjnym. W tym ostatnim, według mego przekonania, Dmowski górował nawet nad Piłsudskim; natomiast bezsporną przewagą Piłsudskiego był jego olbrzymi talent wojskowy, dar w historii tych czasów nieoceniony.

Mówiłem już poprzednio o niektórych skrzyżowaniach dróg Piłsudskiego i Dmowskiego, stanowiących doniosłe etapy historyczne. Pierwszym z tych etapów była niewątpliwie różnica w ocenie sytuacji międzynarodowej i przewidywań co do możliwości odzyskania niepodległości; pod tym względem rozbiegły się ich drogi w okresie trwającym do roku 1918. Etapem drugim był ten właśnie rok i kulminacyjny moment listopadowy, kiedy obaj byli zgodni w ocenie sytuacji jako niezmierne dla Polski i jej nadziei na przyszłość groźnej, i kiedy Dmowski z charakterystycznym dla niego pesymizmem widział ocalenie tylko w opar-

ciu o siły i pomoc obcą, zaś Piłsudski śmiało sięgnął po oparcie do sił własnych i — w dużej mierze dzięki owocom jego działań w latach poprzednich — na tej drodze sytuację opanował, osiągając nadspodziewane wyniki.

W obu tych wypadkach, wbrew dominującej wówczas ocenie, która wskazywała jako decydującą różnicę w charakterze koncepcji ich obu marzycielstwo Piłsudskiego w przeciwstawieniu do realizmu politycznego Dmowskiego — wynik historyczny wykazał stan rzeczy całkowicie odmienny. Realne okazały się przewidywania Piłsudskiego, a nie Dmowskiego; realne okazały się jego fantastyczne rzekomo cele, skoro zostały osiągnięte.

Przyszło jednak skrzyżowanie trzecie, które zarysowało się już w kwietniu roku 1919, zaś uwydatniło z całą ostrością w roku 1920. Były to rozbieżność wizji historycznej tych obu ludzi, co do charakteru wskrzeszonej Rzeczypospolitej.

Zarówno Piłsudski jak Dmowski uznawali konieczność rozległości terytorialnej nowego państwa, jako warunek *sine qua non* jego trwałości i znaczenia. Piłsudski jednak widział tę konieczność w oparciu o najlepsze tradycje historyczne dawnej Rzeczypospolitej, w dostosowaniu ich do warunków XX stulecia i do sytuacji wynikającej z tego co się wówczas na wschód od nas działo. W latach 1919-20 przyszłość obszarów dawnego imperium carskiego stała jeszcze pod znakiem zapytania; ale jasne już było, że jeśli obszary te zostaną w całości swej zreorganizowane pod znakiem takiej czy innej ideologii, skomasowane ponownie pod władzą centralistyczną i bezwzględną, ich potencjalna potęga będzie ważyć groźnie nad losami nie tylko Polski, lecz i całego obszaru między Morzem Czarnym a Bałtykiem (sięgając myślą dalej).

Gdy więc wizja Piłsudskiego oparła się na federalistycznej idei Polski przedrozbiorowej, nie było to tylko sięganiem do tradycji historycznej; nie było tylko próbą wzmocnienia Polski, lecz i szukaniem wszelkich możliwości osłabienia potęgi wschodniego sąsiada; co było rzeczą równie ważną, jeśli nie ważniejszą nawet.

Federalistyczną politykę Piłsudskiego nieubłagane zwalczał Dmowski, mimo że została raczej przychylnie przyjęta przez mocarstwa Zachodu. Traktowano ją w propagandzie obozu Dmowskiego jako jakiś niebywały dziwoląg, jak gdyby rezygnację z praw narodu polskiego, mimo że nie była przecież żadną nowinką, lecz przeciwnie leżała w naszych najlepszych tradycjach historycznych. Szła też po linii najwyższego, najśmielszego nacjonalizmu polskiego w pozytywnym znaczeniu tego słowa. Boć przecież oparta była na przekonaniu, że zdolności twórcze i

organizacyjno-polityczne, obok wysokiej kultury narodu polskiego, pozwalają nam sięgać po zadania stworzenia organizmu państwowego w tej części Europy nie siłą przymusu, lecz pod hasłem wspólnego interesu i korzyści zamieszkujących te ziemie narodów.

Moment historyczny był niewątpliwie sprzyjający. To co się działo wówczas na wschód od nas, krwawa anarchia, niepewność życia i posiadania — wobec jedynej alternatywy włączenia w orbitę Moskwy, lub też w orbitę Rzeczypospolitej Polskiej — dawało wszelkie szanse, że zainteresowane obszary z dobrej i nieprzymuszonej woli wybiorą drugie, zaś przy mądrej polityce polskiej wyboru tego żałować nie będą.

Oczywiście — jeśli powrócimy raz jeszcze do tego samego zagadnienia realizmu i marzycielstwa — skłonny byłbym przyznać, że elementy marzenia, pięknego i śmiałego marzenia, znajdziemy w polityce Piłsudskiego. Polegały one mianowicie na tym, że koncepcja jego wymagała bezwzględnej i wyteżonej woli i rozumu politycznego ze strony ogromnej większości narodu. I, być może, gdyby znalazła ona zrozumienie i poparcie, zamiast nieubłaganej walki, ze strony obozu Dmowskiego — byłaby osiągalna. Ale tu właśnie Piłsudski okazał się istotnie optymistą i marzycielem.

Jego koncepcja, mimo pełnego uzasadnienia nie tylko przez tradycje historyczne, ale i przez rzeczywistość bieżącą, wymagała się jednak później okazało, zrozumiano wagę i doniosłość koncepcji Piłsudskiego jedynie po stronie przeciwnej — w Moskwie. Trudno było oczekiwać dostatecznej dojrzałości politycznej ze strony narodów stających dopiero u progu własnej państwowości, jak Łotwa i Estonia. Okazało się też, że i na Litwie nie tylko nie oceniono decydującej dla jej przyszłości wagi inicjatywy Piłsudskiego, ale potraktowano ją w sposób nieubłagany wrogi. Dalej — jeśli chodzi o ukraińskie ogniwo koncepcji federacyjnej — znalazła ona zrozumienie wśród polityków Ukrainy naddnieprzańskiej, jak Petlura, Lewicki i szereg innych, natomiast natrafiła na zaciekle sprzeciw ze strony najbardziej wyrobionej politycznie, choć stosunkowo drobnej liczebnie, grupy polityków ukraińskich z Małopolski wschodniej. Ukraina naddnieprzańska przeszła w ciągu lat 1917-1920 tę samą próbę, co kozactwo w połowie XVII wieku. Zobaczyła, że całkowitą utopią jest dla niej poszukiwanie pełnej samoistności państwowej; że istnieje tylko wybór między oparciem się o Moskwę, lub o Warszawę; tak samo też jak w roku 1659 Ukraińcy doszli do przekonania, że szukanie opieki moskiewskiej jest dla ich aspiracji narodowej czystym samobójstwem. Politycy z Małopolski wschodniej, którzy

nigdy pod władzą Rosji nie byli i Rosji nie znali, pod świeżym wpływem walk roku 1918 i 1919 bądź udali się na zachód, żywiąc nadzieje poparcia przez mocarstwa zachodnie, bądź też przerzucili się na stronę bolszewicką, gdzie w latach następnych dopiero stracili nie tylko wszelkie nadzieje, ale i żaden z nich z życiem nie uszedł.

Najważniejsze jednak było to, że w społeczeństwie polskim koncepcji federalistycznej przeciwstawił się Dmowski i cały potężny, stojący za nim obóz. W rozwiniętą na tym tle akcję przeciwko Piłsudskiemu włożono ogromny wysiłek, nie szczędząc najskrajniejszej demagogii w metodach.

Z drugiej strony, popierający w zasadzie politykę Piłsudskiego obóz lewicy niepodległościowej nie wkładał w tę sprawę całego serca i przekonania, nie licząc kilku czy kilkunastu polityków, którzy rozumieli i doceniali całą historyczną doniosłość starcia między Piłsudskim a Dmowskim.

Ciekawą jest rzeczą, że w dwadzieścia lat później, w czasie wojny ostatniej, odżyła koncepcja federalistyczna w polityce rządów polskich na emigracji, złożonych wyłącznie niemal z przeciwników polityki Piłsudskiego. Zarówno wznowienie tego hasła, jak i jego całkowity upadek po krótkim okresie czasu, zasługują na dokładniejszą analizę. Plany federacyjne lat 1940 odchodziły się od koncepcji Piłsudskiego w kierunku zachodnim, czyniąc kluczowym punktem ewentualnej federacji związek Polski z Czechosłowacją, projektując zgrupowanie koło tej osi innych państw międzymorza od Bałtyku do Adriatyku. Piłsudski, zgodnie z historyczną tradycją dawnej Rzeczypospolitej, szukał rozwiązania w organizacji ziem i narodów między Bałtykiem i Morzem Czarnym. Najdonioślejszym członkiem tak pomyślanej federacji były tzw. za czasów dawnej Rzeczypospolitej Ziemie Ruskie, w nomenklaturze wieku XX przeważnie ukraińskie.

Tu właśnie dochodzimy do niezmiernie doniosłej różnicy tych dwóch koncepcji. Piłsudskiemu chodziło nie tylko o wzmocnienie Rzeczypospolitej. Jego plany, gdyby się były urzeczywistniły, dałyby ten sam rezultat do którego zmierzały Pakty Hadziackie; gdyby Pakty Hadziackie weszły były w życie, nie powstałaby nigdy imperialistyczna potęga Rosji Katarzyny Wielkiej i dynastii Romanowych. Gdyby w latach 1920 udało się stworzyć federacyjną Rzeczypospolitą z Ukrainą włącznie, nie zastąpiłby imperializmu Romanowych czerwony imperializm bolszewicki.

Już w swoich przemyśleniach magdeburgskich Piłsudski widział trwałe perspektywy dla wskrzeszonej Rzeczypospolitej nie inaczej, jak pod warunkiem długotrwałego osłabienia Rosji i pozabawienia jej możliwości ekspansji zaborczej. Dał wyraz tym samym

myślom, jako podstawie polityki polskiej, już w swoich pierwszych rozmowach z Paderewskim w styczniu 1919 roku. To samo było myśłą przewodnią jego odezwy do ludów b. Wielkiego Księstwa Litewskiego, wydanej w Wilnie w kwietniu tegoż roku. Konsekwentnie szukał realizacji tej samej idei w traktacie z Petlurą i Wyprawie Kijowskiej. Można ją też prześledzić w próbach porozumienia z Rosją Sowiecką w czasie rozmów mikaszewickich; wreszcie, w układach zawieranych z przedstawicielami Rosji antybolszewickiej w roku 1920 w Warszawie. Mało znanym, lecz doniosłym momentem w planach politycznych Piłsudskiego był wreszcie okres jesienny w 1920 roku, gdy po klęsce zadanej armii czerwonej nad Wisłą i Niemnem Piłsudski szukał raz jeszcze możliwości prowadzenia wojny dalej, już nie tylko dla krótkoterminowej defensywnej polityki polskiej, lecz dla realizacji planów długofalowych, obejmujących dotrzymanie układu z Petlurą i oswobodzenie od władzy bolszewickiej ziem Ukrainy naddnieprzańskiej. Wtedy jednak wśród polityków polskich najbliższego mu obozu, a szczególnie PPS, zadominował pragnienie natychmiastowego pokoju i wiara w jego trwałość.

Sam wprawdzie nazwałem federalistyczną koncepcję Piłsudskiego marzeniem, ale sądziłem zawsze i sądzę do dziś po kilku dziesiątkach lat, że była to jedyna w ówczesnej polityce polskiej myśl na wielką skalę, myśl śmiała, sięgająca dalej w przyszłość w okresie, kiedy wszystkim innym politykom zasłaniały horyzont starcia bieżące. Były to walki o władzę bez perspektywy, co z tą władzą począć. Pod tym względem nie było różnicy między politykami popierającymi Piłsudskiego i zwalczającymi go.

Zastanawiałem się nie raz jak Piłsudski znajdował czas na planowanie swej długofalowej polityki w latach 1919-1920, gdy jako Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz nie miał przecież, zdawałoby się, godziny wolnej od pracy nad budową armii, nad wojną, nad niestęchanie skomplikowaną sytuacją w polityce wewnętrznej, a jeszcze bardziej zagranicznej, w której niemal wszystkie poważniejsze kroki o jego decyzje się opierały. I nie tylko o czas chodziło. Ze wszystkich stron piętrzyły się wówczas trudności prawie nie do pokonania. Była to więc praca szarpiąca nerwy. Męcząca. Pamiętam jak człowiek tak wyjątkowo przygotowany do kierowniczej roli w polityce państwowej jak Biliński, który przecież zajmował najwyższe stanowiska zarówno w administracji jak w polityce finansowo-skarbowej monarchii austro-węgierskiej, przyznawał się do zupełnej bezradności, gdy objął Ministerstwo Skarbu w rządzie Paderewskiego (podał się też wkrótce do dymisji). Dawał temu wyraz nie tylko w rozmowach prywatnych, ale i z trybuny sejmowej. Nie tylko w finansach

państwa, ale nawet w małomiasteczkowym banku nie wiedziałbym co począć — mówił wówczas — skoro nie wiem jaki jest mój *credit*, a jaki mój *debit* i gdy operuję walutą, która nie ma żadnej podstawy i której wartość nie tylko jutrzejsza, ale i dzisiejsza nie da się w żaden sposób określić.

Analogiczna sytuacja istniała w polityce zagranicznej, gdzie ściśle biorąc też nie podobna było stwierdzić kto jest przyjacielem a kto przeciwnikiem.

Nie o wiele łatwiej było w wojsku, które trzeba było tworzyć, szkolić, mundurować, zbroić i natychmiast rzucać do walki, nie mając na zapleczu nie tylko przemysłu wojennego, ale przemysłu w ogóle; operując resztkami składów pozostałych po okupantach i to z czasów, kiedy im również brakło już wszystkiego.

A jednak Komendant wytrzymywał wówczas to wszystko ze spokojem i pewnością siebie, udzielającą się każdemu z jego bezpośrednich współpracowników.

Jestem przekonany, że kapitalnym przygotowaniem do późniejszej kierowniczej roli w kształtowaniu polityki odradzającej się Rzeczypospolitej był dla Piłsudskiego czas spędzony w więzieniu Magdeburskim. Przez te ostatnie półtora roku wojny pozostający na wolności politycy polscy nie wychodzili poza rozważania i próby przewidywań czym, i w jakich rozmiarach, zwycięstwem zakończy się wojna. Która ze stron wojujących będzie miała głos decydujący o losach Polski. W jaki sposób dostosować do tego politykę polską. Tymczasem dla Więźnia Magdeburskiego były to rzeczy dawno przemyślane; nie zajmował się nimi w ogóle. Powstanie Polski niepodległej było dla niego przesądzoną rzeczywistością. Toteż w spokoju i odosobnieniu snuł wówczas swe dalekosiężne plany. Wiemy o nich z relacji Sosnkowskiego.

Dwa razy w życiu Piłsudskiego powtórzyła się analogiczna sytuacja, polegająca na tym, że represje wroga z którym walczył przyniosły mu niewątpliwą korzyść.

Każdy badacz okresu rewolucyjnego z pierwszego dziesiątka XX wieku musiał widzieć ogromną różnicę w traktowaniu spraw rewolucji rosyjskiej (i związanych z nią perspektyw walki o niepodległość Polski) z jednej strony przez Piłsudskiego a z drugiej przez wszystkich innych najwybitniejszych i najzdolniejszych polityków socjalistycznych tego okresu. Gdy kiedyś zapytałem Komendanta jak się to stało, odpowiedział mi że Moskale oddali mu ogromną przysługę przez zesłanie na Syberię. Przymusowe oderwanie ówczesne od życia bieżącego, od tak zwanej „roboty”, dało mu możność fundamentalnych i krytycznych przemyśleń, na które przedtem nigdy nie miał czasu. W tym też upatrywał swoją,

po powrocie z wygnania, przewagę nad towarzyszami, którzy szczęśliwie na pozór uniknęli więzienia i zesłania.

W kilkanaście lat później tę samą przysługę oddali Komentantowi Niemcy. Została ona również przezeń wyzyskana.

W literaturze biograficznej o Piłsudskim powtarza się często motyw szukania „klucza” do jego polityki. Dominuje w tym tendencja przypisywania owego kluczowego znaczenia tradycjom roku 63-go i jego nad nimi przemyśleń. Obawiam się jednak, że sprawy te w dużej mierze tłumaczą wcześniejszy okres koncepcji i działań Piłsudskiego, nie sięgają jednak dalej niż do okresu pierwszej wojny światowej. Kluczem do jego polityki zarówno w osiągnięciach jak i w zawodach po roku 1918 są raczej przemyślenia magdeburskie, na tle wcześniejszych o lat kilka przewidywań co do wyniku wojny i układu sił w Europie po jej zakończeniu. Nie ulega też dla mnie wątpliwości, że tam właśnie powstała koncepcja wznowienia polityki federalistycznej dawnej Rzeczypospolitej, dostosowania jej do warunków wieku XX, oraz przewidywanie, że koniec wojny stworzy warunki zarysowujące możliwość jej realizacji.

Jednym z najbardziej charakterystycznych rysów Piłsudskiego było to, że koncentrował się zawsze na zagadnieniach najtrudniejszych, ale też i najbardziej istotnych; szukał rozwiązania podstawowych trudności, wynikających z niezmiennych warunków położenia naszego narodu. Sięgał do sedna rzeczy, szukał rozwiązań śmiałych, bo takie tylko mogły być skuteczne. Optimistycznie wierzył, że naród polski stać na takie rozwiązania, jeśli tylko potrafi po nie sięgać. I niewątpliwie były po temu precedensy w naszej historii. Jednym z podstawowych i niezmiennych od wieków warunków naszego położenia geopolitycznego było dwustronne zagrożenie: od zachodu i od wschodu. Zagrożenie z którym dawaliśmy sobie radę, jeśli nie występowało ono równocześnie; było ono jednak katastrofalne, ilekroć działało bilateralnie, jak w epoce rozbiorów, czy w roku 1939.

Toteż każdy polityk polski, zasługujący na nazwę męża stanu, musiał szukać w swoim myśleniu wytycznych, które by prowadziły — taktycznie — do uniknięcia starcia jednoczesnego ze wschodem i zachodem, co oczywiście nie zawsze leżało w naszych możliwościach. Strategicznie zaś musiał dążyć do tego — gdy tylko zachodziła możliwość, — aby przynajmniej jedno z tych zagrożeń przestało być przytłaczające z punktu widzenia niewspółmierności sił; w dalszej konsekwencji, aby stworzyło to możliwość pokojowego, a nawet przyjaznego, oparcia się o jedną ze stron przeciwko drugiej.

Przez całe wieki, gdy naród niemiecki nie stanowił jednolitego organizmu państwowego, gdy idea cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego nie miała jeszcze nic wspólnego z nacjonalizmem niemieckim i była skoncentrowana raczej na opanowaniu Italii i Rzymu; gdy, wreszcie, naród niemiecki szarpany był straszliwymi wojnami religijnymi, nasz front zachodni był spokojną granicą. Dawało nam to jednocześnie, od wschodu, nie tylko bezpieczeństwo, lecz możność ekspansji terytorialnej i kulturalnej; ekspansji istotnie dość wyjątkowej w historii, bo polegającej na tym, że ludy mające do wyboru między wcieleniem do ówczesnych organizmów państwowych Rosji lub Polski z dobrej woli i chęci to drugie wybierały i wyboru tego czynnie broniły.

Nie zadecydował jeszcze o dalszym charakterze stosunków polsko-niemieckich wiek osiemnasty, gdy Prusy zaczęły rosnąć w potęgę w dużej mierze dzięki błędom polityki angielskiej, zaś z drugiej strony — dzięki temu, że polityka Rzeczypospolitej znalazła się w rękach zdradzieckich królów saskich. Polityce tej była oczywiście obcą polska racja stanu; co gorzej — królowie sascy działali wręcz przeciwko polskiej racji stanu. Mimo to, jak wykazały wojny napoleońskie, naród niemiecki wciąż jeszcze daleki był od jednolitości i od stworzenia tej nacjonalistycznej i agresywnej potęgi, którą stał się dopiero po Sedanie.

Od tego czasu, a więc i po wskrzeszeniu Rzeczypospolitej, nie podobna było liczyć ani na trwałe osłabienie potęgi imperium niemieckiego, ani na możność oparcia się Rzeczypospolitej o trwałe i pokojowe stosunki z Niemcami, nawet gdybyśmy ich szukali.

Jednakże, jeśli chodzi o zagrożenie niemieckie, pewnością który słusznie brał pod uwagę Piłsudski było to, że przeciwko Niemcom zawsze znaleźć mogliśmy sojuszników, w swym własnym interesie działających — i w ewentualnym starciu z nimi nie bylibyśmy odosobnieni. Odwrotnie wyglądała sprawa w stosunku do Rosji. Tu, jak widzieliśmy w ciągu całego dwudziestolecia międzywojennego, zachód Europy nawet w poszukiwaniu sojuszników przeciw Niemcom wolał upatrywać ich w Rosji. Zaś w razie starcia polsko-rosyjskiego nie pozostawiono nam żadnej wątpliwości, że na pomoc z zachodu liczyć nie możemy. Sugestia mapy geograficznej, optyczne wrażenie olbrzymich obszarów Europy i Azji aż po Ocean Spokojny, grały decydującą rolę zarówno w okresie caratu białego jak czerwonego. W czasie dwudziestolecia przed pierwszą wojną światową, gdy Francja i Anglia uświadomiły sobie perspektywę hegemonii niemieckiej w Europie, gaszone były świadomie i planowo przez ich rządy wszelkie odruchy sympatii w opinii publicznej dla Polski, a antypatii dla caratu rosyjskiego. Petersburg stał się przedmiotem zalo-

tów Paryża i Londynu. Definitywnie i bez zastrzeżeń uznano sprawę Polski za wewnętrzne zagadnienie rosyjskie, nie podlegające niczyjej interwencji. Wizja niepowstrzymanej potęgi liczebnej armii carskich, które jak wał parowy runą na Niemcy od wschodu, czyniła usprawiedliwioną każdą cenę w zamian za uruchomienie tego wału. Uważano w przyszłym starciu armię rosyjską za czynnik decydujący, obawiano się tylko porozumienia Rosji z Niemcami. Zawód, który przyszedł po pierwszym roku wojny, fakt że w jej roku trzecim potęga ta rozpadła się w pył i że mimo to mocarstwa centralne zostały pokonane, nie wywołał żadnego krytycyzmu. W pierwszych trzech latach po wojnie mocarstwa wersalskie podporządkowały wszystkie interesy Polski interesom restauracji imperium rosyjskiego. I niewiele lat minęło po pogromie armii czerwonej przez Polskę i po porzuceniu wiary w restaurację, a znowu mieliśmy do czynienia z szukaniem pomocy przeciwko ewentualnemu odwetowi niemieckiemu nie gdzie indziej jak w Moskwie, gdy jednocześnie skąpiono wydatnej (a niezbędnej niestety) pomocy dla unowocześnienia i oparcia o własny przemysł armii polskiej.

Nie otworzyła też nikomu oczu historia lat 1939-40 — pakt Ribbentrop-Mołotow, hojna pomoc udzielana przez cały pierwszy rok wojny Hitlerowi przez Stalina, zaciekle znęcanie się czerwonej Rosji nad Polską, która Hitlerowi do gardła skoczyła, wczas jeszcze powodując uwikłanie go w wojnę, z której po kilku dalszych latach mógł być wyjść jako władca Europy.

Nie podobna znaleźć jaskrawszej ilustracji dla tezy Piłsudskiego, że przeciwko Niemcom zawsze pomoc znajdziemy, a przeciwko Rosji nigdy, niż fakt że ci sami sprzymierzeńcy, którzy po naszej stronie stanęli przeciwko Niemcom, po zwycięstwie sprzedali nas cynicznie Rosji mimo zbratania się jej z Hitlerem — przez Hitlera przecież a nie przez nich zaniechanego — i mimo że powtórzyła się iluzja z roku 1914: milionowe armie rosyjskie znowu popędzone zostały przez Niemców aż do Wołgi i Kaukazu.

Powróćmy teraz do zagrożenia wschodniego. Nie istniało ono jeszcze w pierwszej ćwierci siedemnastego wieku; nawet przy zmiennych kolejach poszczególnych wojen szczytowe osiągnięcia Moskwy nie sięgały poza Wilno, podczas gdy zwycięskie wojska Rzeczypospolitej w Moskwie stawały. Przez setkę lat następnie, gdy wojny kozackie i utrata ziem zadnieprzańskich zaczęły przechylać szalę na stronę Moskwy, wciąż jeszcze siły jej były groźne dla Polski jedynie w koniunkturze zaprzatającej ją innymi wojnami i w związku z działaniami innego nieprzyjaciela. Dopiero fatalna data 1709 roku, pogromu wojsk Karola XII przez Piotra pod Połtawą, przesądzająca o losach prawobrzeżnej również

Ukrainy, stała się przełomem, po którym równowaga sił przechyliła się zdecydowanie na stronę Moskwy, prowadząc pod koniec stulecia do upadku i rozbioru dawnej Rzeczypospolitej.

Ekspansja terytorialna Rosji pod ostatnimi carami z dynastii Rurykowiczów i pierwszymi z dynastii Romanowych, idąca bądź na północ i północny-zachód, bądź na niezmierzone obszary wschodu przed i za Uralem, nie odbijała się nigdy w sposób groźny dla Rzeczypospolitej; dopiero opanowanie przez nią ziem ukraińskich zmieniło, wręcz odwróciło, sytuację. Zagrały tu początkowo błędy „królewiat” dość potężnych na to, aby sparaliżować mądrą politykę Władysława IV czy Ossolińskiego. Gdy zaś przyszedł zwrot ku lepszemu, którego wyrazem były Traktaty Hadziackie 1659 roku, było już za późno. W cudowny iście sposób przejrzała szlachta polska, gdy — w epoce rozkwitu *liberum veto* — Sejmy zatwierdziły jednomyślnie te traktaty; przejrzała również masa kozacka, nie tyle dzięki pozytywnemu myśleniu politycznemu, ile dzięki bolesnemu doświadczeniu, które przyniosła jej „protekcja” Moskwy. Ale było już za późno. Decydowała już po prostu potęga zbrojna Moskwy z jednej strony, zaś wyczerpanie sił i zdradziecka polityka Sasów z drugiej. W ciągu kilku dziesiątków lat nastąpiła jednoczesna, stopniowa agonia Rzeczypospolitej Polskiej i całkowita likwidacja wszelkiego cienia jakichkolwiek praw i prerogatyw kozactwa i całej ludności ziem ukraińskich, dokonana pod panowaniem Anny, Elżbiety i wreszcie Katarzyny II.

Aby wyczerpać podłoże historii i tradycji, warto zwrócić uwagę na czynnik niepoślednią grający rolę, jakim była sprawa ustroju państwowego Rzeczypospolitej i caratu moskiewskiego w ciągu wieków poprzednich.

Żelazna kurtyna nie po raz pierwszy podzieliła Europę na dwa odrębne światy w wieku XX. Zapadła ona po raz pierwszy i trwała przez szereg wieków w połowie XIII stulecia, gdy najazd mongolski zlikwidował pierwotną, kijowską Ruś, w której tak ciekawie krzyżowały się wpływy zachodu Europy oraz Bizancjum, i której kultura oraz ustrój miały tak mało wspólnego z późniejszą Rosją pod hegemonią Moskwy. Dwieście czterdzieści lat panowania mongolskiego i organizacji państwowej mongolskiego typu wyłobity głębokie piętno na psychice, na obyczajach, a przede wszystkim na ustroju państwowym Rusi moskiewskiej — piętno, które przetrwało upadek panowania potomków Dżingis Chana na jej ziemiach w roku 1480. Zjawisko to trwa dotychczas. Zaś żelazna kurtyna, zakazująca wszelkiego kontaktu z Europą Zachodnią, istniała nienaruszona przez następne lat sto pięćdziesiąt aż do panowania Piotra Wielkiego i stała się czymś

dla ludów tamtejszych tak naturalnym, a nawet upragnionym, że próby uchYLENIA jej przez tego władcę musiały być czynione w drodze bezwzględnej nakazu i wbrew protestom jego poddanych. Państwo wielkich książąt, a następnie carów moskiewskich, nie tylko nie przeżywało przemian i doświadczeń, które przechodziła Europa Zachodnia i jej ustroje państwowe między XIII a XVII wiekiem. Nie była nawet ich ona świadoma. Władcy Moskwy, gdy przestali już być wasalami Złotej Ordy i gdy nie stali im już nad karkiem namiestnicy mongolscy czy tatarscy — sami tylko stali się wolni. Ustrój, narzucony im kiedyś z dalekiego Karakorum, trwał. Byli panami absolutnymi, panami życia i mienia wszystkich swoich poddanych. Nie berło i korona, nie prawo, lecz wola władcy, której wyrazem była odziedziczona ze stepów wschodnich nahajka, była narzędziem i wyrazem władzy. Feudalny ustrój Zachodniej Europy, czy nawet Bizancjum, był temu światu czymś zupełnie obcym i był niewątpliwie wyrazem — używając terminów nowoczesnych — demokracji i postępu. W ustroju feudalnym poddany miał swoje zawarowane prawa i przywileje; stosunek między nim a jego suwerenem był stosunkiem umownym, regulowanym prawami obyczajowymi, prawami honoru, względnie interwencją kościoła. W tych granicach istniała obszerna strefa wolności i nienaruszalnych uprawnień, z którymi każdy władca musiał się liczyć pod groźbą utraty swej władzy.

Oczywiście pamiętać należy, że w tym wszystkim musimy brać pod uwagę podstawowe znamiona czasów. Gdy piszemy o prawach i przywilejach władcy i jego poddanych, dotyczy to tylko tych warstw i klas społecznych, które w danej epoce prawa te miały. Na całym świecie chłop pańszczyźniany, czy pospólstwo miejskie, nie miało głosu, ani żadnych przywilejów obywatelskich i nie sięgało po nie, chyba w drodze rozpaczliwej rebelii.

Chodzi więc o tak zwane warstwy historiotwórcze.

To mając na uwadze, stwierdzić wolno, że ówczesna żelazna kurtyna, którą była granica między Rzeczypospolitą Polską a caratem moskiewskim, oddzielała istotnie dwie różne rzeczywistości. Władca Moskwy, lub książę udzielny jego łaską się cieszący, nie znał żadnych granic swej władzy. Najwybitniejszy z jego poddanych, najczcigodniejszy z bojarów, mógł w każdej chwili w kaprysu carskiego być pozbawiony mienia, wolności osobistej i życia. Mógł zostać zelźony i skopany, storturowany, różgami na śmierć zasieczony; rodzina jego mogła być uwięziona w klasztorze, czy sprzedana w niewolę. Czy w sprawach rządzenia miał głos jakikolwiek — decydowała tylko łaska władcy.

Cóż tedy dziwnego, że świat rozpoczynający się na zachód

od granicy z Rzeczypospolitą Polską wydawał się dla mieszkańca caratu moskiewskiego jakimś rajem wolności i praw obywatelskich. Cóż dziwnego że ludność na zachód od tej granicy uważała los swój za szczęśliwy i pozazdroszczenia godny w stosunku do sąsiedniego wschodu, niezależnie od języka, którym mówiła i od rytuału religijnego.

Ten fakt grał na rzecz Polski w ciągu kilku wieków. Dzięki temu nie potrzebowała ona poważniejszej potęgi zbrojnej na tak rozległej granicy. Trwałość i rozwijająca się z biegiem wieków ścisłość unii polsko-litewskiej w tym właśnie miała swój fundament.

Polityka Jagiellońska i Unia Polsko-Litewska są to dwa terminy historyczne wymagające pewnych zastrzeżeń. Zastrzeżeniem mniejszej wagi jest, że polityka Jagiellońska była koncepcją powziętą oczywiście nie przez Jagiellonów, lecz przez mężów stanu polskich z okresu poprzedzającego zaofiarcowanie tronu polskiego Władysławowi Jagielle, pod warunkiem przyłączenia jego dominiów do Korony Polskiej. Zarysowała się ona już pod panowaniem Kazimierza Wielkiego w momencie jego małżeństwa z Aldoną Gedyminówną. Dojrzała i wprowadzona w życie za ostatniej Piastówny po kądzieli.

Poważniejszą poprawką historyczną byłoby to, że termin Litwa nadawany wówczas rozrośniętym gwałtownie obszarom podbitym przez dwa pokolenia dynastii Gedyminowiczów jest terminem umownym, dynastycznym właśnie, a bardzo dalekim od rzeczywistego charakteru ludnościowego tych ziem. Czynnikiem etniczny litewski zajmował małeńki skrawek tego państwa na jego północno-zachodnim krańcu. Nie dokonał żadnej ekspansji ani obyczajowej, ani nawet językowej, na ogromnej przestrzeni podboju dokonanego przez swych władców. Pamiętajmy, że językiem państwowym Wielkiego Księstwa Litewskiego nigdy nie był język litewski, lecz język wówczas zwany ruskim. Nie tylko dlatego, że język litewski nie był zrozumiały dla olbrzymiej większości mieszkańców, ale dlatego przede wszystkim, że wówczas i na szereg wieków jeszcze później nie istniał w piśmie. Unia państwowa ziem tych z Koroną Polską była więc, ściśle biorąc, unią ziem etnograficznej Polski z ziemiami etnograficznie ruskimi; litewską z pochodzenia, ale z nowo-ruską z przyjętej kultury i języka, była tylko dynastia, która wkrótce język i kulturę polską przyjęła.

Ten wzgląd nie stracił swojej wymowy i konsekwencji historycznej również i w wieku XX.

Nomenklatura często prowadzi do błędnych wyobrażeń zarówno w polityce, jak w historii. Utarty w ciągu wieków termin

Unii Polsko-Litewskiej jest jednym z wyrazistych tego przykładów. Nie tylko na szerokim świecie, ale i u nas zakorzeniło się przekonanie, że przedrozbiorowa Rzeczypospolita polska była federacją dwóch żywiołów etnicznych: polskiego i litewskiego. Dzielenie jej obszaru na Koronę i Litwę narzucało po prostu takie przekonanie. Utrwaliło się ono jeszcze w ciągu wieku XIX, kiedy na całym świecie przyszła fala wzmożonej świadomości nacjonalistycznej, nawet tam gdzie — zdawałoby się — wygasła ona doszczętnie. Renesans narodowego poczucia litewskiego, które nabrało nowej prężności pod koniec tego wieku, bywał zwykle rozciągany wstecz na lat niemal pół tysiąca, mimo że uważne badania historyczne dają całkiem odmienne rezultaty. Przebieg współistnienia państwowego ziem Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego był procesem niezmiernie ciekawym, mającym swoje przypływy odpływy, jeśli chodzi o formy konstytucyjne; te zmiany formalne trwały od pierwszych faktów w Krewie i Horodle (1386-1413) przez układy Radomsko-Wileńskie (1509), przez Unię Lubelską (1569), aż do całkowitego wreszcie zespolenia przez Konstytucję 3 Maja. Pierwotna unia personalna z zachowaniem całkowitej odrębności organizmów państwowych miała trwać tylko do końca życia Władysława Jagiełły, po czym Wielkie Księstwo Litewskie miało stać się częścią składową Korony Polskiej pod berłem jego następców. Były następnie momenty na schyłku wieku XV za panowania Jana Olbrachta, kiedy wszelka wspólnota czasowo wygasła. Akt Unii Lubelskiej, wspaniałe dzieło niezmordowanego wysiłku Zygmunta Augusta, była formalnie raczej rozluźnieniem układów pierwotnych; mimo to jednak stał się datą, od której całkowite zespolenie postępowało już stale, bez kryzysów powrotnych; zespolenie to, które bez najmniejszych śladów sprzeciwu znalazło swój wyraz konstytucyjny w roku 1791, przetrwało upadek Rzeczypospolitej i jej rozbiory, co udowodniły wszystkie walki następne od Insurekcji Kościuszkowskiej poczynając, na Powstaniu 63 roku kończąc.

Są jednak dwa ciekawe i wymowne aspekty tego procesu historycznego. Pierwszym jest trwałość i pełna jednokierunkowość rozwoju zespolenia faktycznego — niezależnie od ustrojowo-konstytucyjnych etapów. Zbliżenie kulturalne, zrastanie się w zupełną jedność racji stanu Rzeczypospolitej, było procesem nieprzerwanym. Złożyły się na to dwa momenty: trwające aż do końca XV wieku wspólne zagrożenie krzyżackie, zaś po jego wygaśnięciu, zagrożenie turecko-tatarskie i zarysowujące się coraz wydatniej niebezpieczeństwo ekspansji moskiewskiej. Obok tych przyczyn zewnętrznych, drugą przyczyną zespolenia była mądrość polityki polskiej, która nigdy nie dała się skusić do rzucenia

na szalę brutalnej siły i przymusu w momentach kryzysów. Korona nigdy nie wprowadzała ze swojej strony sankcji zbrojnej, mimo że była do niej upoważniona, gdy czy to Witold czy Świdrygiełło łamali zawarte układy, gdy dynaści lub możnowładcy litewscy próbowali całkowitej separacji. Toteż próby te szybko wygasły, dlatego właśnie że nie powodowały krwawej rozprawy. Aspekt drugi — historycznie może jeszcze ciekawszy — to fakt, że nigdy żaden z tych kryzysów, żaden ze sporów między Koroną a Wielkim Księstwem, nie był spowodowany przeciwstawieniem aspiracji narodowych litewskich aspiracjom narodowym polskim. Były one powodowane początkowo przez ambicje dynastyczne reprezentowane przez przedstawicieli Gedyminowiczów, następnie zaś spory o zakres równouprawnienia do udziału w rządach, o prawo do piastowania dygnitarskich urzędów, bez dyskryminacji wyznaniowej; przy czym to ostatnie nie łączyło się w żaden sposób z kwestią narodowości; ani bowiem język, ani religia u olbrzymiej większości mieszkańców ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego nie były związane z litewskością jako zagadnieniem etnicznym. Językiem państwowym Wielkiego Księstwa był język ruski; nie było to nigdy przedmiotem sporu i nie było nigdy żadnej próby ze strony wspólnej władzy królewskiej do naruszania tego przywileju; przeciwnie, w wieku XVIII jeszcze, wszystkie akta państwowe z kancelarii królewskiej wychodzące, a ziem Wielkiego Księstwa dotyczące, w języku ruskim były pisane. Obrządek prawosławny — czy od roku 1569 unicki — nie był też w żaden sposób związany z litewską grupą etniczną ludności. Ekspansja dynastii Gedyminowiczów w drugiej połowie XIV wieku, zagarniająca ziemie ruskie, zastała już na nich obrządek prawosławny. W wieku XVI i XVII litewska część ludności była bądź katolicka, bądź protestancka; obrządek prawosławny lub unicki wyznawany był przez znikomą niski odsetek tej ludności.

Nie ulega więc kwestii że, wbrew terminologii, Rzeczypospolita przedrozbiorowa była federacją — w znaczeniu narodowościowym — polsko-ruską; czynnik narodowy litewski odgrywał w niej rolę znikomą pod względem narodowym, zaś lokalną tylko pod względem odrębności kulturalnej i obyczajowej, nie tylko nie wykazującej żadnej ekspansji, ale przeciwnie — kurczącej się w swym zasięgu.

Ten stan rzeczy był już całkowicie zrozumiany przez mężów stanu Rzeczypospolitej w wieku XVII. Po strasznym dziesięcioleciu 1648-1658 konieczność przekształcenia ustroju konstytucyjnego z dualistycznego polsko-litewskiego na trialistyczny polsko-litewsko-ruski, znalazła nadspodziewanie powszechne zro-

zumienie. Gdy poprzednio Władysław IV, lub kanclerz Ossoliński nie znajdowali posłuchu dla swych wysiłków w kierunku porozumienia z Kozacczyną, gdy inicjatywy ich w tym kierunku były dezawuowane przez demagogię lub krótkowzroczne sobkostwo królewiat — zaszedł jakiś zaiste cudowny zwrot: podjęte z następcą Chmielnickiego, Janem Wyhowskim, sprawującym jak gdyby regencję przy małoletnim synu Bohdana, pertraktacje zostały zakończone w połowie września 1658 roku podpisaniem aktu „Ugody Hadziackiej”, mimo największych wysiłków i gróźb ze strony cara. Stypulacje tej ugody przekształcały ustrój Rzeczypospolitej, wnosząc elementy pierwszorzędnego znaczenia, które zdaniem historyków nowoczesnych (Tomkiewicz, Konopczyński, Kościółkowski) mogły zmienić losy nie tylko Rzeczypospolitej, nie tylko Ukrainy i Kozacczyny, ale nawet całej Europy. Oto ich streszczenie:

1) Ustrój „Rzeczypospolitej obojga narodów”, ustalony przed 90-ciu laty przez akt Unii Lubelskiej, przekształca się w „Rzeczypospolitą narodu polskiego, litewskiego i ruskiego”, połączonych na podstawie: „Wolni z wolnymi, równi z równymi, zacni z zacnymi”.

2) Tworzy się Wielkie Księstwo Ruskie z trzech województw: Kijowskiego, Braclawskiego i Czernihowskiego. Król mianuje dla tego terytorium hetmana spośród czterech kandydatów przez Stany Księstwa Ruskiego przedstawionych. Księstwo Ruskie związane jest z Koroną i Litwą nie tylko przez osobę monarchy, wspólnie obieranego; wszystkie trzy części składowe Rzeczypospolitej mają wspólny Senat, wspólny Sejm, wspólną politykę zagraniczną.

3) Księstwo Ruskie ma mieć tak samo jak Korona i Litwa własnych ministrów: marszałków, kanclerzy i podskarbich; własne sądownictwo; urzędy Księstwa zastrzeżone będą szlachcie miejscowej, zaś godności senatorskie w województwie Kijowskim piastowane być mają wyłącznie przez prawosławnych, a w pozostałych dwóch województwach na przemian przez katolików i prawosławnych. Niezależnie od całkowitego równouprawnienia szlachty ruskiej i zawarowania jej dawnych przywilejów, wojsko kozackie mieć ma odrębnego hetmana z wyboru, za potwierdzeniem królewskim. Kozacy mają przyznane prawa „ludzi rycerskich”, oraz zachować mają swe starodawne wolności i zwyczaje. Otwarta jest dla nich szeroka droga do nobilitacji szlacheckiej, do czego pierwszym krokiem ma być przyznanie klejnotu szlacheckiego, na wniosek hetmana, stu Kozakom z każdego pułku; akt w następnych latach powtarzany.

4) Szczegółowo zastrzeżone jest dla JK Mości prowadzenie polityki zagranicznej, przyjmowanie i wysyłanie obcych poselstw i korespondencji dyplomatycznej. Kozacy zobowiązują się nie szukać żadnej obcej protekcji, zachować na wieczne czasy wierność i posłuszeństwo Królowi i Rzeczypospolitej, a wreszcie: „Starać się też o to mają te trzy narody wspólnie wszelkimi sposobami, aby wolna była nawigacja na Czarne Morze Rzeczypospolitej”.

5) W sprawie wyznania prawosławnego Ugoda Hadziacka stanowi, że religia prawosławna grecka przy swoich prerogatywach i wolnym nabożeństwie pozostaje, i otrzymuje pełne równouprawnienie z wyznaniem katolickim. Prawosławni fundować mogą na terenie całej Rzeczypospolitej (nie tylko w Księstwie Ruskim) swe cerkwie, monastery i instytucje duchowne, nad którymi jurysdykcję będą mieli wyłącznie biskupi prawosławni. W miastach też zarówno prawosławni jak katolicy mają być równouprawnieni do piastowania „magistratu”. Metropolita Kijowski, wraz z pięcioma biskupami prawosławnymi: Łuckim, Lwowskim, Przemyskim, Chełmskim i Mścisławskim, zasiadać mają w Senacie Rzeczypospolitej z takimi samymi prawami, jak biskupi obrządku rzymsko-katolickiego.

Przytaczam tu oczywiście tylko najcharakterystyczniejsze postanowienia tego aktu, świadczącego o niebywałej dojrzałości politycznej i o duchu rzetelnego kompromisu u kontrahentów. Jeśli wziąć pod uwagę, że stało się to bezpośrednio po dziesięciu latach zaciekłych walk i straszliwych okrucieństw; że — z drugiej strony — duch równouprawnienia religijnego znalazł wyraz tak daleko idący w epoce szalejących w całej Europie wojen religijnych, przyznać trzeba, że Ugoda Hadziacka jest faktem jeszcze bardziej zdumiewającym, niż Unia Lubelska z poprzedniego wieku.

Ale ciekawsze jeszcze były jej dalsze koleje. Ugoda Hadziacka, po podpisaniu przez delegacje stron obu, spotkała się z niesłychanie ostrym i burzliwym sprzeciwem. Z jednej strony uderzyła w wygórowane ambicje hetmana Wyhowskiego, co starali się rozdmuchać jeszcze jawni i ukryci zwolennicy moskiewskiego caratu, tak że Wyhowski zagroził złożeniem godności hetmańskiej, jeśliby projekt umowy przez starszyznę kozacką był zatwierdzony. Z drugiej strony — w najostrzejszy sposób zaprotestował przeciwko umowie Legat papieski w Warszawie i cały episkopat rzymsko-katolicki; a wiemy przecież jak ogromną potęgę czynniki te reprezentowały. Mimo to w ciągu kilku miesięcy Ugoda Hadziacka ratyfikowana została przez obie strony, bez żadnych

istotnych zmian. Wycofać się musiał ze swych sprzeciwów hetman kozacki. Zatwierdził ugodę jednomyślnie Sejm Rzeczypospolitej, bez próby użycia *liberum veto*. Nie tylko więc mężowie stanu, lecz i skłócenie możnowładcy, a nawet tak podatna dla wszelkiej demagogii brać szlachecka — wszyscy dojrzeli w tym akcie jedyną drogę do uniknięcia katastrofy, u progu której istotnie Rzeczypospolita wówczas stanęła.

Co innego zagrało po stronie kozackiej: oto kilkoletnia próba „protekcji” i „gwarancji” moskiewskiej wystarczyła, aby kozacy pozbyli się wszelkich wątpliwości i zrozumieli, że nic innego za tymi pięknymi słowami nie stoi prócz widma ucisku i niewoli. Ta świadomość znalazła swój wyraz, niemal proroczy, w obradach hadziackich. Wypowiedziane tam były słowa, które streszczają historię trzystu lat następnych do dnia dzisiejszego.

„Ulitował się Bóg — mówił kasztelan Wieniewski — nad krajem sobie miłym: Polską i Rusią; skruszył serca wasze i nasze, abyśmy uderzywszy się w piersi, grzech nasz poznali, a jeden drugiemu odpuścili. Już teraz spróbowaliście wolności polskiej i moskiewskiej; doznaliście wolności i niewoli. Mówiliście: „żli Polacy”. Teraz musicie przyznać: „gorsi Moskale”. Zaczem Łaskawy Ojciec, król polski, żąda po was, abyście *ojczyzna* swego zbrzydziwszy, z niewoli i jarzma moskiewskiego wybili się”... A dalej: „Car radby wam języki poodcinać, abyście nie mówili, i oczy powykłuiwać, abyście nie patrzyli; dźierz was, dopóki nas Polaków krwią waszą nie zwojuje, a potem was za Białe Jezioro przeniesie, a Ukrainę zasiedli swoimi moskiewskimi chłopami”.

Podpisanie Ugody Hadziackiej nie było bynajmniej, jak można by podejrzewać, jakąś słomianą zgodą, czy skutkiem świetnej i przekonywującej retoryki. Między tym faktem bowiem a ratyfikacją ugody, w maju 1659 roku, upłynęło siedem miesięcy w ciągu których po obu stronach działały potężne wpływy, zmierzające do anulowania paktu. Ani jednak wpływ Moskwy i sprzeciw hetmana Wyhowskiego na Ukrainie, ani potężny opór całego episkopatu polskiego i Legata papieskiego w Warszawie, nie zdołały poderwać dokonanego w Hadziaczu dzieła. Z tak natarczywą oczywistością zarysowała się przed oczami współczesnych groźba katastrofy i perspektywa ugody, jako jedynej drogi do jej zapobieżenia. Ciekawą jest rzeczą, że po upływie niemal trzech wieków, od końca dziewiętnastego wieku aż do dnia dzisiejszego, wszyscy historycy polscy zgadzają się w tym, że idea przewodnia Ugody Hadziackiej: przekształcenie — a raczej rozciągnięcie — federacyjnego ustroju Rzeczypospolitej na ziemie ukraińskie, była zbawiennym aktem mądrości politycznej, rzetelnym kompromisem,

który jeśli nie odwrócił biegu historii, to dlatego tylko że przyszedł o parę dziesiątków lat, o całe pokolenie, za późno.

Za późno nie dlatego, aby rozdarcie było już zbyt głębokie i aby zrozumienie wspólnego interesu było nietrwałe. Gdyby bowiem doszło do wykonania postanowień hadziackich, gdyby rozciągnięte zostały na ziemie ukraińskie wszystkie te uprawnienia, które dały tak dobroczynny i trwały skutek na terytoriach Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego — zarówno Kozactwo, jak i reszta ludności tych ziem, wypróbowawszy już w praktyce „współzycie” z Moskwą, weszłyby na pewno w orbitę współżycia narodów Rzeczypospolitej i zespoliłoby się z nią, widząc w tym los dla siebie najlepszy.

To że Ugoda Hadziacka pozostała na papierze było skutkiem siły zewnętrznej. Gdy w końcu tego samego roku 1659 potężna armia moskiewska uderzyła na Ukrainę, Rzeczypospolita nie była w stanie dać odporu. Wszystkie siły, którymi rozporządzała, były zajęte w wojnie ze Szwedami; to zaś że w wojnie tej minął już kryzys, wyszło na złe raczej niż na dobre, bo Czarnecki był w Danii, skąd oczywiście na czas przerzucony nad Dniepr być nie mógł.

Jak często zdarza się w historii, świadomość ogółu nie nadążyła za myślą mężów stanu. 30 czy może nawet 20 lat wcześniej Władysław IV, a następnie Ossoliński, widzieli dokładnie tę samą drogę, którą ogół szlachty ujrzał dopiero po dziesiątkach lat. Ale gdy chcieli oni wówczas zaofiarować równouprawnienie ziemiom ukraińskim, gdy chcieli iść na kompromis w sprawach narodowościowych i wyznaniowych, zwyciężała przeciwko nim krótkowzroczna demagogia i masy szlacheckie o zdradzie i tchórzostwie krzyczały. A przecież Moskwa nie podniosła się jeszcze wtedy z długiego okresu anarchii i bezsilności w czasie panowania ostatnich Rurykowiczów, w czasie Samozwańców i w pierwszym okresie panowania nowej dynastii Romanowych. Gdyby wówczas reforma ustrojowa została przeprowadzona, gdyby już w ciągu całego pokolenia ziemie ukraińskie stały się pełnoprawną częścią Rzeczypospolitej i korzystały z jej przywilejów, dzieło byłoby utrwalone. A — co najważniejsze — Moskwa nie byłaby jeszcze zdolna do udaremnienia tego dzieła siłą zbrojną. Nie skrwawilibyśmy się w 10-cioletniej wojnie domowej na południu, całkiem inny przebieg od początku mogłaby też mieć wojna szwedzka.

Godną uwagi jest rzecz, że po wskrzeszeniu Rzeczypospolitej, już w listopadzie i grudniu 1918 roku — a coraz wyraziściej w ciągu lat 1919 i 1920 — w każdym niemal pociągnięciu politycznym Piłsudskiego zarysowuje się, jako myśl przewodnia, dą-

zenie do odnowienia tradycji ustrojowo-politycznych dawnej Rzeczypospolitej. Od pierwszych dni po powrocie z Magdeburga szukał on porozumienia z Litwą Kowieńską, będącą jeszcze w rękach niemieckich. Nie zrażał się oziębłą czy wręcz nieprzyjazną reakcją z tamtej strony. Gdy, jesienią 1919 roku, Litwa Kowieńska zagrożona była śmiertelnie przez niemiecko-rosyjskie siły Bermonta Awałowa, Piłsudski dał jej zapewnienie i gwarancję, że może zaangażować wszystkie swe siły do oporu i nie potrzebuje osłaniać się od strony zajętego przez armię polską Wilna. Przeciwnie — co niewątpliwie uratowało wówczas niezależność nie tylko Litwy, lecz Łotwy i Estonii — zagroził rzuceniem wszystkich sił polskich na pomoc w razie dalszej ofensywnej akcji Bermonta. Pamiętajmy, że marszałek Foch zadeklarował wówczas na Radzie Najwyższej, że nie jest w stanie użyć jakichkolwiek sił mocarstw zachodnich do interwencji w obronie tych państw i do likwidacji Bermonta Awałowa. Jedyne na co mocarstwa zachodnie zdobyć się wówczas mogły to manifestacja marynarki wojennej angielskiej u wybrzeży Bałtyku, która rzecz prosta mogła dać i dała istotnie rezultat tylko w połączeniu z jednoczesną demonstracją sił lądowych polskich w tym kierunku.

Odezwa Wileńska Naczelnego Wodza była śmiałym i niedwuznacznym wyrazem tych samych tendencji; zaś w niewiele miesięcy później rozpoczął Piłsudski akcję polityczną w kierunku porozumienia z Ukrainą, gdy tylko próba sił w Małopolsce wschodniej przeważała definitywnie szalę na naszą stronę, a jednocześnie najazd czerwonej armii na Ukrainę naddnieprzańską otworzył możliwość porozumienia z tamtejszymi czynnikami ukraińskimi, narodowo i politycznie świadomymi.

Nie podobna zaprzeczyć, że w ówczesnej politycznej rzeczywistości polskiej były to jedyne przejawy polityki obliczonej na dalszą metę, polityki głębszej i świadczącej o konsekwentnym przemyślaniu tych warunków i tych możliwości, które przewidywał i których szukał Piłsudski, będąc jeszcze więźniem w Magdeburgu i marząc o wyzyskaniu warunków powojennych dla rozbudowania Rzeczypospolitej, jako czynnika ważkiego i twórczego w naszej części Europy.

Kto pamięta te czasy przyznać musi, że były to myśli i plany nie figurujące wówczas w ogóle w działaniach, głosach i walkach politycznych w społeczeństwie polskim. Zarówno w obozie zwalczającym Piłsudskiego, jak i w jego własnym. Ci zaś którzy tych czasów pamiętać nie mogą znajdują bez trudu potwierdzenie tego co piszę, jeśli zechcą zajrzeć do prasy, czy do sprawozdań z obrad parlamentarnych ówczesnych. Nie przeczę, że Piłsudski znajdował poparcie dla swej federalistycznej myśli w PPS, czy w radykal-

nych grupach ludowych; inicjatywa jednak i przemysłany plan należały wyłącznie do niego. Stronnictwa prawicy, z Narodową Demokracją na czele, atakowały jak wiadomo tę politykę Piłsudskiego w sposób bezwzględny i w najwyższym stopniu demagogiczny. Jedynym wyjątkiem był Paderewski, który przez cały czas swego premierowstwa nie tylko wykazywał zrozumienie, ale dawał aktywną pomoc i osłonę w Sejmie dla polityki Piłsudskiego w tej dziedzinie, mimo że naraziło go to na walkę z najbliższym mu i *de facto* decydującym na terenie parlamentarnym obozem. Oczywiście tłumaczy się to nie czym innym jak okolicznością, że Paderewski, dobrze znając opinię publiczną świata zachodniego, zarówno Europy jak i Ameryki, wiedział i rozumiał że tylko koncepcja Piłsudskiego znajduje i w przyszłym biegu wypadków znajdować będzie zrozumienie na gruncie międzynarodowym.

Ten ostatni wzgląd musiał być brany wówczas pod uwagę przez każdego poważnego polityka polskiego. Jasne było bowiem, że pomocy zewnętrznej będziemy potrzebowali przez czas dłuższy i to w wielu dziedzinach. Niezależnie od tego, że była ona niezbędna w dziedzinie obrony — że potrzebowaliśmy broni, amunicji i wszelkiego rodzaju zaopatrzenia dla naszej armii — trzeba było myśleć o odbudowie i rozbudowie przemysłu; przede wszystkim zaś trzeba było ufundować jakąś podstawę dla finansów państwowych. Papierowa waluta bez żadnej zgoda podstawy i zabezpieczenia, jakimś cudem — może po prostu cudem konieczności — spełniała jakoś na razie swe funkcje. Cud ten jednak nie mógł trwać długo, zaś ufundowanie waluty realnej było nie do pomyślenia bez pomocy zagranicznej na wielką skalę.

Niezależnie więc od względów rzeczowych i obiektywnej słuszności lub niesłuszności naszej polityki, nie stać nas było na lekceważenie sobie opinii publicznej krajów, bez pomocy których obejść się nie mogliśmy. A były to czasy, kiedy dominowała na świecie ideologia leżąca u podstawy Ligi Narodów, ideologia czternastu punktów prezydenta Wilsona, zasada prawa narodów do stanowienia o swym losie, z nieposzanowaniem której Polsce byłoby szczególnie nie do twarzy.

Jeśli zatem dla obu skrajnych biegunów ówczesnej politycznej myśli polskiej — dla Piłsudskiego i Dmowskiego — jasne było, że Polska nie może się zadowolić terytorialnie obszarem między Bugiem i Odrą, Sanem i Bałtykiem, to również jasne musiało być, że trzeba oprzeć się na innych tytułach do organizacji państwowej tych ziem, niż tylko opanowanie ich siłą zbrojną. Koncepcja wskrzeszonej Rzeczypospolitej, opartej na zasadzie federacyjnej, odpowiadała więc nie tylko narodowej trady-

cji historycznej. Była koniecznością narzucającą się jeszcze bardziej z punktu widzenia rzeczywistości wieku XX.

Na razie, w okresie o którym piszemy, na przełomie roku 1919 i 1920, sprawą pierwszej kolejności i warunkiem *sine qua non* dla dalszego rozwoju jakiegokolwiek polityki polskiej była rozprawa orężna z Moskwą. Gdyby się była rozegrała na naszą niekorzyść, zadecydowałoby to nie tylko o tym w jakiej orbicie znalazłyby się ziemie byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, ale prawdopodobnie położyłoby w krótkim czasie kres istnieniu Rzeczypospolitej jako państwa niepodległego. Ale nawet w przewidywaniu, że próba sił na naszą korzyść wypadnie, w co Piłsudski wierzył, należało od początku mieć na uwadze fazę następną: jaka będzie różnica potencjału między nową Rosją a nową Rzeczypospolitą, oraz jaki będzie stosunek świata zewnętrznego do nowego układu sił w tej części Europy.

Piłsudski liczył się już wówczas z tym, że wojna domowa w Rosji skończy się definitywną porażką „Białych”; że w konsekwencji w polityce państw zachodnich wygaśnie tendencja do negowania uprawnień Polski na wschodzie i rezerwowania rzekomych praw dawnego imperium rosyjskiego; liczył się dalej z tym, że obudzi się na Zachodzie zrozumienie istotnego oblicza Rosji bolszewickiej, jako zagrożenia w skali europejskiej i światowej. Wierzył też, że jeśli nie damy Moskwie czasu na okrzepnięcie i zreorganizowanie się po wojnie domowej, jeśli wciągniemy ją do decydującej rozprawy bez zwłoki i rozprawę tę zakończymy decydującym zwycięstwem, możemy stworzyć sytuację, która nam zagwarantuje dłuższy okres pokoju od wschodu; z drugiej zaś strony pozwoli nam liczyć na dobrą wolę, przychyłność i wydatną pomoc ze strony mocarstw zachodnich.

Smutną cechą charakterystyczną ówczesnych stosunków politycznych w Polsce był nie tylko brak dalekowzrocznych i konstruktywnych koncepcji, wśród stronnictw i grup, ale nawet brak zrozumienia, brak wyczucia potrzeby dalekosiężnej polityki państwowej. Tylko zagadnienia doby bieżącej, walka o udział we władzy, o teki ministerialne w rządzie ożywiały temperamenty i pochłaniały umysły. Było to zjawisko powszechne zarówno na lewicy, jak i na prawicy. Walczono o władzę bez perspektyw co z tą władzą robić. Prawdą jest, że naród polski wykazał cudowne niemal wartości, przetrwawszy okres rozbiorów bez utraty swej odrębności kulturalnej, swej narodowej twórczości, odrębności obyczajowej, i nie zrezygnowawszy z aspiracji do odzyskania swego miejsca wśród narodów. Jednak nie przeszło — i pewnie nie mogło przejść — bezkarnie stulecie przeszło odsunięcie od udziału w polityce europejskiej. Dziedzina polityki pań-

stwowej stała się niemal obca szerszemu ogółowi polskiemu. Jedynie w zaborze austriackim, i to w przeciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, poszczególne jednostki, ściśle biorąc, miały dostęp do polityki państwowej na wyższym poziomie, piastując od czasu do czasu takie czy inne stanowiska ministerialne czy dyplomatyczne. Jednak i w Galicji szerszy ogół zdobył pewne wyrobienie polityczne tylko w granicach prowincjonalnej, powiatowej — rzec by można — polityki. Dla ogromnej większości działaczy galicyjskich szczytem mądrości była taktyka wyborcza; zdobycie maksimum głosów w najbliższych wyborach dla swego stronnictwa w danym okręgu uważane było za rzecz główną. O ile w dziedzinie organizacji aparatu państwowego i samorządowego zabór austriacki wniósł do odbudowy państwa wkład niezmiernie cenny, choć niesłusznie nieraz lekceważony, to w dziedzinie ściśle politycznej wpływ działaczy galicyjskich dawał raczej obniżenie poziomu. Zabór niemiecki, a już szczególnie rosyjski, wniósł wprawdzie cenne wartości w dziedzinie pracy społecznej, nie dał jednak prawie nic w zakresie przygotowania do wyższych zagadnień polityki państwowej.

Swego rodzaju żelazna kurtyna oddzieliła już w czasie zaborów ziemię, przez imperium rosyjskie opanowaną, od Europy. Bezwzględna cenzura, działająca na przestrzeni życia szeregu pokoleń, zrobiła więcej szkody niż trudności w kontaktach osobistych. Bogate życie narodów europejskich w ciągu wieku XIX i pierwszego dziesiątka wieku XX, zmiany ideologiczne i ustrojowe, były tylko z grubsza i dorywczo znane szerszemu ogółowi polskiemu. Zaś gra interesów międzynarodowych i między państwowych, dyplomacja europejska i światowa, istotne pobudki działania rządów, układ sił i tendencji w opinii publicznej krajów Zachodu — była to dziedzina w zaborze rosyjskim całkowicie niemal nieznaną.

Z tych samych względów — myślę o cenzurze — nawet własna historia była społeczeństwu polskiemu niezmiernie słabo znana i to tylko na poziomie „24 obrazków” czy innych popularnych i krańcowo płytkich wydawnictw. Dzieł i prac historycznych traktujących głębiej historię Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, obrazujących jej politykę na tle całokształtu stosunków europejskich, wykazujących jej osiągnięcia i kryzysy czy błędy z punktu widzenia historycznej racji stanu, było niewiele, a w dodatku dostępne były tylko w zaborze austriackim.

Usurawiedliwia to w znacznej mierze brak głębszego nurtu, a nawet po prostu zapotrzebowania na bardziej dalekosiężne koncepcje w dziedzinie politycznej myśli polskiej.

Fakt, że wkroczyliśmy w nowe życie pod znakiem niezmiernie zacieklej walki partyjnej, pogorszył stan rzeczy w sposób fatalny, rozgorzała bowiem demagogia w słowie i w piśmie, podciągająca wszystkie zagadnienia i całą rzeczywistość — zarówno polską jak i międzynarodową — pod cele chwili bieżącej. Nie było *de facto* walki światopoglądów i programów działania; była tylko walka o to kto ma stać u steru, niezależnie od tego w jakim kierunku sterować zamierza.

Na tle tej posępnej rzeczywistości Piłsudski postawił sobie dwa zadania: pierwszym, i górującym nad wszystkim innym, było doprowadzenie do zwycięskiej rozprawy z bolszewicką Rosją; drugim było nadanie nowoczesnego oblicza organizmowi państwowemu, tworzonemu na ziemiach, na których inicjatywa państwowotwórcza była spadkiem historycznym należnym narodowi polskiemu.

Zadaniem równie pociągającym i twórczym, jak i niewątpliwie trudnym było — w przewidywaniu, że Moskwa stworzy nie co innego jak czerwony carat na miejsce białego — przeciwstawienie tej eurazjatyckiej tradycji idei zrzeszenia ludów, opartego na dobrowolnej decyzji połączenia swych losów z Warszawą raczej niż z Moskwą.

O tej kolejności celów polityki Piłsudskiego należy pamiętać, gdy się ocenia genezę wypadków 1919 i 1920 roku. Decyzja wyprawy kijowskiej podyktowana była głównie i w pierwszym rządzie koniecznością pobicia czerwonej armii, zanim zdąży ona zreorganizować się po pobiciu białych i w warunkach kiedy inicjatywa strategiczna i wybór momentu do walnej rozprawy będzie w rękach polskich. Dążenie do związania Ukrainy z Rzeczpospolitą, polityka federacyjna Piłsudskiego, odkrywała w tej sprawie rolę niezmiernie ważną, ale nie decydującą. W ostatnich miesiącach 1919 roku i pierwszych 1920 miałem na ten temat szereg rozmów z Komendantem, co dało mi możność dokładnego zorientowania się w jego planach i poglądach na sytuację. Komendant żądał wówczas zarówno ode mnie, jak i od Sztabu Generalnego, stałych i wyczerpujących informacji o stanie rzeczy w Rosji sowieckiej. Niezależnie od informacji dostarczanych przeze mnie i Matuszewskiego miał informacje własne, przyjmował bowiem w Belwederze cały szereg ludzi, przybywających różnymi drogami ze wschodu; bądź polskich działaczy politycznych, znanych mu osobiście, do których zdania i znajomości rzeczy przywiązywał wagę, bądź też Rosjan, Gruzinów i Finlandczyków, przejeżdżających przez Polskę w drodze do stolic zachodnich, gdzie szukać chcieli pomocy dla swych narodów czy to zagrożonych, czy już opanowanych przez agresję bolszewicką.

Komendant interesował się bardzo żywo stosunkami wewnętrznymi i personalnymi wśród nowych władców Rosji. Pamiętam cały szereg wypowiedzi i ocen Komendanta z tego czasu. Interesował się szczególnie osobą Lenina. Trockiego raczej lekceważył, mimo że były to czasy kiedy zarówno w Rosji jak i na całym świecie jednym tchem wymieniano te dwa nazwiska, jako decydujące o tym co się w Rosji działo.

„Trocki — mówił Komendant — jest postacią, do której nie przywiązuję większego znaczenia; jest to bolszewicki odpowiednik Kiereńskiego. Jest to jegomość, który szuka rozwiązania każdej sytuacji przez wygłaszanie przemówień. W tej dziedzinie Lenin nie tylko z nim nie współzawodniczy, ale zostawia mu wolne pole do działania. Z tego wszystkiego co wiem o przebiegu pierwszego roku rewolucji, wydaje mi się że Lenin rozmyślnie spuszczał ze smyczy Trockiego, aby konkurował z Kiereńskim w gadulstwie, a za tą osłoną organizował takie czy inne pociągnięcia, biorąc siłą, krok za krokiem, władzę w swoje ręce. W 1917 roku w Petrogradzie Trocki uważał za swoje główne zadanie odpowiadania wiecom na każdy wiec Kiereńskiego, a na każdą wielką mowę Kiereńskiego jeszcze większą mową. Gdy wszyscy tym byli zajęci, Lenin przy pomocy Antonowa Owsienki zorganizował „kułak” zbrojny, za pomocą którego przepędził Kiereńskiego i jego rząd z Zimowego Pałacu. To samo powtórzyło się gdy wybory do Konstytuanty dały większość postępowej demokracji i socjal-rewolucjonistom. Trocki układał sobie wówczas znowu wspaniałe przemówienia w Konstytuancie i na wiecach, i odbywał niekończące się narady z innymi bolszewikami nad tym jaką zastosować taktykę i jakich używać argumentów. Lenin zaś, nie czekając na wyniki dialektyczne, za pomocą kilku oddziałów z karabinami maszynowymi i kilku baterii Konstytuantę po prostu rozpędził na cztery wiatry.

„Gdy zaś chodzi o przebieg wojny domowej, widzę znowu wszędzie rękę Lenina w tym wszystkim, co dało bolszewikom przewagę. Gdy widzę na fotografiach w prasie francuskiej czy angielskiej postać ministra wojny Trockiego w mundurze, który na nim wręcz komicznie wygląda, myślę chwilami że Lenin pozwolił sobie na jakiś złośliwy żart, dając mu to stanowisko. To na pewno leżałoby w jego charakterze. A równocześnie pozbył się w ten sposób konieczności prowadzenia z nim nieskończonych „pryncypialnych” dyskusji.

„Trocki prowadzi wojnę — a w każdym razie wyobraża sobie, że ją prowadzi, w jedyny dostępny dla siebie sposób: jeździ po całej Rosji specjalnym pociągiem i wygłasza płomienne przemówienia. Ale jestem przekonany, że te inne pociągi, które tym-

czasem dowożą wojskom czerwonym broń, amunicję i żywność, to już nie jego troska. Jestem pewny, że to Lenin przystawił Trockiemu do boku sztab generalny złożony w coraz większej ilości z fachowych generałów i sztabowców z armii carskiej, którzy prowadzą wojnę z prawdziwego zdarzenia. Być może nawet, zarówno Lenin jak i ci generałowie nie szczędzą Trockiemu pochwał za jego wspaniałe mowy i pozwalają mu wierzyć, że zapewniły one takie czy inne zwycięstwo.

„Nie — ciągnął dalej Komendant — gdybym miał pana Trockiego przeciwko sobie, spałbym spokojnie. Wrogiem naprawdę niebezpiecznym jest Lenin. W tym co robi widzę dwie rzeczy najbardziej niepokojące. Pierwsza, że tak szybko zorientował się iż trzeba i można użyć do prowadzenia wojny wyszkolonych zawodowców. Trocki byłby się ich bał jak ognia i nigdy by się na to nie odważył. Drugie, że do opanowania stosunków wewnętrznych wybrał sobie Dzierżyńskiego; jest to bezwzględny fanatyk, który bez wahania pójdzie na krwawy terror, a to rzecz, która jest wobec szerokich mas rosyjskich niewątpliwie skuteczna i skuteczna szybko. Myślę też sobie czasem, że Lenin brał pod uwagę polskie pochodzenie Dzierżyńskiego. Przypuszczam wprowadzić, że Dzierżyński byłby tak samo bezwzględny i bezlitosny wobec mas polskich; ale być może, że i jemu łatwiej jest mordować Moskali, niż gdyby na jego miejscu był Moskał rodowity”.

Kiedyś, przy sposobności innej nocnej rozmowy na tle mel-dowanych mu przeze mnie wiadomości z Rosji, Komendant powiedział mi szereg nieznanych mi zupełnie szczegółów, charakteryzujących indywidualność Lenina: „Zrobilibyście błąd, gdybyście zaszeregowali Lenina jako postać typową dla marksistów rosyjskich. Znać na pewno ten typ ludzi, który niewątpliwie odpowiada ich polskim towarzyszom z dawnej S.D.K.P. i L. oraz lewicy PPS. Znać te typy bez temperamentu, bez fantazji, przypominające tak zwanych kujonów z ławy szkolnej, albo talmudystów żydowskich, z tą tylko różnicą, że Talmudem jest dla nich *Kapitał* Marksa. Nie patrzą na świat i ludzi własnymi oczami, odpowiedzi na każde zagadnienie szukają w Marksie, z którego cytata jest w każdej sprawie decydująca. Dialektyka jest dla nich nie metodą, lecz najwyższą wiedzą i sztuką samą przez się. Najmniejszy drobiazg muszą traktować z *pryncypialno-j toczki zrenia*. Nic dziwnego też, że zarówno w Rosji jak w Polsce nie mogli oni nigdy uzyskać szerszego pośłuchu. Ich tępy materializm nie miał w sobie nic porywającego”.

„Musicie wiedzieć, że Lenin jest indywidualnością *zgoła od-rębną* wśród tego typu ludzi. Przy całym swoim marksistowskim materializmem jest on daleki od stosowania *pryncypialno-j*

toczki zrenia w swej taktyce. Przeciwnie, jest skrajnym oportunistą; uważa że zasadniczy punkt widzenia jest dobry, gdy chodzi o cele główne, ale w drodze do ich osiągnięcia każda droga, każdy kompromis, a nawet każda szacherka — to są rzeczy nie tylko dopuszczalne, lecz i wskazane. Przypisywana jezuitom maksyma, że cel uswiera środki, jest niewątpliwie zasadą działań Lenina. Jest w tym człowieku, który istotnie pochodzi z tatarskiej rodziny, jakaś mongolska przebiegłość i chytryść, która zresztą od wieków była cechą urzędowej polityki rosyjskiej, chociaż nie dawała się zauważyć wśród rosyjskich rewolucjonistów. Znałem wśród nich ludzi, na których słowie zawsze bym polegał, na ich poczuciu rzetelności, powiedziałbym po prostu honoru. Ale nigdy i w niczym nie zawierzyłbym Leninowi. Jest w nim coś z Krzyżaka, tak jak ich nam Sienkiewicz namalował. Nie tylko zawrze każdą umowę, każdy sojusz, jeśli mu choć na pięć minut będzie na rękę, nie tylko złamie go z chwilą, gdy mu na rękę być przestanie, ale jeszcze i partnera oskarży, że to on go perfidnie oszukał”.

„Tak, to jest niebezpieczny człowiek. Jego specyficzną cechą charakterystyczną jest rzecz wręcz sensacyjna dla typu ludzi, do których należał i którym obecnie przewodzi. Wszyscy ci obecni bolszewicy nie tylko nienawidzili wszystkiego co pachniało wojском, militaryzmem, ale i pogardzali tym z całej duszy. Wyobrażacie więc sobie, że Lenin jest wielbicielem starego Clausewitza, że jego dzieło o sztuce wojennej było od lat jego ulubioną lekturą; zrozumiał on najwidoczniej, że wiedza wojenna jest bodajże najstarszą gałęzią wiedzy ludzkiej i olbrzymim magazynem doświadczenia ludzkości w dziedzinie organizacji wszelkiego zbiorowego wysiłku; dostrzegł nie bez racji, że wszelkiego rodzaju walka jest tylko odmianą wojny; że zasady taktyki i strategii, doświadczenie ludzkie w tej dziedzinie, mogą być doskonale rozciągnięte również na zjawiska walki politycznej, włącznie z rewolucją. Choćby na przykład ta zasada, którą wyznaje Lenin — niezłomności w strategii, a jak najdalej posuniętej elastyczności w taktyce — jest właśnie z Clausewitza zaczerpnięta. Jeśli zaś chodzi o politykę i dyplomację, którą Clausewitz uważa za dziedzinę wtórną i pomocniczą w życiu ludzkim (zjawiskiem głównym jest w nim wojna), widzę ogromne pokrewieństwo między starym pruskim wodzem a znakomitym Machiawelem; uczniem ich obu jest Lenin”.

„Mam to wszystko zawsze na uwadze teraz, gdy przypadło mi grać wielką grę z nim jako przeciwnikiem. Próbowałem zbadać i sprawdzić, czego się możemy po nim spodziewać. Na to mi były potrzebne Mikaszewicze, dlatego zaaranżowałem takie

czy inne rozmowy przez moich pewnych ludzi z najbliższymi ludźmi Lenina. I jestem pewny, że rozumiem dobrze zarówno jego zamierzoną taktykę, jak i strategię. Gra z nim nie będzie łatwa nie tylko sama w sobie, i nie tylko u nas będą miał trudności aby znaleźć zrozumienie dlaczego tak a nie inaczej muszę ją prowadzić. Największych trudności boję się na terenie międzynarodowym, gdzie Rosji w ogóle, nie mówiąc już o ludziach takich jak Lenin, nie znają i gdzie nie mogę liczyć na zrozumienie, na wspólny język, jeśli chodzi o sprawy rosyjskie”.

„W Paryżu i w Londynie będą traktowali bolszewików i Lenina tak, jakby to był odpowiednik socjalizmu zachodnio-europejskiego. Będą zatem spodziewali się po nich demokracji. Socjaliści zachodnio-europejscy, poza postulatem upaństwowienia środków produkcji, we wszystkim innym trzymają się podstawowych wskazań demokratycznych: poszanowania praw jednostki, wolności słowa i myśli, ograniczenia do minimum wszelkiego przymusu w życiu społecznym i politycznym. Szukają rozstrzygnięcia zagadnień spornych w głosowaniach, wyborach, w woli większości. I gdyby utrzymała się ta rewolucja, która obaliła carat w Rosji, rewolucja dokonana pod hasłem modernizacji ustroju na wzór zachodnio-europejski — nie byłoby w tym błędu. Ale z chwilą kiedy władzę z niedołączonych rąk kiereńszczyzny wyrwał przemocą dwukrotnie Lenin, będziemy mieli do czynienia w Rosji ze zjawiskiem zupełnie nowym, dotychczas światu nieznanym. Mówię specjalnie o Leninie, nie o bolszewikach w ogóle. Bo ze wszystkiego co wiem o przebiegu pierwszych miesięcy rewolucji, nawet bolszewikom nie śniło się o tym, aby wyrwać władzę z rąk socjalistów innego odcienia i całkowicie zerwać z wszelkimi zasadami demokracji. Byli zdumieni, gdy przysłany przez Ludendorffa Lenin ze swoją ekipą rzucił hasło wyłącznej władzy dla bolszewików i wojny domowej wewnątrz zwycięskiego obozu rewolucyjnego. Początkowo wzruszali ramionami na jego plany i przypisywali je temu, że przybył po długoletniej emigracji i po prostu nie orientuje się w sytuacji i stosunkach. Ja nie dziwię się tak bardzo jak inni temu porozumieniu Ludendorffa z Leninem, obaj bowiem są uczniami Clausewitza; obaj uznają krańcowy oportunizm w taktyce z pełną gotowością odrzucenia współpracy koniunkturalnej, z chwilą gdy osiągnęła swój cel i przestała służyć. Dla Ludendorffa wszystko, co służyło przyspieszeniu zwycięskiego zakończenia wojny, było dobre. Z chwilą gdy rządy nowej Rosji stanęły na stanowisku dotrzymania sojuszu z Zachodem i prowadzenia wojny w dalszym ciągu, Ludendorff chcąc jak najprędszego wycofania się Rosji z walki, spuścić ze smyczy Lenina, który mu dawał gwarancję, że zrobi wszystko

aby Rosję z wojny natychmiast wycofać. Sądził, że osiągnie w ten sposób podstawowy i słuszny postulat strategii niemieckiej: walkę na jednym froncie. A potem, po zlikwidowaniu oporu na zachodzie, zawsze będzie mógł bolszewikom kark skrócić. Z takim samym cynizmem Lenin szedł na przyjęcie każdej pomocy, nawet najczarniejszej reakcji junkerstwa pruskiego, jeśli tylko pomagała mu do osiągnięcia władzy w Rosji. I tak samo nie czuł się w niczym zobowiązany za tę pomoc, co zresztą wykazał już na gruncie niemieckim przez Różę Luxemburg i Karola Liebknechta. Cała ta historia to była po prostu pokerowa rozgrywka, w której obie strony trzymały się tych samych zasad. Nawiasem mówiąc, znacznie bardziej zastanawia mnie inna kwestia. Jako stary rewolucjonista i organizator, wiem doskonale jak szaloną trudnością, nie do przezwyciężenia nieraz, jest brak środków technicznych, a przede wszystkim pieniędzy. Ze wszystkich relacji, które mam z tego co się działo w Rosji dwa lata temu, wynika że Lenin od pierwszej chwili po zjawieniu się w Piotrogradzie działał z taką swobodą, jak gdyby tych trudności nie miał. Zorganizował sobie od razu rozległy aparat organizacyjny; jego ludzie docierali wszędzie, do wszystkich jednostek na froncie, do wszystkich ośrodków na całym terenie imperium. Miał do pełnej i całkowitej dyspozycji tylu ludzi, ilu chciał. A na to wszystko trzeba mieć pieniądze, których nie mógł przecież przywieźć ze swego szwajcarskiego azylu. Skąd je wziął i na jakich warunkach — chociaż to drugie na pewno u niego nie odgrywało roli — próżno staram się dociec. Zresztą, z chwilą gdy doszedł do władzy jest to już tylko historyczna ciekawostka”.

Kiedy indziej, gdy towarzyszyłem Komendantowi w podróży koleją, rozmawialiśmy na tematy z niedawnej przeszłości, wspominając początki ruchu strzeleckiego i pierwsze lata wojny, kończąc na decyzji Komendanta, która spowodowała jego magdeburskie więzienie; wyraziłem podziw dla nieomyślności przewidywań Komendanta. Odpowiedział mi na to, że my młodzi często widzimy coś niezwykłego w tym, co jest po prostu doświadczeniem. Dodał też, że to samo doświadczenie musi uczyć wielkiej ostrożności w pokładaniu pełnej wiary w przewidywania, nawet jeśli się one nie raz jeden sprawdziły.

„Powie Wam dla przykładu, że dojście do władzy w Rosji bolszewików było rzeczą, której nie tylko nie przewidywałem, ale nawet nigdy nie przypuszczałem. Jak wicie, nie miałem żadnej wątpliwości co do tego, że wojna przyniesie klęskę wojenną Rosji, a w ślad za nią rewolucję i upadek caratu. Przypuszczałem jednak, że czołową rolę po zwycięstwie rewolucji odgrywać będą Eserzy. Reprezentowali oni bowiem nowoczesny od-

łam socjalizmu, pokrewny naszemu P.P.S., oraz zachodnio-europejskiemu kierunkowi rewizjonistycznemu, łączącemu zasady socjalizmu z zasadami tradycji wolnościowych i demokratycznych oraz ze zdrowym poczuciem patriotyzmu. Te cechy decydowały, że ich przywództwo będzie do przyjęcia dla niesocjalistycznej części społeczeństwa, dla całej rosyjskiej inteligencji, dla całego obozu postępowego i demokratycznego. Uważałem, że nie mogło być mowy o kierowniczej roli bolszewików wobec ich niewielkiej liczebności — przy zbyt licznym udziale elementu żydowskiego w dodatku, — że ich skrajny materializm, przestarzały dogmatyzm marksistowski, całkowita negacja poczucia narodowego, wojujący stosunek do religii, uczynią niemożliwym oddanie im steru przez nie-socjalistów.

„W pierwszym okresie rewolucji istotnie tak się sprawy ułożyły. Sprawdziły się też moje przewidywania, gdy przyszło do wyborów; bolszewicy weszli do Konstytuanty w niewielkiej liczbie, zaś Eserzy w największej. Po raz drugi Lenin musiał brać władzę siłą, kpiąc sobie z woli większości.

„Dziś zatem stoję wobec całkiem innej rzeczywistości niż ta, z którą się niegdyś liczyłem. W konsekwencji moich przedwojennych przewidywań — trwających jeszcze, gdy szedłem do Magdeburga — liczyłem się z tym, że w chwili zakończenia wojny będziemy mieli stan pewnego bezpieczeństwa od strony niemieckiej, trzymanej w szachu przez zwycięski Zachód; że będziemy musieli jednak szukać porozumienia z Rosją porewolucyjną. Dlatego też, już w roku 1914, poszedłem na ryzyko ujawnienia moich przewidywań i moich planów wobec tych Rosjan, z którymi — jak sądziłem — będziemy mieli do czynienia po wojnie. Chciałem żeby rozumieli oni naszą taktykę w czasie wojny, abyśmy nie mieli odciętej drogi do porozumienia z nimi zaraz po wojnie. Dlatego zdecydowałem się na moje wystąpienie na Kongresie Socjalistycznym w Paryżu, dlatego posłałem Jodkę na bardziej szczegółowe rozmowy z Czernowem, którego uważałem za człowieka rzetelnego, honorowego i dyskretnego. Nie zrażałem się też zbyt tym, że Czernow nie wykazał wówczas zrozumienia dla naszej polityki. Byłem przekonany, że przyjdzie ono później, gdy bieg rzeczy wykaże słuszność moich przewidywań z jednej strony, zaś trafność wybranej przeze mnie taktyki z drugiej. Upatrzyłem sobie Czernowa do tych preliminarzów nie tylko ze względu na jego cechy indywidualne, ale dlatego też, że wierzyłem w kierowniczą rolę po rewolucji jego partii i ludzi tego typu jak on, czy Borys Sawinkow. Ale oto, jak widzicie, mam do czynienia na wschodzie z bolszewikami i Leninem.

„Mówiąc z czysto polskiego punktu widzenia, niespodzianka

ta jest bardzo doniosła i gra niewątpliwie na naszą niekorzyść. Byłem tego pewny z góry i sprawdzałem tylko moją pewność przez Mikaszewicze, że na dojście do rzetelnego porozumienia z Leninem nie można liczyć. Oczywiście nie byłoby łatwe porozumienie z Eserami, jeśli chodzi o rozgraniczenie na wschodzie. Ale nie było to wykluczone. Można było również liczyć na to, że kryzys rewolucyjny w Rosji potrwa znacznie dłużej — mam na myśli jej powrót do pełnej potęgi państwowej — jeśli dojdzie do władzy ustroj parlamentarny i demokratyczny, który przy jej olbrzymiej rozległości i różnorodności narodowościowej przyniesie długotrwałe debaty i rozmaite przesilenia, oraz postawi na porządku dziennym cały szereg zagadnień; wśród nich stosunki z Polską będą może zagadnieniem najdojrzalszym do rozwiązania; z drugiej zaś strony, jeśli wyzyskamy umiejętnie i energicznie czas dla stanięcia mocno na nogach, to Rosja będzie wołała dojsć z nami do porozumienia, aby zyskać sobie wolną rękę dla swobodniejszego rozwiązywania wszystkich innych trudności”.

W jednym z moich raportów meldowałem Komendantowi na podstawie relacji od socjalistów polskich, którym świeżo udało się wyjechać z Rosji, że w Moskwie zarysowują się poważne tarcia i różnice zdań. Że dotyczą one głównie polityki międzynarodowej. Bucharin i Kamieniew reprezentują — wbrew Leninowi i Trockiemu — pogląd, że należy pozbyć się kłopotliwych zagadnień, takich np. jak stosunki z Polską czy z narodami kaukaskimi, aby jak najprędzej osiągnąć pokój i przystąpić do budowy Rosji socjalistycznej. Twierdzą oni, że dalsze trwanie bezładu we wszystkich dziedzinach produkcji, spowodowane rewolucją i wojną domową grozi głodem i niezdolnością zaspokojenia elementarnych potrzeb życiowych, takich choćby jak odzież i obuwie: że dotknie to szczególnie mocno ludność miast i ośrodków przemysłowych, która jest oparciem władzy bolszewickiej. Że wreszcie, nawet przy daleko idących ustępstwach terytorialnych, olbrzymi obszar Rosji będzie wciąż jeszcze wystarczającym terytorium dla stworzenia ustroju socjalistycznego; natomiast wykazanie w praktyce, że rządy socjalistyczne gotowe są rzetelnie wprowadzić w życie swe hasła przywrócenia wolności wszystkim uciemiężonym przez carat narodom wytworzy wśród nich stosunek przychylności i ufności, a w dalszej perspektywie podatny grunt dla propagandy ideologicznej. Moi informatorzy twierdzili, że w masach ludności rosyjskiej widoczne jest zmęczenie ostatnimi latami chaosu i anarchii, niesłychanych trudności aprowizacyjnych i opałowych, niepewności dnia ani godziny; że zatem ten kierunek może znaleźć powszechny oddźwięk.

„Nie wiercie w to, powiedział Komendant. To co myślą i

czego sobie życzą masy, lub tak zwana opinia publiczna, mogło mieć znaczenie za czasów Kiereńskiego; a następnie, gdyby się utrzymała Konstytuanta wraz z rządami koalicji socjalistyczno-demokratycznej. Wierzcie mi, że Lenin dba o to tyle, co o zeszłoroczny śnieg. Gdy napotka na trudności, czy opozycję wewnętrzną, będzie to załatwiał przez Dzierżyńskiego i Czerezwyczajkę, a nie przez przemówienia i głosowania”.

Wyraziłem ze swej strony przypuszczenie, że w razie pokoju, przy definitywnej likwidacji wojny domowej, ustaną chyba rządy terroru, usprawiedliwione przez rewolucję i stan wojenny; a wtedy dojdzie chyba przecież do tego, że opinia publiczna i jakiś system reprezentacji parlamentarnej będą miały głos i znaczenie.

„Nie spodziewam się tego i nie liczę na to — odpowiedział Komendant. — System organizacyjny Lenina i jego metody pracy nie są czymś związanym tylko z wojną i rewolucją. Trzeba Wam wiedzieć, że już na wiele lat przedtem, gdy tylko Lenin objął kierownicze stanowisko wśród bolszewików, wprowadził on zupełnie specyficzne metody działania, krańcowo odmienne od stosowanych przez wszystkie inne grupy socjalistyczne czy postępowe zarówno w Rosji, jak i na całym świecie. Zerwał całkowicie z zasadami roboty od dołu. Normalnie we wszystkich tego typu organizacjach wszystko zaczyna się od dyskusji i wyborów w najniższych komórkach organizacyjnych. Lokalne grupy, partyjne w państwach demokratycznych, czy też konspiracyjne kółka i komórki w Rosji, dyskutowały zagadnienia programowe czy taktyczne i wysyłały na zjazdy partyjne i organizacyjne swoich delegatów z wiążącymi instrukcjami; zjazdy delegatów wyłaniały następnie naczelne władze partyjne i uchwały obowiązujące dla nich wytyczne. Wszystko szło zatem od dołu i miało odzwierciedlać to co nazywamy prądem opinii publicznej. Lenin wprowadził w partii bolszewickiej co innego, tak zwany przezeń „aparatus”. Obsadzał wszystkie ośrodki przez ludzi przysłanych z góry, a jeśli miejscowych, to starannie przez siebie wybranych, których posłuchu był pewien. Z góry, z centrali partyjnej, szły wskazówki i instrukcje, do których dół partyjny musiał się dostosowywać. Wbrew tradycjom pierwocin ruchu socjalistycznego, Lenin wprowadził zasady dyscypliny i dyktatu z góry, zamiast z dołu. Jeśli trzymał się tej metody nawet w konspiracji, nawet wtedy kiedy nie miał żadnej egzekutywy, to nie sędzę, aby się jej wyrzekł teraz, gdy ma w ręku władzę, groźną egzekutywę, i gdy aparat partyjny jest zależny od jego woli również i materialnie. Lenin jest typem dyktatorialnym; przekonany jestem, że nigdy mu się nie śniło, ani nie śni, przywiązywać wagę do tego co sobie jego dół partyjny myśla i wyobrażał. Nie wnikać w to, czy to

źle czy dobrze. Być może, jest to system, który nie miałby żadnych widoków powodzenia w Europie Zachodniej. Ale możliwe też, że jest w stosunku do mas rosyjskich najskuteczniejszy.

„Muszę się liczyć z tym, że przy tym systemie Rosja może powrócić do groźnej siły znacznie prędzej, niż się ktokolwiek spodziewał. W tym co mi powtarzacie, w tym całym liczeniu na dojście do głosu w Rosji opinii publicznej, która będzie chciała pokoju za wszelką cenę i zadowoli się urządzeniem i odbudową swego życia wewnętrznego — widzę zjawisko, które mnie niepokoi. Może pod wpływem tych samych relacji, o których mi meldowaliście, przychodzili już do mnie pewni starzy towarzysze, oczywiście Galicjanie, którzy nie znają Rosji ani stosunków rosyjskich tak jak ja, z tymi samymi nadziejami na pokojowość i uступliwość Rosji bolszewickiej. Wydaje im się to naturalne i zrozumiałe. Powołują się na deklarację praw narodów Rosji, podpisaną przez towarzysza Lenina i towarzysza Stalina w listopadzie 1917 roku. Zachwyca ich to, że deklaracja ta jest bezkompromisowa, że przyznaje nierosyjskim narodom prawo do całkowitego wyodrębnienia się i utworzenia samodzielnych państw. Ale nie wiedzą, że deklaracja ta jest poprzedzona i z góry wyinterpretowana dialektycznie przez uchwałę konferencji partii bolszewickiej, która uzależnia wykonanie tego prawa narodów od jego „celowości”; zaś decyzję co do owej celowości pozostawia „partia proletariatu” do swego własnego uznania, z punktu widzenia interesów klasowej walki proletariatu o socjalizm.

„Słowa 'partia proletariatu' oznaczają, jak doskonale wiemy, rosyjską partię bolszewicką — jedynie i wyłącznie. I oto macie całą wspaniałą deklarację o wolności narodów, przekreśloną od pierwszego do ostatniego słowa. Panowie Polacy czy Gruzini, Łotyśze czy Ukraińcy, możecie sobie wybierać wolność i niepodległość, ale tylko pod warunkiem, że my partia bolszewicka uznamy to za zgodne z interesami rewolucji światowej. Przepustkę do niepodległości muszą ostemplować panowie Lenin i Trocki czy Dżugaszwili. Może sobie ktoś wyobrażać, że taką przepustkę od nich kiedykolwiek otrzyma, ale ja na nią czekać nie będę, tak samo jak na łaskawą zgodę Konstytuanty wszechrosyjskiej, do której nas odsyłał pan Denikin.

„Wiedząc z kim mam do czynienia, wiem też czego mogę w najbliższej przyszłości oczekiwać. To prawda, że w tej chwili jest głód, nędza i bałagan w Rosji. Że leżą odłogiem najurodzajniejsze pola Ukrainy, że większość fabryk Petrogradu, Moskwy i Niżnego Nowgorodu jeszcze nie dymi. Toteż nie zdziwię się jeśli Lenin będzie w najbliższym czasie bardzo pokojowy. Ba,

nawet hojny jeśli chodzi o granice terytorialne. Gotów jest częstować nas może nawet Mińskiem i Kamieńcem Podolskim. Ale wiem też dobrze co w języku rosyjskim znaczy słowo *piere-dyszka*. I — zdaniem moim — tylko tego Lenin szuka, bo w tej chwili jeszcze próby sił z nami się obawia. Potrzeba mu może nawet kilku lat na to, aby do tej próby bez ryzyka przystąpić. Chciałby nas zdemobilizować, nie tylko w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale i psychicznie. Nie dziwię się, że na to liczy, bo i ja się tego obawiam”.

Rejestrując nieuniknione konsekwencje niespodzianki, jaką w toku rewolucji rosyjskiej było opanowanie władzy przez bolszewików, Komendant uważał, że jest to szczególnie niefortunne dla nas ponieważ może znacznie skrócić czas odbudowy organizmu państwowego, zwłaszcza siły zbrojnej Rosji.

„Bolszewicy będą oczywiście wierni jednemu z najbardziej dziwacznych i wątpliwych dogmatów Marksa — o dyktaturze proletariatu. Lenin (mówił Komendant) niezależnie od tego czy sam w ten dogmat wierzy czy nie, będzie go stosował choćby dlatego, że jest dla niego niezmiernie dogodny taktycznie. Jeżeli dodamy do „dyktatury proletariatu” fakt, że partia bolszewicka jest w przeciwieństwie do wszystkich innych partii socjalistycznych kierowana od góry, i że ta metoda w dodatku wykazała się w ciągu lat ostatnich kapitalnymi sukcesami — musimy sobie powiedzieć bez złudzeń, że mamy i mieć będziemy w przyszłości do czynienia w Rosji po prostu z dyktaturą personalną. Z dyktaturą Lenina.

„Nie ulega zaś kwestii, jeśli chodzi o wyjście z bezładu i anarchii, że jest to metoda zdolna dać najszybsze wyniki w czasie. Gdy rozważałem jeszcze w Magdeburgu sytuację, z jaką będziemy mieli do czynienia w Rosji po zakończeniu wojny, wyobrażałem sobie tam, w takim czy innym układzie, rządy parlamentarne. Co oznaczałoby dużo przewlekłych rozpraw, walk pomiędzy poszczególnymi grupami, tarć i rozłamów wewnętrznych wśród tych grup, opieszałość w pobieraniu decyzji. Rosjanie — w szczególności lewica rosyjska, którą tak dobrze znam — lubują się w reторыce i w niekończących się dyskusjach. Spodziewałem się też, że to nam da spory szmat czasu, aby postawić nasze państwo mocno na nogach, bez konieczności natychmiastowej próby sił z Rosją. Liczyłem też na inną jeszcze cechę lewicy rosyjskiej. Na jej tendencję do otwartości i do rzetelności w podejmowaniu i wypełnianiu zobowiązań. Dyplomacja carska nie różniła się wprawdzie od dyplomacji innych rządów, jeśli chodzi o giętkość i elastyczność taktyki. Górowała może nawet nad innymi przebiegłością i chytrością. Ale pierwsze rządy rewolucyjne rosyjskie

wykazały właśnie te cechy, o których mówię. Postanowiły dotrzymać układów z państwami zachodnimi, uważały to sobie za punkt honoru. Lenin wyzyskał to i sądzę, że rzucenie hasła natychmiastowego zaprzestania wojny z Niemcami, zawarcia odrębnego pokoju i demobilizacji, przyczyniło się walcie do usunięcia przez niego gruntu pod nogami rządu tymczasowego. Oczywiście Lenin robił to nie dlatego, że po to go Lundendorff do Rosji wypuścił, ale dlatego że to była dlań droga do władzy.

„Krótko mówiąc, mamy od wschodniej strony sytuację odmienną i znacznie gorszą, niż sobie wyobrażałem. W warunkach dyktatury czas będzie grał na korzyść Lenina, a nie naszą. Nie możemy też liczyć na żadne układy, bo Lenin uważa że żadne zobowiązania wymuszone na dyktaturze proletariatu przez świat kapitalistyczny nie wiążą go moralnie i są tylko grą taktyczną. Jeśli zaś chodzi o słynną deklarację, dającą ujarzmionym przez carat narodom prawo do niepodległości i oderwania się — son-dażę, które przeprowadziłem w czasie rozmów mikaszewickich nie pozostawiły mi żadnej wątpliwości, że jest to fałszywa gra ze strony Lenina, obliczona na to że w momentach dla siebie dogodnych będzie on kolejno „w interesie światowego proletariatu” likwidował poszczególne odrębności narodowe i — najłatwiej tam, gdzie demokracja i lewica dojdą do władzy — będzie im te rządy wyrывał z rąk, tak samo łatwo i tak samo niewielkimi siłami jak Kiereńskiemu.

„Ten cały obrachunek doprowadził mnie do pewności, że mamy niewiele czasu — sądzę że nie więcej niż rok, lub najwyżej półtora — kiedy jeszcze przewaga będzie po naszej stronie. I tylko w tym czasie ryzyko rozprawy będzie miało szanse dla nas. I to ryzyko podjąć musimy.

„W ciągu najbliższych miesięcy Lenin likwidować będzie resztki oporu „białych”. Sporo czasu zajmie mu jeszcze likwidacja rozmaitych „zielonych”. Dalej — doprowadzenie zanarchizowanych obszarów do elementarnej choćby produkcji. Będzie jeszcze musiał trzymać ogromne siły, rozproszone na całej przestrzeni Rosji, dla utrzymania ładu i porządku, nawet przy najbardziej drakońskich metodach. Doprowadzenie do ładu i reorganizacja jego czerwonej armii będzie też nie łatwym zadaniem.

„W ciągu tego czasu nasze siły z całą pewnością będą rosły jakościowo. Najgorsze miesiące mamy już za sobą. Nasi ochotnicy peowiacy i rekruci z pierwszego poboru dokonali niepospolitych rzeczy, boć przecież powiedzmy sobie otwarcie, to wojsko z radością chwyciło do ręki karabin, ale nie umiało z niego strzelać. Pod tym względem każdy tydzień przynosi ogromną poprawę

i za kilka miesięcy będę miał do dyspozycji do miliona żołnierzy, umiejących nie tylko strzelać, ale i trafiać.

„Według wszelkiego prawdopodobieństwa jednak Lenin rozumie ten stan rzeczy tak samo jak ja. Będzie też chciał za wszelką cenę uchylić się od przedwczesnej dla niego rozprawy. Będzie liczył i na to, że ja będę w moich decyzjach skrzepowany wewnętrznie; będzie na pewno robił wszystko, aby nas pozbawić pomocy z zewnątrz. Ale tu może się przeliczyć. Największą moją troską obecnie jest to, w jaki sposób doprowadzić go do przyjęcia walnej rozprawy, zanim będzie do niej gotów. Że będzie chciał — zarówno on jak i jego sztab generalny — stosować strategię Kutuzowa, to pewne. Jest też w sytuacji o tyle lepszej niż Kutuzow, że nie będzie mu przeszkadzała presja cara, jego otoczenia i patriotycznej opinii publicznej, która zmusiła Kutuzowa do przyjęcia bitwy pod Borodinem, co omaal nie zapewniło tryumfu Napoleonowi. Wydaje mi się jednak, że wypenetrowałem już to bolesne miejsce, które trzeba nacisnąć by doprowadzić Lenina do przyjęcia rozgrywki”.

Pod koniec tej rozmowy zdobyłem się na śmiałość ostrożnego zakwestionowania poglądów Komendanta, że czas zacznie niedługo grać na rzecz bolszewików. Rządy zachodnie muszą się chyba już orientować, że o zwycięstwie białych i odrestaurowaniu imperium rosyjskiego nie ma już mowy i że związana z tym niechęć dawania nam wydatnej pomocy oraz polityka trzymania nas za poły na wschodzie, powinny ustać; że dalej rządy zachodnie nie tylko nie będą się poczuwać do jakiegokolwiek lojalności wobec Rosji bolszewickiej, lecz przeciwnie, widzą już chyba zagrożenie jakim stać się może dla ich ustrojów odrestaurowanie potęgi rosyjskiej pod sztandarem rewolucji światowej. Wreszcie, że to właśnie co Komendant mówił: dyktatorialny i terrorystyczny charakter nowych rządów rosyjskich, musi wywołać niechęć do nich ze strony tak silnych i wpływowych na Zachodzie sfer liberalnych i demokratycznych.

Komendant słuchał moich nieśmiałych zastrzeżeń z wyraźną niecierpliwością. Odpowiedział mi krótko, że patrzy na rzeczy z punktu widzenia tej znajomości spraw rosyjskich, która na Zachodzie nie istnieje. A w dodatku, z psychologicznym nastawieniem niechęci i nieufności do Rosji, podczas gdy na Zachodzie trzeba się liczyć z nastawieniem wręcz przeciwnym. Zwrócił mi uwagę na to, że prawdopodobnie nie mam czasu ani możliwości zapoznania się z raportami naszych placówek zagranicznych, a nawet z prasą krajów zachodnich.

„To jest prawda, że jeśli chodzi o rządy francuski i angielski, to już od szeregu miesięcy jest znaczna poprawa w stosunku

do nas ze strony Francji, a ostatnio nawet zwrot na lepsze u Lloyd George'a. Ale wszystko to jest spowodowane całkiem innymi względami, niż te o których mówicie. Zwrot francuski jest raczej skutkiem polityki brytyjskiej, jej wyraźnej odmowy angażowania się na przyszłość w jakiekolwiek zobowiązania do obrony Francji, jej zabiegania o względy Niemiec i tendencji do stworzenia równowagi na kontynencie z rolą arbitra dla Anglii. Obawa hegemonii francuskiej na kontynencie zadominowała w polityce Lloyd George'a. Jeśli więc Clemenceau nam ostatnio pomagał, to raczej na złość Anglii, a nie dlatego aby rozumiał niebezpieczeństwo rosyjskie.

„Lloyd George spojrzał na nas innymi oczami po pierwsze dlatego, że już wykazaliśmy się jako jedyna siła lądowa na wschód od Niemiec, a po drugie dlatego, że дума brytyjska jest chwilowo urażona fiaskiem interwencji na gruncie rosyjskim. Nie bardzo wierzę w trwałość tej zmiany. Co do Stanów Zjednoczonych, to nie ulega żadnej kwestii że polityka Wilsona przegrała na jego własnym gruncie, i że dominuje tam w tej chwili tendencja odwrócenia się plecami do spraw europejskich. Co gorsza, w szeregu wypadków ostatnio Stany Zjednoczone w Radzie Najwyższej broniły zasady nienaruszalności dawnego imperium rosyjskiego wbrew nam, nawet wtedy kiedy Clemenceau i Lloyd George gotowi byli tego poniechać.

„Ale największy błąd popełniacie wtedy, kiedy liczycie na zwrot antyrosyjski w opinii socjalistów, demokratów i wszelkiego rodzaju liberałów zachodnio-europejskich. Minęły czasy Marksa i Wiosny Ludów, kiedy mogliśmy liczyć na ideowe i słowne przy najmniej poparcie naszych interesów przeciwko Rosji carskiej. Dziś jest to w ich oczach Rosja rewolucyjna. Coraz wyraźniej zarysowuje się w tych sferach tendencja traktowania nas jako bastionu, czy nawet awangardy, reakcji przeciwko „postępowi” reprezentowanemu przez Moskwę.

„Przed kilkoma dniami otrzymałem list od jakiegoś profesora angielskiego, na pozór ogromnie sympatyzującego z odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Wyraża on niesłychane zadowolenie z powodu zerwania przez nową Rosję z dwuznacznym i warunkowym stosunkiem prawicy rosyjskiej do przywrócenia wolności ujarzmionym narodom, i chwali kroki Lenina, unieważniające traktaty rozbiorowe i uznające prawo każdego narodu do oderwania się od Rosji. Bo propaganda bolszewicka rozgłasza to wszystko niezmiernie szeroko, nie wspominając oczywiście ani słówkiem o poprzedniej uchwale zjazdu partyjnego, uzależniającej owe prawo do oderwania się od akceptacji rosyjskiej partii bolszewickiej. Mam ochotę odpisać temu profesorowi, cytując

pewną starą anegdotę. Mianowicie pewien szlachcic pożyczył pieniądze od swego pachciarza, który nie umiał czytać i wydał mu skrypt dłużny, własnoręcznie napisany i podpisany. Gdy Żyd nie mógł się potem doczekać spłaty długu i poszedł z owym skryptem do reagenta, okazało się że szlachcic napisał: „Jak będę chciał, jak mi Pan Bóg dopomoże, to ci oddam, nieboże”. Bo przecież deklaracja Lenina w zestawieniu z uchwałą partii, że to ona zadecyduje kiedy i w jakich warunkach będzie leżało w interesie proletariatu zwrócenie niepodległości ujarzmionym narodom, wychodzi dokładnie na to samo, co ten szlachecki rewers. Zaś szlachetny profesor wyraża nadzieję, że wobec tak wspaniałego postawienia sprawy przez Lenina otwiera się nowa era w stosunkach polsko-rosyjskich, i przestrzega mnie bardzo stanowczo, abym broń Boże nie zmarnował tego doniosłego momentu przez mściwość w stosunku do Rosji, abym jej nie przeszkadzał w budowie tego epokowego eksperymentu dla ludzkości, jakim może się stać ustrój państwowy oparty na zasadach sprawiedliwości społecznej i wolności.

„Oto macie przykład z czym możemy mieć do czynienia, jeżeli chodzi o opinię publiczną na Zachodzie. Powtarzają się też z naszych placówek zagranicznych, szczególnie z Anglii, pogłoski według mnie prawdopodobne, że napływają tam poważne sumy w złocie i kosztownościach dla wzmocnienia propagandy bolszewickiej. To jest swego rodzaju zachodzenie nas od tyłu przez Lenina, który dobrze wie że pomoc od mocarstw zachodnich jest nam niezbędnie potrzebna.

„Moja dotychczasowa taktyka faktów dokonanych na wchodzie okazała się o tyle skuteczna, że stoimy dzisiaj mocno w Wilnie i we Lwowie, na Płycy, Styrze i Zbruczu, o czym by mowy nie było, gdybyśmy czekali na pozwolenie Paryża, Londynu czy Waszyngtonu. Mimo wszelkich zakazów i gróźb, nie tylko nie spowodowało to żadnych przeciwko nam sankcji karnych, czego się nasza prawica tak bardzo obawiała, ale stosunek rządów zachodnich do nas jest dziś na pewno bez porównania lepszy niż rok temu. Gdybyśmy polegali tylko na naszych prawach i czekali na ich uznanie, być może czekaliibyśmy dotychczas na Bugu i Sanie. Ale udało nam się poza prawem wykazać i siłę, i jak zwykle te dwie rzeczy razem dopiero grają. Nie zamykam oczu na to, że na zmianę stosunku do nas wpłynęły i inne rzeczy. Francja jest zagniewana na Anglię za *désengagement* Lloyd George'a w stosunku do niej, i dlatego przychodzi nam z pomocą. Angielska pycha została mocno urażona fiaskiem interwencji w Rosji, oraz nadziei pokładanych w Denikinie. Nie mogę jednak w żaden sposób posuwać się za daleko w polityce faktów doko-

nanych, polegając tylko na naszej słuszności i dobrych prawach. Muszę szukać zrozumienia na Zachodzie, skoro potrzebuję stamtąd pomocy. I dlatego ten drugi front, stworzony przez Lenina od zachodu, poważnie mnie niepokoi. Rok temu grały przeciwko nam elementy prawicowe, wierzące w restaurację starej Rosji i nie chcące się jej narażać dla Polski. Dziś uspokoiły się one wobec klęski białych, natomiast zacznie grać przeciwko nam lewica, socjaliści i liberałowie wszystkich odcieni, co jest w Anglii szczególnie niebezpieczne”.

Bogusław MIEDZIŃSKI

(Z papierów pośmiertnych Bogusława Miedzińskiego)

V. SLIOGERIS

TAJNE ROKOWANIA POLSKO-LITEWSKIE

W litewsko-kanadyjskim tygodniku *Teviskės Žiburiai*, z dnia 12 września 1974 r. znajdujemy artykuł płk. V. Sliogerisa pt.: „*Polacy, Ultimatum, Kulisy*”.

Uwagi ogólne. Czynione są zarzuty prezydentowi A. Smetonie, ówczesnemu rządowi, jak też generalicji, czemu zostało przyjęte polskie ultimatum. Chcę tu wyjaśnić dlaczego te zarzuty są bezpodstawne. Po pierwsze wielu rodaków nie wiedziało wówczas — i dzisiaj nie wie — o prowadzonych przez nasz rząd, w latach 1935-1937 rozmowach z Polską w sprawie nawiązania normalnych stosunków.

Mnie wypadło w owym czasie pełnienie obowiązków osobistego adiutanta prezydenta Smetony, a również i prywatnego sekretarza. Więc, też chociaż rokowania były bardzo tajne, jednak wiedziałem o podróżach naszych wysłanników do Warszawy i do innych miejsc spotkania, jak też o niektórych polskich ofertach, przywiezionych przez tych wysłanników.

Krótko mówiąc była mi częściowo znana ta zakulisowa działalność. Póki jeszcze żyję chcę zostawić swoje wspomnienia, gdyż o tych rokowaniach z Polakami bardzo mało dotychczas w prasie pisano. Niewiele osób o tych rokowaniach wiedziało, ale i ci milczą.

Sytuacja polityczna. Starsze pokolenie pamięta, że cały okres niepodległości dominowała w naszej polityce zagranicznej sprawa stosunków z Polską. Przede wszystkim dlatego, że przez cały czas Polska — udzielając Litwie pewnej autonomii — chciała włączyć ją do Rzeczypospolitej Polskiej, tak jak to było przed ostatnim rozbiorem w roku 1795. Poza tym pamiętano o zdradzieckim zagrabieniu Wilna i Wileńszczyzny, w październiku roku 1920. Nasi przywódcy zwłaszcza A. Smetona — obawiali

się wpływu polskiej kultury, i dlatego zwlekali z nawiązaniem z Polską normalnych stosunków, dopóki w Litwie nie wytworzy się liczniejsza warstwa litewskiej inteligencji. Litwa miała normalne stosunki dyplomatyczne, gospodarcze i kulturalne ze wszystkimi państwami europejskimi. Jedynie z Polską stosunki były złe, niekiedy naprężone. Nas dzieliła, nie granica, lecz linia demarkacyjna, zamknięta dla ruchu. Litwa nie miała prawdziwych sojuszników, chociaż najbardziej opierała się o Związek Sowiecki, a w sporze z Polską o Niemcy. O sojuszu wojskowym państw bałtyckich dużo mówiono, lecz mało pisano, i jeszcze mniej czyniono w praktyce. Bowiem Łotwa i Estonia nie decydowały się na taki sojusz z Litwą, póki sprawa sporu polsko-litewskiego nie została załatwiona.

W latach 1931-1933, gdy w Niemczech doszedł do władzy Hitler, stosunki nasze z Rzeszą bardzo się pogorszyły z racji działalności partii nazistowskiej w kraju kłajpedzkim. Wówczas stało się jasne dla kierowników naszej polityki zagranicznej, że Litwa nie może mieć jako wrogów obu sąsiadujących z nią wielkich państw. Trzeba było szukać sposobu naprawienia stosunków. Zwolennikami naprawy stosunków z Polską byli: minister spraw zagranicznych S. Łozoraitis, nasi posłowie w stolicach zachodnich państw, oraz dowództwo sił zbrojnych. Anglia i Francja za pośrednictwem naszych posłów też udzielały zachęty. Prezydent Smetona najpierw jakby się wahał, lecz wobec sytuacji politycznej w Europie, zgodził się na prowadzenie tajnych rozmów, których możliwe rezultaty nie były wówczas znane. Zaczęły się więc rokowania pod osobistą kontrolą A. Smetony.

Tajne rokowania. Rozmowy trwały prawie trzy lata. Poważniejszy obrót przyjęły we wrześniu 1935 roku, gdy nasz minister spraw zagranicznych spotkał się w Genewie z polskim ministrem spraw zagranicznych J. Beckiem. Nie wiem jak do tego spotkania doszło. Prawdopodobnie zostało przedwstępnie omówione na niższym szczeblu.

Rozmowy z Polakami prowadzili wysłannicy cieszący się szczególnie wielkim zaufaniem prez. Smetony i referowali wyniki ministrowi spraw zagranicznych Łozoraitisowi, premierowi J. Tubelisowi i prez. Smetonie. Takimi ważniejszymi wysłannikami byli: min. dr J. Saulis, sygnatariusz aktu niepodległości, dyplomata, b. poseł w Niemczech, Szwajcarii, Watykanie i w Polsce; ks. Vl. Mironas, b. premier, jeden z najbardziej zaufanych doradców prez. Smetony; Martynas Ycas, prawnik, były poseł do rosyjskiej Dumy w czasie I wojny, b. minister finansów, znający jeszcze z rosyjskich czasów wielu polskich członków Dumy i wybitnych działaczy. Byli też i drugorzędni wysłannicy, jak Dona-

tas Malinauskas, sygnatariusz aktu niepodległości; agr. K. Narutavicius, syn St. Narutaviciusa, sygnatariusza aktu niepodległości, i inni.

Polskie propozycje. Najciekawsze i być może najpomysłniejsze wyniki rozmów przywiózł M. Ycas. Słyszałem jego relacje na własne uszy, gdy czekając na audiencję u prezydenta siedział u mnie w gabinecie. Jako staremu znajomemu jeszcze z petersburskich czasów, opowiedział mi on treść polskich propozycji. Były one następujące: Polska nie zgadza się zwrócić nam Wilno, lecz zgadza się zwrócić 12 gmin koło Puńska-Sejn i w rejonie Świecian — ogółem około 120 tysięcy mieszkańców. Poza tym obiecuje zezwolić Litwinom pozostałym na Wileńszczyźnie na działalność kulturalną.

Zdaniem Ycasa były to bardzo dobre warunki i należało je przyjąć. Po rozmowie z prezydentem znów wrócił do mnie. Siadłszy zaczął z podnieceniem i irytacją opowiadać, że niestety A. Smetona nie zgadza się na polskie warunki. Zdaniem Ycasa Smetona bał się dać zgodę, bo gdyby się zgodził oficerowie by zrobili powstanie i usunęli go z urzędu prezydenta. Ycas próbował przekonywać, że Smetona, jako Wódz Narodu może dać swą zgodę. Całe społeczeństwo go usłucha, gdyż w istniejących warunkach propozycja nadaje się do przyjęcia. Argumentacja Ycasa nie poskutkowała i A. Smetona jeszcze raz oświadczył, że nie może się zgodzić. M. Ycas spytał mnie, czy moim zdaniem oficerowie zorganizowaliby przewrót? O ile pamiętam, powiedziałem, że oficerowie wyższych stopni na pewno by rewolucji nie robili, lecz z poruczników, kapitanów i poniektórych majorów może powstałaby rewolucyjna grupa. O tej polskiej propozycji zwrotu 12 gmin za nawiązanie stosunków nigdzie potem nie zdarzyło mi się czytać.

Rozmowy z Polakami trwały prawie do samego ultimatum, to jest do dnia 17 marca 1938. Mówi się, że Polacy nie doczekawszy w styczniu-lutym 1938 roku naszych przedstawicieli dla ostatecznego porozumienia, zdecydowali rzecz „przyśpieszyć”. Litewscy przedstawiciele, rzekomo, nie przybyli dlatego, że w owym czasie zachorował premier J. Tubelis. Nie znam kulisów tych dwóch ostatnich miesięcy, gdyż zostałem wówczas przeniesiony służbowo do ministerstwa obrony. Mam z tego okresu tylko okrucy wiadomości, jak też informacje później ogłoszone w prasie. Było tam podane, że na kilka tygodni przed ultimatum min. J. Beck — w czasie spotkania z Hitlerem w Berchtesgaden — poruszył sprawę Litwy. Rzekomo J. Beck nie uzyskał od Hitlera zapewnienia, że w wypadku wojny polsko-litewskiej Niemcy zachowają neutralność. Hitler nie poparł projektu Becka

podzielenia Litwy pomiędzy Polskę a Niemcy. Prawdopodobnie Hitler szykował się by wkrótce samemu zająć Litwę.

Są podstawy do twierdzenia, że A. Smetona — pod nieobecność Tubelisa — zwlekał, nie decydował się by samemu rozstrzygnąć i informować społeczeństwo o od dawna prowadzonych rozmowach z Polakami i o ewentualnych warunkach porozumienia. Doszedłem do tego przekonania znając dobrze usposobienie A. Smetony, oraz znaczenie opinii Tubelisa w wypadkach pobierania doniosłych decyzji.

Z informacji ogłoszonych po wojnie widać, że Polacy dobrze wiedzieli o naszej chęci nawiązania normalnych stosunków. Oni sami mieli już dosyć przewlekania i niezdecydowania naszego kierownictwa. Możliwe, że gdy Beck nie otrzymał od Hitlera obietnicy nie wtrącania się — zreagował ultimatum względnie łagodniejsze. Jak ultimatum zostało przyjęte nie opisuję szczegółowo, gdyż uczynili to gen. Rastikis i inni. Czytelnik może zapytać, czy po otrzymaniu ultimatum nasze siły zbrojne szykowały się do odparcia ataku.

Zachowanie się armii. Byłem naówczas inspektorem gospodarczym armii a więc urzędnikiem Ministerstwa Obrony kraju. Muszę stwierdzić, że z naszej strony nie czyniono żadnych wojskowych przygotowań. Nie było powołania rezerwistów, ani częściowej mobilizacji. Oddziały wojskowe były jedynie uprzedzone o możliwych wypadkach. Nie przygotowywaliśmy się do wojny, chociaż było wiadomo o koncentrowaniu dwóch polskich dywizji na zachód od Wilna, koło Landwarowa. Jeszcze jedna dywizja była przerzucona z głębi Polski na Wileńszczyznę. Poza tym Polacy mieli dwie dywizje piechoty w okręgu Suwałki-Grodno. A więc i Polacy nie gromadzili większych sił. Z ich rozmiaru wyglądało, że Polacy nie szykowali się do napadu. Wydaje się, że Polacy tylko demonstrowali, chcąc zastraszyć nasz rząd. Gdyby Polacy myśleli poważnie o napadzie, to by zgromadzili co najmniej 10 dywizji piechoty i kawalerii wraz z pomocniczymi formacjami. Po wybuchu wojny nasza armia wzrosłaby ze stanu pokojowego (25 tys.) do siły 125 tysięcy żołnierzy. Z równowagi sił wydaje się, że gdyby Litwa odrzuciła ultimatum — Polska by nie zaatakowała.

W wypadku polskiej napaści Litwa by się broniła dzielnie, lecz samotnie. Niemcy nie tylko by nie pomogli, ale napadliby z zachodu. Obaj napastnicy by się Litwą podzielili. Przyjawszy ultimatum przedłużyliśmy istnienie państwa jeszcze o dwa lata.

Gdzie przepadły obiecane gminy? Sądzę, że uprzednio przekazana Ycasowi obietnica zwrotu 12 gmin była prawdziwa. W polskim ultimatum o tej obietnicy nie było wzmianki. Przy-

jąwszy ultimatum nawiązaliśmy normalne stosunki i nic w zmian nie dostaliśmy. Jest to jeszcze sprawa nie wyjaśniona, dlaczego tak się stało. Wielu naszych wysłanników prowadzących rozmowy z Polakami już zmarło i nic w tej sprawie nie napisali. Pozostali jeszcze przy życiu, zwłaszcza, urzędnicy ministerstwa spraw zagranicznych, milczą. Może jakiś polski naukowiec pogrzebie w archiwach ministerstwa spraw zagranicznych i kiedyś odkryje tę tajemnicę. Słaba nadzieja, aby nasi jeszcze żyjący tę tajemnicę ujawnili. Można tylko zgadywać, że Polacy po niepowodzeniu osiągnięcia porozumienia normalną drogą, skorzystali z okazji, gdyż drogą ultimatum uzyskali nawiązanie stosunków i nic obiecanego uprzednio nie dali”.

V. SLIOGERIS

(Podał i przełożył E. ŻAGIELL)

E. ŻAGIELL

KRONIKA LITEWSKA

*Polacy o niepodległej Litwie**

Polski Instytut Literacki w Paryżu wydaje prace historyczne w serii *Zeszyty Historyczne*. Numer 22-gi z 1972 roku przynosi obszerny artykuł o okresie niepodległości Litwy, napisany przez E. Żagiella. Podaje on fakty znane wszystkim mieszkańcom niepodległej Litwy.

Demarkacyjną linię oddzielającą Litwę od ziem pod polskim zarządem (władaniem) autor nazywa „Kurtyną nienawiści”. Polskie zakusy odnowienia stosunków z Litwą nie miały w litewskich masach poparcia, z wyjątkiem mniejszości, których było 10 %. Bezrolni i małorolni obawiali się polskich „panów” mogących przeszkodzić parcelacji dworów. Zamożni gospodarze, spośród których powstała nowa inteligencja obawiali się konkurencji polskiej inteligencji, która była bardziej wyrobiona i wykształcona. Mówiąc o przyłączeniu Kłajpedy do Litwy, autor zauważa, że alianci oddali Litwie Kłajpedę jako kompensatę za Wileńszczyznę przydzieloną Polsce. Omawiając polskie ultimatum E. Żagiell twierdzi, że nie było ono niespodzianką dla rządu litewskiego, gdyż tajne rokowania z Polską odbywały się już poprzednio. Delegacje obu krajów miały się spotkać w Gdańsku, gdzie rozmowy miały być zakończone, lecz litewscy delegaci nie zjawili się, rzekomo z racji choroby premiera J. Tubelisa. To zirykowało polskiego ministra spraw zagranicznych Becka i doprowadziło do ultimatum.

Z artykułu E. Żagiella widać, że autor jest bardziej obiektywny niż większość jego rodaków piszących o Litwie. Jednak i on czasem nie unika zwykłej wielko-polskiej tendencji. Źródeł nie podaje, więc też jego wywody nie są czasami przekonujące. Poza tym jest on skłonny do interpretacji faktów w polskiej perspektywie. Na przykład pisze, że po ultimatum 1938

* Tłumaczenie artykułu z tygodnika litewskiego *Teviškes Žiburisi*, ukazującego się w Toronto (Kanada) Nr 23 (1270) pod datą 6. 6. 1974, pióra Stepasa Varanka. Autor często pisuje o polskich pracach historycznych, dotyczących Litwy.

roku stosunki polsko-litewskie poprawiły się. W rzeczywistości zaś Polacy te stosunki pogorszyli. W Wilnie, w miesiąc po ultimatum, zostało zamknięte Litewskie Towarzystwo Naukowe, jego historycznie wartościowe dokumenty i inne dokumenty naukowe zostały skonfiskowane. W tymże roku, zaledwie w 45 dni po nawiązaniu stosunków, nadzwyczajny pełnomocny poseł polski w Litwie, który jeszcze nie zagrażał tu miejsca, dnia 3 maja, po uroczystym obiedzie w Hotelu Litewskim z okazji polskiego święta narodowego, wygłosił przemówienie do pracowników polskiego poselstwa i zagranicznych przedstawicieli zakończone toastem: „Abyśmy — poselstwo polskie na Litwie — jak najrychlej stali się Województwem Kowieńskim”. Normalnie taki dyplomata musiałby jak najrychlej być odwołany, a rząd litewski przeproszony. I to miało być poprawą stosunków sąsiedzkich? Polacy nigdy nie starali się być w stosunku do Litwinów szczerzy i uczciwi. W artykule pisze się „kurtyna nienawiści”. Słuszniej byłoby nazwać ją „kurtyną bezpieczeństwa”. Litwini byli w stosunku do Polaków bardzo ostrożni. Fakty z życia wykazały, że gdy tylko kurtyna nienawiści została przez ultimatum podniesiona — zaraz się okazało do czego zmierzano.

Ze w czasie niemieckiej okupacji spis ludności wykazał 70 % Polaków w Wilnie, to może być prawdą. Należy pamiętać, że w tym czasie do Wilna schroniły się tysiące Polaków z całej Polski. Uciekali oni od wojny, Niemców i Rosjan szukając schronienia i dachu nad głową na Litwie, a zwłaszcza w Wilnie. Stąd samo przez się staje się jasne, że odsetek Polaków wzrósł. To jednak nie znaczy, że Wilno istotnie jest polskie. Na przykład jeżeli by Litwini uciekali od jakiejś klęski do polskiego miasta i tam utworzyli 70 % mieszkańców, nie znaczyłoby, że to miasto jest litewskie.

Przeszłości nie przywrócimy, jaką by ona nie była. Pisząc o tym trzeba mieć odwagę bezstronnej oceny. Mam na myśli błędy popełnione przez rząd naszych sąsiadów Polaków w stosunku do innych państw i mniejszości. Autor artykułu wspomina na wstępie nazwiska dwóch osób, które obszernie pisały o litewskim ruchu odrodzenia. Jedną z nich jest Mykolas Roemeris, który najpierw łączył się z Polakami, był legionistą, pilsudczykiem, autorem licznych prac naukowych, zwolennikiem unii, a potem opowiedział się jako człowiek Litwy. Zajmował on wysokie stanowiska w rządzie i sądownictwie, był profesorem, a potem rektorem, Uniwersytetu Litewskiego i odznaczył się jako szanowany litewski działacz.

Drugim autorem był Władysław Wielhorski, profesor wileńskiego uniwersytetu Stefana Batorego. Jest on znawcą historii W. Ks. Litewskiego, autorem licznych prac historycznych o Litwie, zna język litewski, zwolennik unii, jest rektorem wileńskiej Wyższej Szkoły Nauk Politycznych.

W książce swej pt. „Wspomnienia i przeżycia”, wydanej w Londynie w roku 1965, pisze, że był w Wilnie aresztowany w pierwszym okresie bolszewickiej okupacji i uwięziony w piwnicach NKWD, gdzie siedział w jednej celi z Pranasem Žizmarasem. Pisze o nim: „Žizmaras był prawdziwym Litwinem, naszym politycznym przeciwnikiem, lecz szlachetnym, dobrym i prawdziwym dżentelmenem. Liczył około 33 lat, był sportowym kierownikiem litewskim na Wileńszczyźnie. Žizmaras po paru tygodniach okrutnych badań został z tej celi zabrany”...

Stepas VARANKA”.



W tygodniku litewskim *Tėviškes Aidai*, w numerach 29 i 30 z 30 lipca i 6 sierpnia 1974, wydawanym w Melbourne, Australia, ukazała się recenzja píoła V. Šliogeris'a (pułkownika, b. osobistego adiutanta prezydenta Sme-

tony) pt. „Polacy o nas”. Płk Šliogeris jest znanym publicystą oraz autorem książki „Antanas Smetona”.

„20 lat niepodległości Litwy”. Pod tym tytułem E. Žagiell napisał obszerny artykuł w wydawanych w Paryżu przez Polski Instytut Literacki *Zeszytach Historycznych*, Nr 22 z 1972 roku. Polacy często piszą w swych wydawnictwach na litewskie tematy. Tym się odznacza czasopismo *Kultura*, wydawane również w Paryżu. E. Žagiell, Polak z Litwy, intelektualista, dziennikarz już nie raz pisał o Litwie. W tej pracy podaje on polskim czytelnikom krótki przegląd dziejów Litwy Niepodległej omawiając nieco obszerniej aspekty polityczne. Poniżej podaję treść jego co ciekawszych myśli”...

W zakończeniu obszernego omówienia p. Šliogeris stwierdza, że Žagiell dał obiektywny obraz Litwy.

E. ŽAGIELL

PAMIĘTNIKI

Wiktor Tomir DRYMMER

WSPOMNIENIA (Dokończenie)

Cz. II. Rozdział XV (c.d.)

Po dwu- czy trzydniowym pobycie w Kazimierzu przyszedł rozkaz dalszej ewakuacji, tym razem do Krzemieńca. Rzut I-szy również dostał polecenie ewakuacji do Krzemieńca. Sprawa ewakuacji rzutu I-go była prosta, wszyscy posiadali możliwość wyjazdu samochodami. Dla mnie ewakuacja około 350 osób (wliczam w tę liczbę rodziny) była problemem. Przeładowana kolej była wykluczona. Trzeba było radzić sobie samemu. Postanowiłem zarekwirować podwozy i przewieźć cały mój rzut podwozami do Lublina, gdzie sądziłem, że znajdę jakieś możliwości kolejowe. Akta MSZ znajdujące się już w pociągu, ale, na szczęście nie wyładowane, poleciłem dyr. Schimitzkowi przesłać, jak zawsze pod eskortą urzędniczą, do Krzemieńca. Pod Tłuszczem, jak mi zameldowano, pociąg z aktami dostał się pod atak bombowców i został rozerwany. Tor uszkodzony. Rozerwany pociąg z mniejszą częścią aktów znalazł się po kilku dniach w Krzemieńcu, natomiast część większa, opuszczona przez eskortujących urzędników, została wycofana do Warszawy. W roku 1940 Niemcy akta odnaleźli w jakimś depot kolejowym i na ich podstawie wydali swoją Żółtą Księgę. Wprawdzie akta nie miały żadnego znaczenia aktualnego ani wpływu na przebieg wojny, ale dezercja urzędników eskortujących pociąg zasługiwała na potępienie. Niestety jedyny wniosek, jaki wyciągnięto w Angers z dostania się tych aktów w ręce Niemców, to вина kierownictwa MSZ, a nie lękliwych urzędników i ich bezpośredniego szefa, dyr. Stan. Schimitzka, odpowiedzialnego za przewóz akt ministerstwa.

Komendantem kolumny ewakuacyjnej zrobiłem nacz. Tadeusza Kawalca, polecając mu podzielić kolumnę na kilka samodzielnych części i mianując komendantów poszczególnych części — najlepiej oficerów rezerwy. Poleciałem stosować rygor wojskowy oraz mieć w rezerwie kilka luźnych wozów dla ewentualnego przewożenia rannych czy chorych. Zrobiłem powszechne zebranie (odprawę) urzędników obrazując im sytuację i konieczność zastosowania dyscypliny wojskowej dla zapobieżenia panice i dla lepszej opieki. Przyrzekłem lepsze warunki transportu w przyszłości.

Sam pojechałem swoją Tatrą do Nałęczowa zobaczyć jak wykonano polecenie ewakuacyjne zarówno rzutu I-go jak i Korpusu Dyplomatycznego. Po drodze mój samochód był bombardowany. Zrzuciło nas z szosy do rowu, mieliśmy przednią oponę przeciętą i nie nadającą się do użytku. Ani mnie ani kierowcy nic się nie stało.

Rzut I-szy był kilka godzin temu — wyewakuowany.

Przed willą ministra zastałem grupę rozhisteryzowanych urzędniczek bądź żon urzędników, których w pośpiechu nie zabrano. Udało mi się przetransportować je do naszej wspólnej kolumny rzutu II-giego. Do swego wozu zabrałem panią H. Chodacką, żonę naszego Komisarza Generalnego w Gdańsku. Jako cały swój majątek miała mały neseser i ręce pełne białego proszku. Posadziłem ją na przednim siedzeniu między żoną i sobą. — „Co ty masz w rękach?” — zapytałem, gdy sypała tym proszkiem wokoło. — „Wapno”. — „Wapno? Po cóż, na Boga, potrzebne ci wapno?” — „Przeciw iperytowi”. Uspokoilem ją, że Niemcy na pewno nie użyją iperytu, zbyt szybko się posuwają. To ją przekonało i „wapno” wyrzuciliśmy. Jadąc przez Nałęczów w kierunku Lublina zauważyłem przed jakąś willą samochód dyplomatyczny. Zatrzymałem się znalazłem się oko w oko z zapienionym, wściekłym jakimś „dyplomata”. Gdy mu zaofiarowałem pomoc, uspokoił się twierdząc, że go nie powiadomiono o ewakuacji i nie powiedziano mu gdzie może dostać benzyny i dokąd jechać. Dałem mu benzynę, pokazałem mu na mapie jak ma jechać do Lublina potem do Krzemieńca. Rozstaliśmy się po przyjacielsku.

Po drodze do Lublina złapałem nasz „konny tabor”, rozciągnięty na kilometry. Przed wjazdem do Lublina natknąłem się na kilka pustych autobusów, jakieś ewakuującej się linii autobusowej. Bez żadnego sprzeciwu kierowcy zgodzili się na moją „bezprawną” rekwizycję. Do tych kilku autobusów poleciłem przesadzić z podwód kobiety i dzieci. Większość nadal jechała wozami.

Na przedmieściu Lublina zastałem wojewodę Ludwika Bo-
ciańskiego, Komisarza Ewakuacyjnego. Potwierdził, że cały MSZ
ma udać się do Krzemieńca i jego najbliższej miejscowości Białokry-
nica, gdzie właśnie miał się ulokować mój rzut. W czasie
naszej rozmowy był dość silny nalot na Lublin.

Po opuszczeniu Lublina ponownie natknąłem się na duże
zgrupowanie pustych autobusów, które zarekwirowałem. To poz-
woliło mi pomieścić wszystkich urzędników z ich rodzinami w
autobusach. W każdym autobusie mianowałem kierownika auto-
busu jako komendanta i opiekuna. Niestety podwoły zwolni-
łem. W całym naszym zgrupowaniu nie było, na szczęście, ani
rannych ani chorych.

Z Lublina do Chełma jechaliśmy już szybko. Na drodze nie
było zatorów.

W Chełmie nocleg. Wszyscy pod dachem, w jakiejś szkole,
na podłodze, bez podściółki. Nad ranem obudzono mnie: MSZ
ma natychmiast opuścić Chełm. Zbliżają się szpitale polowe prze-
pełnione rannymi żołnierzami i osobami cywilnymi. Zarządzam
wyjazd i zatrzymanie się w pierwszym napotkanym lesie w kie-
runku na Krzemieniec. W lesie robię zbiórkę. Brakuje szeregu
urzędników, których trzeba powiadomić. Właśnie nadjeżdża zna-
jomy samochód. To mój zastępca w departamencie konsularnym
Władysław Sokołowski z żoną i dwoma synami. Zatrzymuję go
prosząc by wrócił do Chełma i powiadomił kilku urzędników,
że czekamy na nich. Sokołowski obsypuje mnie stekiem wymy-
słów, wymawia mi posłuszeństwo i dodaje gazu. Uciekł. Oparł
się w rejonie najdalszym od teatru wojny bo aż... w San-Fran-
cisco. Dezercja ta nie powstrzymała rządu gen. Sikorskiego od
mianowania go z czasem konsulem w Stanach Zjednoczonych.

11 września przybyliśmy do Krzemieńca.

Koledzy z I-go rzutu oraz korpus dyplomatyczny już byli na
miejscu. Ze swym II-gim rzutem udałem się do odległej o parę
kilometrów Białokrynicy. Kwatermistrze rozbiegli się po tere-
nie, wyznaczając kwatery. Niestety nie udało się znaleźć dla
mnie kwatery z telefonem. Telefon był o kilkaset kroków w ja-
kimś budynku, zajętym przez dyżurnych urzędników. Pierwszej
nocy prawie nie spałem chodząc od i do telefonu. Telefonowali
i meldowali się nasi urzędnicy, kurierzy, urzędnicy innych resor-
tów, uważając nasze ministerstwo za swego rodzaju centralę in-
formacyjną.

Wczesnym rankiem pojechałem na inspekcję liceum, gdzie
miały kwatrować biura MSZ. Już krzatali się tam woźni nasi
i krzemienieccy harcerze i harcerki oddani do naszej dyspozycji

jako łącznicy, jak na harcerzy przystało — wszystko wiedzący, uśmiechnięci, radośni. Nie miałem nigdy sposobności podziękować drużynowemu czy drużynowej, za uprzejmość wyrządzoną naszemu ministerstwu z własnej inicjatywy.

Chodząc po gmachu otworzyłem drzwi do mrocznego dużego refektarza w suterynach. Po środku stał wielki stół na krzyżakach a na stole... leżał mężczyzna. Śpi czy zabity? Zbliżyłem się do stołu. Postać zerwała się, siadła na stole patrząc błędnie na mnie. Uśmiechnąłem się. Był to amerykański ambasador Antony Biddle. Wyszedłem nie chcąc wprowadzać go w zakłopotanie. Czemu się tu zaszył, czemu nie był na swojej kwaterze?

Na 2-gim piętrze odnalazłem pokój, który miał być moim biurem. Podeszedłem do okna,... Nagle zza gmachu zza moich pleców z rykiem motorów wypadła eskadra. Huk bomb, kłęby wyrzucanej w powietrze ziemi, jaskrawy czerwono-żółty ogień, dym palących się zabudowań, wir fruujących belek, strzępów odzieży i palących się szmat, zwolna spływających na ziemię lub dopalających się na gałęziach drzew. Całe zbocze stało w ogniu i dymie... Zapierającą oddech ciszę przerwały krzyki i jęki rannych...

Pobiegłem na dół. Po schodach szedł już ktoś niosący na rękę młodą harcerkę zalaną krwią. Ręka zwisała martwo. Już był przy niej lekarz. Policjant relacjonował o dużej ilości zabitych i rannych na rynku. Był to bowiem dzień targowy.

W gmach liceum nie trafiono, bomba spadła na ulicę, gdzie trafiła odłamkiem, na szczęście nie groźnie, harcerkę. Nie trafiono również w naszą radiostację, którą Weinstein zainstalował na szczycie Góry Bony.

Korpus dyplomatyczny podniósł gwałt o bombardowanie otwartego miasta. Jeszcze jeden więcej protest, jeszcze trochę zapisanego papieru.



W liceum przyjmowałem i odprowadzałem kurierów za granicę z pocztą dyplomatyczną i przekazami pieniężnymi do placówek.

Min. Beck zgodził się z moim wnioskiem by praktykanci, którzy mieli właśnie zdawać egzaminy, byli z nich zwolnieni i mianowani urzędnikami etatowymi. Wszyscy bez wyjątku uzyskali te nominacje. Podobno w Angers czyjeś biurokratyczne sumienie było tym bardzo poruszone i początkowo nie chciano uznać tych „polowych” — jak złośliwie mówiono — nominacji.



Zameldował się w Krzemieńcu nasz radca kanoniczny z Watykanu ksiądz prałat Walerian Meysztowicz. Przywiózł z Rzymu pocztę i zgodę ambasadora K. Pappé, na jego wstąpienie do rodzimego 13 p. ułanów, w którym w roku 1920 zdobył *Virtuti Militari*. Odradzałem ks. Meysztowiczowi szukania pułku, znając sytuację wojska. Istotnie ani pułku ani stacji zbornej nie znalazł. Powrócił do Rzymu.

◆

W jednej z restauracji, gdzie jadałem zauważyłem mego przyjaciela, poła estońskiego p. Markusa w towarzystwie ambasadora sowieckiego Szaronowa. Po kolacji Szaronow opuścił restaurację, a Markus przysiadł się do mnie i powiedział mi bardzo zatroskany, że Szaronow został wezwany do Moskwy na konsultację w sprawie tranzytu broni dla nas. Wiedziałem przed wojną o zapewnieniach sowieciarzy na temat tranzytu broni dla nas, ale uważałem to za zwykłe bolszewickie kłamstwo i mydlenie oczu. — „Cóż pan o tym myśli ministrze” — zapytałem Markusa. — „Nie wierzę w ten cel podróży Szaronowa. To jest bardzo niepokojące” — odpowiedział. Powiadomiłem o tym naczelnika wydziału wschodniego, Tadeusza Kobylańskiego. Jak na niego, przyjął to całkiem spokojnie. Mnie ta podróż również niepokoiła. Z ciężkimi i złymi przeczuciami pojechałem do Białokrynicy.

Około północy wezwał mnie do siebie Szembek. Był tak zdenerwowany, że początkowo nie mógł nawet mówić, drgała mu twarz i szczęki. Wreszcie wyrzucił z siebie: — „Szaronow zażądał swego paszportu. Wyjeżdża ze swym radcą do Moskwy, rzekomo w sprawie dostarczenia nam uzbrojenia. Oczywiście to pretekst. Nie wierzę im”. — Zapytałem min. Szembeka co na to Beck. Okazało się, że jeszcze nie powiadomił min. Becka. Zwróciłem się do sekretarza, by postarał się połączyć nas z min. Beckiem, który był w Kwaterze Głównej marszałka Śmigłego. Sugerowałem wicemin. Szembekowi by prosił min. Becka o przyjazd. Doszły mnie bowiem nieprzyjemne narzekania ze strony korpusu dyplomatycznego na brak kontaktu z ministrem spraw zagranicznych. Po uzyskaniu połączenia telefonicznego min. Beck prosił o zwołanie na następny dzień konferencji z korpusem dyplomatycznym.

Rano min. Beck przyjechał i odbył generalną rozmowę z korpusem dyplomatycznym — wnosząc uspokojenie, wiarę w pomyslniejszy dla nas obrót sprawy pod warunkiem, że alianci poczną wreszcie wykonywać swoje zobowiązania w stosunku do nas.

◆

Przyjechał z Łucka naczelnik Jaśkiewicz z kilkoma workami złotych. Rada Ministrów uchwaliła wypłacenie wszystkim urzędnikom i niższym funkcjonariuszom 3 miesięcznej jednorazowej pensji. Inicjatywę premiera powitaliśmy z wielką radością i wdzięcznością tym bardziej, że większość kolegów i ich rodzin opuściła Warszawę tak jak stała.

Po wypłaceniu pensji zwrócił się do mnie Teofil Jaśkiewicz z prośbą o pozwolenie na powrót do Warszawy. Pozostawił tam swojego ciężko chorego na gruźlicę jedynaka. Oczywiście wyraziłem zgodę.

Naczelnik Jaśkiewicz był czas jakiś moim zastępcą w Biurze Personalnym. Nie mogłem go dłużej bronić przed atakami, że jest aktywnym „bezbożnikiem”; był redaktorem tygodnika *Wolnomyśliciel Polski*. Największe ataki na Teofila (sic) przypuszczało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w osobie wiceministra Kaweckiego, występującego w todzie obrońcy uczuć religijnych narodu. Domagano się usunięcia go kompletnie ze służby. Kawecki co raz interpelował osobiście u min. Becka. Beck wreszcie uległ. „Wyślij tego swojego bezbożnika gdzieś za granicę, niech zapomną o nim. Życ mi nie dają”. Rozmawiałem z Teofilem. Mówiłem mu o trudnościach jakie mam ze strony Min. Spraw Wewn., pytałem go gdzie chciałby wyjechać za granicę. — „Nigdzie” — odparł — „nie chcę ruszać się z Warszawy”. Znow po naradzie z ministrem, postanowiłem przenieść go na stanowisko Zastępcy Naczelnika Wydziału Budżetowego MSZ. Dopiero tu w Krzemieńcu powiedział mi dlaczego nie chciał opuszczać Warszawy. Nie widziałem go więcej i nie słyszałem o tym dobrym, szlachetnym, ideowym człowieku. Podobno podczas okupacji zmarł „ten osobisty wróg Pana Boga”, jak podśmiewał się ze mnie i z niego min. Beck.

◆

Znow zamieszanie. Premier nakazał oczyszczenie z urzędników największej ilości kwater w Krzemieńcu i w Białokrynicy. Trzeba robić miejsca dla rannych. Z bólem serca tłumaczyłem urzędnikom to nowe zarządzenie i prosiłem o dobrowolne zgłaszanie się na wyjazd do wsi otaczających Krzemieniec lub wzdłuż szlaku Tarnopol - Kut. Największe skupisko powstało w Wiśniowcu, ale wiele osób osiedliło się po dworach okolicznych, nie zostawiając — niestety — często adresu, co spowodowało w niektórych wypadkach, że nie zostali powiadomieni o dalszej ewakuacji do Kut.

◆

Wysłałem młodego urzędnika, Jana Borkowskiego, do Bory-

sławia z ciężarówką dla zdobycia benzyny. Powrócił i przywiózł kilka beczek.



Wielu urzędników cierpiało dotkliwie na braki ubraniowe, a zwłaszcza na braki kołder czy koców. Trzymiesięczny zasiłek nie był wystarczający dla wielorodzinnych. Z pieniędzy rządowych poleciłem zakupić ile się da koców i ciepłej bielizny. Rozdałem to według uznania *ad hoc* zwołanej komisji.

Evakuacja do Kut

13 lub 14 września otrzymaliśmy nakaz ewakuacji całego ministerstwa i korpusu dyplomatycznego do Kut.

Stał przede mną problem jak przedostać się po piaszczystej, kopnej drodze, miano właśnie przedłużyć szosę z Krzemieńca do Tarnopola, skąd już prowadziła doskonała szosa do Kosowa i Kut. Kierowcy samochodów meblowych, wiozący akta dawne i dokumenty historyczne MSZ, słusznie pytali co zrobimy z aktami jak ugrzęźniemy w piachu, a to jest absolutnie pewne, że nasze wozy po tym piachu nie przejdą. Po naradzie z dyr. Schmitzkiem poleciłem ukryć akta w licznych piwnicach liceum. Okazało się, że korytarze prowadzące do podziemnych schronów są o kilka centymetrów za wąskie w stosunku do wymiaru skrzyń. Pomysł zakopania aktów pod podłogą stajni ułańskich również odpadł, jak odpadła próba zatopienia akt. Stajnia stała na skale, woda w jeziorze była bardzo płytka. Pozostawało jedno ostateczne wyjście, akta nie powinny się dostać w ręce niemieckie, trzeba je spalić. Nakazany był pośpiech. Niezależnie od rozkazów ewakuacyjnych wiedziałem, że sytuacja pod Lwowem jest pod względem wojskowym rozpaczliwa.

Już w Rumunii, a zwłaszcza w rozplotkowanej Francji, mówiło się wiele o pozostawieniu aktów tajnych na pastwę losu, no i w ręku wrogów niemieckich i sowieckich. Wszystko to było celowo spreparowanym kłamstwem, tak samo jak plotka, że w willi zajmowanej przez min. Becka z rodziną, zostały jakieś akta tajne i notatki. Jak zawsze, czy to w Kazimierzu czy w Krzemieńcu i Nałęczowie, ewakuowałem się ostatni z tych miejscowości i osobiście kontrolowałem czy ludzie lub akta nie zostały.

W roku 1962 dostał się do moich rąk londyński *Tydzień Polski* z 15 września 1962 roku, w którym ukazała się notatka b. starosty krzemienieckiego z roku 1939 mgra Jana Zaufalla, który opisał całą akcję spalenia aktów MSZ.

Notatka mgra Zaufalla spowodowana była jakimś durnym

i nieuczciwym atakiem na przedwojenny MSZ przez b. radcę ambasady w Berlinie — Lubomirskiego, oskarżający MSZ o pozostawienie akt, które dostały się w ręce Sowietów!?

W czasie naszego posuwania się do Kut, już za Tarnopolem, dostałem wiadomość, że przyjechał do Krzemieńca ambasador Lipski z personelem. Nie mogłem posłać mojej małej Tatry, bo mogłaby zabrać najwyżej dwie osoby, nie mogłem posłać autobusu, wyrzucając kilkadziesiąt osób. Gdy zastanawiałem się nad tym, zobaczyłem od strony Krzemieńca jadące 3 samochody. Myślałem że to amb. Lipski z personelem. Zatrzymałem samochody. W pierwszym był mój przyjaciel, szef kancelarii cywilnej Prezydenta St. Łepkowskiego, dwa samochody stojące za nim — puste. „Czyje to samochody?” — pytam. — „Moje, ściślej mówiąc mojego brata, który jak wiesz ma przedstawicielstwo samochodów”. — „Rekwiruję je”. — „O, na to się nie zgadzam, mogę je w imieniu brata sprzedać”. — „Dobrze kupuję, muszę zabrać Lipskiego i jego personel z Krzemieńca”. Podpisałem mu jakiś cyrograf i zawróciłem samochody do Krzemieńca pod komendą młodego urzędnika MSZ, Maliszewskiego, celem zabrania amb. Lipskiego z personelem.

Po tym incydencie ruszyliśmy do Kut.

W parę godzin po naszym przybyciu do Kut i zameldowaniu się u min. Becka, zobaczyłem tam amb. Lipskiego.

C z ę ś ć III

R o z d z i a ł I

R U M U N I A

„... *Vae Victis!* Lecz kiedy słowa te wymawia zwycięzca i mówi: biada zwyciężonym — to jest rzecz zrozumiała, lecz kiedy sam zwyciężony potwierdza te słowa by w śmiech i w pogardę obracać wielkość swojej rzeczy, to biada narodowi, który w ten sposób do wielkich rzeczy swoich się ustosunkowuje...”

Józef Piłsudski

Czerniowce, 18 września

Z Wyżnicy rumuńskiej przybyliśmy do Czerniowiec we czwórce: ja, moja żona, płk T. Schaetzel, dyr. J. Potocki. Zajechaliliśmy

prosto do Konsulatu. Konsul Buynowski z żoną zajęli się nami gościnnie i troskliwie. Zanim poszedłem zameldować się do ministra Becka, postanowiłem załatwić z ambasadą szereg spraw naglących, które poruszył ze mną konsul Buynowski, a których nie można było załatwić z władzami lokalnymi bez polecenia centralnych władz rumuńskich. W pierwszym rzędzie chodziło o nieusuwanie siłą uchodźców z Czerniowiec bez zmiany złotych na leje rumuńskie. Banki rumuńskie odmawiały przyjmowania złotych. Telefony w ambasadzie naszej albo były zablokowane, albo zastępca ambasadora, radca Poniński, był na jakiejś ważnej konferencji. Po kilku próbach rozmawiania z kimś odpowiedzialnym w naszej ambasadzie, świeżo tam przydzielony nasz urzędnik, Bronisław Sobański powiedział, że od dnia dzisiejszego, nikt ze mną w ambasadzie nie będzie rozmawiał. Mówi mi to, jak zrozuiałem, by mnie ostrzec.



Nie bez trudności dostałem się do ministra, do którego przystępu broniła policja rumuńska. Ministrowi zdałem relację z przekroczenia granicy rumuńskiej przez nasz Rząd i naczelne władze oraz o nieoczekiwanym zjawieniu się w Wyżnicy rumuńskiej — marszałka Śmigłego. Meldowałem mu również o tłumach uchodźców koczujących przed naszym konsulem, o niemożności dogadania się z Rumunami, o czym meldował mi Buynowski i o moich próbach porozumienia się z Ambasadą, by interweniowała w rumuńskim min. Skarbu i min. Spraw Wewnętrznych.

— Nie dziw się — odpowiedział mi Beck — ja również próbowałem porozumieć się z ambasadą, ale nikt nie miał czasu dla mnie. Raczynski, któremu poleciłem w Kutach by czekał na mnie w Czerniowcach, nie zjawił się, a — jak mi to mówił Łubieński — jest w Czerniowcach.

Zrozuiałem. Bunt. Wojna domowa? Min. Beck — minister Spraw Zagranicznych R.P. zlekceważony przez własnego ambasadora i do wczoraj rzekomego przyjaciela? Mało tego, najważniejsze to to, że ambasador lekceważy szereg spraw wagi państwowej, które powinien niezwłocznie załatwić, jak wysłanie notpotępiających agresję sowiecką, wysłanie depesz informacyjnych o opuszczeniu terenu R.P. przez Prezydenta, Rząd, Marszałków Sejmu i Senatu i Nacz. Wodza, celem dalszego kontynuowania wojny przy boku obu sojuszników. Jednym słowem załatwienie szeregu aktów o niezwyklej doniosłości państwowej, wymagającej niezwłocznego działania naszej placówki dyplomatycznej w Bukareszcie. Cała ta akcja została sparaliżowana oddając nas w ręce

wrogiej propagandy i dezinformacji sowieckiej i niemieckiej. Do niektórych placówek dotarło jedynie Orędzie Prezydenta R.P., wysłane z Kut drogą radiową.

Kłeska wojny domowej, widmo zerwania ciągłości władz R.P., zarysowujący się kompleks niższości i poszukiwanie sprawców klęski. Sprawdziło się to, co już raz przeżyłem: jak szliśmy na Kijów i biliśmy bolszewików — pod niebo wynoszono zwycięstwa i męstwo żołnierza oraz talent Naczelnego Wodza, ale gdy cofaliśmy się z Kijowa poczęto szczeekać: Naczelnny Wódz zdrajca.



Inspiratorem „buntu” był zapewne ppłk Tadeusz Zakrzewski. Mam przed sobą oświadczenie Zakrzewskiego z maja 1945. Punkt 8-my tego oświadczenia brzmiał: „Po przekroczeniu przez Rząd Polski, Naczelnego Wodza marszałka Śmigłego i jego szefa sztabu granicy rumuńskiej, nastąpiła swego rodzaju rewolucja. Wszyscy jako tako rozsądni ludzie rozumieli naówczas konieczność zmiany kierownictwa politycznego i wojskowego oraz prowadzenia wojny w innej skali i na innej platformie politycznej.

Po porozumieniu się z Gen. Sikorskim zadałem pierwszy i decydujący cios odmawiając posłuszeństwa Śmigłemu i podporządkując się Sikorskiemu”.

„Gen. Sikorski pojechał do Paryża robić *dalszą rewolucję*”.

(Wszystkie podkreślenia moje — W.T.D.).

Ani Zakrzewski ani jego zastępca Zimnal nie zostali oddani pod sąd polowy — przeciwnie obaj awansowali o stopień wyżej.

Bunt Zakrzewskiego¹ odbił się na pracy gen. Stachewicza, który w Czerniowcach usiłował wprowadzić ład w ewakuujące się wojska i domagał się od Rumunów pokwitowania z otrzymywanego sprzętu i broni, jak np. w obozie lotników pod Czerniowcami. Praca jego rozbiła się o odmowę posłuszeństwa ze strony Zakrzewskiego i jego zastępcy.

Wokoło naszego konsulatu w Czerniowcach biwakowało w dzień i w nocy tysiące ludzi. Domagano się od Konsulatu dowodów osobistych, a przede wszystkim zmiany złotych na leje rumuńskie, bądź zapomóg. Rumuni nie chcieli przyjmować złotych, odmawiając sprzedaży żywności, albo żądając za szklankę mleka czy herbaty 60 złotych, zamiast — jak przed paru dniami — kilka groszy polskich.

1. Płk T. Zakrzewski, po ogłoszeniu w Londynie w 1945 roku swojego „Oświadczenia”, po raz drugi zadał cios zdecydowany „Rządowi legalnemu i Naczelnemu Wodzowi”, wypowiadając posłuszeństwo i przechodząc na stronę wroga. Zmarł w Warszawie jako zasłużony dla PRL.

Na razie mogłem zrobić jedno, zwiększyć i usprawnić obsługę w wydawaniu dokumentów osobistych. Przydzieliłem, jak w Kutach, kilku urzędników do pomocy konsulowi Buynowskiemu.

Robiłem wysiłki, by przez znajomych wpłynąć na ambasadora w Bukareszcie aby użył swych wpływów i stosunków w najpilniejszych sprawach jak: a) nakaz dla banków przyjmowania złotych i wymiany ich na leje, choćby pod zastaw naszych olbrzymich należności od Rumunów, czasowo przez nich zamrożonych; b) uzyskanie polecenia by koleje rumuńskie kwitowały odbiór naszego taboru kolejowego, który spłynął do Rumunii (wicemin. J. Piasecki oceniał to na setki milionów złotych); c) zaprzestanie rekwizycji i zwykłej kradzieży prywatnych polskich samochodów, co doprowadzało do niepotrzebnych awantur i nawet bójek; d) wystawianie naszemu wojsku pokwitowań za sprzęt i materiał wojenny.

Obóz lotników pod Czerniowcami wrzał. Lotnicy i personel głodni, bez możliwości kupienia żywności, grozili, że wezmą ją siłą. Interwencja gen. Stachewicza przyczyniła się do czasowego ich uspokojenia.



Inspekcjonując pracę urzędników w Konsulacie, zobaczyłem przed drzwiami jakiegoś pokoiku w piwnicy, uzbrojonego wartownika Ministerstwa Skarbu. Ku memu zdziwieniu dowiedziałem się, że w tym pokoiku jest zdeponowana część złota Banku Polskiego².

Nasunęło mi to świetny pomysł. Znałem naczelnego dyrektora Banku Polskiego, Leona Barańskiego. Odszukałem go w Czerniowcach i przedstawiłem mu sytuację uchodźców i wojska, naciski lokalnych kacyków i odcięcie się naszej ambasady od jakiegokolwiek pomocy i akcji u centralnych władz rumuńskich. Mówiłem mu o możliwościach buntu, który o mało nie wybuchł na lotnisku w Czerniowcach, o próbach demolowania konsulatu przez rozżalony i zgłodniały tłum, nie mogący zrozumieć, że prócz wojny z Niemcami i Rosją, mamy wojnę domową i że konsulat jest bezsilny a ambasada zgłosiła kompletne *désinteressement*. Zaproponowałem dyr. Barańskiemu zastawienie części złota lub

2. Była to część złota polskiego, bodaj 4 tony. Główny transport — jak mnie poinformowano — był już w drodze do Constanzy, pod kierownictwem b. min. Skarbu I. Matuszewskiego. (Patrz Zeszyt 1, *Zeszytów Historycznych*, wydawanych przez Instytut Literacki. Artykuł W. Jędrzejewicza pt. *Fundusz Obrony Narodowej*).

jego sprzedaż, celem przywrócenia kursu złotego i możliwości wymiany na leje.

Przyznam się, że nie bardzo wierzyłem, czy zdołałem przekonać Barańskiego. Nie doceniałem go. Dyrektor Barański powiedział mi, że ponieważ w Czerniowcach jest cała dyrekcja Banku Polskiego proponuje za dwie godziny zwołanie Rady Banku Polskiego w konsulacie R.P., na którą zaprasza mnie celem zreferowania sytuacji.

Rada Banku Polskiego w Czerniowcach i sprzedaż złota

Za dwie godziny obradowała już Rada Banku, a ja referowałem sytuację uchodźców i wojska, zwłaszcza lotników.

Rada Banku Polskiego po dyskusji, upoważniła dyrektora Barańskiego do zastawu bądź sprzedaży 2 czy 3-ch ton złota³.

Po kilku godzinach mogłem już powiadomić uchodźców, że banki rumuńskie będą niezwłocznie wymieniać złote na leje po kursie ustalonym z dyrektorem naczelnym Banku Polskiego, przy czym każda osoba będzie miała prawo do jednorazowej wymiany 300 zł., co miało być odnotowane na dokumencie osobistym. W praktyce, spryciarze potrafili wymienić wielokrotnie więcej, przedstawiając za każdym razem inny papierek, jako dowód tożsamości.

Wymiana spowodowała natychmiastowe odprężenie w nastrojach i odpływ uchodźców z Czerniowiec, głównie do Bukaresztu, by tam się jakoś urządzić lub dostać wizę do Francji. W ambasadzie francuskiej urzędował kupiec warszawski, Żyd francuski, jak się okazało oficer francuskiej dwójki i właściciel kartoteki, którą przywiózł z ambasady francuskiej. Od niego zależało czy się dostanie wizę czy nie. Najbliższa współpraca i karteczka od radcy Ponińskiego, otwierały drzwi do sezamu. Ta podwójna kontrola miała nie dopuścić „sanatorów” do Francji.



Na tle powszechnego załamania i rozpoczętej już orgii oskarżeń i podejrzeń, przyjemnym i odświeżającym objawem było pojawienie się w konsulacie majora Galinata, szefa młodzieży Obozu Zjedn. Narodowego. Mjr. Galinata znałem od lat. Ceniłem jego entuzjazm, ideowość i odwagę cywilną. Miał wiele zalet, którym czasami nie wtórowała chłodna rozwaga. Pokazał mi,

3. Kajetan Morawski w swej książce pod tytułem „Wspólna Droga”, przypisuje, najzupełniej fałszywie, sobie i ambasadzie „rozwiązanie tego najpilniejszego problemu”.

podpisany przez marszałka Śmigłego, rozkaz nakazujący formowanie w Polsce tajnej organizacji wojskowej, wzorowanej na Polskiej Organizacji Wojskowej, utworzonej w okresie I-ej wojny światowej przez Józefa Piłsudskiego.

Rozkaz był podpisany jeszcze w Kołomyi, ale mjr. Galinowski udało się znaleźć samolot i lotnika, dopiero w Czerniowcach. Jakże mu zazdrościłem tego lotu.

Rozkaz doręczony w Warszawie był już spóźniony. Gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski, już zawiązał tajną organizację p.n. „Służba Zwycięstwu Polski”, przekształconą następnie na Związek Walki Zbrojnej, po czym na Armię Krajową.

Rozdział II

INTERNOWANIE PREZYDENTA R.P., RZĄDU I NACZELNEGO WODZA

Rumunia powoli i spokojnie przygotowywała dla nas niespodziankę. Są poszlaki, że przygotowania do niej robione były już od 8 września i to w porozumieniu z urzędowymi czynnikami francuskimi. Sprawa ta wymaga niewątpliwie wyjaśnienia historyków.

Prezydent i Rząd zostali powiadomieni w Czerniowcach, że do czasu załatwienia formalności wizowych i tranzytowych, Rumunia ofiarowuje im „gościń”. Dla Prezydenta R.P. wyznaczono pałacyk królewski w Bicz, w północno-zachodniej Rumunii, marszałkowi Śmigłemu — Crajową, gen. W. Stachiewiczowi, Szefowi Sztabu Nacz. Wodza — Slanic pod Ploesti. Rząd i jego ścisłe otoczenie umieszczono w miejscowości letniskowej, na południowym-zachodzie — Slanic mołdawski. Dla ułatwienia przejazdu podstawiono specjalny pociąg.

Za zgodą min. Becka nie pojechałem „pociągiem specjalnym”, lecz swoim prywatnym samochodem. Z miast i miasteczek, przez które przejeżdżałem, wysyłałem depesze do ambasadora Łukasiewicza w Paryżu informując go o internowaniu Prezydenta, Rządu, Nacz. Wodza i jego Szefa Sztabu.

Slanic był mołdawską miejscowością letniskową, położoną w odległości kilkunastu godzin jazdy koleją od Bukaresztu, w głębokim wąwozie z którego prowadziła jedyna droga, kontrolowana przez Rumunów. Wkrótce drogę tę zamknęto szlabanem, który można było co prawda otworzyć dając straży łapówkę, która

— jak się okazało — nie była w ich pojęciu łapówką, lecz obowiązkiem, haraczem, który zastępował żołd czy pensję.

Mieszkaliśmy w licznych willach letnich. Jadaliśmy „jako goście króla” bezpłatnie w olbrzymiej restauracji.

Rząd, pod przewodnictwem gen. Składkowskiego, odbywał codzienne zebrania Rady Ministrów. Min. Becka nużyły te jałowe rozmowy, ponadto odezwały się stare dolegliwości, jak się nam wydawało żołądkowe. Była to najprawdopodobniej postępująca gruźlica, która go wreszcie zmogła. Beck wysyłał mnie na te narady, które mnie z kolei doprowadzały do pasji, przez swą czczą gadaninę.

Gen. Składkowskiemu udało się nawiązać łączność telefoniczną z Prezydentem i marsz. Śmigłym. Rozmowy były trudne, tym bardziej, że Prezydent prowadził dość ożywioną wymianę listów i depeš i miał jakieś własne plany — niezrozumiałe dla gen. Składkowskiego, który podzielił się swymi wątpliwościami z min. Beckiem, bardzo wrażliwym na zagadnienie ciągłości władz Rzeczypospolitej. Min. Beck mówiąc ze mną na te tematy zapytał czy podjąłbym się dotrzeć do Bicaș by w jego i premiera imieniu zorientować Prezydenta w ich ocenie sytuacji, i by ponadto dowiedzieć się jakie są jego plany i zamierzenia. Oczywiście zgodziłem się z wielką ochotą. Po otrzymaniu instrukcyj od gen. Składkowskiego i min. Becka puściłem się razem z żoną w drogę poprzez rozmokłe, gliniaste, polne drogi rumuńskie. Wziąłem ze sobą większą ilość mała wartościowej gotówki rumuńskiej, i to w drobnych odcinkach, wręczając je posterunkom w zamian za przepustkę. Nawet z czasem nie zatrzymywałem się tylko wręczając „na chodzie” 10 lub 5 lei i jechałem dalej nie tracąc czasu. Skutkowało.

W związku ze słynnym łapownictwem notuję pogłoskę słyszaną już w Czerniowcach, a tu, na emigracji, powtórzoną mi z dużą dozą prawdopodobieństwa przez b. sekretarza ministra Becka Ludwika Łubińskiego że: rumuński minister Spraw Wewnętrznych gen. Marinescu ofiarował się przewieźć Prezydenta i Rząd z Czerniowiec do Constanzy i załadować na okręt za 1 milion lei. Miał taką ofertę złożyć b. posłowi w Rumunii Mirosławowi Arciszewskiemu⁴. O ile wiadomo p. Ludwikowi Łubińskiemu

4. Chciałbym tu stwierdzić, że Mirosław Arciszewski, po odwołaniu go z Bukaresztu do centrali MSZ, nie dostał żadnego wyraźnego przydziału. Był w dyspozycji ministra, który mu zlecił nadzór nad Wydziałem Prasowym (co zresztą było przez naczelnika Wydziału, Wiktora Skińskiego, pomijane na skutek szybkiego biegu wydarzeń). Nigdy Mirosław Arciszewski nie był podsekretarzem stanu ani też jego, tj. Szembeka zastępcą. W szeregu poważnych wydawnictw powtarza się często, że Arciszewski był podsekretarzem stanu bądź też jego zastępcą.

Arciszewski o tej propozycji nie powiedział nikomu, opuściwszy Słanic po cichu, bez pożegnania się z dawnymi przyjaciółmi i kolegami.

Rozdział III

U PANA PREZYDENTA MOŚCICKIEGO W BICAZ

23 lub 24 września doznałem do tonącego w błocie *château*, królewskiego, które było po prostu piętrową leśniczówką. Prezydent zajmował 2 pokoiki na górze, dół zajmowały osoby towarzyszące mu; na dole znajdowała się też duża jadalnia, w której jadał Prezydent z żoną i swoim otoczeniem.

Jednym z pierwszych który mnie powitał był radca MSZ Stanisław Nałęcz-Korzeniowski, którego przydzieliłem w Kutach do Pana Prezydenta ze względu na jego znajomość języka rumuńskiego.

Długo i szczegółowo meldowałem Prezydentowi ogólną sytuację, zapytywany często o zdanie lub opinię co do osób, które powinny kontynuować wojnę.

Prezydent mówił o swojej pracy, o wysłanych listach i depeszach do Francji i na Węgry, i poszukiwaniu śladów gen. Sosnkowskiego. Jego bowiem upatrzył na swojego następcę. Z gotowymi dekretemi wysłał do Francji dyr. Łepkowskiego, który na umówione zdanie depeszy miał opublikować dekret Prezydenta. Prezydent rozumował, że nie może zbyt długo czekać na wieści o gen. Sosnkowskim i miał w zapasie inne nazwiska, podsuwane mu przez odwiedzającego go ambasadora Raczyńskiego.

Na zakończenie naszych rozmów, Prezydent Mościcki prosił mnie o powiadomienie premiera i min. Becka, że jego kandydaturą jest gen. Sosnkowski i jeśli w ciągu najbliższych dni nie dostanie wiadomości o nim, to zrzeknie się prezydentury na rzecz ambasadora Winiawy-Długoszowskiego, który będzie „strzegł linii politycznej Komendanta”. Zabranie go z jego obecnego stanowiska nie będzie szczególną szkodą, jaką byłoby niewątpliwie zabranie ambasadora Łukasiewicza o którym — dodał — przez pewien czas myślał.

Prezydent dzielił się ze mną troską o zachowanie ciągłości władz i o samodzielności polityki polskiej. Obawiał się intryg francuskich i tych polityków polskich, którzy nas pchają w objęcia „chwijnej i słabej Francji”. Prosił, by przekazać podziękowania min. Beckowi za jego rady. On również jest tego zdania co i minister, że Anglia poprowadzi tę wojnę a nie Francja, i że rząd nasz wraz z prezydentem powinien jak najszybciej znaleźć się w Anglii.

W ostatnim dniu mego pobytu w Bicz, przybył tam ambasador Raczyński.

Opuszczając Bicz zostawiłem majorowi Hartmanowi (adiutantowi Prezydenta), połowę sumy, jaką zabrałem na drogę z kasy ministerstwa, do dyspozycji Prezydenta. Gdy zapuszczałem motor, jakiś głos zawołał mnie z górnego okna leśniczówki. To Prezydent wzruszonym głosem dziękował mi za troskliwość, o czym zameldował mu przed chwilą major Hartman. Odjechałem.



Po przybyciu do Ślanica złożyłem sprawozdanie z rozmowy z Prezydentem premierowi i min. Beckowi.

Ogólnikowe sprawozdanie złożyłem na Radzie Ministrów.



Dnia 30 września 1939 Prezydent Mościcki, podał do wiadomości swoją rezygnację i ujawnił dekret o zrzeczeniu się prezydentury na rzecz Władysława Raczkiewicza. W komunikacie nie było nic, oczywiście, o postępowaniu Francuzów i sikorszczyków i o uprzednim zrzeczeniu się prezydentury przez Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego.

2 października powstał rząd gen. Sikorskiego.

Ustępujący rząd gen. Felicjana Sławoj-Składkowskiego w pełnym składzie przesłał nowemu premierowi i rządowi swoje życzenia. Nowomianowani ministrowie nie tylko nie podziękowali za życzenia, ale zgłosili kompletne *désintéressement* co do losu swoich poprzedników.

Na ostatnim posiedzeniu Rady Ministrów, min. Beck oświadczył, że przekazuje mi Ministerstwo Spraw Zagranicznych, do czasu przejęcia ministerstwa przez nowego ministra Spraw Zagranicznych.

Min. Beck chcąc dać wyraz swemu dążeniu do zachowania ciągłości władz i polityki, wysłał w połowie października list

do nowego prezydenta Wł. Raczkiewicza⁵. Podobny list wysłał do nowego ministra Spraw Zagranicznych Aug. Zaleskiego.

Oba listy i mój raport do gen. Sosnkowskiego — mianowanego kierownikiem pracy na kraj — o gotowości mojej podjęcia wraz z przyjaciółmi pracy w kraju zawiozła moja żona do Paryża.

5. List b. min. J. Becka do Prezydenta Wł. Raczkiewicza:

Odpis

List nie nosił daty. Prawdopodobnie pierwsze dni października 1939 roku.

Korzystając z jednej z rzadkich dzisiaj okazji, jako obywatel R.P. pozwalam sobie przedstawić Panu Prezydentowi kilka uwag związanych z naszą sytuacją, tj. sytuacją Polski.

1. Klęska militarna powoduje zawsze szereg zjawisk ujemnych, nieuniknionych, ale w wojnie koalicyjnej zostawia możliwość odbudowy pozycji politycznej naszego Państwa, gdyż w tym charakterze wojny nie można operacji wojennych w Polsce traktować indywidualnie.

2. Rozgrywka polityczna zależy od postawy aliantów, a przede wszystkim od własnej postawy polskiej.

3. Odnoszę wrażenie, że pozycja Anglii, która jest zresztą kierowniczym czynnikiem wojny, jest prawie bez zarzutu. Natomiast aliant francuski i sami Polacy okazują przygnębienie zbyt łatwo i stosują metody polityczne, które Państwo nasze prowadzą niżej, niżli ofiary poniesione przez nasz naród w tej wspólnej wojnie uzasadnić mogły.

4. Pozwalam sobie przypomnieć, że pierwsza myśl o konieczności przeniesienia najwyższych władz R.P. — na podstawie przykładu Belgii z roku 1914 — była wysunięta wobec naszego rządu przez Francuzów (*démarche* amb. Noëla w Krzemieńcu). Ambasador w dramatycznej formie domagał się ode mnie przesunięcia mego urzędu i korpusu dyplomatycznego za granicę rumuńską, uważając to za jedyną drogę dla realizacji planów.

5. Wobec powyższego stworzenie *siège'u* naszego rządu we Francji jest wynikiem układu a nie decyzji w ostatnim momencie, i nakłada na Francję obowiązki. Rząd angielski był o wszystkich szczegółach sprawy informowany. Rząd rumuński w imieniu króla sam zaproponował *hospitalité ou droit de passage*.

6. Jest jasne, że wpływowe koła francuskie oraz związane z nimi czynniki polskie postawiły z góry na wykorzystanie sytuacji dla „przewrotu reżymowego”. Uważam osobiście, że w tak groźnym momencie naszej historii tzw. sprawy reżymowe mają znaczenie podrzędne — chodzi tylko o to, ażeby tej okazji nie wykorzystano dla umniejszenia naszego państwa w zespole aliantów.

7. W tym duchu, w porozumieniu z b. prezydentem prof. Mościckim, spowodowałem bez trudu natychmiastową, jednomyślną decyzję moich byłych kolegów gabinetowych — w kierunku dymisji, usuwającej z sumienia każdego obywatela R.P. jakkolwiek wątpliwość co do legalności przekazania władzy. Miałem również na myśli to, ażeby Francja i Anglia nie mogły się uważać za zwolnione z zobowiązań powziętych wobec poprzedniego Rządu R.P.

8. Muszę z ubolewaniem stwierdzić, że smutne widowisko, stworzone w Rumunii przez słabość naszych placówek dyplomatycznych, gadaniny różnych polskich osobistości oraz bezceremonialna taktyka ambasady francus-

O ile mi wiadomo min. Beck nie dostał ani potwierdzenia odbioru listów, ani żadnego znaku od wyżej wymienionych osób.

Rozdział IV

ROZPRASZANIE I IZOLOWANIE CZŁONKÓW B. RZĄDU

Około 4 czy 5 października Rumuni postanowili przenieść byłych członków rządu gen. Składkowskiego do Turnu Severin i Herculanum nad granicą jugosłowiańską. W ślad za nimi mieli być tam posłani wszyscy wyżsi urzędnicy.

Ministrów, razem z rodzinami wywieziono ze Słanica pociągiem. Na jakieś węzłowej stacji odczepiono wagon w którym jechał min. Beck z żoną, pasierbicą i swymi najbliższymi współpracownikami. Już w Słanicu uzyskałem od min. Becka zgodę, że odłączę się od całej grupy ministerialnej, by zamieszkać w Bukareszcie, gdzie będę użyteczniejszy, posiadając całkowitą swobodę ruchów. Do ministra Becka dołączył b. min. Antoni Roman⁶, pragnąc z nim dzielić swój los. Pożegnałem się z ministrem i pojechałem do Bukaresztu.

kiej, pośrednio obniża z konieczności pozycję Rządu w Paryżu. Te błędy, związane z atmosferą niepowodzeń, dałyby się częściowo naprawić przez zdecydowaną postawę aktualnego Rządu, między innymi w sprawie wyjazdu Prezydenta Mościckiego oraz zniesienia internowania byłych członków gabinetu — przy czym nie chodzi tu o osoby, ale o symbolikę. Jest zbyt wiele czynników na świecie, którym zależy na przerwaniu lub osłabieniu ciągłości legalnych władz R.P. celem zrobienia z Polski obiektu w życiu międzynarodowym.

9. Rozumiem doskonale, że załamanie się naszej siły materialnej zmusza nas do wielu kompromisów i nie pozwala na szukanie rozwiązań zbyt trudnych w stosunku do aliantów. Chodzi mi tylko o to, abyśmy sami nie zeszli niżej, niż na to obiektywnie zasługujemy.

10. Jeżeli okoliczności i koncentracja wielu wysiłków, utrudniając mi możliwość poinformowania Pana Prezydenta we wszystkich sprawach międzynarodowych z czasu gdy byłem ministrem R.P., w sprawach mogących być atutem w ręku Rządu Polskiego, pozwól mi dać wyjaśnienia konkretniejsze — postaram się to uczynić.

6. Nie rozumiem czemu p. Kajetan-Morawski w swojej książce „Wspólna Droga” pisze: „Ministrowie Beck i Roman, na własne żądanie odłączyli się od dawnych kolegów i internowanych w Brasov”. Absolutnie nieprawdziwe. Min. Becka *zmuszono* do udania się do Brasov. Min. Antoni Roman, przyjaciel min. Becka, dołączył z własnej i nieprzymuszonej woli, nie chcąc by Beck był sam, w izolacji. Tak samo z własnej woli towarzyszyli mu sekretarze Doman Rogoyski i Ludwik Łubieński oraz panie Waleria Grabowska i Halina Jaworska. Pan Rogoyski towarzyszył ministrowi aż do śmierci.

W Bukareszcie wynajęliśmy wraz z panią Warchałowską, żoną uwięzionego przez Niemców naszego konsula gen. w Królewcu, oraz z panami kons. Czyżewskim i nacz. Samborskim — kilku-pokojowe mieszkanie położone w centrum miasta.

Na dole domu rumuńska policja polityczna (*Siguranza*) umieściła swojego agenta. Było to nawet wygodne, dawałem mu parę lei i pełnił funkcje mego odźwiernego i informatora.



Polski Bukareszt huczał od plotek i żalów biednych i rozgoryczonych ludzi. Oliwy do ognia dolewał prof. Kot, jego urzędnicy i pochlebcy. W inspirowanej *Gazecie Polskiej* wypisywano horendalne nonsensy, aż mi było wstyd za tych, co to musieli czytać. Pochlebcy, których nie brak w każdym reżymie, pielili hymny pochwalne na rzecz ludzi w Rządzie polskim w Paryżu, których przecież wcale albo niewiele znali. Mieszano z błotem i obrzucano potwarzami Nacz. Wodza marsz. Śmigłego, i b. rząd, i b. Prezydenta, sanację i w ogóle piłsudczyków. Sikorski przybierając pozy i ton zbawcy ojczyzny, ba Europy nawet, przyrzekał uroczystie stworzyć „nową” Polskę i „nowe” wojsko polskie, prawdziwie polskie, prawdziwie demokratyczne.

U ministra Becka w Brasov

Pojechałem odwiedzić min. Becka w Brasov.

Minister z rodziną, dwoma sekretarzami i maszynistkami zajmował piętro przyzwoitego hotelu, nadal jako „gość” królewski. Pomieszczenie, wyżywienie restauracyjne, wszystko na poziomie znacznie wyższym, aniżeli to co widziałem u Prezydenta w Bicz.

Zdałem ministrowi relację o dwóch skupiskach Polaków i urzędników naszych. Jedno w Bukareszcie, chodzące luzem, i drugie, liczniejsze niż w Bukareszcie, w pogranicznej miejscowości Turnu Severin. Skupisko to było dobrze zorganizowane i zdyscyplinowane. Kierował tym zespołem z całym poświęceniem nacz. Tadeusz Kawalec. Majątek MSZ w postaci samochodów, maszyn do pisania itp. zewidencjonowany sprzęt znajdował się pod opieką Kawalca. Pieniądze MSZ są nadal w moim posiadaniu, nikt z Paryża nie zgłasza się po nie, jak również po akta, personalia itp. dokumenty, które są nadal pod moją opieką.

Ambasada, w której musiałem być dwa razy, jest o tym poinformowana, lecz nadal okazuje kompletną obojętność.

Beck prosił mnie, abym korzystając ze swobody ruchów nawiązał łączność z Herculanum, gdzie znajdują się byli ministrowie oraz grupa generałów.

Wizyta w Herculanum

Herculanum, tak jak Turnu Severin, leżało niedaleko granicy jugosłowiańskiej. Był to podobny wąwóz jak w Slanicu, tylko, że ładniej i lepiej zabudowany.

W Herculanum zastałem wszystkich ministrów w komplecie. Mieszkali w jednej olbrzymiej willi. Mieszkało tam również paru generałów.

Od gen. A. J. Narbut-Łuczyńskiego dowiedziałem się, że ma akta Inspektoratu Sił Zbrojnych, a między innymi historyczny rozkaz Marszałka Piłsudskiego z 6 sierpnia 1920 roku. Generał obawiał się oddać te akta w nieodpowiedzialne ręce. Przyrzekłem gen. Łuczyńskiemu, że zajmę się tą sprawą.

W tym okresie czasu niektóre konsulaty jeszcze ze mną współdziałały. Tak było z konsulem w Czerniowcach, Tadeuszem Buynowskim. Z Konsulem Adamem Mikuckim w Bukareszcie, stosunki jakoś się układały, co prawda jak po grudzie. Mikucki zezował w kierunku nowych władców R.P., ale jego dawne powiązania z obozem piłsudczykowskim przeszkadzały mu w tym. Mikucki zgodził się wysłać po odbiór akt i przywiezienie ich do Bukaresztu — wicekonsula Stapińskiego, który z zadania wywiązał się bardzo dobrze. Akta szczęśliwie dotarły do właściwych rąk i znajdują się, jak mnie poinformował min. Wacław Jędrzejewicz, w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku.



Gen. Sikorski, jak wiadomo, powołał Komisję do Badania Przyczyn Kłeski. W Bukareszcie powstała już w Październiku Ekspozytura tej Komisji — nowego polskiego Gestapo, jak je w swoim *Dzienniku Ankarskim* nazwał ambasador Michał Sokolnicki. Szefem Ekspozytury mianowano adwokata warszawskiego, Aleksandrowicza, zastępcą Robinsona. Zadaniem Komisji — stosownie do rozplakatowanego sławetnego apelu gen. J. Hallera — i obowiązkiem każdego Polaka było składanie zeznań dotyczących „przestępstw rządu sanacyjnego”, nieprzygotowania do wojny itd., itd. Ponadto zadaniem Komisji było — powtarzam słowa prof. Kota — „wypalić rozpalonym żelazem do białości — pił-

sudczyznę". Przypomniało mi się powiedzenie Dzierżyńskiego, szefa Czeki: „Czeka nie jest sądem, to zemsta ludu”.

Zapobiegliwie pomyślano i o karnych „łagrach”. Miały być utworzone dwa „obozy odosobnienia”, jeden we Francji, drugi w Algierze.

W listopadzie, jako oficer w stanie spoczynku, dostałem wezwanie od ppłk. T. Zakrzewskiego. Nim zdążyłem usiąść oznajmił, że z rozkazu Nacz. Wodza mam się udać, pod eskortą, do Algieru. Odpowiedziałem ostro: „Nie jestem zmobilizowany i nikt nie ma prawa wydawać mi rozkazów”, po czym nie żegnając się wyszedłem.

Dowiedziałem się, że ambasada w porozumieniu z płk. Zakrzewskim ułożyła listę 30 osób, które miały być deportowane do Algieru. Na razie wzywano pojedyncze osoby, które oświadczały Zakrzewskiemu to samo co ja. Postanowiono uzyskać sankcje Paryża. Rada Ministrów w Paryżu, w maju 1940 listę tę zatwierdziła, ale, ile wiem, nikt poza gen. W. Stachiewiczem nie został deportowany. Lista obejmowała byłych ministrów, b. premierów i dwu dyrektorów departamentu tj. mnie i dyr. departamentu Min. Spraw Wewnętrznych — Żyborskiego.

Gen. Stachiewicz zbiegł z rumuńskiego obozu internowanych 6 stycznia 1940 roku, przy pomocy inż. Kamieńskiego. Inż. Kamieński, którego znałem z Warszawy, zwrócił się do mnie bym „schował” gen. Stachewicza. Miałem wtedy do dyspozycji bardzo prymitywną melinę, w której pod opieką p. Romualda Kawalca, umieściłem gen. Stachewicza. W tych prymitywnych warunkach gen. Stachiewicz spędził około miesiąca, poszukiwany przez Rumunów, Niemców i — niestety — Polaków. Przenieśliśmy go później do pensjonatu⁷ prowadzonego przez, współdziałające z grupą byłych dostojników polskich, panie należące do arystokracji greko-rumuńskiej. W pensjonacie tym mieszkali już b. premier Janusz Jędrzejewicz z żoną, którzy zajęli się gorliwie umieszczeniem gen. Stachewicza.

Zamierzeniem gen. Stachewicza było dostać się do Paryża i zameldować u gen. Sikorskiego, by przedstawić mu szereg zagadnień, nieznanych mu, bądź fałszywie oświetlonych, a nade wszystko by zwrócić mu uwagę na obowiązek niepomniejszania przez Polaków naszego dorobku wojennego i wskazać na niedotrzymanie umów przez aliantów i pozostawienie Polski walczącej samotnie. W warunkach jakie zapanowały w Bukareszcie nie mógł jechać pod własnym nazwiskiem, tym bardziej że i Niemcy

7. Casa Regina Elisabete, 6 piazza Filantropia.

i Rumuni poszukiwali go. Pozostała jedyna droga skorzystanie z paszportu i wiz wystawionych na inne nazwisko.

Naczelnik B. Samborski, pracujący w Delegaturze, przedstawił Mir. Arciszewskiemu, Delegatowi do spraw uchodźczych, paszport do podpisu, ale Arciszewski — do niedawna obnoszący się ze swoją przynależnością do obozu Józefa Piłsudskiego — wydalil naczelnika Samborskiego z pracy, bo z fotografii, poznał gen. Stachewicza. Sprawa wyrobienia paszportu odwlekła się na dłuższy okres czasu.

Gen. W. Stachewicz ponownie usiłował zameldować się u gen. Sikorskiego. Przedostał się do Belgradu, gdzie ciężko zachorował. Zamieszkał w jakimś hotelu. Na korytarzu hotelowym poznała go jakaś warszawianka i niezwłocznie dała znać swemu przyjacielowi i szefowi Oddziału II na Jugosławię — majorowi Wierzbickiemu, który po porozumieniu się i w asyście naszego attaché wojskowego mjr. Czerwenki aresztował gen. Stachewicza. Na polecenie gen. Sikorskiego eskortowano gen. Stachewicza do Algieru i tam — z rozkazu Sikorskiego w porozumieniu z wojskowymi władzami francuskimi — internowano go w jakiejś małej osadzie arabskiej aż do końca wojny!

Rozdział V

PRZEKAZANIE MINISTERSTWA SPRAW ZAGRANICZNYCH, WYŚLANNIKOWI MIN. ZALESKIEGO

W październiku 1939 roku przybył do Bukaresztu Marian Szumlakowski, nasz poseł w Madrycie i wieloletni totumfacki min. Augusta Zaleskiego. Przydzielono mu do pomocy radcę ambasady w Paryżu, Henryka Stebelskiego.

Szumlakowski wręczył mi pismo min. Zaleskiego udzielające mi „urlopu bezpłatnego z dniem 18 października 1939”.

Szumlakowskiego najbardziej obchodził Fundusz Specjalny ministra, z którym ja nie miałem nic wspólnego. Skierowałem go w tej sprawie do Seweryna Sokołowskiego, wicedyrektora gabinetu Ministra, któremu podlegały sprawy szyfrów, funduszu specjalnego i referat archiwalno-historyczny.

Mogłem i zdałem Szumlakowskiemu całość ministerstwa jak: majątek ruchomy, akta i pieniądze, pobrane u nac. Wydziału Budżetowego MSZ w Krzemieńcu L. Szepiełowskiego, na wydatki bieżące MSZ. Najmniej aktów miałem z Departamentu Po-

litycznego, który po wyjeździe wicemin. Szembeka na Węgry był w chaosie. Każdy naczelnik Wydziału na własną rękę biegął do ambasady, zostawiał tam swoje nieliczne, bo podręczne akta, no i... oczekiwał na nowe przydziały z Paryża. Jako kierownik II rzutu nie miałem wpływu na tego rodzaju postępowanie...



Pracę *zdawczą* zacząłem od Biura Personalnego. Wszystkie spisy i teczki personalne urzędników etatowych oraz pracowników umysłowych (kontraktowych) wraz ze szczegółowym spisem funkcjonariuszy niższych, którzy przekroczyli granice polsko-rumuńską, doręczyłem Szumlakowskiemu. Polecilem jego opiece radcę ministerialnego, panią Janinę Jabłońską, pracującą od lat w Biurze Personalnym a od roku 1918 w ministerstwie. Z jej pracy i wiedzy nie skorzystano, spotykałem ją w Jerozolimie samotną i schorowaną.

W trakcie zdawania ministerstwa doszła mnie wiadomość, że Konsulat w Czerniowcach na skutek panikarskiej depeszy Ambasady, spalił wszystkie akta i dowody kasowe własne, oraz walizkę aktów ściśle tajnych, kasowych Wydziału Budżetowego Departamentu Administracyjnego MSZ. Akta Dep. Admin. poleciłem dyr. Schimitzkowi zostawić pod opieką Konsulatu w Czerniowcach. Bałem się więc je do nieznanego nam wszystkim Słanica, dokąd kierowali nas Rumuni⁸.

Nerwowość niczym nieuzasadniona, mogła wielu urzędników naszej służby narazić na przykrości jeśli nie natury kryminalnej, to rzucić cię podejrzenia. Na szczęście dla mnie, byłem przezorny i posiadałem, i nadal posiadam, kopie bądź oryginały moich sprawozdań finansowych, no i kwity. Znałem partnerów, którzy dorwali się do władzy.

8. Protokół spalenia aktów MSZ w Konsulacie w Czerniowcach:

„Dnia 20 września 1939 roku nacz. Szepietowski, radca Rolski i zastępca kasjera P. Kowalski, w obecności dyr. Schimitzka, zdeponowali w Konsulacie R.P. w Czerniowcach walizkę opieczetowaną. Walizka ta według oświadczenia wymienionych, zawierała dowody kasowe MSZ. W związku z instrukcją szyfrową pana Ambasadora w Bukareszcie z dn. 25 września, zawierającą polecenie zniszczenia archiwum konsulatu, wymieniona walizka została otwarta a zawartość spalona w dniu 26 września 1939 wraz z całym archiwum Konsulatu R.P. w Czerniowcach. Oświadczenie odbite w 5 egzemplarzach oryginalnych z których otrzymują po jednym egzemplarzu: 1. Dyrektor W. T. Drymmer; 2. Nacz. Szepietowski; 3. Nacz. Samborski; 4. dr Figlarewicz; 5. Konsul Jakubski dla konsulatu w Czerniowcach. Podpisy: dr Aleksander Figlarewicz, radca MSZ. Dep. Konsularny Zbigniew Jakubski, konsul R.P. w Czerniowcach. — 11 października 1939”.

Wymieniam najważniejsze dla mnie dokumenty i sprawy, które zdałem p. Szumlakowskiemu:

[1.] Oryginał protokołu o utworzeniu konta w Banku Gospodarstwa Krajowego — E.U.U.O. 556 - r/4 pod hasłem Światowy Związek Polaków. Data: 18 czerwca 1935. Na rachunek ten wpłacać poleciłem rezerwy Dep. Konsularnego na cele specjalnej wagi. Pieniądze te były wpłacane i wypłacane „za dwoma podpisami z trzech, złożonych w banku”. Podpisani byli: Dyrektor Departamentu Kons. W. T. Drymmer, naczelnik Wydziału dr W. J. Zaleski i kierownik referatu ogólnego dr A. Koch. Na książce figurowała suma 750 tys. złotych.

[2.] Dowód kasowy (kwit) z 30 września 1939 dany naczelnikowi Leonardowi Szepietowskiemu, który nadal pozostawał naczelnikiem Wydziału Budżetowego ministerstwa w Paryżu, na książkę wkładową B.G.K. nr 4670 na sumę: 244.325,86 zł., oraz protokolarne stwierdzenie 3-ch osób, że pieniądze te zużyte były na cele Światowego Związku Polaków, jako rezerwy finansowe przeznaczone dla organizacji polskich w Niemczech, Litwie, Łotwie i Rumunii na wypadek wojny.

[3.] Wyliczenie z przekazanych mi we wrześniu 1939 przez nacz. Szepietowskiego:

a) 160.313,40 zł., które zużyłem częściowo na niezbędne wydatki ewakuacyjne, nieliczne zapomogi, „odprawy trzymiesięczne”, stosownie do zarządzenia Rady Ministrów, dla tych urzędników, którzy byli nieobecni przy wypłacaniu tej „odprawy” w Krzemieńcu.

Nacz. Szepietowski potwierdził mi odbiór dowodów kasowych, jak i zwróconych mu 137.990 złotych gotówką. Kwit z 30 września 1939.

b) Nacz. Szepietowski w Krzemieńcu 15 września 1939 dodał do mojej sumy 160.313,40 zł. następujące sumy w walutach: £.200,00, \$ 1.000,00, lei 80.000, marek niemieckich 14.500, koron czeskich 11.500, pengö węgierskich 2.025, fr. szw. 500, fr. franc. 1.500, rubli sow. 1.295. — Wyliczyłem się nacz. Szepietowskiemu z tych sum w dniu 30 września 1939 i otrzymałem od niego pokwitowanie z odebranych przez niego £.187,00, \$ 700,00, oraz marek niem., koron czeskich i innych wyżej wymienionych walut, które zwróciłem w całości. 13 funtów ang. i 300 dol. am. wypłaciłem jako zaliczki urzędnikom z placówek zagranicznych, powracających na swe placówki macierzyste. 100 dol. wypłaciłem p. Warchałowskiej, żonie uwięzionego przez Niemców konsula generalnego na poczet jego pensji. Wymieniłem 200 dolarów na lei.

c) Wyliczenie z lei rumuńskich. Ze zmiany 200 dolarów

plus ze zmiany 500 tys. złotych i 50.000 lei otrzymanych od dyr. Barańskiego otrzymałem razem 10.130.000 lei. Wydatkowałem z tego 2.290.000 lei.

Nacz. Szepietowski otrzymał ode mnie w gotówce zwrot 7.839.456 lei i resztę kwitami, które aprobował.

[4.] *Samochody*, wszystkie zdałem za pokwitowaniem to jest: 5 samochodów służbowych MSZ, dwa nabyte w drodze od dyr. kanc. cywilnej p. S. Łepkowskiego na szosie Tarnopol-Kuty, celem przywiezienia amb. Lipskiego i jego personelu z Krzemieńca do Kut. 23 samochody według spisu, zarekwirowane przeze mnie w czasie ewakuacji, dla przewiezienia urzędników względnie aktów.

[5.] *Pieczęcie MSZ* za pokwitowaniem: 2 duże do tuszu, 2 małe do laku, 1 pieczęć specjalna do laku.

[6.] *Archiwa bieżące*, jakie miałem w Biurze Personalnym i Dep. Konsularnym, oraz część archiwum historycznego Gabinetu Ministra, akta Dep. Administracyjnego.

[7.] Samodzielna komórka (referat) komunikacji radio-telegraficznej, prowadzony przez radcę Weinsteina, utrzymał swój drogocenny sprzęt, którego, *nota-bene*, ambasada nie chciała przyjąć. Radca Weinstein dowiózł w całości swój sprzęt aż do Paryża.



Przekazując stan materialny Ministerstwa uważałem za swój obowiązek — podzielany przez szereg urzędników z Dep. Konsularnego jak i Biura Personalnego — że trzeba przekazać przyszłym kierownikom tych działów objaśnienie na piśmie.

Zajęło nam cały dzień i całą noc zredagowanie wielostronnicowego raportu zdawczego, w którym wraz z kolegami, którzy ze mną pracowali, przedstawiliśmy obszernie stan pracy i nasze zobowiązania do chwili opuszczenia terytorium Rzplitej. Czy i kto ten raport w Paryżu czytał, nie wiem. Niestety nie zachowałem sobie odpisu tego dokumentu.

Wiem tylko z późniejszych wydarzeń że nasze tereny osadnicze we Francji, Argentynie i Brazylii — zostały sprzedane. Czemu? Przecież to był majątek, który z każdym rokiem nabierał wartości a administracja kosztowała grosze. Ponadto tereny te mogły stać się punktem oparcia dla przyszłej emigracji politycznej. Ale, myślę, że w Paryżu nikt takiej ewentualności nie przewidywał.

Naszą pracę sprawozdawczą nad osadnictwem utrudniało to, że ludzie odpowiedzialni za ten odcinek pracy, szybko ulotnili się z Rumunii do Belgradu. Podobno prezes Międzynarodowego

Tow. Osadniczego, Mieczysław Lepecki, miał rzekomo zdawać relację ze swej pracy w Paryżu. Czy tak było i komu przedstawił to sprawozdanie nie mogłem się dowiedzieć ani od niego, ani od nacz. wydziału, dr. A. Zarychty, który mu towarzyszył.

Tak więc 18 października 1939 zakończyłem pracę urzędniczą, zaczęłą wiosną 1929 roku. Przesłużyłem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych z górą 10 lat.

Rozdział VI

SZPIEGOSTWO I WROGA DYWERSJA W MSZ I INNYCH RESORTACH PAŃSTWOWYCH

W czasie mojej pracy w MSZ miałem pośrednią, albo bezpośrednią styczność z aferami szpiegowskimi, albo aferami subtelnej dywersji politycznej, dyrygowanej przez Rosję sowiecką, wrogą zdrowej, prężnej i prosperującej Polsce.

Długo zastanawiałem się czy w moich wspomnieniach nie opuścić tych smutnych wydarzeń z naszej rzeczywistości, ale doszedłem do przekonania, że przemilczanie tych faktów jest swego rodzaju fałszerstwem, a mnie zależy by przekazać przyszłym historykom prawdę taką, jaką widziałem lub odczuwałem, niezafałszowaną i nie wybieloną.

W rozdziale tym pomijam drobne szantaże i przestępstwa naszych woźnych, w stosunku do których bolszewicy nie cofali się, jak to u nich w zwyczaju, przed naciskiem fizycznym i więzieniem.



Sprawa E. Arciszewskiej, żony byłego posła R.P. w Bukareszcie (w latach od końca roku 1932 do maja 1938) Mirosława Arciszewskiego.

Pod koniec posłowania pana Arciszewskiego w Bukareszcie poczęły docierać do Warszawy plotki, najpierw do korpusu dyplomatycznego, a potem do MSZ dotyczące sposobu bycia pani Arciszewskiej. Pod koniec roku 1937 szef Oddziału II Sztabu Głównego, skierował do mnie oficera Oddz. II, uprzedzając mnie w imieniu szefa Oddz. II, o nałogowym alkoholizmie pani Arciszewskiej i przebywaniu jej w podejrzanych lokalach, bez męża, w towarzystwie Rosjan z Rosji sowieckiej. (Pani E. Arciszewska była „białą” Rosjanką). Rzecz oczywista musiałem zdać z tej

interwencji sprawę ministrowi Beckowi, tym bardziej że Arciszewski i Beck byli serdecznymi, starymi przyjaciółmi. Arciszewski był uważany przez wszystkich za człowieka Becka i jego polityki.

Upředzenie przez Oddz. II znalazło wkrótce potwierdzenie w sprawozdaniu urzędnika, poważnego i zrównoważonego, który właśnie powrócił z podróży kurierskiej do Bukaresztu. Urzędnik ten musiał asystować posłowi Arciszewskiemu przy przeniesieniu do sypialni, pijanej do nieprzytomności, leżącej nago w hallu poselstwa E. Arciszewskiej. Osobisty służący dodał komentarz, że to się często zdarza pani ministrowej. Jak się później dowiedziałem, pijatki pani Arciszewskiej znane były w MSZ. Milczano, sądząc, że min. Beck pobłaza przyjacielowi.

W lutym 1938 roku bomba wybuchła. Min. Beck wezwał mnie do biura, co mnie zaskoczyło. Zastałem go bardzo podnieconego. Był u niego przed chwilą ambasador włoski, który poinformował go w formie półoficjalnej o ucieczce z Rumunii do Włoch — pułkownika sowieckiego, attaché sowieckiego na Rumunię no i oczywiście szefa wywiadu sowieckiego. Pułkownik sowiecki poczynił szereg rewelacji, między innymi jako na pracującą na rzecz wywiadu sowieckiego, wskazał na żonę posła polskiego pana Arciszewskiego, Eugenię Arciszewską.

Beck polecił mi wezwać Arciszewskiego do Warszawy, mówiąc że powie mu o informacji włoskiej i interwencji naszego Oddziału II. „Arciszewski musi wybrać albo służbę, albo rozejść się z żoną, która nie będzie mogła mieszkać w Polsce”. Ponadto dodał: „szukaj nowego posła, który zostanie ambasadorem”. Byliśmy w trakcie rozmów co do podniesienia obu poselstw do rangi ambasad.

Jak mi minister potem mówił, wezwany Arciszewski był zdruzgotany wiadomością. Oświadczył, że rozejdzie się z żoną i że żona nie będzie mieszkać ani przyjeżdżać do Polski.

Ambasadorem został mianowany Roger Raczyński, na osobistą prośbę prezydenta Mościckiego.



Tuż przed wojną, na konferencji, o której pisałem, min. Beck poinformował Arciszewskiego o ewentualnej jego nominacji na min. propagandy lub na stanowisko podsekretarza stanu w Prezydium Rady Min. do spraw propagandy.

Na kilka dni przed wojną Arciszewski po cichu sprowadził swoją żonę do Warszawy. Oddział II Sztabu Głównego, powiadomił min. Becka o zamierzonym jej aresztowaniu. Nie znam roz-

mowy min. Becka z M. Arciszewskim po tym incydencie, wiem tylko tyle, że stosunki między obu panami uległy praktycznie zerwaniu. Nie wiem nawet co robił b. poseł Arciszewski w czasie wojny, nie widziałem go ani w Krzemieńcu ani w Kutach. Zobaczyłem go dopiero w Slanicu w Rumunii. Minister nadal ignorował go poruczając mnie zastępowanie go na Radzie Ministrów, zwoływanej dość często przez gen. Sławoj-Składkowskiego.

W czasie wojny, w latach 1941-43 pani Arciszewska spędzała czas w Kairze, oczekując na wyjazd do Południowej Ameryki, gdzie jej mąż dostał stanowisko posła R.P.



Naczelnik Stanisław Próchnicki przyszedł do MSZ z wojska, z Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych (ministrem był wówczas Józef Piłsudski) wraz z pułkownikiem J. Beckiem. Próchnicki otrzymał stopień radcy. Z czasem został naczelnikiem wydziału w Departamencie Administracyjnym. Między innymi do zakresu jego pracy należało przyjmowanie i wysyłanie poczty dyplomatycznej, przewożonej przez kurierów.

Kurierami (zawsze dwóch) byli urzędnicy centrali MSZ. Kurierów zawodowych, stałych, jak w wielu innych państwach, nie mieliśmy, lecz używaliśmy przeważnie urzędników młodszych, którzy przy tej sposobności zwiedzali świat i przy naszych skromnych uposażeniach mogli sobie na dietach zaoszczędzić parę groszy. Często do podróży kurierskich używaliśmy urzędników, którzy z obowiązku służbowego, lub gdy zachodziła potrzeba wyjeżdżali za granicę by jakąś sprawę przedyskutować na miejscu. Ta forma kurierów wydawała się skuteczna i niekosztowna.

Był to prawdopodobnie rok 1934, gdy przybył z Waszyngtonu, i zgłosił się do ministra, radca ambasady dr Zdzisław Klimpel, z poleceniem ambasadora Jerzego Potockiego złożenia min. Beckowi raportu ustnego. Zostałem wezwany do ministra. W mojej obecności Klimpel meldował: do Ambasady naszej w Waszyngtonie przywieziono z Warszawy walizkę dyplomatyczną. W liście do ambasady naczelnik Próchnicki pisał, aby walizkę tę doręczyć osobie, która się zgłosi z pasującymi do niej kluczami. Ponieważ w naszej służbie nic podobnego się nie działo, wywołało to słuszne zdziwienie i ciekawość, tym większą, że po odbiór walizki zgłosił się jakiś typ gangsterski. Dr Klimpel zwierzył się ze swych podejrzeń ambasadorowi, który polecił walizki nie wydawać, natomiast ją otworzyć przy świadkach i spisać protokół. Walizka zawierała szereg woreczków, wypełnionych białym proszkiem. Analiza przeprowadzona w Waszyngtonie wykazała,

że jest to heroína. Wartość walizki oceniano na około pół miliona dolarów. Dowody rzeczowe, protokół otwarcia dr Klimpel doręczył mnie. Min. Beck kazał niezwłocznie wezwać nacz. Próchnickiego i w naszej obecności zapytał go skąd się wzięła heroína w pocztce dyplomatycznej, wysyłanej z Warszawy do Waszyngtonu i komu miała być doręczona. Naczelnik Próchnicki milczał. Min. Beck zawiesił go w czynnościach. By nie wzbudzać sensacji, polecił mi drogą perswazji postarać się o nakłonienie go do podania źródła, z którego wziął tak znaczną ilość heroíny. Tegoż samego dnia, pod koniec mego urzędowania, otrzymałem depeszę szyfrową od ambasadora Łukasiewicza z Moskwy, w której donosił, że przyniesiono do ambasady dużą, ciężką skrzynkę z prośbą o skierowanie jej do rąk własnych naczelnika Próchnickiego. Ponieważ skrzynka była ciężka i nieporęczna dla bagażu dyplomatycznego, ambasador polecił przepakować ją i włożyć zawartość do dwóch waliz. Gdy skrzynię otwarto okazało się, że zawiera woreczki z białym proszkiem. Połowę zawartości tej skrzyni wysłał do mnie, bowiem wszystko to wydaje mu się bardzo podejrzane. Na drugi dzień walizka przysłała. Okazało się, że to jest heroína, zapakowana identycznie jak woreczki, wysłane do Waszyngtonu. Wiedzieliśmy zatem, że heroína szła z Moskwy do Stanów Zjednoczonych. Powiadomiłem ministra o tym nowym transporcie. Min. Beck powiedział mi, że musi powiadomić premiera i Marszałka Piłsudskiego i zapytać czy może sprawę skierować do prokuratora, co oczywiście połączone byłoby z rozgłosem (Moskwa-Waszyngton-polska poczta dyplomatyczna).

Oczekując na rezultat rozmowy min. Becka próbowałem w towarzystwie dr. A. Zarychty, mego zastępcy w departamencie konsularnym, wydobyć od Próchnickiego, kto jest nadawcą tej heroíny a kto odbiorcą, oraz dowiedzenia się od niego przyczyn pójścia na drogę szmuglu tej heroíny. Jak również podanie współników. Jego sposób bycia nie zdradzał, by posiadał nadmiar pieniędzy, ani też aby był graczem czy narkomanem. Próchnicki milczał. Zabrałem go na obiad. Prosił o wstąpienie do kościoła. Modlił się długo. Po obiedzie powróciliśmy do MSZ, poprosiłem go o oddanie mi broni, jeśli posiada. Dał mi duży browning 7 mm. Znow zaczęły się z nim rozmowy zupełnie beznadziejne, bo nie odpowiadał na żadne pytanie. Po jakimś czasie Próchnicki zapytał czy mógłby zejść do suteryny MSZ, gdzie obok naszej stołówki, miało swój pokój Koło Pań z MSZ i pełniło w nim dyżury. Zszedłem z nim razem. Zastaliśmy tam panią X. — flirt Próchnickiego (był żonaty). Po przywitaniu się Próchnicki wyjął srebrną papierośnicę poczęstował papierosem ową panią a potem mnie. Gdy podawałem jej ognia zobaczyłem Próchnickiego

kątem oka z lufą niklowego pistoletu w ustach. Huknął strzał. Próchnicki runął na podłogę, w rękę trzymał zaciśnięty browning nikłowy małego kalibru 5 mm. Pani X. wydała okrzyk przerażenia i uciekła. Rzuciłem się do telefonu wzywając pogotowie ratunkowe. Przybyły lekarz stwierdził natychmiastową śmierć. Zawiadomiłem policję i próbowałem złapać min. Becka, który był nieobecny w domu.

Przybyła policja. Zatelefonował min. Beck, któremu powiedziałem o samobójstwie Próchnickiego. Minister powiedział mi, że Komendant polecił sprawę skierować do prokuratora. Oczywiście obecnie jest to już nieaktualne. Powiadomiłem jedynie Oddział II Sztabu Głównego.

Sprawa Próchnickiego, który niewątpliwie został wciągnięty do tej przestępczej akcji przez wywiad sowiecki, nabrała rozgłosu dopiero po wojnie, w prasie krajowej. Nie oskarżają mnie tam co prawda o zabójstwo, ale o pozostawienie Próchnickiemu rewolweru, by odebrał sobie życie.

Oddział II nic w tej sprawie nie mógł zdziałać, skonstatowano jedynie, że dziwnym przypadkiem żona Próchnickiego, w zakładzie fryzjerskim, uległa porażeniu prądem elektrycznym i zmarła.



Z wiceministrem (poprzednio dyrektorem departamentu) Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, p. Kaweckim miałem z urzędu stosunkowo częsty kontakt. Nigdy nie czułem do niego najmniejszej sympatii. Znałem aż nadto dobrze wypadki deprawowania młodzieży akademickiej, przez zamienianie co słabszych charakterem na „łapsów”. Nie podobało mi się również i to, że podsuwał min. Beckowi jakieś pisma, ulotki, atakujące go lub wręcz oskarżające go o defraudacje finansowe, a nawet lokowanie za granicą złota zdobytego nielegalnie. Oskarżano w tych pismach Becka o zabójstwo Zagórskiego i Bóg wie co. Z czasem, gdy Sławoj-Składkowski począł zabierać Kaweckiego na posiedzenia Rady Ministrów, Kaweckie stałe dostarczał Beckowi „Falangę”, nielegalne pismo Obozu Radykalno-Narodowego, redagowane przez Bolesława Piaseckiego. Początkowo min. Becka to bolało; przejmował się tymi płaskimi „rewelacjami”, z czasem oddawał mi je, nie czytając. Kiedyś w rozmowie z min. Beckiem zeszła rozmowa na Kaweckiego. Powiedziałem wtedy Beckowi o mojej do Kaweckiego animozji i jego „parszywych” metodach pracy wśród młodzieży akademickiej. Nie mogłem zrozumieć czemu Kaweckie np. atakuje przed ministrem Jaśkiewicza, mego zastępcę w Biurze Personalnym, za bezbożnictwo, a mnie — z którym wielokrotnie

rozmawiał, nigdy słowem o swoich zastrzeżeniach w stosunku do Jaśkiewicza, najlepszego i najprzystojniejszego człowieka, nie powie. Nigdy ze sfer katolickich z którymi byłem w bliskim kontakcie w mojej pracy, nie słyszałem zastrzeżeń w stosunku do Jaśkiewicza.

O ile wiem pierwszą osobą, która podniosła zastrzeżenia w stosunku do Kaweckiego był były wicepremier Marian Zyndram-Kościałkowski. W rozmowie ze mną, w klubie na Foksal, Zyndram-Kościałkowski pisał się mówiąc o Kaweckim. Dowiedział się bowiem od swego dawnego podkomendnego peowiaka, urzędnika Min. Spraw Wewnętrznych, że „Falanga” na skutek porozumienia się min. Kaweckiego z Bolesławem Piaseckim, *drukuje się w drukarni ministerialnej na papierze rządowym!!!*

„W jakim celu drukuje się antypaństwową i antyrządową ‘Falangę’, podjudzającą do ekscesów antyżydowskich otumanionych młodych endecków?” — pytałem zdumiony Zyndrama-Kościałkowskiego. — „Myślę, że jest to zorganizowana, pomyślana na długą falę akcja rozbijania Państwa Polskiego” — powiedział mi zamyślony i przygnębiony, Zyndram-Kościałkowski — i to wszystko działo się pod moim bokiem za pieniądze państwowe i pod osłoną policji”.

Na skutek interwencji b. premiera Zyndram-Kościałkowskiego, Kaweckie został usunięty ze swego stanowiska. Wskutek dziwnego oportunizmu, mianowano go senatorem.



Sprawa Kaweckiego wypłynęła w czasie wojny w Jerozolimie, a może i w innych Komisjach Badawczych, szukających materiału do oczerniania rządów „sanacyjnych” i Marszałka Piłsudskiego. Zasiadł w tej Komisji Aleksandrowicz, znany już czytelnikom, oraz Robinson i b. sędzia do spraw szczególnych w okresie rządów premiera Bartla, Luxemburg. Dwaj pierwsi panowie po roku 1945 przeszli na stronę reżymu warszawskiego. Luxemburg pozostał na Zachodzie.

Badając sprawę zabójstwa żandarma w Belwederze doszli do rewelacyjnych wyników. Marszałek Piłsudski nie zastrzelił żandarma Koryzmy, jak to podawała „Falanga” a za nią plotka warszawska. Żandarm Koryma stał żałobnej nocy na jedynym posterunku strzegącym tyłów pałacu belwederskiego, gdzie mieszkał Marszałek Piłsudski. Tyły pałacu belwederskiego to mały ogród belwederski, odgradzony niskim płotem od parku Łazienkowskiego i jakiejś małej uliczki czy alejki. Dostęp do parku belwederskiego był bardzo łatwy. Z badań Komisji wynikało, że dyrektor,

czy może już wiceminister, Kawecki, atakujący stale majora żandarmerii Mak-Piątkowskiego za złe lub niedostateczne zapewnianie bezpieczeństwa Marszałka Piłsudskiego, które może zapewnić jedynie Policja Państwowa, postanowił udowodnić, jak żandarmeria źle pilnuje Marszałka.

Kawecki wydał polecenie swemu naczelnikowi Wydziału Suchenek-Sucheckiemu „nastraszenie” żandarmerii, mającej straż nad pałacym belwederskim.

Suchenek-SuchECKI zabrał się do tego po policyjnymu. Znalazł jakiegoś bandziora warszawskiego, kazał mu wkraść się do parku belwederskiego i „nastraszyć” pilnującego żandarma. Bandzior zrobił to po swojemu, podszedł cicho do żandarma i strzelił, kładąc go trupem, po czym uciekł. Zabójstwo żandarma w Belwederze miało niesłychany rozgłos, znaleziono jakieś ślady... Suchenek-SuchECKI przerażony, że prędzej czy później „bandzior” zostanie odnaleziony, kazał go zlikwidować, trupa zakopano czy utopiono.

Dalsze dochodzenia Komisji Badawczej w Jerozolimie prowadziły do stwierdzenia, że Kawecki był podejrzany, że był na usługach sowieckich.



Stefan Litauer do roku 1932 radca Ministerstwa Spraw Zagranicznych do spraw prasowych i zastępca naczelnika Wydziału Prasowego.

Pracowałem z nim w tym samym Wydziale Prasowym.

Po objęciu przeze mnie, Biura Personalnego, postawiłem min. Beckowi wniosek o zwolnienie Stefana Litauera za złośliwe, niezgodne z prawdą informowanie dziennikarzy cudzoziemskich o naszej polityce zagranicznej. Po zwolnieniu z MSZ, Litauer został wysłany przez Polską Agencję Telegraficzną (PAT) do Londynu.

W czasie wojny w Londynie odsłonił swoje karty i pokazał komu służył.

Rozdział VII

NIEFORTUNNA PRÓBA POWROTU DO POLSKI

Moje przygotowania do powrotu do Polski były już na ukończeniu. Pojechałem do Brasov by pożegnać się z ministrem i

otrzymać od niego wskazówki jak mam przedstawić jego pogląd na sytuację międzynarodową i Polski.

Ministra zastałem w dobrej formie, pracował nad swoimi wspomnieniami. Pilnowany był jak i poprzednio przez szpiclów polskich, niemieckich i rumuńskich, mieszkających na tym samym piętrze hotelowym, na którym min. Beck z rodziną miał swoje pokoje. Polscy szpicle uniemożliwiali mu spacerować piesze i samochodowe, poszukując stale i nieodmiennie „złota, wywiezionego z Polski”. A znakomity prof. Kot najwidoczniej wierzył w tę głupią plotkę.

W Brasov zastałem wicedyrektora Jana Barańskiego, który usiłował nakłonić Becka do ucieczki, ofiarowując się, że będzie siedział w Brasov udając, że to minister. Istotnie był podobny do min. Becka zarówno wzrostem jak i ogólną postawą. Minister nie dał się nakłonić, mówiąc mu to samo co i mnie, w czasie poprzedniej wizyty: „Póki Prezydent jest internowany, ja nie mogę wyjechać”. To szlachetne stanowisko kosztowało go wiele zawodów, przykrości i upokorzeń, zakończonych fatalnie zorganizowaną ucieczką, ostrym internowaniem i wreszcie śmiercią. Minister dał mi do przeczytania i zapamiętania kopię swych listów do prez. Raczkiewicza i min. Zaleskiego, zorientował mnie w swojej ocenie sytuacji międzynarodowej, nalegał na wpływanie na rząd, by przeniósł się do Anglii, bo to Anglia będzie prowadzić wojnę, no i wreszcie, by pilsudczycy ustosunkowali się pozytywnie do legalnego rządu, reprezentowanego przez gen. Sikorskiego. Na zakończenie powiedział mi: „Mam nadzieję, że twoja wyprawa się nie uda i że zobaczymy się”. Wprawdzie moja wyprawa nie udała się, ale niestety widziałem ministra Becka po raz ostatni.

W y m a r s z

Na zebraniu członków K. 7. pod przewodnictwem Tadeusza Schaetzla, postanowiliśmy (wbrew memu zastrzeżeniu) iść całą sześciuosobową grupą. Nie upierałem się przy swoim zdaniu, gdyż przez dość ślamazarne zajmowanie się wymarszem jednego z kolegów, obawiałem się ponownego opóźnienia.

Postanowiliśmy aby przed wymarszem odbyć kilkudniowy trening narciarski, gdyż w Karpatach leżał jeszcze śnieg. Wieczory spędzaliśmy na ćwiczeniach w szyfrowaniu i deszyfrowaniu. Pojechaliśmy całą grupą do miejscowości podgórskiej Predeale i odbyliśmy dość forsowny trening. Byłem zaskoczony pięknymi

schroniskami góorskimi. Jak się dowiedziałem, prawie wszystkie schroniska należały do jakiegoś niemieckiego Vereinu.

Po powrocie do Bukaresztu zmieniłem mieszkanie, starałem się również zmienić mój wygląd zewnętrzny. Moje dokumenty, notatki, ubranie i palto oddałem serdecznemu przyjacielowi Bolesławowi Ziemiańskiemu.

Ostatecznie ustaliliśmy listę idących do Polski: Janusz Rudnicki, Józef Krzyczkowski, Stanisław Machnicki, Józef Kałuba i ja. Na Węgrzech miał do nas dołączyć Jan Urbaniec.

Każdy z nas był posiadaczem zmiany bielizny, przyborów do golenia oraz 60 dolarów. Pochód przez góry był ciężki. Głęboki, sycki śnieg. Z gór oglądaliśmy zieleniejącą już dolinę węgierską. Po przenocowaniu na granicy rumuńsko-węgierskiej, przy pomocy Ukraińca, przewodnika, przeszliśmy na północną stronę Karpat. Szliśmy bez mała szlakiem 2-giej brygady legionowej. Niedaleko był Huszt i Marmaros-Sziget, słynne z epopei legionowej.

Po stronie węgierskiej zatrzymaliśmy się w chacie Ukraińca-przewodnika. Jeden z kolegów był tak zmęczony pochodem, że prosił o zatrzymanie się dla odpoczynku. Mimo moich nalegań, by nie marnować czasu lecz wyjść ze wsi, zostaliśmy parę godzin. Był to błąd. W chacie mieliśmy wizytę podejrzanego, zamożnie wyglądającego Ukraińca. Czulem pułapkę i, jak się okazało, nie omyliłem się. Wyszliśmy. Na oczach całej wsi okrążyliśmy ją. Nigdzie nie widziałem możliwości by się odłączyć i skryć. Z daleka widziałem patrol żołnierski biegnący w kierunku mostu na rzece. Na moście zostaliśmy aresztowani włącznie z przewodnikiem, którego żołnierze węgierscy brutalnie poturbowali na naszych oczach. Po rewizji na posterunku granicznym, na którym zniszczyłem skrycie jeden z „lewych” dokumentów, związano nas sznurami i wrzucono do ciężarówki, która odwiozła nas do Huszt. Wpakowano nas do pojedynczych cel. Było przenikliwie zimno, śmierdziało uryną. Następnego dnia wpadł do celi mały, czupurny oficer węgierski, i coś wykrzykiwał po madziarsku, przeplatając swoje okrzyki powszechnie znanym słowem „bolszewik”, co w owych czasach na Węgrzech nie brzmiało przyjemnie. Przy przeprowadzaniu mnie do ustępu, zobaczyłem we drzwiach byłego wicekonsula Jana Urbańca również aresztowanego. Zdażyłem z nim zamienić parę słów: podejrzejwają nas o komunę?” — Skinął głową potakująco. Odpowiedziałem: „Wobec tego przynajmniej się do mego nazwiska i radzę innym zrobić to samo”. Znow miałem wizytę małego oficerka, znow pienieł się i wymyślał. Zacząłem i ja krzyczeć, tak by mnie usłyszano w innych

celach: — „Podejrzawają nas o komunę, przyznaję się do swego nazwiska, niech sprawdzą w Budapeszcie i Bukareszcie. Radzę innym zrobić to samo”. Jak się potem okazało wszyscy myśleli tak jak ja, obawiając się odstawienia nas do granicy bolszewickiej i oddania w ręce NKWD.

Podczas badania (tłumaczem był jakiś niezycziwy Ukraińiec), mówiliśmy zgodnie, że szliśmy do Polski do naszych, zostawionych tam rodzin. Nazwiska nasze są znane w Polsce. Nienawidzimy Niemców i Rosjan tak jak i oni, Węgrzy. Wydawało się nam, że wzbudziliśmy w Węgrach wiarę w to co mówimy. Nie spisywali protokołów.

Po paru dniach przewieziono nas do więzienia w Użhorodzie (Ungvar), tam wpakowano nas do wspólnej celi, wsadzając odwiecznym zwyczajem jakiegoś „łapsa”, podającego się za Polaka. On to puścił plotkę — powtórzoną mi podczas odwiedzin w Nagykanizsa przez gen. Głabisza, a później przez konsula Zarańskiego, że wieźliśmy ze sobą 60 tys. dolarów (sic).

Wkrótce z Użhorodu przewieziono nas do więzienia „przesyłkowego” w Budapeszcie. Było to więzienie-ogrom. Pluskwy były tak olbrzymie, jakich nigdy przedtem ani potem nie widziałem. Żarły nas i w dzień i w nocy. W więzieniu panował ostry rygor. Czwórkami wyprowadzano nas na spacer; często dolaływały nas w czasie przechadzki lub z innych cel strzępy mowy polskiej. Pełno było tych „turystów” polskich.

Znów przenosiny do innego więzienia w Budapeszcie — „skrytki” węgierskiego Kontrwywiadu. Był to stary areszt wojskowy, umieszczony wewnątrz koszar z czasów — jak to odczytałem z różnych napisów — Marii-Teresy. Cella była dość duża z trzema pryzkami po każdej stronie drzwi. Sienniki brudne, nie zmieniane od lat. Reżym równie ostry jak w więzieniu „tranzytowym”. Wychodzenie raz na dzień do ustępu. Żadnych spacerów. Okno zaśnieżone blachą. Natomiast jedzenie zupełnie dobre i obfite. Traktowanie przez dozorcę bardzo służbowe, bez złośliwości. Pilnowali nas chodzący po korytarzu młodzi żołnierze węgierscy. Przypominałem sobie, przy tej sposobności więzienie wieluńskie. Na korzyść wojskowego więzienia węgierskiego należało zapisać, że nie było w nim żadnego robactwa.

Chciałem nawiązać jakiś kontakt z dozorcą (profosem) naszego więzienia. Bezskutecznie. Poza węgierskim nie znał żadnego języka. Zostawiliśmy karteczki w ustępie w nadziei, że znajdzie się w nim jakiś Polak. Nie omyliliśmy się. Znalazł się i to nawet mój znajomy, student nazwiskiem Urjasz. Przychodził do mnie

do MSZ w jakichś sprawach akademickich. Spotkałem go przypadkiem w ustępie. Był kierownikiem meliny, która wpadła. Bito go po aresztowaniu. Siedzi parę miesięcy bez żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Był tak załęczniony, że nie poznał mnie. W jego celi siedział dezterter, oficer sowiecki. Zakochał się w jakiejś Polce, przeszli razem granicę na Węgry. Obecnie są rozdzieleni. Oficera trzymają w oddzielnej separacie — podobno mają go wydać bolszewikom. Tragedia miłosna w małym więzieniu węgierskim.

Via ustęp (stare gazety) dowiedzieliśmy się, że Francja poddała się Niemcom.

Rocznice śmierci Komendanta my dwaj legioniści, to jest Urbaniec i ja, uczciliśmy całodziwną głodówką. Zaniekokoilo to naszego profosa. Uspokoil się, gdy następnego dnia zjedliśmy wszystko co dostaliśmy.

Zabrano z naszej celi S. Machnickiego. Przez trzy dni martwiłiśmy się o niego. Co prawda z całej naszej grupy był najmniej poszlakowany, jako urzędnik spółdzielczy. Dobry facet, ale polityką się nie zajmował. Na czwarty dzień Machnicki powrócił do celi uśmiechnięty i zadowolony z siebie. Był badany, dwójkarze węgierscy byli niesympatyczni i traktowali go jak komunistę. Nie bito go, ani nie wymuszano zeznań. Kazali mu coś podpisać, podpisał (naiwniak), po czym bez komentarzy odstawili go do nas.

Wreszcie i mnie zabrano na badanie. Towarzyszył mi jakiś agent, mówiący nieco po niemiecku. Był uprzejmy. Przypominał mi się niedawne czasy sprzed paru lat zaledwie. Byłem w Budapeszcie przejazdem. Gościł mnie wtedy poseł S. Łepkowski. Byłem z nim na jakiejś wyspie na Dunaju, gdzie kąpałem się w... gorących źródłach, a potem w normalnej wodzie dunajowej. Łepkowski wozil mnie po całym Budapeszcie i pokazywał osobliwości tego miasta, kościoły, pływalnie, restauracje. Teraz szedłem z agentem węgierskim, który mnie pytał czy nie poszedłbym na wino. Poszedłbym, ale nie mam pieniędzy. Agent machnął ręką, przyspieszył kroku i zaprowadził mnie do jakiegoś biura, które okazało się biurem kontrwywiadu. Niewiele mnie pytano i nie kazano mi niczego podpisywać. Tłumacz, znający język polski, był bardzo uprzejmy.

W parę dni po tej wycieczce usłyszeliśmy przez okno wychodzące na dziedziniec, szum motorów i — ku naszemu przerażeniu — warczącą mowę niemiecką. Domysłaliśmy się, że Niemcy zajęli Budapeszt. Nasze wiadomości via ustęp, niespokojna

mina profosa i słowa „German”-„Deutsch” — potwierdziły nasze obawy.

Zajechał jakiś samochód pod nasze okna. Kazano nam opuścić celę i razem z naszymi skromnymi walizczkami, załadowano nas do wozu więziennego. Byliśmy przekonani, że przekazują nas Niemcom. Jakież było nasze zdziwienie, gdy wprowadzono nas do jasno oświetlonego, słonecznego pokoju, gdzie jakiś urzędnik w nienagannej polszczyźnie oświadczył nam, że zostaliśmy z jurysdykcji wojskowej przekazani do jurysdykcji cywilnej, która nas ukarze za nielegalne przekroczenie granicy rumuńsko-węgierskiej. Wyrok odsiedzimy w obozie. Na moje zapytanie jak długo, nie dostałem odpowiedzi. Byliśmy w każdym bądź razie uradowani. Myślałem o jakichś możliwościach ucieczki. Na razie zaprowadzono nas znów do więzienia, które rozpoczęło swoją czynność od zrobienia nam odcisków palców obu rąk. Na moje obiekcje, że w Polsce takie rzeczy są stosowane wyłącznie w stosunku do kryminalistów, Węgier nie bez złośliwości powiedział: „lepiej, że my to robimy a nie Gestapo”. Poza tym incydem, stosunek urzędników i policjantów zmienił się na lepsze, żyyczliwsze, powiem serdeczniejsze traktowanie.

W towarzystwie dwu żandarmów pojechaliśmy na dworzec kolejowy. Umieszczono nas w przedziale III klasy. Z żandarmami nie mogliśmy się dogadać, mówili wyłącznie po węgiersku, ale nie byli dokuczliwi.

Na wszelki wypadek przygotowałem kartkę papieru i zrobioną przez siebie kopertę. Na kartce opisałem nasze krótkie dzieje i że wiozą nas na zachód. Czekałem na sposobność by list rzucić. Pociąg zbliżał się do jakiegoś olbrzymiego jeziora. Domysliłem się, że to Balaton. Istotnie, pociąg zatrzymał się na stacji Balaton. Ku memu zdziwieniu zobaczyłem na peronie naszego — polskiego policjanta z naszymi kapralem. Pokazałem mu na migi żandarma, stojącego za moimi plecami i kopertę, którą dyskretnie trzymałem w dłoni. Koperta zaadresowana była do Poselstwa Polskiego, podałem adres, który pamiętałem. Gdy pociąg ruszył upuściłem kopertę, widziałem jak ją podniósł policjant. List ten, jak mi potem powiedziano, doszedł do poselstwa. Wiedzano o aresztowaniu nas⁹, nie wiedziano natomiast co się z nami stało.

9. Odpis depezy:

„Roger Raczyński z Bukaresztu do Poselstwa w Budapeszcie.

Bukareszt, 8. V. 40. Według posiadanych informacji Drymmer wraz z towarzyszami podróży Krzyczkowskim, Januszem Rudnickim, Urbańcem i Machnickim zostali uwięzieni na Węgrzech w cytadeli za nielegalne przekroczenie granicy węgierskiej”.

Rozdział VIII

NAGYKANIZSA

Żandarmi odstawili nas do gmachu więziennego w Nagykanizsa (wymawiało się *not'-kanizsa*), oficjalnie obóz internowanych. Więźniów-mężczyzn mało, w dziale kobiecym kilka Polek i Słowaczek, uwięzionych za pomoc okazywaną naszym ludziom idącym z Polski lub do Polski oraz kilkadziesiąt prostytutek węgierskich.

Zastaliśmy kilkunastu młodych Węgrów właśnie w czasie głódki kilkudniowej. Byli to jacyś faszysty, względnie hitlerowcy węgierscy, którzy zajęli w stosunku do nas pozycję wybitnie wroga. Powoli dogadaliśmy się z nimi, opuścili więzienie jako nasi przyjaciele. Zrozumieli postawę Polski w tej wojnie.

Łamaliśmy sobie głowę kto nas zdradził i kto oskarżył o komunizm. Domyślaliśmy się, że musiała to być robota Aleksandrowicza i Rostworowskiego, mimo że mieliśmy o nim zdanie jako o człowieku przyzwoitym. Łudziliśmy się. W wiele lat potem, w warszawskim *Przeglądzie Historycznym* nr 4 z roku 1966 przeczytałem artykuł o Konferencji Belgradzkiej, która miała miejsce od 29 maja do 2 czerwca 1940 roku. Referent, ppłk Rostworowski, kierownik „bazy” Rumunia, mówił: „Nie było żadnej łączności z terenem (z Polską — przypis W.T.D.), brak adresów organizacji, podawane przez Centralę adresy nie grały. Czas ten wykorzystaliśmy na uporządkowanie terenu Rumunii, w pierwszym względzie na zlikwidowanie innych istniejących na terenie organizacji (Schätzel, Drymmer, Rudnicki)”.

Tak, najprzyswoitsi ludzie w okresie wojny domowej stają się największymi kanałiami. Najprawdopodobniej Aleksandrowicz plus Kuźniarz i jemu podobni, dopomagali Rostworowskiemu w zlikwidowaniu nas, oskarżając przed Węgrami o komunizm z czym Węgrzy rozprawiali się surowo

Odwiedził mnie komendant wojewódzkiej policji węgierskiej. Zaczął mnie tytułować ekscelencjo, wreszcie doręczył mi dużą kopertę, w której był mój paszport dyplomatyczny. Przysłała go moja żona z Madrytu przez byłego attaché wojskowego węgierskiego w Warszawie. Attaché posłał go do komendanta policji węgierskiej, stąd to tytułowanie i wyróżnianie mnie. Zresztą wszystkich nas traktowano po tej wizycie bardzo przyzwoicie, serdecznie i z dużym współczuciem dla Polski. Komendant więzienia wychodził do nas w czasie przechadzek i pozdrawiał nas

po węgiersku. Pozwolił nam na rozmawianie ze starą gospodynią spod Koszyc, pół-Słowaczką pół-Polką, która nam powiedziała w zupełnie poprawnej polszczyźnie, że aresztowano i internowano ją za to, że przechowywała polskich wojaków idących w jedną albo drugą stronę.

Zaczęły przychodzić do nas listy. Utrzymywaliśmy ścisłą łączność z płk. Schaetzlem, a przez niego z szeregiem ludzi. Zastanowiły mnie dwa listy jakie dostałem z Polski. Jeden od człowieka z K. 7., który dał mi do zrozumienia, że wkrótce mnie oczekuje. Nic mu o tym nie pisałem, ani nie dawałem znać, bo nie wiedziałem czy jest pod znanym mi adresem. Drugi list od znajomej pani, która nigdy nie interesowała się zagadnieniami politycznymi. Ta, w dość przejrzystej formie dawała mi znać, że przyjaciele oczekują mego powrotu. Byłem zdumiony. Spotkałem ją w kilka lat później na emigracji. Zapytałem ją o tę przyslaną mi z kraju wiadomość. Powiedziała, że tak się o tym w Warszawie „mówiło”.

Dostałem również listy od żony z Madrytu. Czyniła zabiegi przez prezydenta i innych o zwolnienie mnie. Przyrzekano solennie. Już po moim zwolnieniu dowiedziałem się, że poselstwa naszego o tym nie poinformowano. Odpisałem jej, by nie chodziła ani do Raczkiewicza ani innych bogów bo to na nic. Żona moja poczęła więc robić starania, poprzez naszą wypróbowaną przyjaciółkę, panią Norton (żona radcy ambasady angielskiej w Warszawie). Ta droga okazała się niezawodna. Pani Norton zwróciła się z kolei do swej przyjaciółki, żony posła angielskiego w Budapeszcie. Poseł porozmawiał z synem admirała Horthy'ego a ten wpłynął na ministerstwo spraw wewnętrznych.

Pod koniec lata wezwano mnie do komendanta więzienia.

Przywitał mnie wyraźnie zafrasowany. Próbował mi coś powiedzieć, ale w tak trudnej niemczyźnie, że nic nie zrozumiałem, domyślałem się, że chodziło o zwolnienie nas. Po jakimś czasie znów zostałem wezwany. Tym razem miał tłumacza. Komendant powiedział mi, że jedno z sąsiednich państw żąda od Węgier wydania mnie w ich ręce. Na moje zapytanie, jakie to państwo, odpowiedź była bardzo dyplomatyczna: chyba się pan łatwo domyśli. Wobec tego, że rząd węgierski nie chce mnie wydać, postanowiono przerzucić mnie do Jugosławii. Po chwili milczenia powiedziałem mu, że nie mogę iść na ślepo do Jugosławii, bo nie wiem czy są tam władze polskie, a ponadto nie mam pieniędzy, o czym sam wie najlepiej bo ma mój depozyt. Moim zdaniem będzie najlepiej jeśli odeśle mnie do Budapesztu, abym mógł porozumieć się z naszym poselstwem. Naczelnik więzienia powiedział mi, że porozumie się z Budapesztem.

Powróciłem do celi i opowiedziałem kolegom sensacyjną wiadomość. Strażnik (życzliwy nam Niemiec) przyszedł do celi i powiedział mi, że to on ma mnie przewieźć na drugą stronę rzeki Drawy. Zgoliłem długą brodą pozostawiając tylko wąsy. Ponownie zostałem wezwany do naczelnika więzienia. Budapeszt zgodził się na moją sugestię. Znow ten sam strażnik przyszedł i poradził mi bym wysłał do naszego konsula, który tu był (tj. konsula Zarańskiego) depeszę z prośbą o oczekiwanie na dworcu na mój przyjazd. — „Będzie lepiej aby pana ktoś spotkał”. Strażnik zabrał depeszę i wysłał ją.

Wieczorem pożegnawszy towarzyszy więziennych poszedłem ze strażnikiem na dworzec kolejowy. Coś tam poszeptał z konduktorem, kupił bilet, który mi wręczył. Pojechałem. Na dworcu w Budapeszcie oczekiwał mnie konsul Zarański. Powiedział mi, że za godzinę mam z nim pójść do prezydium Rady Ministrów, do ministra zajmującego się sprawami uchodźców. Minister przywitał mnie bardzo uprzejmie i przystąpił od razu do rzeczy. Na Węgrzech nie mogę zostać. Najlepiej abym się w ogóle nie pokazywał. Zapytał konsula Zarańskiego czy może mnie przetrzymać u siebie do czasu mego wyjazdu z Węgier. Konsul wyraził natychmiastową zgodę. Minister zapytał mnie dokąd chcę wyjechać, do Rumunii czy Jugosławii. Znając wrogi stosunek Węgrów do Rumunów, powiedziałem bez wahania — do Jugosławii. Znow padło pytanie ministra czy konsul może mi wystawić paszport, na co przerwałem mu i pokazałem dawny paszport dyplomatyczny. (Nie wiedziałem, że Sikorski unieważnił wszystkie dawne paszporty dyplomatyczne, nakazując wydawanie nowych w innej formie). Minister był bardzo zadowolony, że mam swój paszport dyplomatyczny, gdyż to znacznie upraszcza sprawę. Zapytał jeszcze Zarańskiego czy może się szybko postarać dla mnie o wizę jugosłowiańską. *Prosił* mnie bym najdalej za 48 godzin opuścił Węgry. Ma pewne naciski. Dałem swój paszport memu rozmówcy, który objaśnił mi, że dla przekroczenia granicy potrzebne są obecnie dwie wizy. Jedna jego z Prezydium Rady Ministrów, a druga z ministerstwa Honwedów¹⁰, którą musi z nimi uzgodnić. Z pewnych względów do nich się nie zwróci ale napisze czerwonym atramentem, że uzgodnione z min. Honwedów. Sam przyłożył jakiś stempel, podpisał się, potem napisał coś po węgiersku i oddał mi paszport i swój bilet wizytowy,

10. Ministerstwo Honwedów było tym czym u nas Min. Spraw Wojskowych. Na czele min. Honwedów stał generał, sympatyk hitleryzmu. To pewnie skłoniło ministra z Prez. Rady Ministrów, do unikania porozumienia się z nim czy z jego podwładnymi.

bym na wszelki wypadek mógł zatelefonować do niego w razie potrzeby, w dzień czy w nocy.

Byłem oszołomiony uprzejmością i sprawnością z jaką wszystko to załatwił. Zadowolony powracałem do pp. Zarańskich, ży-czliwych, gościnnych, miłych i uczynnych. Oczywiście nie zapo-mniałem o moich współtowarzyszach i będąc z wizytą u pośła Orłowskiego prosiłem go o zajęcie się nimi.

Ucieszyłem się bardzo z zobaczenia moich dawnych znajo-myh pp. Zdziarskich. Zaproсили mnie do restauracji na wspa-niałą kolację. Czułem się bardzo skrępowany moim zmiętym ubraniem, zapewne cuchnącym i zatechłym.

Następnego dnia widziałem się z gen. Głabiszem, który, tak jak i Zarański odwiedził mnie w Nagykanizsa. Zatelefonował min. Piasecki z którym miałem kontakt jeszcze w Bukareszcie. Zawiózł mnie do pani Sławy Wendowej (żony płk. Wendy, wice-marszałka sejmu, który towarzyszył marsz. Śmigłemu w obozie w Rumunii). U pani Sławy spotkałem ppłk. Wacława Lipińskie-go (szefa Wojskowego Instytutu Historii, wybierał się właśnie do Polski), oraz młodego wiekiem redaktora *Więści Polskich* na Węgrzech p. Kowalczuka (?). Chciałem dołączyć do Lipińskiego, ale ani on ani Piasecki, który organizował tę wyprawę, nie chcieli słyszeć o tym, mówiąc że jestem kompletnie „spalony” i w Polsce, i tu na Węgrzech. „Jesteście postacią zbyt znaną i możecie nie tylko sami łatwo wpaść ale i narazić ludzi, z któ-rymi będziecie się kontaktować. Niemcy chcą was dostać”, mó-wili. Wiedziałem o tym i od naczelnika więzienia w Nagykanizsa, jak również z nieudomówień ministra od spraw uchodźców w węgierskim Prezydium Rady Ministrów. Czasowo, poddałem się.

Płk Lipiński wręczył mi kopię swego opracowania o kam-panii wrześniowej, którą zrobił, jak mówił, by prostować zwy-czajne kłamstwa rządu gen. Sikorskiego rozpuszczane we Francji i Anglii.

Belgrad

Bez trudności dotarłem do Belgradu. Złożyłem wizytę pośło-wi Dębickiemu, który radził mi bym się zgłosił do attachatu. W attachacie przyjął mnie znany mi sprzed wojny mjr Czerwenka, słowami: „Mam dla Ciebie wiadomość, czytaj”. Była to depeza okólna do wszystkich placówek wojskowych: „Wszystkie pla-cówki wojskowe winny niezwłocznie telegraficznie meldować po-jawienie się na ich terenie kapitana Drymmera”. — Jak widzisz

muszę zameldować o twoim pojawieniu się Londynowi”. „Melduj, ale dodaj, że zgłaszam się do wojska”.

Nazajutrz była już odpowiedź-szyfr, podpisana przez Sikorskiego: „kapitana Drymmera wysłać na Cypr. Do wojska nie przyjmować”.

Na Cypr nie pojechałem i nie dałem się sterroryzować depeszą pana gen. Sikorskiego.

Władze jugosłowiańskie dały mi tylko dwutygodniową wizę pobytową.

Przybyła do Belgradu z Hiszpanii moja żona, przywożąc mi wiele ciekawych nowin i, co było bardzo pożądane, moje ubranie cywilne i bieliznę, które to rzeczy zabrała jadąc z Rumunii do Francji. Moje papiery i wszelkiego rodzaju dokumenty oddała mej córce we Francji, która ewakuowała się do Anglii. Dostałem je w całości po przyjeździe do Anglii.

Poselstwo, konsulat i attachat pracowały sprawnie przekazując uchodźców cywilnych do Stambułu i dalej, do Palestyny, bądź na Cypr, żołnierzy via Grecja do Libanu, gdzie tworzyła się Brygada Karpacka.

Sofia

Skończyła się moja dwutygodniowa wiza jugosłowiańska, pojechałem do Sofii, gdzie brytyjskim attaché wojskowym był mój stary znajomy z czasów mego pobytu w Estonii i jego stażu w Polsce, kapitan brytyjski Ross, jak się okazało awansowany do stopnia podpułkownika. Liczyłem na jego pomoc w uzyskaniu długoterminowej wizeny bułgarskiej, by raz jeszcze próbować szczęścia i przedostać się do Polski. Niestety nie zastałem go, wyjechał służbowo do Stambułu. Mnie również kończyła się krótkotrwała wiza bułgarska, pojechałem do Stambułu.

R o z d z i a ł IX

T U R C J A

Podczas kryzysów strzeżcie się agentur obcych. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując jedynie Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym.

Agentura bowiem polega na tym, że jeśli kto płaci — to za służbę zapłaty wymaga.

Józef Piłsudski

Był piękny październik roku 1940 gdy wraz z żoną znalazłem się w tym cudownym mieście. Piękno Stambułu i jego nieuchwytny czar urzekły mnie. Po raz pierwszy od opuszczenia Polski zareagowałem na piękno przyrody i architektury, przedziwnie zharmonizowanej z falistym terenem, egzotyczną roślinnością i morzem. Godzinami wędrowałem po wąskich pnących się pod górę uliczkach lub opadających ku morzu skarpach, po murach i wieżach. Zachwyciałem się mozaikami i freskami, życzliwie uśmiechniętymi ludźmi dla których żywiłem tradycyjny szacunek i sympatię. Wierni czy w boju czy w nieszczęściu.

W Stambule spędziliśmy wraz z żoną przeszło 3 miesiące. Odwiedzałem często pp. J. Jędrzejewiczów, spotykałem znajomych, żądnym wieści z Polski, Rumunii i Węgier.

Pierwszy okres naszego pobytu w tym cudownym mieście był materialnie ciężki. Wyprzedawaliśmy się z rzeczy mających jakąś wartość. Wreszcie wraz z żoną postanowiliśmy otworzyć coś w rodzaju stołówki dla zarabiających Polaków. Żona gotowała, ja robiłem zakupy, sprzątałem i zmywałem. Mieszkaliśmy wprawdzie w suterynie, ale w centralnie położonym punkcie nowego Stambułu.

Dzięki pp. Jędrzejewiczom zawarłem znajomości z Tatarami krymskimi, takimi samymi uchodźcami politycznymi jak my. Spotykałem również białych Rosjan z okresu porewolucyjnego w Rosji. Jakoś w ciągu tych minionych 25 lat nie potrafili się wznieść na jaki taki poziom kulturalny. Żyli w skrajnej biedzie. Głównym ich zajęciem były jadłodajnie dla Europejczyków.

Odnalazł się wreszcie płk Ross. Dowiedziałem się, że poza tym że jest attaché wojskowym w Sofii, jest także szefem wywiadu brytyjskiego na Rosję, tak jak kilkanaście lat temu w Estonii. Stary oficer Intelligence Service. Umówiliśmy się na spotkanie w attachacie polskim. O oznaczonej godzinie zastałem tam Rossa ale w towarzystwie płk. Machalskiego, naszego attaché wojskowego w Turcji. Obecność Machalskiego krępowała mnie bardzo, ale najwidoczniej chciał być okiem i uchem „generała”. Po serdecznym powitaniu się z płk. Rossem i opowiedzeniu mu moich przygód, zostałem zaskoczony zrobioną mi przez niego propozycją, bym objął stanowisko szefa wywiadu brytyjskiego w Turcji na Rosję. Podziękowałem mu za tę troskę o mnie, ale z propozycji nie skorzystałem, gdyż mam inne zamiary: Polska, albo wojsko. Na to Ross i Machalski powiedzieli prawie jednocześnie,

że do wojska mnie nie przyjmą, bo jestem... za stary. Co do Polski jest szereg trudności na które on, Ross, nic mi pomóc nie może. Rozstaliśmy się bardzo uprzejmie ale chłodno. A tak niedawno jeszcze, zaledwie parę lat temu, oddałem mu dużą przysługę gdy był na kilkumiesięcznym stażu w 20 p. piechoty w Krakowie. Mówił mi wtedy, że przysługi do końca życia nie zapomni. Widocznie propozycję swoją uważał za wyrównanie długu. Można i tak.

Wkrótce po tej rozmowie wezwał mnie płk Machalski (pójść na „wezwanie” musiałem, bo jakkolwiek nie powołany do służby czynnej, byłem oficerem rezerwy). Machalski wtedy, i później w Kairze, zawsze traktował mnie z góry jak pułkownik kapitana. Śmiałem się z tego, ale nie traktowałem go nigdy poważnie. Machalski oświadczył, że dostał polecenie, by mnie wysłać na Cypr. Odpowiedziałem grzecznie gdzie mam takie rozkazy, wydawane przez wojskowych osobom cywilnym, bo za cywila mnie uważa jego generał. Przy tej sposobności raczył zauważyć, że zrobiłem źle nie przyjmując propozycji płk. Rossa. Co miałem głupcowi tłumaczyć!

◆

Cierpliwie oczekiwaliśmy na zapowiedzianą nam przez konsula W. Rychlewicza ewakuację do Palestyny. Miałem teraz możliwość przyglądania się działalności naszych placówek z pozycji interesanta i wysłuchiwania dziesiątków postulatów, jakie nasza nowa emigracja wysuwała pod adresem placówek zagranicznych. Muszę stwierdzić, że poza terenem Rumunii, oprócz Konsulatu w Czerniowcach i niezwykle przyjaznego i sprawnego funkcjonowania opieki nad uchodźcami, reszta placówek w Rumunii, jak już pisałem, zachowała się nie tylko w stosunku do rządu i jego organów wykonawczych, ale w ogóle w stosunku do uchodźstwa, gorzej aniżeli najzaciętsi wrogowie. Inaczej już było na Węgrzech, inne było stanowisko posła L. Orłowskiego i wszystkich organów konsularnych (z wyjątkiem Użhorodu) oraz wojskowych z płk. J. Emisarskim. To samo mogę powiedzieć o Jugosławii i pośle R. Dębickim — spokojny, taktowny, obiektywny. Potrzeby uchodźców i wojska załatwiane sprężyście i efektywnie. Sofia była zupełnie na bocznych torze, nawet w czasie nas interesującym, tak że nic nie mogę o placówce tamtejszej powiedzieć. W Turcji wszyscy pracowali sprawnie, poczynając od Konsulatu, na który spadły ciężkie obowiązki. Wprawdzie, gdy byłem w Stambule, była tam Delegatura Rządu z radcą Kunicim na czele, ale załatwiała tylko sprawy natury ogólnej i nie miała codziennej styczności z emigracją. Stosunki bardzo się po-

gorszyły przez najazd urzędów i urzędników z Rumunii. Zaczęły się spory kompetencyjne, zawiści, donosy, jednym słowem to, co przeżywali ci co byli emigrantami (uchodźcami) w Rumunii.

Konsul Wojciech Rychlewicz był jednym z pierwszych przyjętych przeze mnie praktykantów, który został mianowany na samodzielną placówkę konsularną. Był wzorowym urzędnikiem polskiej Służby Zagranicznej. Jego pracę w Stambule uważam za przykładową: wzorowy stosunek do interesantów, świetna organizacja pracy, spokój i pracowitość. Nie mogę przy tej sposobności pominąć dzielnej towarzyszkii jego życia, pani Rychlewiczowej, która była niezmiernie pożyteczną w opiece nad emigrantami.

Opuszczaliśmy śliczny Stambuł i zyczliwych ludzi. Ewakuacja objęła wielki transport, który miała zabrać „Warszawa” z małego portu tureckiego Mersyna.

W miasteczku Mersyna zostaliśmy rozmieszczeni w domach, względnie mieszkaniach tureckich. Oczekiwaliśmy na okręt miasięc. Przez ten czas mieliśmy możność poznania Turków, nade wszystko ich gościnność, uprzejmość i czystość. Wprawdzie prócz tureckiego i paru wyrażen francuskich nie znali żadnego języka, mimo to potrafiliśmy się jakoś dogadać i ułożyć z nimi współżycie. Ubrani ubogo, albo biednie, ale bardzo schludnie.

Bardzo zbliżyłem się i zaprzyjaźniłem z płk. Jurem-Gorzechowskim, słynnym ze zwolnienia pięciu z Pawiaka w roku 1905. Pamiętałem go z czasów I-ej brygady, jako szefa żandarmerii. Nie bardzo rozumiałem, jak ten człowiek o gołęmb sercu mógł być Szefem Żandarmerii. Spotykałem go w Warszawie jako Komendanta Straży Granicznej.

Często widywałem Jura w Palestynie, potem w Egipcie w szpitalu. Odpoczywał po jakiejś przelotnej chorobie. Postarzał się bardzo, dawny humor rzadko powracał. W 1947, przed ewakuacją do Anglii, wpadłem do szpitala w El-Kantara¹¹, by pożegnać się z nim i pp. Jędrzejewiczami, którzy również tam byli.

Wkrótce po moim wyjeździe z Egiptu do Anglii dowiedziałem się że płk Jur Gorzechowski zmarł i został pochowany na cmentarzu El-Kantara obok wielu innych naszych żołnierzy i oficerów. Jeden z ostatnich z Bojówek P.P.S. oficer I-ej brygady, pułkownik Wojska Polskiego.

Zakrętownie na „Warszawie”, której kapitanem był Meissner (obecnie w Polsce Ludowej członek P.P.R. i poseł na „sejm”) poszło według zasady, kto w Polsce był na gorze idzie

11. Szpital polski w El-Kantara, w którym bywało okresowo po 600 pacjentów, znajdował się nieopodal miasteczka ze stacją kolejową El-Kantara.

na dół i *vice versa*. Moja żona została umieszczona pod dolnym pokładem, bez światła i wentylacji. Wokoło panie cierpiały na morską chorobę. Wiele serca i życzliwości okazali nam Andrzej Marusz, brat znanego skoczka narciarskiego Staszka i świetnej narciarki Bronki. Staszek przeszedł w czasie okupacji szereg przygód. Andrzej wstąpił jako ochotnik do marynarki handlowej i był zastępcą palacza. Bronka po ukończeniu kursu Czerwonego Krzyża, została pielęgniarką, wyszła za mąż. Andrzej odwiedzał mnie często w Palestynie.

Drugim, życzliwym nam człowiekiem, był student architektury warszawskiej W. Przybylski. On również zgłosił się na ochotnika do marynarki. Jako podchorążego przydzielono go do karabinów maszynowych. Po zatonięciu „Warszawy”, poszedł do Brygady Karpackiej, gdzie zastał wielu kolegów i przyjaciół: Jerzego Skolimowskiego, Michała Makowskiego i innych. Po wojnie wyemigrował do Południowej Afryki.

Z zaokrętowaniem na „Warszawę” kończył się znów jeden dział mojego życia.

Część IV

Rozdział I

PALESTYNA

W końcu grudnia 1940 roku „Warszawa” przybiła do portu w Haifie, przywożąc pierwszą partię uchodźców z Rumunii i Węgier. Było nas parę setek.

Nowomianowany przez gen. Sikorskiego, konsul gen. w Tel Avivie, dr Rosmarin, zajął się uchodźcami sprawnie. Mną i moją żoną szczególnie życzliwie zajął się dawny urzędnik konsulatu p. Jakub Rozencweig-Różycki. Zakomunikował nam, że będziemy otrzymywać miesięcznie 12 funtów palestyńskich tytułem zasiłku uchodźczego. Widząc moje zaniepokojenie pośpieszył z wyjaśnieniem, że każdy uchodźca będzie otrzymywał po 6 F.P. miesięcznie, taki bowiem warunek postawili Anglicy, zamierzający wpuścić 6 tysięcy uchodźców polskich i chcący uniknąć tworzenia zarobkującego proletariatu.

Większość uchodźców skierowano do Tel Avivu, resztę do Jerozolimy.

W Jerozolimie, mimo sprawnie działającego konsulatu gen., zainstalowano szereg Delegatur. Konsulaty zostały w praktyce

pozbawione pracy, ale urzędnicy zostali utrzymeni. Wkrótce co 10-ty uchodźca był urzędnikiem jakiejś Delegatury. Wreszcie zjechał Polish Information Center, PIC — jak go powszechnie nazywano. Zjechała i polska „Czeka” — tak nazywano Komisję Badawczą ze znanymi już Aleksandrowiczem, Robinsonem i Luxemburgiem. Delegatem ministra Pracy i Opieki Społecznej został Tadeusz Lubaczewski, były urzędnik MSZ. Ten szybko zorientował się w sytuacji i od końca września 1939, wyrzekł się swoich „błędów”, to jest „służby dla sanacji i Becka”. Został przyjęty do służby w „nowej Polsce”, zapoczątkowanej przez gen. Sikorskiego w Bukareszcie.

Lubaczewski zdobył sobie zaufanie nowego reżymu i dlatego powierzono mu „opiekę” nad uchodźcami, „sanatoriami” i ich ofiarami. W dowód zaufania obarczono go ponadto pokaznym funduszem dyspozycyjnym, z którego przyznawał dodatki do 6-ciofuntowych zasiłków, otrzymywanych oficjalnie. Stary, wypróbowany sposób kupowania sobie sumień ludzi bez skrupułów. Rozwinęło się lizusostwo i donosicielstwo. Ktoś doniósł o wielkich zarobkach pp. Drymmerów. Pan Lubaczewski, nie sprawdzając i nie uprzedzając, cofnął nam „zasiłek”. Wytrwaliśmy 3 miesiące, sprzedając zbędne rzeczy jak np. biżuterię czy zegarek. Zareagowała spontanicznie opinia publiczna gdyż wiedzano i widziano, że dla zarobku myję samochody. Zasiłek przywrócono.



Męczyła mnie bezczynność. Wszystkie starania o przyjęcie mnie, choćby jako szeregowca, do wojska spełzały na niczym. Obowiązywał rozkaz Sikorskiego; zresztą wydał i nowy, który pokazał mi szef wydziału personalnego płk Dzwonkowski w Latrun — Ośrodku Wojska Polskiego.

R o z d z i a ł II

UCHODŹCY Z CYPRU I Z ROSJI

W latach 1941 i 1942 napłynęła druga i trzecia fala uchodźców, licząca kilka tysięcy osób. Przybyli z Cypru, zostali przez nowych „naddelegatów” jak Strasburger czy Bader, skierowani do Rodezji. Jedynie zawdzięczając protekcji i usilnym staraniom

udało się niewielu ludziom zostać w Palestynie a nawet, jak pułkownikowi Józefowi Wiatrowi, który był powołany do wojska i awansowany na generała, mimo przeszłości legionowej w I-ej brygadzie J.P. Panowie delegaci tłumaczyli, że Palestyna (tj. Anglicy) nie zgadzają się na powiększanie ilości uchodźców.

W kilka miesięcy po układzie Sikorski-Majski w ślad za wojskiem ewakuowanym z Rosji via Persja do Iraku, poczęły zjawiać się pierwsze jaskółki uchodźcze z „Domu Niewoli”. Byli to przeważnie ludzie ciężko chorzy, wyczerpani, goniący resztkami sił, najczęściej z ranami po odmrożeniach. Wreszcie początkowo mała grupka, po czym większe grupy dzieci, wynędzniałych, zdziczałych i przerażonych, lub apatycznych i jakby nieprzytomnych. Przybyli bez mała bez żadnej opieki, podrzucone nieprzygotowanej do tego polskiej Y.M.C.A. Zaslugą naszych kobiet w Palestynie było szybkie zorganizowanie „dachu nad głową” dla tych litość budzących dzieciaków, wyżywienie i przyodzianie. Nieocenioną pomoc oddały nasze władze wojskowe.



W Palestynie powstały dwie polskie szkoły. Jedna w Tel Avivie (szkoła powszechna i gimnazjum) oraz w Ein Karem. Szczęśliwie dla młodzieży kierowniczką szkoły w Tel Avivie była pani Baryszowa, zawodowy pedagog, której udało się zebrać dobry zespół nauczycielski z b. premierem Januszem Jędrzejewiczem na czele, który wykładał matematykę. W Libanie, w Bejrucie powstała również szkoła powszechna i gimnazjum z którego, po maturze, młodzież nasza mogła wstąpić na uniwersytet francuski, bądź amerykański. Oba znajdowały się w Bejrucie. Opiekę nad uchodźcami sprawował poseł Zygmunt Zawadowski b. urzędnik przedwojennego MSZ. Na szczęście dla uchodźców, delegaci w Libanie mieli bardzo mało do powiedzenia wobec autorytetu posła R.P.

Dzieci osób wojskowych pomieszczono w szkołach humanistycznych w Barbarze — dla chłopców-junaków i w Nazarecie dla dziewcząt-ochotniczek. Jedyną szkołę techniczną dla junaków otworzono w Tel El Kebir w Egipcie. Szkoła ta miała wielkie powodzenie i lubiana była przez chłopców; w przeciwieństwie do szkół humanistycznych, zapewniła młodym nie tylko dobre wykształcenie technicznie, ale i natychmiastowe zatrudnienie w Anglii po rozwiązaniu i demobilizacji wojska.

Szkolnictwem cywilnym zajmował się delegat min. Oświaty, niejaki pan Kurdybacha, którego głównym zagadnieniem była sprawa „prawomyślności” zarówno personelu jak i młodzieży.

Szkolnictwem junaków i ochotniczek — gen. Wiatr i z jego ramienia płk Rzyński. Gen. Wiatr był tym, który układał kierunek nauczania i pilnował programów szkolnych. Być może, że uważał się za pedagoga gdyż przed wstąpieniem do legionów był nauczycielem w dawnej Galicji. Wielokrotnie dyskutowałem, gdy byłem już w wojsku, z gen. Wiatrem niewłaściwy kierunek nauczania zarówno młodzieży cywilnej jak i wojskowej, wskazując mu na to, że nie stosuje się do przeprowadzonej przed wojną reformy szkolnej, której twórca premier Janusz Jędrzejewicz znajduje się w Palestynie i jest nauczycielem w gimnazjum polskim w Tel Avivie. Rozmowy nasze kończyły się: „panie kapitanie, ja wiem dobrze co robię”.

◆

Stopniowo napływały bądź z Persji bądź z Iraku nowe, większe grupy zesłańców z Rosji. Znaczną ilość trzeba było pomieścić w angielskich szpitalach polowych w Palestynie. Zaszła również konieczność przydzielenia pewnej ilości sanitariuszy i sanitariuszek choćby jako tako władających językiem angielskim, wśród nich znalazła się i moja żona. Nie pracowała zbyt długo. Komisja Badawcza poleciła ją zwolnić, jako politycznie zaangażowaną.

Opieka lekarska w lazaretach angielskich była bez zarzutu.

Oczywiście pierwsze dni nie obeszły się bez zaskakujących (dla Anglików) — zgrzytów. Np. dano chorym białe czy kremowe piżamy, *ozdobione czerwonymi kokardami*. Wywołało to szal wciekłości chorych. Długo, powoli i systematycznie trzeba było tłumaczyć Anglikom, że kolor czerwony, po pobycie w więzieniach, łagrach i na zsyłkach rosyjskich jest dla tych nieszczęśliwych ludzi nie do zniesienia. Nie mogli uwierzyć, by w Rosji „gdzie się tak dba o człowieka” posadzono kogoś do więzienia lub wysłano „na wieś” lub do „lasu” co wy nazywacie „łagrem”, bez winy i bez sądu. Nie mogło się im pomieścić w głowach, że zmuszano dzieci do ciężkiej pracy, że matkom i dzieciom odmawiano jedzenia. Dopiero widok dzieciaków, które przybywały do Palestyny, już po paromiesięcznym odkarmieniu, przekonał ich, że jednak w tej Rosji jest coś nie tak. Powoli otwierały się oczy i Anglikom.

◆

Na krótko przed przybyciem uchodźców z Rosji, przybyła do Palestyny grupa około 20 chłopców z gimnazjum polskiego w Charbinie (Mandżuria). Przywiózł ich ppor. rezerwy, urzędnik konsulatu R.P. w Charbinie, Romuald Damiński. Chłopcy, po-

tomkowie zesłańców sybirskich bądź urzędników, zatrudnionych w swoim czasie przez Rosję przy budowie kolei Dalekowschodniej, Polski nigdy nie widzieli, ale miłość do kraju przekazana im przez rodziców, kazała im bić się za Polskę.

Nie wiem, może przykład tych chłopców z Mandżurii zachęcił naszych generałów do zmobilizowania chłopców ze szkoły w Tel Avivie i junaków z Barbary i wysłania ich, po bardzo powierzchownym przeszkoleniu, do 2-go Korpusu. Trafili pod Monte Cassino. Inną partię z polecenia generała Sikorskiego i ministra wojny Kukieła, posłano via Port Said - Cape Town do... Anglii. Wysłano ich na dwóch statkach, chłopców-junaków i dziewczęta-ochotniczki. Oba statki były storpedowane przy zachodnich wybrzeżach Afryki. Wiele dziewcząt i chłopców zginęło w morzu. Gdy piszę to, w trzydzieści bez mała lat później, nie mogę się nadal oprzeć oburzeniu. O ile posłanie młodych chłopców do Włoch można (z wielkim trudem) uzasadnić brakiem ludzi w 2-gim Korpusie, to najwyższym idiotyzmem wojskowym, narodowym i wreszcie ludzkim było wysyłanie młodych ludzi do Anglii. Kto za te rzeczy ponosi odpowiedzialność Kukiel, Anders czy wykonawca a może inicjator — Wiatr?

Pisałem o tym w naszym piśsudczykowskim *Biuletynie Niezależnych*, mówiliśmy i staraliśmy się wpłynąć na nasze „władze” w Palestynie, wskazując im na całe bataliony objający po biurach przeróżnych delegatur, konsulatów no i nade wszystko wielką ilość przeróżnych oficerów sztabowych w sile wieku objających się po kawiarniach Kairu. Byli to oficerowie łącznikowi do przeróżnych urzędów lub attachés wojskowi do rządów na emigracji. Wielu z nich nie zdążyło być na wojnie 1920 roku, wydawałoby się, że powinni zakosztować wojny, która ich ominęła w roku 1939, bo przebywali na intratnych posadach poza granicami R.P. Wysłano dzieci.



Dla jakichś, sobie znanych powodów taktycznych, gen. Sikorski zgodził się na przyjęcie do wojska b. premiera F. Sławoj-Składkowskiego, jako generała korpusu sanitarnego, oraz b. ministra sprawiedliwości Witolda Grabowskiego, por. rezerwy. Przyjął również por. rez. inżyniera T. Kłopotowskiego, ostatniego naszego posła i min. pełnomocnego w Rydze. Wszyscy zostali przydzieleni do Ośrodka WP w Latrun (Palestyna). W Ośrodku byli niedługo, przeniesiono ich wszystkich do tzw. 2-giej grupy, tj. oficerów bez funkcji na zmniejszonych wydatnie poborach, bez prawa przebywania w Ośrodku i bez prawa korzystania z kasyna oficerskiego. Komendantem Ośrodka był, o dziwo, były oficer

I-ej Brygady i b. komendant policji w Warszawie, gen. Kordian-Zamorski. On też przed frontem odczytał rozkaz gen. Sikorskiego, zabraniający oficerom utrzymywania jakichkolwiek stosunków z byłymi członkami „rządu kłeski narodowej”.

Sławoj i Grabowski przenieśli się do Tel Avivu studiując gorliwie angielski. Sławoj odnawiał swoją medycynę, Grabowski prawo. Grabowski, po zdaniu egzaminów, został sędzią w Etiopii a później jakimś dygnitarzem przy cesarzu. Kłopotowskiego przyjęto, na krótki okres czasu, do Legii Cudzoziemskiej jako oficera.

W drodze do Rosji, po umowie Sikorski-Majski, był w Jerozolimie biskup Gawlina, z którym łączyły nas bardzo serdeczne stosunki przed wojną na terenie wspólnej pracy nad Polakami za granicą. Postanowiłem, po porozumieniu się z premierem Jędrzejewiczem, odwiedzić go i przedstawić mu pogląd nas, piłsudczyków, na stosunki międzynarodowe jak i wewnętrzne, tj. uchodźcze. Odmówił przyjęcia mnie, zasłaniając się rozkazem gen. Sikorskiego rozmawiania z byłymi członkami rządu! Drugi Kordian Zamorski.



Obok Ośrodka Wojskowego w Latrun, mieścił się angielski obóz internowanych. Siedziała tam spora ilość Polaków, którzy najczęściej przez Bałkany zmierzali do upragnionego Wojska Polskiego, siedzieli i uchodźcy z Rumunii i Węgier. Siedział tam między innymi i Marian Hemar. W twierdzy Accra, był drugi obóz dla internowanych, w którym m.in. do samego końca wojny siedział dziennikarz *Kuriera Warszawskiego* — Stefanowski. On i jakiś przemysłowiec (Kuten?), byli posadzani o współpracę ze słynnym Mikicińskim, szpiegiem niemieckim.



Stosunki młodzieży polskiej z Żydami były jak najlepsze. Młodzież nasza szybko opanowała hebrajski. Bawiono się wspólnie, pływano w morzu, chodzono na wspólne potańcówki. Z czasem jednak nastąpiły poszeptywania po kątach, widywano cywilnych młodzieńców przybywających z Jerozolimy, na jakieś tajemnicze zbiórki. Po pobycie jakiegoś jerozolimskiego młodziana (jak się okazało urzędnika jednej z Delegatur) młodzież najstarszych klas postanowiła „odnowić” „Ślubowania jasnogórskie” (endecki przedwojenny trick zaprzęgnięcia kultu religijnego do rydwanu partyjnego). Jest jasne, że kierownictwo szkoły nie mogło zgodzić się na tego rodzaju prowokacyjne wystąpienia. Przybył z Jerozolimy delegat ministerstwa Oświaty p. Kurdy-

bacha. Narobił zamieszania zamiast uspokoić. W końcowym efekcie młodzież polska poszła pod szkołę żydowską i wszczęła bójkę, z której wyszła... sromotnie pobita. P. Baryszowa i p. Jędrzejewicz wytłumaczyli młodzieży, że dała się użyć za narzędzie metod partyjnych, obrzydliwych w Polsce, a tu więcej niż skandalicznych, czego dowodem jest rozgłos prasowy. W rezultacie tej inspirowanej prowokacji p. Kurdybacha zwolnił ze stanowiska nauczycielskiego... Jędrzejewicza!!! Młodzież zastrajkowała w obronie Jędrzejewicza. I sam Jędrzejewicz musiał nakłaniać młodzież do powrotu do klas i słuchania zarządzeń dyrektorki.



Przybycie do Palestyny amb. Kota, po skończonej misji w Moskwie, zaznaczyło się zaostrozonymi szykanami w stosunku do „nieprawomyślnych” i „wypaleniem rozpalonym do białości żelazem, wszelkich śladów piśsudczyzny”, jak to *expressis verbis* powiedział Kot. Obficie rozdawane „dyspozycyjne” pieniądze zgromadziły koło jego osoby nie tylko ludzi słabego charakteru ale i wszelkiego rodzaju szumowiny. Utworzyła się płatna grupa wielbicieli generała i... jego polityki sowieckiej. Kot od nowa poobsadzał swymi ludźmi przede wszystkim polskie ośrodki propagandy i informacji: radio, prasę wojskową i cywilną, PIC. Wszystko to miało służyć jednemu celowi: udowodnieniu, że stosunek Rosji do Polski uległ radykalnej zmianie dzięki staraniom i wysiłkom generała, który jako zwycięski wódz w roku 1920 (sic!) potrafił dogadać się ze Stalinem. Usiłowano przekonać ofiary prześladowań, że nawet NKWD zmieniło swój stosunek do Polaków.

Wraz z wojskiem, które gen. Anders wyprowadził z Rosji, przybyło na Środkowy Wschód wielu moich znajomych i przyjaciół. Powrócili z Rosji moi koledzy legionowi Władysław Broniewski, znany już poeta. Brał w roku 1920 chlubny udział w wojnie z Rosją. Obecnie był w stopniu kapitana. Janusz Gaładyk oficer zawodowy, zdolny, ambitny oficer, wyraźnie odmienił się w więzieniu i łagrach sowieckich. Ku memu zdziwieniu stał się „werbalnym” komunistą. Myślę, że wiele w tej zmianie Gaładyka było pozy i rozczarowania, bowiem w Armii Polskiej w Rosji nie został tak uhonorowany jak tego oczekiwał. Pił i upijał się. Pijaństwo ujawniło skłonności homoseksualne. Przeniesienie w stopniu pułkownika do 2-giej grupy oficerskiej — pogłębiało jego depresję. Starłem się wpływać na niego, poznałem go z Ben-Mosze i innymi idealistami żydowskimi. Czas jakiś interesowało go to, był nawet ich instruktorem wojskowym, po czym natóg

pijaństwa zwyciężył. Wł. Broniewski, warszawski „komunista salonowy”, jak go nazywaliśmy, aczkolwiek również pił dużo z Rosji wyszedł z głębokim urazem i zawodem. Zapytałem go wręcz jakie wywarła wrażenie na nim Rosja „komunistyczna”. Odpowiedział jednym słowem: „Rozczarowanie”, a po chwili „odpowiem Ci wierszem jaki po dostaniu się do wojska napisałem: — *„O jakże smutno przez ten świat krwawy iść cmentarzyskiem idei... W oczy wiatr wieje, orenburski wiatr...”*. Często ludziom spotykanym i pytającym go o Rosję odpowiadał tym wierszem i często deklamował go na przeróżnych uroczystościach polskich w Jerozolimie czy Tel Avivie.

Obaj powrócili do Polski. Broniewski stał się piewcą Polski Ludowej, Gaładyk zmarł w więzieniu U.B.

Rozdział III

PIŁSUDCZYCY W PALESTYNIE I LIBANIE

W Palestynie skupiła się poważna grupa piłsudczyków, zmuszonych opuścić Węgry i Rumunię.

Wielu naszych towarzyszy z legionów czy POW załamało się i odpadło od naszego obozu, niektórzy pod wpływem katastrofalnych wydarzeń inni na skutek zwykłego oportunistu i wygodnictwa.

Pod przewodnictwem premiera Janusza Jędrzejewicza zorganizowała się grupa „starych” piłsudczyków, którą nazywano złośliwie „niezłomnymi”. Należeli do tej grupy płk Jur Gorzechowski, gen. Kuba Krzemiński, prezes Najwyższej Izby Kontroli, wicemarszałek sejmu Dąbkowski z żoną, b. min. Juliusz Poniatowski z żoną, płk Lubodziecki, płk Izdebski, wojewoda Godlewski, dyr. Banku Polskiego Barysz z żoną. Z biegiem czasu grupa nasza przekroczyła setkę. Zebrania odbywały się w naszym mieszkaniu w Tel Avivie. Nim rozpoczęliśmy jakąkolwiek działalność, staliśmy się przedmiotem ataków ze strony delegatur oraz pilnej obserwacji „Biura do badania przyczyn klęski”. Obserwował nas pilnie Oddział II kierowany, niestety, przez byłego peowiaka, majora Wierzbickiego, którzy nie tak dawno aresztował gen. Stachewicza w Belgradzie. Mjr Wierzbicki stał się człowiekiem zaufania gen. Zająca, przysłanego na Środkowy Wschód z Londynu dla „zrobienia porządku” z gen. Andersem i gen. Kopańskim!!! Piszę o tym dla tych, którzy nie mogą zrozumieć roli piłsudczyków jako *zorganizowanej opozycji* w stosunku do niektórych po-

czynañ rządu na emigracji, spędzającej sen z oczu naszych władców w Londynie.

W Jerozolimie natomiast była stosunkowo nieliczna grupa przyjaciół, w której wodził rej pełen życia i temperamentu wojewoda Dziadosz z równie pełnym życia i humoru Karolem Krzewskim (Szczapą).

Zorganizowało się również dość liczne koło piśsudczyków w Libanie i w Rodezji, gdzie dominował J. Barański, b. urzędnik MSZ.

Układ Sikorski-Majski został przez propagandę Stroński-Kot, rozdmuchany do olbrzymiego sukcesu osobistego generała Sikorskiego. Nasze, piśsudczyków, stanowisko było wręcz odmienne. Uderzyło mnie, że prasa amerykańska, część prasy angielskiej oraz dostępna nam w Palestynie prasa szwajcarska zajmowały pozycję bardzo krytyczną. Zacząłem zbierać wycinki prasowe i wypowiedzi wybitnych polityków i nie pytając nikogo, na własną odpowiedzialność (boć było to sprzeczne z oficjalną polityką rządu angielskiego a więc i urzędu wykonawczego — cenzury), wydałem zbiór wycinków prasowych krytykujących ten układ polsko-sowiecki pod nazwą „Pokłosie prasowe układu Sikorski-Majski” w kilkudziesięciu egzemplarzach, które rozprowadziłem w Palestynie, Libanie i Rodezji i w wojsku, które przybywało z Rosji, aby poznać prawdę, którą rząd nasz w Londynie fałszował. Jak mi relacjonowano, wrażenie było piorunujące. „Ktoś nareszcie powiedział prawdę”. Powodzenie to zachęciło mnie do zaproponowania naszemu kołu piśsudczyków wydawania stałego komunikatu informacyjnego. Uzyskałem zgodę i pomoc Janusza Jędrzejewicza, zacząłem wydawać parustronnicowy komunikat pod nazwą „Biuletyn Niezależnych”. Biuletyn¹² wychodził dwa razy

12. Odpis:

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ
WYDZIAŁ WYWIADU OBRONNEGO

POUFNE!

L.dz. 5658/PW. Pf. 44.

Londyn, dnia 8. I. 1945 r.
„Biuletyn Niezależnych” —
inf.

SZEF WYDZIAŁU INFORMACYJNEGO
DTWA 3. KORPUSU

w m. postoju.

Proszę o nadesłanie mi krótkiej charakterystyki *Biuletynu Niezależnych*, wydawanego w Palestynie, oraz nazwisk redaktorów tego pisma, danych *personalnych i politycznych* co do nich, a ponadto autorów artykułów w Nr. 18: „Po równi pochyłej”, „Józef Beck”, „Oświadczenia uchodźstwa polskiego na Bliskim Wschodzie”, „Związek Pracy dla Państwa do Wodza Gen. Andersa i Gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza”, „Przegląd wydarzeń”. —

SZEF WYDZIAŁU WYWIADU OBRONNEGO MON.
(—) MINIEWSKI, Ppłk dypl.

na miesiąc komentując wydarzenia międzynarodowe i oczywiście polskie. Biuletynów ukazało się około 30. Z czasem, znów za zgodą naszego Koła, poczęłem wydawać broszury o charakterze politycznym. Na pierwszy ogień poszły art. Ignacego Matuszewskiego pod tytułem „Wola Polski”, potem J. Jędrzejewicza „Testament Józefa Piłsudskiego”. Ogółem wydałem, za zgodą cenzury brytyjskiej, około 13 broszur i dość dużą broszurę pt.: „Józef Piłsudski mówi”, opatrzoną wieloma fotografiami i zawierającą wypowiedzi Marszałka.

Zadaniem nas, piłsudczyków, jako reprezentantów opozycji, która z woli gen. Sikorskiego nie była reprezentowana w Radzie Narodowej, było wskazywanie, że rząd Sikorskiego i jego ministrowie, a w szczególności Mikołajczyk i Romer, prowadzą w stosunku do Rosji politykę błędną, ugodową i upokarzającą, a w stosunku do kraju i Polaków na obczyźnie oszukańczą, przedstawiającą układ Sikorski-Majski jako zabezpieczający nienaruszalność granic wschodnich. Broniliśmy polityki Becka i oczywiście marszałka Piłsudskiego, podtrzymywaliśmy nadal moralnie ruch prometejski oraz działalność polityczną gen. Sosnkowskiego, min. A. Zaleskiego i ambasadora Łukasiewicza.

Zespół zorganizowanych piłsudczyków na Środkowym Wschodzie przyczynił się do utworzenia „Międzymorza”, organizacji skupiającej przedstawicieli podbitych najpierw przez Niemcy a potem przez Rosję narodów, w osobach premierów czy też ministrów Estonii, Łotwy, Litwy, Polski, bądź zrzeszeń uchodźczych jak Słowacy, Czeši i Węgrzy.

„Międzymorze” istniało tak długo, jak na to pozwoliły warunki wojenne. Prezesem tej instytucji w latach 1945/46 był b. minister Spraw Zagranicznych Litwy p. Łozorajtis. Miałem szczęście być na jednym z zebrań w Rzymie. Jako ślad naszej pracy w „Międzymorzu” została broszurka, napisana przeze mnie a wydana przez Wydział Prasy i Propagandy A.P.W. w Quassasin w Egipcie.



Podtrzymywaliśmy, w miarę naszych możliwości, „ruch prometejski” tępiony zajadłe przez sikorszczyków. Idee prometejskie wszczepialiśmy w młode pokolenie. Dążenia niepodległościowe naszych sąsiadów szanowaliśmy i szanujemy i chcemy na uchodźstwie pracować nad polepszeniem politycznym i kulturalnym naszych bratnich narodów. Nasz stosunek do ludów Bliskiego Wschodu, Żydów i Arabów, był jak najbardziej pozytywny i przyjazny.



W trzecim roku wojny, a w drugim mego pobytu w Palestynie doszedłem do przekonania, że są bardzo nikłe szanse na rychły powrót do kraju i że w przyszłej niepodległej Polsce muszą i nastąpią zmiany zasadnicze, które nam, piłsudczykom, w szczególności bardzo utrudnią pracę w dziedzinach, w których pracowaliśmy przed wojną. Dziwiono się bardzo moim „ekscentrycznym” poglądom i mojemu ekscentryzmowi, polegającemu na chęci nauczania się tu, w Palestynie, jakiegoś fachu, najlepiej rzemiosła. Moje próby uczenia się rzemiosła artystycznego spełzły na niczym. Próbowiałem dostać się do Araba na przedmieściu Jerozolimy, który „wydmuchiwał” w robionym przez siebie, pięknym, niebieskawym szkle, kubki, dzbanuszki, spodeczki... takie jak widziałem w fenickich wykopaliskach w okolicy Cezarei (w Palestynie). Byłem tym szkłem „fenickim” zachwycony. Arab przepędził mnie gdy mu zrobiłem propozycje uczenia się u niego. Trafiłem w Tel Avivie, ku zdumieniu mych rodaków, a jeszcze bardziej znajomych Żydów, do gimnazjum rzemieślniczego bowiem chciałem się uczyć kowalstwa artystycznego i spróbować swoich sił w tej dziedzinie. Widziałem i podziwiałem przed wojną prace w żelazie robione przez architekta Grunwalda.

Szkoła była wzorowana na reformie Jędrzejewiczowskiej, jak mnie poinformował dyr. szkoły p. Ejzenberg z nieukrywaną dumą. Niestety kowal, człowiek bardzo stary, niewiele mógł mnie nauczyć. Poddałem się.

Z przyjemnością i wdzięcznością wspominam uprzejmy i serdeczny stosunek do mnie nie tylko kierownictwa szkoły, ale kolegów-ucniów. W szkole byłem parę miesięcy, hebrajskiego nie nauczyłem się. Poznałem jednak bliżej Żydów-pionierów.

R o z d z i a ł I V

STOSUNKI POLSKO-ŻYDOWSKIE I POLSKO-ARABSKIE

Po zainstalowaniu się w Palestynie, prawie wszyscy ministrowie rządu gen. Sławoj-Składkowskiego jak również b. premier Janusz Jędrzejewicz złożyli wizyty w Agencji Żydowskiej, gdyż ją uważano za gospodarza terenu.

Złożyłem wizytę i ja prezesowi Agencji Ben Gurionowi, Czer-tokowi i Grünbaumowi, b. posłowi na sejm R.P.

Byłem zaskoczony stanowiskiem Ben Guriona, że emigracja do Palestyny musi być powolna i dawkowana w małych ilościach, gdyż teren nie jest przygotowany do masowej imigracji; ponadto Ben Gurion był przeciwny niepodległości Palestyny żydowskiej, robionej jedynie, jak mi oświadczył, przez zwolenników Żabotyńskiego. Zarówno wypowiedzi jego, jak i innych urzędników Agencji świadczyły, że byliby oni całkowicie zadowolone z autonomii, pod protektorem brytyjskim. Potwierdzili mi to moi znajomi niepodległościowcy żydowscy. Wypadki lat późniejszych zmusiły go do zmiany poglądu pod presją faktów dokonanych, w których wzięły udział młode żywioły niepodległościowe.

Nawiązałem kontakt z Ben Mosze. Widywaliśmy się często i zaprzyjaźniliśmy się. Skontaktowałem go z pp. Jędrzejewiczami. Zrobił na nich duże, pozytywne wrażenie, swoim umysłem dojrzałego polityka i wszechstronnym wykształceniem i odczytaniem humanistycznym. Skontaktowałem go również z Melchiorem Wańkowiczem, który robił swój reportaż o Palestynie żydowskiej. Książka jego pod tytułem „De Profundis” ukazała się w roku 1943 w Tel Avivie.

Ben Mosze, a po jego tragicznej śmierci jego następcą, pomagał piśmudczykom w drukowaniu naszego dwutygodnika „Biuletyn Niezależnych”.

Ben Mosze nie doczekał się, niestety, upragnionej niepodległości. Celem dokonania rewizji do jego pokoju, zajmowanego wraz z żoną, wszedł oficer policji Anglik w towarzystwie policjanta Żyda. Gdy Ben Mosze odwrócił się, by wziąć płaszcz z wieszaka, padł śmiertelny strzał. Kto strzelił Anglik, Żyd??? Zginął w dniu 11 lutego 1942 roku.



Na jednym z zebrań żydowskich mój znajomy oficer, Żyd, zwrócił się do mnie z poufną prośbą o... spowodowanie urlopowania bezterminowego dla kaprała, z komendy miasta w Jerozolimie, nazwiskiem Begin (b. adwokat warszawski). Po dłuższej rozmowie dowiedziałem się, że chodzi o wzmocnienie „Irgunu”, bojowej organizacji wojskowej. Byłem wtedy jeszcze w „cywilu”, ale dobrze znałem gen. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, zastępcę gen. Andersa. Sprawę z nim załatwiłem pozytywnie. Generał — twórca, w końcu roku 1939 Związku Walki Zbrojnej — był ujęty postawieniem sprawy przez Beginą, że pragnie wyjść legalnie z W.P. jako bezterminowo urlopowany. Begin stał się sławnym przywódcą „Irgun Zwei Leumi”. Takie postawienie sprawy, jak późniejsze wypadki wykazały, nie było

odosobnione. Zastępcą kwatermistrza Wojsk na Środkowym Wschodzie był major Żyd (nazwisko uleciało mi z pamięci); przyszedł kiedyś w Egipcie do mnie, byłem już w mundurze i w roli oficera do zleceń przy dowódcy gen. Wiatrze. Major chciał wyjść z wojska i przejść do Irgunu, co mi wprost oświadczył. „Znam nieprzychylny stosunek gen. Wiatra do Żydów, obawiam się odmowy, dezertować nie chcę. Byłem pod Kijowem, zarobiłem Virtuti. Jak przyjdzie do walki z bolszewikami, powrócę do szeregów W.P., obecnie chcę pomóc Irgunowi”. Z trudem udało mi się przekonać gen. Wiatra, że nie należy utrudniać sytuacji majorowi i że w ogóle nie można dezercji Żydów uważać za normalną dezercję. Przypominałem mu choćby dezercję Polaków z armii austriackiej do Legionów Dąbrowskiego, czy dezercję Polaków w czasie I wojny światowej z tak wojska rosyjskiego czy austriackiego do legionów. Z czasem awersja gen. Wiatra do Żydów nieco ziałała.



Żydowskie organizacje bojowo-niepodległościowe w latach 1945-1946, zdobywały sobie coraz większe uznanie i posłuch w żydowskim społeczeństwie Palestyny. Bez tego współdziałania nie do pomyślenia byłoby choćby działanie, nigdy niewykrętej podziemnej radiostacji żydowskiej, symbolu myśli i niepodległościowego czynu żydowskiego.

Anglicy z przysłowiowym brakiem wyobraźni i ślamazarnością działania, byli wymarzoną celą aktów dywersyjnych, robionych tuż pod okiem ich silnych i świetnie wyekwipowanych oddziałów wojskowych. Porywano w biały dzień, z ulicy lub kasyn oficerskich, oficerów brytyjskich jako zakładników, wysadzano samochody wojskowe na szosach, wykonywano akty sabotażu na poważne obiekty wojskowe, powodowano fałszywe alarmy, które były prawdziwą udręką flegmatycznych Brytyjczyków. Ukoronowaniem wszystkiego było wysadzenie w centrum Jerozolimy — Brytyjskiej Kwatery Głównej, znajdującej się w hotelu King David. Patrzyłem na to z bezpiecznej odległości. Młodzi, przebiegający około mnie dywersanci żydowscy, ostrzegali mnie bym schował się do bramy domu, bo będzie wkrótce strzelanina.

Do mnie i między sobą mówili po polsku.

Jako przykład przyjaznego stosunku „Irgunu” i „Hagany” do naszych oddziałów w Palestynie, było zwrócenie się jednej z tych organizacji do płk. Marszałka, d-cy wojsk w Palestynie, z życzeniem, by polskie samochody wojskowe miały wymalowane proporzyczki na drzwiach samochodowych. Proporzyczki białe-

czerwony, widziany z daleka przez obserwatora żydowskiego, zapobiegał odpaleniu miny na drodze czy szosie, po której krążyły samochody brytyjskie.

Aż do mego wyjazdu w roku 1947 nie mieliśmy wypadku ani w ludziach ani w sprzęcie.



Starzy Żydzi przybysze z Polski — tęsknili do niej. Średnie pokolenie Żydów polskich było już inne, ale nie płuęło nie-nawiscią. Mimo że byłem znany w Palestynie jako twórca ustawy o pozbawianiu obywatelstwa obywateli polskich, którzy zerwali stosunki z Polską, nigdy w ciągu mego paroletniego pobytu w Palestynie nikt z moich licznych znajomych, nie kwestionował słuszności tej ustawy ani nie uważał jej (i słusznie) za antysemitkę. Te rzeczy „robiono” dla polityki partyjnej w środowiskach polskich w Paryżu i Londynie *ad usum Delphini*.



O ile z Żydami nasze stosunki ułożyły się bardzo dobrze zarówno na płaszczyźnie oficjalnej jak i towarzyskiej, nie mieliśmy początkowo żadnych stosunków z Arabami palestyńskimi. Po przeniesieniu się pp. Jędrzejewiczów z Tel Avivu do Jerozolimy, a zwłaszcza po kilku odczytach o polskiej reformie szkolnej jakie miał Jędrzejewicz w Jaffie dla nauczycieli arabskich, sytuacja uległa radykalnej zmianie. Pp. Jędrzejewiczom złożył wizytę przywódca Arabów palestyńskich, doktor medycyny, którą ukończył tak jak i jego żona, w Paryżu. Nazwiska jego zapomniałem. Następnie przywódca Arabów wizytował często Jędrzejewiczów. Na spotkanie z nim i jego towarzyszami byłem zapraszany i przyjeżdżałem z Tel Avivu. Dowiedziałem się że przywódca pochodzi ze starej rodziny arabskiej, zamieszkałej od wieków w Betlejem i że on i jego rodzina są chrześcijanami od IV wieku. Świadomość że nie jest Turkiem, jak myślał, narodziła się podczas I wojny światowej gdy powołano go do armii tureckiej jako oficera-lekarza. Zarówno on jak i jego koledzy, oficerowie armii tureckiej, uświadomili sobie, że nic ich nie łączy z imperium otomańskim. Zakiełkował nacjonalizm arabski w wydaniu palestyńskim. Aż do roku 1948 był przywódcą Arabów palestyńskich. Nawiązał kontakty z bardziej uświadomionymi narodowo i państwowo Arabami Syryjskimi, Saudii Arabii, Iraku itd.

Niestety w roku 1948 powstańcy żydowscy, walczący o niepodległość żydowskiej Palestyny, zamordowali go wraz z żoną i dwojgiem ich dzieci.



Z inicjatywy prezesa Arabów palestyńskich Jędrzejewicz z małżonką złożyli w Ammanie wizytę emirowi Jordanii, dziadkowi obecnego króla Jordanii Husseina. Rozmowa, jak mi mówił Jędrzejewicz, była bardzo ciekawa i wszechstronna. Między innymi Emir powiedział, że jest zwolennikiem współpracy arabsko-żydowskiej i gotów jest nawet zezwolić Żydom na osiedlanie się w Jordanii.

Rozdział V

INSPEKCJA N.W. GEN. SIKORSKIEGO I N.W. GEN. SOSNKOWSKIEGO

W czasie swojej ostatniej podróży inspekcyjnej w roku 1943, gen. Sikorski wygłosił szereg przemówień do oficerów i żołnierzy.

Na odprawach oficerskich czuło się, że gen. Sikorski pragnie za wszelką cenę zdobyć sobie serca wojska, ale... jakoś mu to nie wychodziło. Był nerwowy, wpadał w gniew, wymyślał, głównie na śmigłowców i beckowców. Na Becka był szczególnie zawzięty. O Piłsudskim ani słowa, ani dobrze ani źle. Wiele o wspólnocie żołnierskiej: „żołnierz żołnierza zawsze rozumie, nawet żołnierza piłsudczyka”. Nie dziwota: szef sztabu 2-go korpusu, dowódca dywizji i d-ca artylerii — wszystko legionieści. Na pewno Anders nie szukał legionistów lecz dobrych dowódców. Wreszcie gen. Sikorski otworzył karty: na jakimś przyjęciu kazał grać przez siebie osobiście zakazaną Pierwszą Brygadę; wkrótce mianował płk. Wiatra — legionistę — generałem. Nie przeszkodziło mu to, by na jakiejś odprawie zaatakować osobiście gen. Sosnkowskiego. „To nie ja posługiwałem się Mikicińskim, to on przez Mikicińskiego sprowadził z Polski swoją żonę...”. Wymienianie nazwiska Mikicińskiego, nieznanego oficerom przybyłym z Rosji, obudziło zrozumianą sensację: szpieg niemiecki na usługach polskiego podziemia...

Śmierć gen. Sikorskiego przyjęto w Palestynie z powagą i żalem.

Liczyłem, jak i moi towarzysze pracy politycznej, że śmierć ta powinna przyczynić się do oczyszczenia zatrutej atmosfery i do zmian w Londynie. Niestety, na skutek wyjątkowej słabości charakteru prezydenta i „hamletyzowania” gen. Sosnkowskiego nie doszło do zasadniczych zmian. Mimo wszystko „odwilż” nastąpiła. Związek Pracy dla Państwa ogłosił publicznie o uformowaniu się jako oficjalna opozycja w stosunku do istniejącego w Londynie rządu R.P. Podobne deklaracje zgłosiły grupy pilsudczyków w Iranie, Libanie, Rodezji. Dotychczasowy, wydawany tajnie, „Biuletyn Niezależnych” przekształciliśmy na drukowany miesięcznik „Na Straży”. Redaktorem został Janusz Jędrzejewicz przy pomocy urzędnika MSZ Zd. Miłoszewskiego. Po chorobie Janusza Jędrzejewicza, przejąłem redakcję aż do końca istnienia pisma. Wydaliśmy ogółem 36 numerów.



Dowiedziałem się o chorobie Szczapy (Krzewskiego). Pojechałem do Jerozolimy. Był w szpitalu. Rak gardła. Mówił z trudnością, ale jak zawsze pełen humoru. Miał nadzieję na wyzdrowienie po operacji. W kilka tygodni byłem znów. Pogorszenie, ale i to nie wpłynęło na humor Szczapy. Pisał kartki. Dał mi napisaną przez siebie kartkę: wyjątek z piosenki legionowej „zasrane nasze życie, zobaczmy się w błękiecie...”. Patrzył na mnie i śmiał się. W kilkanaście dni potem umarł. Dostałem tu w Kanadzie od Jerzego Giedroycia fotografię grobu: śp. Karol Krzewski (kapral Szczapa), major dyplomowany, leg. I brygady, odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*, Krzyżem Niepodległości, 4 razy Krzyżem *Walecznych*. Literat, publicysta, ur. 1893 zmarł w roku 1944 w Jerozolimie. Czyjaś dobra ręka zadbała o usuwający się kamień nagrobny. Czy ktoś poza Jerzym Giedroyciem pamięta o setkach zmarłych w polskim szpitalu w El Kantara na prawym brzegu kanału sueskiego? Leży tam między innymi płk Jur-Gorzechowski słynny baron Budberg z roku 1905. Czy wiatr pustynny zawiął te groby, jak groby prehistorycznych Egipcjan, nieopodal pochowanych?

W końcu 1943 roku przybył na Środkowy Wschód na inspekcję — gen. Sosnkowski. Zarząd Związku Pracy dla Państwa postanowił wykorzystać jego pobyt, aby dowiedzieć się od niego o sytuacji politycznej Polski po układzie Sikorski-Majskij i po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Rosją, oraz poinformo-

wać go o naszym stanowisku. Za pośrednictwem gen. M. Tokarzewskiego-Karaszewicza, ówczesnego zastępcy gen. Andersa, rozmowa miała miejsce w Rehovot w kwaterze gen. Tokarzewskiego (MTK jak go nazywano od pierwszych liter imienia i nazwiska). Byli na niej obecni: byli premierzy Janusz Jędrzejewicz i Felicjan Sławoj-Składkowski, b. min. J. Poniatowski, b. wicemarszałek sejmu S. Dąbkowski, b. prezes Najwyższej Izby Kontroli J. Krzeмиński i ja. Wódz Naczelny przyszedł w towarzystwie gen. Andersa i por. J. Lipskiego, b. amb. w Berlinie, który mu adiutował. Premier Jędrzejewicz pierwszy zabrał głos witając generała i zagajając dyskusję. Szereg mówców, między innymi Poniatowski, zachęcało generała by huknął pięścią w stół i rozpędził hałastę, stawiając zagadnienie polsko-rosyjskie na właściwym poziomie. Gen. Sosnkowski dawał wyjaśnienia, które niewiele naświeślały. Na ogół konferencja zawiodła nas. Być może, że gen. Sosnkowski nie czuł się na siłach narzucenia swego zdania w Londynie, być może sytuacja w jakiej się znajdował — w ogniu zarzutów polskich, angielskich i sowieckich — temu nie sprzyjała. Gen. Anders nie zabierał głosu, słuchał jednak uważnie.

Z gen. Sosnkowskim przybył płk F. Demel, oficer któremu gen. zlecił czuwanie nad sprawami krajowymi, podlegającymi kompetencji Nacz. Wodza. Z płk. Demelem miałem oddzielną rozmowę w obecności MTK, któremu płk Demel proponował z ramienia Nacz. Wodza ewentualne udanie się na Węgry dla zorganizowania tam tajnej bazy dla A.K. Gen. Sosnkowski przewidywał, że w razie ofensywy sowieckiej na ziemiach polskich A.K., unikając walk z Moskalami, powinna spływać na Zachód, w czym winna być pomocna baza na Węgrzech, w jedynym przyjaźnionym kraju. Po tej konferencji i zgodzie generała na udanie się na Węgry, prawdopodobnie w drugiej połowie 1944 roku, generał zapytał mnie czy poszedłbym z nim razem. Oczywiście z radością wyraziłem swoją zgodę, przypieczętowaną — jak to było w zwyczaju MTK — serdecznym pocałunkiem. W parę dni potem, znów w kwaterze gen. Tokarzewskiego, płk Okulicki (Niedźwiadek) proponował mi udanie się z nim do kraju. Odmówiłem po pierwsze dlatego, że już dałem swoją zgodę MTK a po drugie, że nie znałem dobrze Okulickiego, mimo że był legionistą. Propozycja Okulickiego była bardziej fascynująca. Gdyby ta propozycja nastąpiła parę dni wcześniej mój los potoczyłby się innymi torami. Szkoda!

Dla mnie osobiście wypadki następowały dość szybko. Przede wszystkim z szeregiem młodszych kolegów zostałem powołany do wojska i wysłany na przeszkolenie do obozu w Rehovot (Palestyna).

Rozdział VI

E G I P T

W Rehovot, gdzie spotkałem wielu starych znajomych i przyjaciół, przeważnie wyższych stopniem niż mój kapitański. Między innymi spotkałem płk. Leona Koca, uczył mnie w latach 1914/15 saperki i produkowania bomb; Szanowskiego, niedawno przybyłego z Rosji, mego starego towarzysza z obozu w Havelbergu. Po ukończeniu kursu dostałem przydział do D-twa Wojsk Polskich w Egipcie. 2-gi Korpus właśnie opuszczał namioty w Quassasin, gdzie miałem spędzić bez mała 4 lata. Dowódcą wojsk — które zostały (wkrótce nazwano je 3-cim Korpu-sem W.P. a potem cudaczną nazwą „Jednostek Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie”) — był gen. Michał Karaszewicz-Tokarzewski. Byłem przyjęty przez gen. Tokarzewskiego miło i serdecznie.

Dostałem czasowy przydział do jego zastępcy, tj. gen. Wiatra, bez oznaczenia funkcji. (Aż do chwili odwołania gen. Tokarzewskiego moje stosunki z gen. Wiatrem ułożyły się jak najlepiej). Gen. Wiatr był człowiekiem miłym w obejściu, ale o dość wybujałej ambicji osobistej i przekonany, że jest zarówno znakomitym żołnierzem jak i politykiem. Przeszłość jego wojskową i w legionach jak i W.P. znałem, niczym się nie wyróżniała. Jego funkcja kwatermistrza w Sztabie Głównym przed wojną była silnie krytykowana przez kolegów-znawców — jako na wskroś biurokratyczna i pozbawiona horyzontów. Miał, jak powiedziałem, ambicje polityczne, ale niestety gorzej niż mizerną znajomość zagadnień politycznych, zresztą, jak pisałem poprzednio, taką samą znajomość zagadnień pedagogicznych, jeśli chodzi o szkolnictwo dla dzieci i młodzieży. Ukończył wprawdzie Szkołę Sztabu Generalnego, ale robił wrażenie człowieka przeciętnie inteligentnego. Jakże niekorzystnie odbijał od gen. Tokarzewskiego, człowieka życia, wizji przyszłości, orientującego się biegle w zagadnieniach społecznych, politycznych czy wojskowych, który nigdy nie opierał się na dogmatach czy schematach.

Gen. Tokarzewski rychło zorientował się, że rząd nasz w Londynie fałszywie informuje i inspiruje społeczeństwo uchodźcze, ale co gorsze w ten sam sposób inspiruje i fałszuje prawdę — przekazując jej telegraficznie stek kłamstw i *wishfull thinking*. Miałem możność przekonać się, gdy w poselstwie R.P. w Kairze

pokazano mi fotokopie z prasy podziemnej, przysyłanej z Londynu... jako materiał ściśle tajny (sic). Wypożyczono mi te fotokopie, pokazałem je obu generałom. Byli tak samo jak i ja wstrząśnięci do głębi tą dezinformacją pompowaną z Londynu do Polski. Powiedzenie prawdy obaliłoby politykę gen. Sikorskiego, Mikołajczyka i Romera. Zaproponowałem gen. Tokarzewskiemu abyśmy sami we własnym zakresie informowali naszych oficerów kolegów jak naprawdę wygląda nasza sprawa zarówno w kraju, w Foreign Office, w polskim rządzie i w Moskwie. Poprzez kolegów oficerów należycie zorientowanych prawda dosięgnie w pierwszym rządzie do uchodźstwa, którego nie wolno nam okłamywać, a następnie gdy dotrą do Londynu nasze „Biuletyny”, może politykierzy nasi zrozumieją, że zostali zdemaskowani. Zaproponowałem jako wzór nasz, piłsudczykowski „Biuletyn Niezależnych”. Gen. Tokarzewski dał mi zezwolenie na wydawanie biuletynu dla oficerów oświatowych, informacyjnych (tzn. wywiadowczych) korpusu sądowego, szpitalnictwa i oficerów nauczycieli w szkołach. Biuletyn nosił nazwę „Biuletynu Informacyjnego”. Dla swobody poruszania się, pisania, dostałem fikcyjny przydział zastępcy szefa wydziału drugiego (wywiad). Pierwszy numer poświęciłem krajowi i Podziemiu. „Biuletyn” chwycił z miejsca. Po dotarciu do Londynu wywołał burzę. Omawiano go w Min. Informacji i w Min. Obrony Narodowej, wreszcie za przyczyną gen. Kukiela dostał się na Radę Ministrów. Mikołajczyk wściekł się bo ujawniłem jego fałszowanie i uspakajanie wzburzonej opinii krajowej i nawet dotychczas potulnego wicepremiera krajowego Jankowskiego. Oświeć to zagadnienie Wł. Pobóg-Malinowski w *Najnowszej Historii Polski*, tom III, str. 483, 486 i 767.

Po dymisji gen. Tokarzewskiego i mianowaniu na jego miejsce Wiatra, „powiał inny wiatr”. Zaczęło się cenzurowanie „Biuletynu” przez niego, robienie poprawek, łagodzenie ostrzejszych wyrażen, jednym słowem robienie z „Biuletynu” rodzaju bezpłciowej, jerozolimskiej *Gazety Polskiej*. Po którejś, dość ostrej, rozmowie, dostałem inny przydział. „Biuletyn” przestał ukazywać się. Nowa praca była nic nie znacząca jak gros przydziałów w tym obozie wojskowym z „nieprawdziwego zdarzenia”. Byliśmy, jak to nam relacjonowano z Anglii, jak I-szy Korpus. Sami oficerowie. Wielu nie nadających się w ogóle do wojska było w tzw. II grupie, inni jak i gen. Wiatr przeważnie typu administracyjnego, rozkoszujący się w pisaninie. Chwała Bogu, że Anglicy dostarczali znacznie mniej papieru niż żądano, bo „zapisalibyśmy się na śmierć”. Jak mogłem to uciekałem czy to do Kairu, choćby na parę godzin, czy do Jerozolimy na niedzielę, byle z dala

od szmeru piór i maszyn. Gdyby nie piękno pustyni i krajobrazu egipskiego, można było dostać szału.

◆

Jednym z jasnych wspomnień z pobytu w tym nieprawdopodobnym obozie były odwiedziny biskupa polowego W.P. Sawy, duszpasterza prawosławnego. Sawa, był oficerem carskim o nazwisku Sowietow. Po rewolucji wstąpił do zakonu. Przed wojną był prawosławnym biskupem grodzieńskim. Gen. Wiatr zlekceważył przybycie bpa Sawy. Na moje przedstawienie mu, że mamy i tu i w Palestynie sporo prawosławnych, przeważnie szeregowych, starszych wiekiem, zarówno Białorusinów jak i Ukraińców, wiem to od mego pocztowego, Polaka, prawosławnego, który poznał piekło Sowietów, w drodze kompromisu gen. Wiatr przydzielił mnie do bpa Sawy. W tym charakterze witałem go na lotnisku w Kairze, odstąpiłem mu mój namiot w Quassasin i traktowałem go jak mojego gościa, gdyż generał nie zrobił nawet dla niego powitalnego przyjęcia w kasynie czy w swoim baraku. Z bpem Sawą składałem wizyty u patriarchy aleksandryjskiego, mieszkającego w Jerozolimie; byliśmy u patriarchy w Bejrucie i w Damaszku. Po tych wizytach a zwłaszcza po rewizycie angielskiego dostojnika kościelnego z Kairu i uroczystym nabożeństwie w Quassasin, na który przyszła (nieoczekiwanie nawet dla mnie) duża ilość żołnierzy i nawet dwie ochotniczki, o których myślano jak zresztą o wielu żołnierzach — że są katolikami. W następstwie tych wydarzeń, gen. Wiatr polecił, by w szkole junackiej w Barbarze (Palestyna) powitał biskupa pluton honorowy. Tamże na nabożeństwie było wielu nauczycieli i nauczycielek i junaków. Wreszcie kulminacyjnym wydarzeniem wizytacji bpa Sawy było całonocne nabożeństwo przy grobie Chrystusa na intencję Polski. Na nabożeństwie było nas tylko trzech Polaków bowiem Anglicy ogłosili w Jerozolimie *curfew*. Towarzyszący biskupowi Sawie, metropolita jerozolimski był Grekiem, a młodszym księdzem, b. kapelanem W.P., był Białorusin. Śpiewał chór bardzo starych mniszek prawosławnych — Rosjanek po rosyjsku. Kiedy mniszki nie śpiewały — zawzięcie plotkowały na „latynników”, za jakich uważały widocznie naszego biskupa no i kapelana, który, ku ich oburzeniu, był ogolony. Z zewnątrz dochodziły nas wybuchy i strzały. Żydzi bili się z Anglikami.

Nasza wizyta u patriarchy aleksandryjskiego w Jerozolimie była filmowana i fotografowana i dostała się do prasy obcojęzycznej.

◆

Jałta wzburzyła wojsko zarówno we Włoszech jak i u nas. Dochodziły do nas wieści, że w 2-gim Korpusie istnieją tendencje wypowiedzenia posłuszeństwa Anglikom, by w ten sposób zdemontrować nasz sprzeciw. Podobno 5-ta dywizja Sulika była najbardziej bojowa.

Za poradą gen. Tokarzewskiego, który po zwolnieniu z funkcji, zamieszkiwał nadal w Quassasinie, gen. Wiatr zdecydował się wysłać mnie — jako zdecydowanego zwolennika tego rodzaju protestu — do Włoch do gen. Andersa i przedstawić mu nasz punkt widzenia i wszystkich naszych oddziałów i zakładów wojskowych.

Odbyłem z gen. Andersem długą rozmowę. Gen. Anders przeciwny był temu projektowi, tym bardziej, że 2-gi Korpus przegrupowywał się do natarcia na Bolonię. Rozmawiałem również z gen. Wiśniowskim, szefem Sztabu. Stał lojalnie na stanowisku zajęтым przez gen. Andersa. Misja moja skończyła się fiaskiem.



Pisząc o naszym obozie w Quassasin nie można oczywiście pominąć „pestek” czyli ochotniczek z Pomocniczej Służby Kobiet.

Pestki w swej pracy czy to jako pielęgniarki, czy „driwerki”, urzędniczek kancelaryjnych, nauczycielki, wychowawczynie, były przedmiotem adoracji i wzdychań wielu żołnierzy i oficerów. Były na pewno piękną dekoracją i atrakcją w tej szarej, nudnej, monotonnej rzeczywistości „nieprawdopodobnego” obozu wojskowego, nie rokującego radosnej przyszłości, którą nasza propaganda londyńska czy swoista quassasińska, chciała przedstawić. Te kobiety mimo niesłychanie skromnego żołądka (mniejszego nie wiem dlaczego od żołądka mężczyzn), były zawsze skromnie ale czysto ubrane, schludne i w miarę swoich i obozowych okoliczności — zadbane, nierzadko eleganckie. To wpływało dodatnio i na nas wszystkich, którzy z nimi się stykali.

Brechy i bzdury puszczone przez starsze panie z zasady gorszące się, czy przez „odpalonych” adoratorów o jakoby złym prowadzeniu się „pestek” są zwykłym oszczerstwem. Że kochały się i że w nich kochano się — nie przynosi im to żadnej ujmy, a na pewno prowadziły się o wiele lepiej niż przedwojenne tak zwane „damy z towarzystwa” warszawskiego. Tak. Były, nielegalne z punktu prawa, związki i były dzieci nieślubne. Zwiedzałem taki dom w Tel Avivie i rozmawiałem z kierownictwem. Prawie każda para nieślubna zgłaszała dziecko w urządzie cywil-

nym w obecności ojca lub upoważnionego i dziecko otrzymywało nazwisko ojca. Na pewno ilość nieślubnych dzieci nie przewyższała ilości takich dzieci w Stanach czy Kanadzie.

Jeśli ktokolwiek widział te 17 czy 20-letnie dziewczęta z 16 czy 17 kompanii transportowej, które formowały się w Egipcie a później w akcji we Włoszech, na pewno uchyli przed nimi czoła, że używały przyswojonego od kolegów kierowców języka nieparlamentarnego, to i cóż. Słyszałem tzw. „panie z towarzystwa” w YMCA czy w Ognisku polskim w Londynie, które używały języka wprost plugawego.

Były prócz ochotniczek tak zwane młodsze ochotniczki, to jest uczennice szkół (powszechnych i gimnazjum) w Nazarecie. Były to dziewczęta, z których znakomita większość przeszła przez Rosję. W 1945 dołączyły do nich dziewczęta z Armii Krajowej, by kończyć naukę w gimnazjum.

Poznałem wiele z nich, gdy przysłano je na odpoczynek do obozu wypoczynkowego pod Izmailią nad Gorzkim Jeziorem, przez które przepływał kanał sueski. Z paru kolegami z Quassasin przyjeżdżaliśmy przez osiem miesięcy w roku kąpać się w kanale, w czasie przerwy tropikalnej, która trwała 4 godziny. Jazda ciężarówką w obie strony zabierała nam 2 godziny. Zauważyliśmy, że warszawianki chodzą bądź leżą na piasku w letnich wprawdzie, ale mundurach. Na zapytania czemu się nie kąpią — zbywały nas dowcipami. Poznałem wreszcie kaprała A.K., córkę mego kolegi legionowego, zapytałem ją co to ma wszystko oznaczać. Odpowiedź była jasna. Mają żołąd, jak młode ochotniczki — mniejszy niż pestki, woda czy inne napoje chłodzące pozerają wszystkie pieniądze, a papierosy? a inne potrzeby kobiece? nie mają pieniędzy na kostium kąpielowy. Byłem zbulwersowany. Podzieliłem się z tym wszystkim z kolegami. Po powrocie do obozu poszedłem do płk. Indyk-Czajkowskiego, szefa zaopatrzenia. Nic nie może poradzić, przepisy... Ledwie skończyłem obiad w kasynie oficerskim wskoczyłem na krzeselko i palnąłem mówkę na temat młodszych ochotniczek, żołnierzy z Powstania Warszawskiego, które zakończyłem retorycznym pytaniem czy mają się puszczać żeby móc wykąpać się czy wygrzać na plaży? Kto tego nie chce niech mi wrzuci do mego beretu, forse na kupienie kąpielówek dla Akaczek. Zebrałem ponad 50 funtów. Wraz z przyjaciółmi Jaszczółtem, Kleinertem i Gorgolem zostaliśmy obdarowani kubłami marmolad i słodczy, jakie ofiarował nam zarząd kasyna dla Akaczek. Wszystko to oddaliśmy, szczęśliwi, najstarszej stopniem Akaczce do podziału. Dziewczęta miały kostiumy kąpielowe.

Będąc z odwiedzinami w Nazarecie słyszałem ich skargi, że są zmuszane do brania udziału w zabawach towarzyskich z Arabami, którzy są napastliwi i nie umieją się zachować. Mówiłem o tym płk. Ryzińskiemu, który przyrzekł zainteresować się tym. Powiedziałem mu również, że Anglicy z sąsiedniego obozu, przysyłają ciężarówkę z zaproszeniem na tańce. Były to na pół zaproszenia na pół polecenia. Polska uprzejmość (?) nakazywała ochotniczkom brać udział w tych zabawach...

Kończąc stwierdzam to co widzieli moi przyjaciele w Rosji i na uchodźstwie: kobiety i dziewczęta nasze wykazały wysoką klasę zarówno w Rosji jak i w Podziemiu, jak i tu, na pustyni.

◆

Pod koniec mego pobytu w Egipcie poznałem swego imiennika kpt Juliana Drymmera, byłego nauczyciela z Druż, a więc z pogranicza polsko-sowieckiego. Tak samo jak i ja był zaskoczony. Ja, bo nie wiedziałem że istnieje jakiś inny Drymmer poza moim bratem Karolem w Warszawie.

W roku 1939 został jak miliony innych Polaków aresztowany i wywieziony do Rosji. Siedział w jakimś więzieniu w Mińsku, stamtąd przewieziono go na Łubiankę. Po spisaniu, jak to w zwyczaju NKWD, personalii *śledowateli* zapytał go co wie o tajnym układzie Becka z Hitlerem. Julian był tym pytaniem więcej niż zaskoczony. Wiedział wprawdzie, że Beck był ministrem, czytał o tym w *Czasie wileńskim*, ale o samym układzie nie wiedział. Za swoje 'nie wiem' dostał takie uderzenie w twarz, że wyleciało parę zębów. Od tego dnia zaczęła się wielomiesięczna udręka i tortury Juliana. Warszawę znał przelotnie, jadąc do Krakowa z wycieczką. Niewiele również mógł powiedzieć o Becku. Zamęczał się sam, bo nie wiedział o co *śledowatelowi* chodzi. Sprawę wyjaśnił mu jakiś Żyd, który dostał się do jego celi. Ten wiedział kto to był Drymmer w Warszawie. Juliana ogarnął strach, na szczęście nie długo to trwało. Pewnego dnia *śledowateli* wskazując na dużą teczkę leżącą przed nim powiedział „*wy prawy, wy nie tot Drymmer*”, prawdziwy Drymmer, którego chciałby mieć jest w Palestynie. Ale żeby miałem wszystkie wybite, zakończył Julian. Wypiliśmy za każdy jego utracony, z mojej winy, ząb.

◆

Doszła mnie w Egipcie wiadomość o zastrzeleniu z wyroku jakiejś bojówki żydowskiej b. konsula Witolda Hulanickiego. Żal mi było chłopca, ale chęć utrzymania się z rodziną zmusiła go

pochopnie do przejścia na służbę angielską. Zaczęło się niewinnie — został szefem cenzury, ale jako taki musiał złożyć przyrzeczenie w Intelligence Service. I tak się zaczęło od „łyczka do rzemyczka”. Najpierw zmuszano go do składania meldunków niewinnych o formującej się Brygadzie Karpackiej (o czym pisał w swoim czasie płk Wł. Michniewicz w *Kulturze*) a potem prawdopodobnie o sprawach żydowskich. Razem z nim zastrzelono jakiegoś dziennikarza naszego, pracownika PIC’u. Nazwiska nie pamiętam, nie znałem go.

Tak się pomściła służba dla obcej agentury.



Jak bardzo były mętne wiadomości które oficjalnie napływały z Londynu niech będzie przykładem wezwanie na końcu roku 1945 gen. Wiatra do Londynu. Lciał, pełen optymizmu, zebrany kilku oficerom oświadczył, że na pewno w Londynie proponują mu formowanie dywizji (!), w najgorszym wypadku brygady. Zirytowany powiedziałem bardzo dobitnie, że jedzie dla — demobilizacji. Zaskoczyło go to, chciał się ze mną zakładać o 100 funtów, przyjąłem zakład na 50 funtów, bo tyle miałem. Oczywiście przegrał, o zakładzie zapomniał.



Demobilizacja zaskoczyła bardzo wielu, tak jak zaskoczyła gen. Wiatra. Na wieść o demobilizacji grono podoficerów z sierż. Sikorą (b. legionistą) na czele zwróciło się do mnie o wyjednanie od gen. Wiatra zezwolenia na urządzenie święta Żołnierza w dniu 6 sierpnia. Generał oczywiście zgodził się. Organizatorzy obrali mnie na przewodniczącego, bowiem postanowili, że to święto ma mieć charakter ochotniczy a nie przymusowej akademii. Organizowaliśmy zebrania we wszystkich ośrodkach na terenie Libanu, Palestyny i Egiptu. Zjazd był bardzo liczny. Obchód jak najbardziej udany.

Takie było pożegnanie się nasze z Wojskiem Polskim na Środkowym Wschodzie.

Egipt opuściłem na jesieni 1947 roku. Udałem się na demobilizację do Anglii.

K o n i e c

Wiktor Tomir DRYMMER

WSPOMNIENIA Z DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ 1939-1943

(ciąg dalszy)

ANGLIA

I.

Wysiadając z transportu morskiego w Liverpool, znalazłem się w kraju zupełnie nieznanym. Nie byłem przedtem nigdy w Anglii, nie mówiłem ani słowa po angielsku. Za to Stefan Zamoyski czuł się tu jak u siebie w domu i jego obecność była wielką pomocą. Zresztą okazało się, iż oficer wyładowniczy otrzymał jakieś co do nas zarządzenia, bo przyjął nas wiadomością, że mamy jechać wprost do Londynu i wręczył nam bilety kolejowe. Reszta Polaków z transportu, załadowana na zestaw czekających wagonów, została skierowana do Szkocji.

W pociągu zastanawialiśmy się co robić dalej. Podczas długiej podróży z Gibraltaru straciliśmy kontakt z naszymi ośrodkami w Londynie. Nie wiedzieliśmy gdzie mieszka Generał Sikorski, gdzie znajduje się Sztab, czy inne polskie placówki. Jedynie adres Polskiej Ambasady był nam znany i za radą Stefana postanowiliśmy tam zwrócić się przede wszystkim.

Do Londynu przybyliśmy wieczorem. Zaciemnienie ulic było zupełne i jadąc taksówką ze stacji widzieliśmy tylko łunę pożarów nad londyńskimi dokami.

W Ambasadzie, pomimo późnej godziny, przyjęto nas serdecznie. Pani Cesia, uroczą żonę ambasadora Edwarda Raczynskiego, zajęła się kolacją. Sam Ambasador dał nam wszystkie potrzebne objaśnienia i wprowadził po trochu w polską sytuację w nowych warunkach angielskich. Wynikało z tego, że stosunki gen. Sikorskiego z Rządem i Dowództwem Wielkiej Brytanii ułożyły się jak najlepiej, a z Churchilllem były nawet bliskie i serdeczne. Natomiast odniosłem wrażenie, że na polu polskiej, wewnętrznej polityki są duże trudności.

Nazajutrz rano poszedłem zameldować się u gen. Sikorskiego. Zajmował z rodziną dość niewygodne mieszkanie, na najwyższym piętrze niewielkiego domu w pobliżu Grosvenor Square, w samym

centrum miasta. Powitał mnie z radością. Pytał o moje przygody, a potem mówił o tym co było jego pierwszą troską, o wojsku. Ostatni raz widziałem Generała w chwili gdy rozpadało się wszystko co zdołał zbudować we Francji. Teraz w oparciu o Anglię, zaczynał od nowa z tą samą energią. Wrodzony optymizm jego natury nie został ani na chwilę zachwiany. Był jak najlepszej myśli. Umowa wojskowa brytyjsko-polska właśnie została podpisana. Z naszej strony zdołaliśmy uzyskać pełne uznanie suwerenności. Polskie Siły Zbrojne będą zorganizowane i użyte pod dowództwem brytyjskim, ale w jego charakterze Naczelnego Dowództwa Wojsk Alianckich, jako odrębne Siły Zbrojne Rzeczypospolitej Polskiej, sprzymierzonej z Królestwem Wielkiej Brytanii. Jest i działa nasza Marynarka wojenna, jest Lotnictwo, szkolone w Anglii jeszcze przed upadkiem Francji, które już weszło w akcję bojową. Generał kłopotał się tylko o wojsko. Jak wiele zdoła przedostać się z kontynentu do Wielkiej Brytanii? Z wyższych dowódców nie ma jeszcze generałów Maczka, Ducha i Bohusza-Szyszko. Żołnierze ewakuowani z Francji z pomocą Anglików i ci, co nadciągają na własną rękę, grupowani są na terenie Szkocji, jak to zostało ustalone z brytyjskim dowództwem. Tam mają się formować w jednostki bojowe. Jednak przy płynnym stanie oddziałów trudno wiedzieć na co można liczyć. Organizacja jest w formie początkowej, większość żołnierzy koczuje pod namiotami, a idą jesienne słoty i zima. W końcu rozmowy Generał polecił mi urządzić się w Londynie, a potem jechać do Szkocji by zorientować się w sytuacji wojska, które odtwarzało się po raz wtóry, w przeciągu zaledwie roku od wybuchu wojny. O sprawach polityki Generał nie wspomniał ani słowa.

Dopiero później, po bytności w naszym Sztapie Głównym w Hotelu Rubens, dowiedziałem się o próbie usunięcia gen. Sikorskiego ze stanowiska premiera, by na nie powołać Ministra Augusta Zaleskiego. Z Szefem Sztabu, płk. Klimeckim, łączyły mnie serdeczne stosunki on to poinformował mnie o wszystkich szczegółach sprawy. A także o roli jaką sam w niej odegrał stając na czele delegacji wojskowych, która zwróciła się do min. Zaleskiego z prośbą, aby odmówił premierostwa. Ostatecznie uniknięto rozdziału między władzą cywilną a wojskową, tak niebezpiecznego w krytycznym momencie wojny. Mógł on nie tylko ograniczyć zakres działalności gen. Sikorskiego, lecz również podważyć autorytet jaki zdobył u Aliantów. Gen. Sikorski pozostał nadal Premierem, Wodzem Naczelnym i Ministrem Spraw Wojskowych. Jednak polskie głosy sprzeciwu nie zamilkły. W ogóle, klęska Francji i ponowne rozproszenie wojska polskiego w jej skutku, wytworzyły pośród Polaków za granicą atmosferę oskarżeń i

rekryminacji. Powtarzały się rozgrywki partyjne i personalne jak po kampanii wrześniowej. Gen. Sikorski, tak silnie związany z Francją, stawał się teraz celem ataków, zwłaszcza ze strony tych co byli jego przeciwnikami z okresu Sanacji. Znana jest wypowiedź min. Łukasiewicza i list otwarty gen. Dąb-Biernackiego, za co zresztą był on sądzony i skazany przez Polski Sąd Generalski.

Wszystko to można było wyczuć przy pierwszym zetknięciu z „polskim” Londynem. Za to Londyn angielski był zupełnym przeciwieństwem nastrojów jakie zgubiły Francję. Znalazłem się tam na początku września 1940 roku. Anglia oczekiwała inwazji. Trwała już Bitwa o Wielką Brytanię, walki powietrzne z przeważającą siłą Luftwaffe, niszczenie portów, lotnisk, bombardowanie najpierw doków londyńskich, potem miasta. Pomimo ciągłych alarmów wszystko działało sprawnie. Nawet na sklepach naruszonych bombą widniał napis *business as usual*. Postawa ludności spokojna, opanowana, była imponująca. Głos Churchilla przez radio podtrzymywał ducha, ale sam właściwie był wyrazem instynktu tego dziwnego narodu, w którym właśnie sytuacje beznadziejne budzą upartą odporność. Cała wyspa, ta mała „kępa”, jak ją nazywali polscy żołnierze, zamieniła się w jeden obóz wojenny. Bez wielkich słów, a nawet z humorem.

Polak na ulicach Londynu czuł się wtedy jak wielki pan, honorowany, ceniony. Był przecież jedynym wiernym sojusznikiem. Churchill zdawał sobie doskonale sprawę z wpływu jaki obecność Polaków mogła mieć na „morale” narodu. Wkrótce po przybyciu do Anglii, jechałem samochodem z gen. Sikorskim i Churchilllem. Słyszałem jak rozmawiali. „Te wasze rogate czapki — mówił Churchill łamaną francuszczyzną — nie porzucajcie ich, na miłość Boską! Niech ludzie wiedzą, że jest tu między nami jakieś inne wojsko prócz naszego, że nie jesteśmy sami!”. Na skutek tej rozmowy gen. Sikorski wydał rozkaz, który obowiązywał wszystkich żołnierzy do noszenia rogatywek w Londynie. I rzeczywiście, polski mundur był witany wszędzie z entuzjazmem. Czasem przybierało to formy żenujące. Nie można było zejść do restauracji na obiad, aby ktoś zupełnie obcy nie pospieszył się z zaplaceniem rachunku. Zwłaszcza popularni byli lotnicy polscy. Nasze formacje myśliwskie już walczyły u boku Anglików z dużym powodzeniem. Wyczyny Dywizjonu 303 stały się sławne i zdobywały pochwały Szefa Sztabu R.A.F. u i Ministra Lotnictwa, Sir Archibalda Sinclair. Król odwiedził Dywizjon w Northolt, był obecny przy jego odlocie i powrocie z akcji. Jeszcze przed wyjazdem do Szkocji towarzyszyłem gen. Sikorskiemu do

szpitala, gdzie dekorował krzyżem *Virtuti Militari* rannego dowódcę tego Dywizjonu.

Z powodu wzmożonych bombardowań, mój wyjazd do Szkocji nieco się odwlekał. Okazało się bowiem, że dotychczasowe mieszkanie Generała jest nie tylko niewygodne, ale staje się niebezpieczne. Trzeba było szukać czego innego. Z pomocą generała Regulskiego, który był wówczas polskim komendantem na miasto Londyn, udało mi się znaleźć odpowiedni apartament w suterynach dużego bloku mieszkaniowego, za hotelem Ritz, w pobliżu Green Parku. Większość okien wychodziła na ogród i była zabezpieczona workami z piaskiem. Było to coś w rodzaju luksusowego schronu i tam przeniósł się Generał z żoną i córką. Naloty niemieckie na Londyn miały głównie miejsce w nocy, więc kwestia mieszkania była ważniejsza od biur. Ale ryzyko niebezpieczeństwa istniało zawsze, bo ani w Sztapie, ani w innych miejscach urzędowania gen. Sikorskiego nie było schronów, a praca jego przeciągała się nieraz do późnego wieczora.

Na biuro Generała jako Premiera został wynajęty mały domek na Portland Place, niedaleko naszej Ambasady. Naprzeciwko stał wielki gmach B.B.C. i ten przyciągał bomby. Toteż pewnej nocy biuro Premiera dostało swoją porcję. Na szczęście Generał był wtedy w domu i gdy przysłała wiadomość z Ambasady o zniszczeniu, kazał mi pójść tam by zbadać sytuację na miejscu. Z początku strażnicy z ochrony przeciwbombowej nie chcieli mnie wpuścić do wnętrza twierdząc, że naruszone ściany mogą się lada chwila zawalić. Ponieważ obawiałem się, że mogą tam być jakieś ważne papiery, więc w końcu prawie na siłę wszedłem do ruiny. Biurko Generała stało na miejscu, a na nim telefon. Dla żartu spróbowałem zadzwonić do Generała i ku mojemu zdumieniu otrzymałem normalne połączenie.

Po tej przygodzie wyruszyłem nareszcie do Szkocji. Jechałem z pewną treścią jak sobie dam radę bez znajomości języka. Pierwsze trudności okazały się już w wagonie restauracyjnym, gdzie z mojego bełkotu zrozumiano, iż żądam chińskiej herbaty. Miało to później fatalne konsekwencje. Jeżdżąc bardzo często do Szkocji i natrafiając na tę samą obsługę wagonu, podawano mi zawsze błado żółtą ciecz o podejrzanym zapachu.

W Szkocji znalazłem małą Polskę i nie było problemów z językiem. Odwiedziłem wszystkie obozy, których było kilkanaście. Do pewnego stopnia powtórzyła się moja wyprawa do Coëtquidan, jednak organizacja angielska przewyższała pod każdym względem francuską. Zastałem wojsko w dużo lepszych warunkach niż te, które widział gen. Sikorski podczas pierw-

szych inspekcji. Żołnierzy grupowano głównie w okręgu Glasgowa i Perth. Wielu już mieszkało na kwaterach pod dachem, choć część jeszcze pozostawała w namiotach. Większość miała mundury angielskie, a wszyscy dobre wyżywienie na modłę polską. Kłopoty były z bronią. Po Dunkierce, gdzie 300.000 ludzi uszło z życiem, ale porzucając z konieczności cały sprzęt, sami Anglicy odczuwali szalone braki i musieli dozbrajać własną armię z wielkim wysiłkiem. Przychodziła jednak pomoc z Ameryki. Nasze oddziały były dalej w stanie płynnym, ciągle dochodzili żołnierze z Francji przez Afrykę, Portugalie, Gibraltar.

Jednostkę zwartą stanowił Batalion Brygady Podhalańskiej, który opuszczając Norwegię nie zdążył, na szczęście, wylądować się we Francji i wraz z Anglikami wrócił wprost do Wielkiej Brytanii. Zachowały też swoją formację dwa pułki z dawnej 10 Brygady Kawalerii Marczka, 10 Strzelców Konnych i 24 Ułanów. Były trzy bataliony czołgistów i artyleria przeciwlotnicza. Przeważały jednak instytucje tyłowe i sztaby, a co uderzało najbardziej to olbrzymi nadmiar oficerów w stosunku do szeregowych. W owej chwili wojsko było bez dowódcy, gdyż w końcu lipca gen. Sikorski zwolnił z tego stanowiska gen. Burhardt-Bukackiego. Wprowadzało to niepewność i zamieszanie. Na wyższych szczeblach można było wyczuć niepokój o własny los i to samo krytyczne nastawienie do gen. Sikorskiego co w Londynie. Szczególnie wśród dawnych oficerów legionowych, których tępił płk Modelski, prowadząc nadal swoją francuską politykę „czystek”. Ale na ogół duch w wojsku był dobry. Żołnierze czuli, że są w kraju, który bierze wojnę na serio. Z miejscową ludnością nawiązywały się życzliwe stosunki, a że w tym czasie nasi chłopcy nie mieli jeszcze wiele do roboty, więc imali się ich figle. Opowiadano mi taką jedną historyjkę. W Szkocji owce trzymane są na łąkach otoczonych drutami. Czochając się o te druty zostawiają na nich kłaki wełny, zbierane skrzętnie przez farmerów. Nasi żołnierze zgłosili się do pomocy i wkrótce zaczęli znosić całe wory wełny ku zdumieniu Szkotów. Okazało się, że nie zadowalając się strzępami na drutach, łapią owce po łąkach i wystrzygują co się da z ich grubych kożuchów. Farmerzy kiwali głowami, ale ponieważ Szkoci cenią przemysłowość, więc im to raczej zaimponowało i przyjaźń jeszcze się zacieśniła.

Zorientowawszy się, wróciłem do Londynu by przedstawić gen. Sikorskiemu moje wrażenia. Na skutek tego raportu Generał decyduje się wysłać do Szkocji gen. Kukiela, mianując go dowódcą całego zgrupowania wojska na tym terenie. Ma się ono formować jako 1-szy Korpus Polski, jednostka jeszcze nie doskonała, ale posiadająca możliwości rozrostu. W tym samym czasie ja

dostaje nominację na Szefa Gabinetu Naczelnego Wodza i Ministra Spraw Wojskowych.

O ile pamiętam, w tym okresie powstał problem Sztabu Głównego w Londynie. We Francji Sztab bardzo się rozrósł i obecnie gen. Sikorski uważał, że nie należy go rozbudowywać z nadto, póki jeszcze nie ma danych co do przyszłej ilości wojska. Po tej linii miały iść reformy płk. Klimeckiego. Z jednym wyjątkiem. Wobec wiadomości nadchodzących z Polski, gen. Sikorski postanawia przenieść sprawy krajowe od gen. Sosnkowskiego do specjalnego oddziału w Sztabie. W ten sposób powstał nowy zupełnie Oddział VI, przeznaczony do kontaktów z Polską i walką podziemną w Kraju.

W związku z reorganizacją Sztabu miałem nieoczekiwaną rozmowę z Admiralem Świrskim. Zaprosił mnie na śniadanie, w ciągu którego oświadczył, że uznaje Biskupa Polowego Gawlinę, że gotów jest nawet uznać Szefa Gabinetu Wodza Naczelnego, ale nigdy, przenigdy nie uzna nad sobą autorytetu Szefa Sztabu, bo ten z Marynarką nie ma nic wspólnego. Posiada ona własne, niezależne dowództwo. Gen. Sikorski przyjął ten punkt widzenia i odtąd Admirał Świrski miał do czynienia tylko z Wodzem Naczelnym, bez pośrednictwa płk. Klimeckiego. Chodziło tu jedynie o prestige Marynarki Wojennej, nie było ani cienia osobistej niechęci. Płk Klimecki, wzorowy Szef Sztabu, był człowiekiem niezwyklej wartości. Świetny żołnierz, odznaczał się przy tym prawością i siłą charakteru, oraz wybitną inteligencją o szerokim widnokręgu. Miał u wszystkich uznanie, a gen. Sikorski cenił go bardzo wysoko. Pomimo tego, a może właśnie z powodu konfrontacji zdecydowanych charakterów, nastąpiło między nimi krótkie spięcie. Gen. Sikorski przygotował własnoręcznie referat, dotyczący jakiegoś ważnego problemu i wręczył go Klimeckiemu do rozpatrzenia i wykonania. Płk Klimecki dość stanowczo wyraził swoją krytyczną opinię co do niektórych punktów. Generałowi poszło to nie w smak i zareagował gwałtownie. Klimecki złożył natychmiast swoją dymisję i przestał urzędować. Przez parę dni Sztab Główny był bez Szefa.

Generał Sikorski szybko ochłonał. Zwrócił się do mnie abym jakoś sprawę naprawił. Poszedłem do mieszkania Klimeckiego, przygotowany na trudne pertraktacje. Zaledwie zaczęliśmy rozmowę, gdy odezwał się dzwonek u drzwi. Na progu stał gen. Sikorski. Jego przyjście było gestem pojednania i płk Klimecki pozostał na stanowisku Szefa Sztabu do końca swego życia.

W międzyczasie wielką radością dla wszystkich był powrót wyższych dowódców z Francji. Najpierw, w końcu września 1940 roku zjawia się gen. Maczek z rodziną, potem gen. Szysz-

ko-Bohusz i Duch. Wszyscy zjeżdżają się wkrótce w Szkocji, dokąd i ja towarzyszę gen. Sikorskiemu z okazji uroczystej dekoracji tych dowódców krzyżami *Virtuti Militari* za kampanię francuską i walki w Norwegii. Odbywają się odprawy i konferencje. Generałowie Maczek, Bohusz-Szyszko i Duch otrzymują polecenie zbierania żołnierzy z dawnych swoich oddziałów rozproszonych po Szkocji, z Kukielem Generał naradza się co zrobić z nadwyżką oficerów bez przydziału. Postanowiono sformować brygady oficerskie, gdzie oficerowie pełniliby służbę szeregowych. Brygady te miały otrzymać broń i normalny ekwipunek, mogąc jednocześnie służyć jako źródło do obsadzania stanowisk dowódczych w miarę rozrostu wojska. Poza tym, gen. Sikorski zaproponował Churchillowi użycie części tych oficerów jako załogi pociągów pancernych, które na południu wyspy miały współdziałać z organizacją przeciw-inwazyjną. Małe królowny Elżbieta i Margareta, zaciekawione nieznanymi sojusznikami, odwiedziły kiedyś taki pociąg bez żadnego uprzedzenia. Myszkowały po wszystkich wagonach ku uciechu własnej i polskiej obsłudze.

Po dekoracji generałów spieszyłem znów do Londynu, by zająć się organizacją Gabinetu. Przedstawiłem gen. Sikorskiemu projekt, który przyjął. Według tego projektu Szefowi Gabinetu Nacz. Wodza miały podlegać: adiutantura, kancelaria, referat wyznań nie-katolickich w wojsku, referat odznaczeń polskich i obcych. Przy czym w moim rozkazie wewnętrznym było zaznaczone, że oficerom pracującym w Gabinetcie nie wolno przyjmować żadnych orderów, ani polskich, ani zagranicznych. Dobrze się składało, że Stefan Zamoyski miał już swoje *Virtuti Militari* za Norwegię, bo on właśnie został jednym z adiutantów gen. Sikorskiego. Było ich zawsze trzech, jeden z wojska, jeden z lotnictwa i jeden z marynarki. Dyżury mieli po 24 godzin, na zmianę — i nie była to żadna synekura. Generał był w ciągłym ruchu, z biura Premiera do Sztabu w Rubensie, z posiedzeń Rządu do spotkań z Churchilllem lub inną ważną osobistością, nie mówiąc już o wyjazdach do Szkocji czy dalszych podróżach. Wszędzie musiał towarzyszyć mu adiutant.

W późniejszym czasie do składu Gabinetu doszedł jeszcze referat polityczny, a wreszcie opieka nad kwaterą Generała w Szkocji. Referat polityczny powstał zupełnie przypadkowo. Jak kiedyś we Francji, tak i teraz podczas podróży po obozach spotkałem Józefa Lipskiego z nieodłącznym Malhomme. I tak jak we Francji tułali się po jakichś oddziałach, gdzie marnowały się ich wybitne zdolności. Tym razem udało mi się na to poradzić, przenosząc ich do Gabinetu Generała i tworząc nowy, jak się okazało bardzo pożyteczny referat. Głównym ich obowiązkiem

był przegląd prasy całego świata i robienie z niej wyciągów dotyczących sytuacji wojennej i politycznej. Taki skrót znajdował się codziennie na biurku Generała, który bardzo często wzywał potem Lipskiego na dłuższą dyskusję.

Przy tym wszystkim, ogromnie trudno było okazać Generałowi prawdziwą pomoc w jego bezpośredniej pracy. Nie uznawał dla siebie żadnych udoskonaleń technicznych, dyktafonów, stenografii, maszyn do pisania. Nie miał nawet z urzędu osobistego sekretarza. Kołakowski pełnił dorywczo tę funkcję jako Sekretarz Rady Ministrów. Wszystkie najważniejsze opracowania, referaty i przemówienia Generał pisał sam, odręcznie, najczęściej już w łóżku, na wpół siedząc skulony i te hieroglify przekazywał bądź Kołakowskiemu, bądź mnie.

Zdaje się, że właśnie podczas organizowania Gabinetu odbyło się posiedzenie Rady Narodowej, na które gen. Sikorski zabrakł mnie ze sobą. Było ono dość burzliwe i bezładne. Dyskusja nad aktualną sytuacją szybko zamieniła się w spór co do politycznych i wojskowych posunięć Generała w okresie francuskim. Większość uważała, że słusznie postąpił przenosząc punkt ciężkości naszej sprawy do Anglii, przy czym krytykowano jego zbytnią wiarę we Francję. Mniejszość twierdziła, że gen. Sikorski niepotrzebnie użył wojska polskiego w walkach na tamtejszym terenie, będąc już ostrzeżony przez Weyganda i że tym samym zatracił większą część naszych Sił Zbrojnych. Ścierały się przesadne pochwały i przesadne zarzuty. W moim pojęciu nic nie było oparte na faktycznym stanie ówczesnej rzeczywistości.

W wyniku tego posiedzenia powstał Dziennik Czynności Generała Sikorskiego. Miał się składać z czterech działów: 1. Przebieg dnia Generała; 2. Załączniki do tego Działu (kopie rozkazów, przemówień etc.); 3. Fotografie do danego dnia; 4. Wycinki z gazet. Dowiedziałem się, że na terenie Wielkiej Brytanii jest dwoje ludzi idealnie nadających się do takiej roboty, którzy w Polsce prowadzili wojskowe biuro historyczne. W Szkocji dr Oppman, historyk i doświadczony archiwista, a w Londynie jego żona, Magister R. Oppmanowa, zatrudniona w Rubensie przy wypłacaniu pensji oficerom. Chodziło o to, aby ich połączyć i dać odpowiednie warunki pracy. To się udało tworząc komórkę archiwalną przy Szkockiej Kwaterze Generała, którą właśnie miałem zamiar zorganizować. Oboje Oppmanowie uznali zaplanowany podział Dziennika za słuszny. Wciągnęli się tak świetnie do roboty, że mogłem z Londynu podawać im telefonicznie fakty bieżące, przysyłając następnie dokumentację. Przy sposobności moich pobytów w Szkocji omawialiśmy tekst Dziennika za ubiegły okres, a ja stawiałem parafę na każdej stronie. Z czasem Dziennik

Czynności został nawet odtworzony wstecz, aż na okres francuski, choć z konieczności nie tak szczegółowo. O istnieniu Dziennika wiedzieli tylko Oppanowie i ja. Gen. Sikorski, do końca, nie miał o niczym pojęcia. Nie wspominałem mu o tym rozmyślnie, obawiając się, że mógłby na coś źle zareagować lub kazać usunąć, co by przekreśliło wartość historyczną dokumentu.

Myśl o Kwaterze Szkockiej Generała dręczyła mnie już od pewnego czasu. Brak jej dawał się odczuwać w różnych okolicznościach. Generał jeździł często do Szkocji na inspekcje, poza tym przyjmował tam ważne osobistości, które wojsko polskie odwiedzały. Pod koniec września 1940 roku była wizyta księcia Kentu, w październiku Churchilla, na skutek której rozpoczęły się początki motoryzacji i szkolenia spadochronowego, a w grudniu tegoż roku bardzo ważna dla przyszłości armii wizyta Szefa Imperialnego Sztabu Generalnego, Generała Sir Alan Brooka. Postanowiłem więc, że następny mój wyjazd do Szkocji wyzyskam aby się rozpatrzeć w możliwościach znalezienia tam stałej siedziby dla Generała.

Okazja nadarzyła się na Boże Narodzenie 1940 roku. Pojechałem z gen. Sikorskim aby spędzić Wilię w Kwaterze Głównej 1-go Korpusu. Obecny był również dr Hugh Dalton, członek partii Labour i kierownik Ministerstwa wojny gospodarczej, pod którym to niewinnym tytułem działał „zarząd operacji specjalnych” prowadzący tajną robotę w krajach okupowanych. Związany z Polską Podziemną, Dalton był naszym oddanym przyjacielem, a podczas wieczery wigilijnej wygłosił nawet kilka słów po polsku, wyuczywszy się ich naprzód z wielkim trudem. Po Wili, gen. Sikorski wrócił do Londynu, a ja zostałem w Szkocji i rozpocząłem poszukiwania. Wkrótce otrzymałem informację, że w pobliżu Perth znajduje się Gask House, niezbyt duży ale wygodny wiejski dom położony w pięknym parku. Właściciel, Mr. Buchanan, mieszkał tam zupełnie sam, po śmierci żony, Amerykanki, i wysłaniu córki dla bezpieczeństwa do krewnych w Stanach Zjednoczonych. Z Buchananiem doszliśmy do porozumienia szybko i zgodził się na wynajęcie domu. Wobec tego wyruszyłem samochodem do jego adwokata dla podpisania umowy, biorąc z sobą polskiego żandarma znającego angielski język. Wracając, na wąskiej, oblodzonej szosie wpadła na nas jadąca naprzeciw ciężarówka, rozbijając przód naszego samochodu. Żandarm miał twarz zalaną krwią, mnie zdawało się, że mam tylko zwichnięty duży palec u prawej ręki. Odstawiono nas do szpitala polskiego, który był niedaleko. Tam, komendant szpitala, dr Mazanek, znalazł u żandarma tylko lekkie obrażenia, natomiast u mnie, ku memu zdumieniu, stwierdził oprócz zwichnięcia palca,

wstrząs mózgu i kazał mi dwa tygodnie leżeć bez ruchu. Na moje prośby zgodził się abym leżał w Gasku, obiecując odwiedzać mnie dwa razy dziennie. Natychmiast zawiadomiłem gen. Sikorskiego o wypadku i dostałem w odpowiedzi depeszę: „Serdeczne życzenia wyzdrowienia, głowa do góry, musimy zdrowi razem wrócić do Kraju. Sikorski”. Mam ją do dzisiaj, a jej data, 8 stycznia 1941 roku pozwala mi ustalić czas wynajęcia Gasku.

Nieruchomy, myślałem dalej o stworzeniu w Gask House kwatery dla Generała. Dom, ogród i budynki gospodarskie nadawały się świetnie na ten cel. Chodziło teraz o stały personel, ochronę, służbę domową i komendanta. W mojej bezradności przyszedł mi z pomocą dobry los. Zjawił się u mnie rotmistrz de Virion, który dotychczas był w Glasgowie przy płk. Bystramie. Oświadczył, że w każdej chwili może objąć stanowisko komendanta w Gasku. To rozwiązywało wszelkie trudności. Rotmistrz de Virion okazał się niezastąpiony. Znalazła się służba polska, został utworzony specjalny pluton dla ochrony samego Gasku i dla towarzyszenia Generałowi w jego wyjazdach w teren. De Virion mówił dobrze po angielsku, a z oficjalnymi urzędami dawał sobie radę tak doskonale, że uzyskał dla Gasku pierwszeństwo połączeń telefonicznych na całą Szkocję i Anglię. Pozostał komendantem Gasku aż do swojej śmierci.

Z czasem Gask zamienił się na coś więcej niż pierwotny cel przewidywał. Wkrótce zaczęła tam działać wspomniana już komórka archiwalna. Wielką zaletą Gasku były puste budynki gospodarskie, do których mogłem stopniowo przenosić rozrzucone po całej Szkocji dokumenty wojskowe i państwowe ocalałe z Francji. Tak samo udało mi się zebrać wszystkie sztandary pułkowe uratowane z kampanii wrześniowej. Wreszcie powstały tam zaczątki muzeum i biblioteki. Pod koniec życia gen. Sikorskiego, służąc mu nadal jako kwatera, Gask stał się równocześnie warsztatem pracy dla historyków.

Po paru tygodniach przymusowego bezruchu, choć na szczęście nie beczynności, wróciłem do Londynu jeszcze z ręką na temblaku. Czekala na mnie tu niespodzianka. Samochody, wywiezione jeszcze z Polski, którymi przejechaliśmy do Lizbony, załadowane tam na polski statek przewożący drzewo, dotarły do Anglii i stały teraz przed Sztabem. Wzruszył mnie widok tych weteranów. Dwa odesłałem do Gasku, dwa pozostały do dyspozycji Generała w Londynie.

Okres *blitz*'u był obecnie w całej pełni. Co noc głos syren pędził ludność do głęboko położonych stacji kolei podziemnych. Na gwałt wykańczano schrony dla rodziny królewskiej, Rządu

i Churchilla. Bezpieczeństwo gen. Sikorskiego było znów zagrożone. Churchill zaczął nalegać coraz natężej, aby przynajmniej w nocy Generał opuszczał Londyn. Wkrótce znalazł się odpowiedni dom w Iver, na wsi, ale dostatecznie blisko Londynu by móc tam codziennie dojeżdżać. Sąsadował on bezpośrednio z rezydencją księcia Kentu. To w znacznym stopniu ułatwiało angielsko-polską ochronę i spowodowało bliskie, ogromnie przyjazne stosunki z całą rodziną książęcą.

Z braci króla Jerzego, książę Kentu był najbardziej sympatyczny. Bardzo przystojny, ujmujący, ogromnie prosty i naturalny w obejściu. Widziałem nieraz jak przełaził przez płot dzielący dwie posesje, by wpaść do Generała na sąsiedzką pogawędkę. Piękna i urocza księżna Maryna bywała też częstym gościem. W pewnym momencie charakter tych miłych stosunków nabrał głębszego znaczenia.

Dla księcia Kentu i jego żony Polska nie była krajem nieznanym i z lekka egzotycznym jak dla wielu Anglików. Już przed wojną mieli przyjaciół Polaków, byli w Polsce, gościli w Łańcuć. Toteż książę Kentu okazywał specjalne zainteresowanie naszym wojskiem i naszą sprawą. Jego odwiedziny polskich oddziałów pozostawiły duże wrażenie i u naszych żołnierzy i u niego. Dlatego może pośród Polaków zaczęła się szerzyć myśl, że po wojnie Polska mogłaby odrodzić się jako królestwo, z powołaniem na tron księcia Kentu. Entuzjastycznym zwolennikiem tej idei był, paradoksalnie, socjalista, członek Rady Narodowej, Lieberman. Gen. Sikorski wielokrotnie rozmawiał ze mną na ten temat i najwidoczniej nie traktował go tylko jako mrzonkę. Twierdził, że polska polityka partyjna przed wojną nie miała oparcia w jakimś elemencie, który by symbolizował stałość i ciągłość wewnętrzną, a jednocześnie ułatwiał stosunki z państwami, których rzekoma pomoc zawiodła w 1939 roku całkowicie. Może współpraca z Anglią i bliższe poznanie jej ustroju demokracji parlamentarnej związanej z tradycją monarchiczną miały wpływ na myśl Generała. Ale o tym, że projekt taki istniał w jego umyśle świadczy uroczyste śniadanie w hotelu Dorchester, na które zaprosił oboje księstwa Kentu i najwybitniejszych przedstawicieli różnych stronnictw Rady Narodowej oraz Rządu. Więcej jeszcze. Do osoby Generała Sikorskiego było przydzielonych dwóch Anglików, jako stała łączność między nim a Churchilllem i członkami rządu: Victor Cazalet i Sir Louis Greeg. Ten ostatni był kiedyś wychowawcą króla Jerzego VI i Generał prosił go, aby dyskretnie zbadał jaka byłaby opinia Buckingham Palace na wypadek takiej koncepcji dotyczącej księcia Kentu. Tą nieoficjalną drogą nadeszła odpowiedź w zasadzie przychylna.

Dziś wydaje się to czymś nierealnym i dość fantastycznym. Wówczas jednak, w atmosferze wojny, kiedy Polska była jedynym aliantem Anglii, sprawa ta mogła mieć pozory możliwości. W każdym razie, w rodzinie Kentów znalazła tak silny oddźwięk, że udzielił się nawet dzieciom. Kiedyś żandarmi polscy z ochrony Generała wykonali piękną tarczę z Orłem Białym i wręczyli ją małemu synkowi księcia. Umieszczono ją nad jego łóżkiem i malec uznał to za swoje godło. Nie pozwalał się doń zbliżać nawet siostrze. Śmierć księcia Kentu w katastrofie samolotowej była dla Polaków wielkim wstrząsem. Wiadomość o tym zastała gen. Sikorskiego w Gasku, a wkrótce przyszło zaproszenie z Buckingham Palace na pogrzeb księcia w Windsorze, dokąd udałem się z Generałem. Księżna Kentu pozostała do końca swego życia związana blisko z Polakami, patronując różnym obchodom i uroczystościom. Tradycję tę podtrzymuje córka, księżniczka Aleksandra.

Tak więc, z początkiem 1941 roku gen. Sikorski posiadał dwa miejsca zamieszkania, dom rodzinny w Iver i kwaterę wojсковą w Gasku. Poza tym miał do swojej dyspozycji *pied-à-terre* w Londynie przy Prezydium Rady Ministrów, w tzw. Alei Milionerów, koło High Street Kensington. W tych ramach układał się codzienny tryb jego życia. O ile nie był w Szkocji, przyjeżdżałem rano po Generała do Iver by zawieźć go samochodem do Prezydium Rady Ministrów, gdzie rozpoczynał urzędowanie. Popołudniu, w nieokreślonym czasie, zjawiał się zwykle w Rubensie, by załatwić bieżące sprawy wojskowe z Szefem Sztabu. Tam też przyjmował meldunki i referaty od admirała Świrskiego i gen. Ujejskiego, Szefa Lotnictwa. Wieczorem odwoziłem Generała z powrotem do domu w Iver.

Nieraz zatrzymywano mnie na kolację w ściśle rodzinnym gronie. Żona Generała prowadziła dom skromnie, bez żadnych zbytków, ale wygodnie. Generał się odprężał, tracił coś ze swej urzędowej dostojności, zwłaszcza w towarzystwie córki. Między panią Zosią Leśniowską a ojcem stosunek był wyjątkowo bliski. Generał kochał ją ogromnie i jeśli chodzi o sprawy ludzkie, życiowe, ona miała na niego największy wpływ. Jako charakter była do niego podobna, stanowcza w swoich twierdzeniach i postępowaniu, nieraz porywcza ale sprawiedliwa. U niej łączyło się to z młodzieńczą werwą i wesołością, miała przy tym duże poczucie humoru i w tym różniła się od ojca. Generał był z uposobienia poważny, dowcipy rzadko go bawiły. W Polsce pani Zosia znana była ze swych wyczynów jeździeckich. Od czasu wojny cała energia jej natury wyżywała się w pracy dla wojska. Już we Francji zajęła się Czerwonym Krzyżem. Teraz, kiedy

tworzyła się Pomocnicza Służba Kobiet, postanowiła zostać żołnierzem. W ślad za p. Leśniakową, później pułkownikiem tych formacji, ukończyła specjalny kurs oficerski i została komendantką plutonu tzw. „Pestek”. Silne indywidualności ojca i córki przyćmiewały osobowość generałowej Sikorskiej. Pozostawała jakby na uboczu, a w życiu publicznym prawie nie brała udziału. Natomiast, właśnie służba dla sprawy publicznej łączyła jeszcze ściślej córkę z Generałem. Związek między nimi był tak bliski, że zaprowadził ich do wspólnej śmierci.

Rutyna codziennych zajęć gen. Sikorskiego komplikowała się przez fakt działania na obczyźnie. Jako Premier i Wódz Naczelny Państwa, które istniało poza Krajem, choć w nieprzerwanym z nim związku, musiał i w sprawach wojskowych i politycznych być ciągle w bliskim kontakcie z Anglikami — i to na najwyższym szczeblu. Jeżeli chodzi o oficjalne konferencje z Churchillem, członkami rządu brytyjskiego, czy innymi ważnymi osobistościami, to miały one zawsze miejsce przy udziale Ambasadora, a później Ministra Spraw Zagranicznych, Edwarda Raczynskiego. Było to oczywiste, zarówno z racji jego stanowiska, jak talentu dyplomatycznego, politycznego wyrobienia, znajomości angielskich stosunków, nie mówiąc już o języku, którym Generał nie władał. Ale przy gen. Sikorskim stał blisko jeszcze inny człowiek, zupełnie odmienny charakterem, umysłowością, psychiką — i bez żadnego urzędu, Józef Retinger. On także miał znajomości i wpływy w Anglii, zwłaszcza wśród lewicy (*Labour Party*) i wprowadzał w nie Generała całkiem inną drogą, jakby od tylnych drzwi. Tak więc w stosunkach Generała z Anglikami — i nie tylko z Anglikami — wytworzyła się dwutorowość, drażniąca przez nieokreśloną rolę Retingera.

Gen. Sikorski znał go jeszcze sprzed wojny, jednak prawdziwa współpraca między nimi nawiązała się dopiero po kampanii francuskiej. Wypad Retingera do Francji w najgroźniejszej chwili kryzysu, przewiezienie Generała samolotem do Anglii, miało znaczenie decydujące. Generał nie zapomniał nigdy o tym długu wdzięczności. Przy tym Retinger, brzydki, niepozorny, kulawy, był fantastycznie inteligentny, oryginalny w swoich koncepcjach, z pasją do politycznych manipulacji. Ryzyko go pociągało. Osobiście był niesłychanie odważny, czego dowodem jest choćby jego zrzut do Polski okupowanej, już po śmierci gen. Sikorskiego. O jego burzliwej przeszłości chodziły legendy, czy wszystkie prawdziwe, nie wiem, bo miał wielu wrogów. To pewne, że maczał palce w przeróżnych kombinacjach międzynarodowych, miał kontakty po całym świecie i specjalny talent do pociągania za sznurki, gdzie i jak mu wypadało. Od chwili przybycia gen.

Sikorskiego do Anglii, Retinger go nie odstępował i zawsze działał gdzieś w kulisach w roli Szarej Eminencji.

Z jego powodu o mało co nie rozstałem się z gen. Sikorskim. Jestem żołnierzem i w polityczne gry się nie wdaję. Jednak do Retingera instynktownie nie miałem zaufania. Wierzyłem w jego osobiste przywiązanie do Generała, ale byłem głęboko przekonany, że sprawa polska ma dla niego tylko wtórne znaczenie, że w gruncie rzeczy Retinger nie myśli i nie czuje jak Polak. Przekonanie to wyraziłem gen. Sikorskiemu. Reakcja jego była natychmiastowa. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak wzburzonego. Spojrzał na mnie twardym wzrokiem. „Skoro Pan tak uważa” — powiedział — „to mam dla Pana doskonałe stanowisko — w Kanadzie”. Nie nastąpiły jednak żadne konsekwencje. Widać, jak zwykle, Generał pożałował swojej porywczwości. Nigdy więcej o tym nie wspomniał, wszystko pozostało bez zmian.

Natomiast zaszły pewne zmiany w sytuacji Retingera. Generał postanowił uregulować jakoś jego pozycję i zwrócił się z tym właśnie do Ambasadora Raczyńskiego, który ze zrozumiałych powodów mógł być do Retingera źle usposobiony. Wbrew wyrażonej niechęci Raczyńskiego, gen. Sikorski kazał mu przyjąć go jako urzędnika polskiej ambasady w Londynie. Odtąd „Recio”, jak go nazywano, przesiadywał głównie w biurze Prezydium Rady Ministrów, gdzie zaprzyjaźnił się z sekretarzem Kołakowskim i miał już jakby „oficjalny” dostęp do Generała jako Premiera.

Urzędowa posada Retingera, bardzo skromna, nie pozostawała w żadnej proporcji do zadań jakie mu powierzano. Właściwie celem jej było zapewnienie mu podstawy finansowej. Retinger nie posiadał żadnych źródeł dochodu, był zawsze bez pieniędzy i dlatego myślę, że posadzanie go przez niektórych o pracę dla wywiadu angielskiego jest bezpodstawne. Kiedyś, gen. Sikorski wezwał mnie i oznajmił, że podobno Retinger ma szalone długi, więc trzeba to jakoś załatwić. Po zbadaniu sprawy okazało się, że cała suma wynosi zaledwie 100 funtów. Została spłacona, a „Recio” dalej nie miał grosza. Mieszkąłem wówczas w Dorchesterze i wracając wieczorem do domu bardzo często spotykałem go w hallu hotelowym jak czekał, nie tyle na mnie, co na wódkę, którą mu postawię. Czuł się dobrze tylko z kieliszkiem w ręku.

Udział tego dziwnego człowieka w planach polityki generała Sikorskiego nie ulega wątpliwości. Za to do spraw wojska nie wtrącał się wcale. A te właśnie sprawy nie przestawały skupiać wyjątkowej energii Generała. Rozumiał doskonale, że tylko stan

naszych Sił Zbrojnych i ich wkład do wspólnego wysiłku wojennego będą decydować o wartości Polski jako sprzymierzeńca, a przez to o jej teraźniejszym i przyszłym politycznym znaczeniu. Rok 1941 to okres intensywnego organizowania się wszystkich broni. Marynarka wojenna, w akcji od początku wojny, powiększa się o szereg okrętów i łodzi podwodnych, biorąc udział w różnych zadaniach operacyjnych i konwojowych. Z flotą brytyjską współpracują też dawne statki pasażerskie, jak „Piłsudski”, zatopiony w pobliżu Hull i „Batory”, który przewozi angielskie złoto do Kanady. Lotnictwo rozbudowuje się w szybkim tempie, przy ciągłych walkach. Po formacjach myśliwskich przystępuje się do rozbudowy bombowców. Tu przypominam sobie pamiętny moment ich udziału w jednym z pierwszych nalotów na Niemcy. Gen. Ujejski zameldował Wodzowi Naczelnemu, że brytyjski minister lotnictwa, Sir Archibald Sinclair, chciałby użyć Polaków w planowanej wyprawie i zapytuje jakie są nasze możliwości. Trzy dywizjony bombowców już były gotowe. Wylot wraz z Anglikami miał nastąpić z okolic Lincolnu i gen. Sikorski postanowił być przy tym obecny. Wyruszyliśmy w drogę z gen. Ujejskim. Akcja miała się odbyć w nocy. Po pożegnaniu naszych załóg, gen. Sikorski obserwował odlot bombowców, a w końcu oświadczył, że będzie czekać na ich powrót. Odmówił spoczynku i cały czas chodził po lotnisku, nadsłuchując. Napięcie oczekiwania było ogromne. Wreszcie, o świcie, samoloty zaczęły lądować. Wszystkie nasze bombowce wróciły szczęśliwie, pośród lotników był tylko jeden ranny.

Największe kłopoty były z wojskiem. Po przeniesieniu do Anglii ilość jego zmalała do 30.000, łącznie z Brygadą Karpacką na Środkowym Wschodzie, jedyną jednostką w pełni gotowości bojowej. Wprawdzie żołnierze z Francji, rozproszeni teraz po różnych krajach, wciąż przeciekali do Wielkiej Brytanii. Jednak 1-szy Korpus pozostawał wciąż formacją szkieletową, zdolną wchłonąć o wiele większą ilość ludzi. Pomimo braku tego ludzkiego zaplecza, co stwarzało największe trudności dla rozrostu naszych Sił Zbrojnych, reorganizacja Korpusu postępowała coraz wydatniej pod względem sprzętu, broni i wyszkolenia, zwłaszcza od przybycia gen. Maczka. Już pod koniec 1940 roku, kiedy Anglia żyła jeszcze w obawie inwazji, 1-szy Korpus mógł przyjąć odpowiedzialność za obronę tak ważnego odcinka szkockiego wybrzeża od Rosyth do Montrose.

Poza tym w różnych okolicach Wielkiej Brytanii szkoliła się brygada spadochronowa pod dowództwem gen. Sosabowskiego, który tworzył z niej siłę przeznaczoną do późniejszej akcji w Polsce, do czego niestety nigdy nie doszło. Trening spadochroniarzy

był niesłychanie intensywny, wymagający wielkiego wysiłku i to nie tylko fizycznego. Zupełnie nieoczekiwanie zostałem raz wystawiony na taką próbę podczas odwiedzin jednego z ośrodków wyszkolenia. Gen. Sosabowski zaproponował mi skok, wprawdzie nie z samolotu, ale ze specjalnej wieży ćwiczebnej. Odmówić nie wypadało i chcąc nie chcąc musiałem rzucić się w przestrzeń z duszą na ramieniu.

Tak więc, na początku 1941 roku polskie wojsko w Szkocji, choć liczebnie niewielkie, stanowiło już pewną zwartą i zdyscyplinowaną całość, której znaczenie w ogólnym wysiłku wojennym było doceniane przez Anglików. Dowodem tego była zapowiedziana na dzień 7 marca 1941 roku wizyta króla i królowej. Gen. Sikorski wysłał mnie zawczasu do Szkocji żeby dopatrzyć przygotowań na ich przyjęcie. Stawiłem się w Kwaterze Głównej 1-go Korpusu by omówić szczegóły z gen. Kukielem. Znalazłem go dość zafrasowanego. Znakomity historyk, rozmiłowany w żołnierce, za pan brat z marszałkami Napoleona, w tej sytuacji najwyraźniej czuł się nieswojo. Ucieszył się na mój widok. „Jak to dobrze, że pan się zjawił” — zawołał — „zupełnie nie wiem jak się do tego wziąć!”. Uspokoiłem go, że damy sobie radę. „No to wypijmy dla kurażu!” — i wyciągnąwszy skądś jakąś butelczynę nalał po trochu w dwie mizerne szklaneczki — i gołnał.

Para królewska zamieszkała w zamku Glamis, rodzinnej siedzibie królowej. Stamtąd miała odwiedzić polskie jednostki pod dowództwem gen. Maczka. Gen. Sikorski powitał ich na stacji kolejowej Auchterarde po czym udali się na odcinek obronny 14 pułku ułanów, na wybrzeżu ufortyfikowanym bunkrami i przeciwpancernymi przeszkodami.

Król i królowa oglądali wszystko z dużym zaciekawieniem, schodzili do bunkrów, rozmawiali z żołnierzami. Naturalnie nie wiadomo było jakie bunkry odwiedzą. Przypadek zrządził, że właśnie w bunkrze, do którego zupełnie niespodziewanie zeszła królowa, żołnierze mieli przygotowany wielki bukiet polnych kwiatów, który jej wręczyli. Następnie para królewska była na *lunch'u* w kasynie oficerskim 24 pułku ułanów w Arbroath. Tu znów niespodzianka, tym razem dla króla. Na wiadomość o projektowanej wizycie królewskiej zjawił się w Gasku pewien Szkot, nazwiska nie pamiętam i wręczył mi butelkę whisky oświadczając, że to dla króla, który podobno nic innego do ust nie bierze. „Ale dodał — takiej whisky jak ta, nawet król nigdy nie skosztował”. Nie znałem się wówczas na tym szkockim narodowym trunku i nie wiedziałem, że istnieją jego bezcenne gatunki, nieosiągalne w sprzedaży. Na śniadanie w polskim kasynie, kaza-

łem podać królowi prezent od nieznanego Szkota. Nigdy nie zapomnę jego zdumionego wyrazu twarzy po pierwszym łyku z kieliszka. „Skąd macie coś podobnego?” — zapytał — „*this is unique!* To jest nieporównane!”.

Po śniadaniu para królewska odbierała defiladę 10 brygady kawalerii pancernej w małym miasteczku Forfar. Wojsko przedstawiało się znakomicie. Widać było rezultat wielomiesięcznej, wyczerpującej pracy.

Nocując w zamku Glamis, król i królowa byli pod strażą honorową 1-go pułku artylerii motorowej, a w objazdach towarzyszył im pluton naszej kawalerii — na pożyczonych od Anglików koniach! Była to rzecz niesłychana, aby na ziemi brytyjskiej straż honorową przy parze królewskiej pełnili cudzoziemskie oddziały.

Wkrótce po tej historycznej wizycie, która była widomą demonstracją Brytyjsko-Polskiego sojuszu, generał Sikorski zajął się przygotowaniem swej podróży do Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Przedtem jeszcze został załatwiony szereg problemów związanych z istnieniem licznej społeczności polskiej na terenie Anglii. Oprócz wojska, były rodziny żołnierzy, które z Polski przez Francję przywędrowały aż tutaj, gen. Sikorski ustanawia więc Fundusz Pomocy Rodzinom Wojskowym, który powierza gen. Malinowskiemu. Na uniwersytecie w Edynburgu załatwia utworzenie polskiego wydziału lekarskiego, aby dać możliwość kształcenia się naszej młodzieży. Otwiera Wyższą Szkołę Wojenną, gdzie oprócz Polaków będą również studiować oficerowie czescy. Wszystko to wymagało funduszy. Anglia zobowiązała się wypłacać nam ryczałtową sumę na utrzymanie wojska, zwiększającą się w miarę jego rozrostu. Chociaż Anglicy jak najbardziej szli nam na rękę, jednak finansowa umowa z nimi nie mogła przewidzieć i objąć rozmaitych spraw specyficznych dla naszej sytuacji. Rozwiązanie znalazło się przez utworzenie Skarbu Narodowego. Przed samym wybuchem wojny ofiarność społeczeństwa polskiego wyraziła się w donacjach złota, obrączek, różnych kosztowności. Zostały one wywiezione do Francji, a w końcu znalazły się w Wielkiej Brytanii. Ażeby je zamienić na płynną gotówkę, trzeba je było przesortować, rozpatrzyć, ocenić i wreszcie znaleźć sposoby sprzedaży. Robota ogromnie żmudna i odpowiedzialna, do której został wyznaczony gen. Norwid Neugebauer. Niezmierzenie systematyczny, dokładny, wykonał ją znakomicie. Miałem sposobność widzieć go, jak w małym pokoiku odnajętym na ten cel w polskim szpitalu obok Gasku, siedział pośród złota i klej-

notów niby w jakimś sezamie, budując pracowicie Skarb Narodowy.

Decyzja wyjazdu gen. Sikorskiego do Ameryki nie była czymś niespodziewanym. Generał zawsze chciał utrzymać jak najbliższy kontakt ze Stanami Zjednoczonymi. Już we Francji konferuje z Sumner Wellsem, delegatem Roosevelta, informując go o okrucieństwach niemieckich w Polsce i o charakterze krucjatowym wojny państw demokratycznych przeciwko barbarzyństwu hitleryzmu. W Anglii, bliskie porozumienie ze Stanami Zjednoczonymi, nabiera dla gen. Sikorskiego jeszcze większego znaczenia. Tak jak Anglicy widział w nich olbrzymi potencjał pomocy w walce przeciw Niemcom, zarówno pod względem materialnym jak politycznym. Churchill był w nieprzerwanym kontakcie z Rooseveltem. W naszej sytuacji wchodził tu jeszcze fakt istnienia licznej Polonii amerykańskiej, która mogła zasilić ochotnikami wojsko polskie na obczyźnie. W mniejszym stopniu odnosiło się to też do Kanady. Poza tym, w umyśle Generała narastał problem polityczny, wybiegający już poza wojnę, a dotyczący przyszłości Europy. Widział tę przyszłość w oparciu o ideę federacyjną, zwłaszcza państw na wschodnim i południowym skraju Średniej Europy. Stąd jego pertraktacje z Beneszem, wprawdzie nie bardzo fortunate, stąd później przyjazne stosunki z królem jugosłowiańskim. Wielkim entuzjastą tej idei był Retinger, który rozszerzał ją jeszcze na inne kraje europejskie, organizując dla Generała spotkania z Belgami i przedstawicielami różnych innych rządów krajów okupowanych. Dla tej myśli federacyjnej Generał pragnął pozyskać zrozumienie Roosevelta. To też od chwili gdy znalazł się w Wielkiej Brytanii, gen. Sikorski niepokoi się brakiem reprezentanta Stanów Zjednoczonych przy Rządzie Polskim w Londynie.

Drexel Biddle, ambasador amerykański w Warszawie i wielki nasz przyjaciel, wraz z Rządem Polskim rezydujący potem w Angers, po upadku Francji gdzieś się zawieruszył. Po moim przyjeździe do Anglii poinformowałem Generała, że spotkałem Drexel Biddla w Lizbonie, skąd postanowił wracać do Ameryki z powodu ukochanego psa. Przepisy angielskie zabraniały wstępu wszelkim zwierzętom z zagranicy. Ponieważ z ambasadorem Biddle byłem w bliskich stosunkach jeszcze w Polsce, Generał polecił mi napisać do niego list z prośbą aby koniecznie przybył do Anglii objąć swe stanowisko. Tak się stało i Drexel Biddle pozostał w Londynie, najpierw jako ambasador przy Rządzie Polskim, a potem przy wszystkich uchodźczych rządach państw okupowanych przez Niemcy.

Gen. Sikorski jednak czuł coraz wyraźniej, że konieczny jest

jego osobisty bezpośredni kontakt z Polonią Amerykańską i najwyższymi władzami Stanów Zjednoczonych. Na początku 1941 roku przyjmuje specjalnego wysłannika prezydenta Roosevelta, Wendel Wilkie. Prowadzi rozmowy z płk. Ralstonem, kanadyjskim ministrem wojny. Wreszcie po uzgodnieniu wspólnych problemów z Churchilllem, który ogromnie popiera tę wyprawę, gen. Sikorski wyjeżdża do Ameryki dn. 23 marca 1941 roku.

Odprowadzałem Generała do portu w Szkocji, z którego miał wyruszyć. Oczekiwał na niego specjalnie przeznaczony na ten cel pancernik brytyjski. Przyjęto go z wszelkimi honorami niby Głowę Państwa. Podróż miał odbyć razem z Sir Malcolmem Macdonald, Wysokim Komisarzem brytyjskim dla Kanady. Generałowi towarzyszyli: Mikołajczyk, dr Retinger i rtm. Zamoyski. Pancernik odpłynął w konwoju, który miał go nie opuszczać aż do połowy Atlantyku, z powodu działań niemieckiej floty w tym rejonie. W pewnym momencie zdawało się nawet, że pancernik wiozący Generała będzie skierowany do udziału w akcji. Najbardziej niebezpiecznym był wówczas okręt niemiecki „Bismarck”, wymykający się wciąż pościgowi angielskiej floty. Pierwszym okrętem, który go dostrzegł był nasz „Piorun” i łapiąc w nieprzyjaciela ściągnął uwagę floty brytyjskiej aż „Bismarck” został zatopiony. To wszystko jednak miało miejsce już w miesiąc później, podczas podróży Generała pogoń za „Bismarck’iem” trwała w całej pełni, ale zdołano uniknąć wzięcia w niej udziału i dnia 3 kwietnia generał Sikorski wylądował szczęśliwie w Ottawie. Oczekiwał go tam premier kanadyjski Mackenzie King z wszystkimi członkami rządu.

Podobnie jak w okresie francuskim, tak i teraz w Anglii, gen. Sikorski nie życzył sobie abym mu towarzyszył w jego podróżach poza Wielką Brytanię. Temu zresztą zawdzięczam życie. Jako Szef Gabinetu Generała byłem mu przede wszystkim potrzebny w Anglii, utrzymując w ten sposób ciągłą jego łączność z naszymi sprawami na tym terenie. Łączność ta zresztą była obustronna, bo Generał zawiadamiał mnie, a czasem i Szefa Sztabu o wszystkich wypadkach w ciągu swych podróży, nieraz tą drogą komunikując się nawet z własną rodziną. Dzięki temu mogłem prowadzić Dziennik Czynności z nieprzerwaną dokładnością.

W Kanadzie gen. Sikorski był tylko parę dni, prowadząc rozmowy z rządem o możliwości zaciągu ochotników polskich. Następnie Generał jedzie do Nowego Jorku i Waszyngtonu, gdzie spotyka się po raz pierwszy z Rooseveltem.

Pierwsza wyprawa Generała do Ameryki odbywa się w atmosferze niesłychanie ciężkiej. Wiadomości z wojny są fatalne. Niem-

cy zaatakowali Grecję i Jugosławię, Egipt zagrożony. Jest możliwość, że Kopański z Brygadą Karpacką będzie skierowany na odsiecz Grecji. Część wojska już się ładuje na okręty. Na szczęście wyprawę wstrzymano, już było za późno na ratunek. W Anglii setki bombowców niemieckich niszczą Londyn, Plymouth, Coventry. Opinia amerykańska widząc ponury rozwój losów wojny skłania się do izolacjonizmu. Sprawa nie przedstawia się lepiej jeżeli chodzi o Polonię. Przyjęcie Generała jest najpierw powściągliwe. Polacy amerykańscy pod wpływem szybkiego upadku Polski nie dowierzają jej dalszej roli w wysiłku wojennym. Nawet Paderewski, z którym gen. Sikorski spotyka się z prawdziwym wzruszeniem po raz ostatni, ostrzega go o złych nastrojach. Jednak postawa Generała, jego przemówienia, jego udzielający się optymizm, wiara w Polskę i ostateczne zwycięstwo, zdobywają mu ogólny entuzjazm. Przez 10 dni pracuje nieprzerwanie, spotkania, bankiety, konferencje prasowe, wiece, są tak wyczerpujące, że Generał wyjeżdża na Florydę na kilka dni odpoczynku. Po czym objeżdża polskie ośrodki w Chicago, Detroit, Buffalo, Nowym Jorku. Z pomocą Retingera nawiązuje kontakty z potężnymi w Ameryce Żydami, którzy upewnieni co do stanowiska Polski w ich sprawie, obiecują popierać Polskę walczącą. Wreszcie po ciężkiej grypie, odlatuje 10 maja do Anglii.

Przelot był bardzo męczący, na dużych wysokościach. Z powodu braku tlenu Generał wciąż omdlewał. Samolot zamiast w Londynie, wylądował w Szkocji, na lotnisku Prestwick, w pobliżu Gasku. Tam czekała rodzina Generała. Ja wyjechałem spotkać go na lotnisku i byłem przerażony stanem zdrowia Generała.

Uważałem, że powinien koniecznie być zbadany przez doktora. Generał odmawiał. Tak się jednak zdarzyło, że odwiedzając polskie oddziały, spotkałem w jednym z nich dr. Helda, którego znałem jako świetnego lekarza jeszcze z Warszawy. W ulewnym deszczu, z karabinem w rękę, stał jako prosty żołnierz na jakimś posterunku. Teraz udałem się tam natychmiast, nieomal porwałem go ze sobą do Gasku i bez pardonu wprowadziłem do pokoju Generała. Myślałem, że będzie awantura. Tymczasem minęło pół godziny, godzina, a dr Held był wciąż u Generała. Od tej chwili pozostał na stanowisku osobistego lekarza gen. Sikorskiego, zarówno w Gask, jak w Londynie, gdzie dotychczas praktykuje z wielkim powodzeniem.

Pomimo wyczerpania gen. Sikorski zarządził w Gasku odprawę z udziałem wyższych dowódców i sztabów wszystkich trzech Sił Zbrojnych. Tak był przejęty swoją podróżą do Ameryki, że

nim się zjechali, zwołał swój przyboczny pluton ochronny i przemówił najpierw do nich opowiadając swoje wrażenia. Na odprawie dał długie przemówienie sprawozdawcze, głównie o sprawach wojskowych. Miał wówczas nadzieję na ochotników, zarówno z Kanady jak ze Stanów Zjednoczonych. Do Kanady postanowił posłać specjalną misję z gen. Duchem na czele. W Stanach powstał wśród Polonii komitet werbunkowy. Nadzieje te zawiodły. Gen. Duch powrócił później z Kanady bez rezultatów. W Stanach Zjednoczonych Polacy nie kwapili się do wojska, pamiętając zapewne los ochotników z pierwszej wojny w armii Hallera, którzy wrócili do Ameryki rozgoryczeni.

W tydzień po odprawie w Gasku, gen. Sikorski zdawał sprawę ze swej podróży do Ameryki polskiej Radzie Ministrów, z większym naciskiem na polityczne zagadnienia. Był ogromnie zadowolony z rozmowy z Rooseveltem. Myślał, że Prezydent rozumiał jego ideę federacyjną, był pewien, że Roosevelt uchyla się od izolacjonizmu i jest całkowicie zaangażowany uczuciowo po stronie aliantów, którym okaże wszelką pomoc w ekwipunku wojennym. Pod tym ostatnim względem Generał się nie mylił. Amerykańskie ustanowienie *Lend Lease* w wielkiej mierze przyczyniło się do wyniku wojny.

Na skutek tych sprawozdań gen. Sikorskiego, pomimo ponurych wiadomości z pól walki, strat na morzach i dalszych bombardowań Londynu, nastrój wśród Polaków był pełen otuchy i nadziei. Zdawało się, że dzięki amerykańskiej podróży Generała, sprawa polska weszła na szeroką arenę przerastającą kontynent europejski.

Dokładnie w miesiąc potem, dn. 22 czerwca rano, radio londyńskie przyniosło wiadomość, że armie Hitlera przekroczyły granice sowieckie.

Wojna wchodziła w nową fazę, w której zmieniała się nie tylko sytuacja państw walczących, nie tylko przyszłość Polski — ale losy całego świata.

Płk Zygmunt BORKOWSKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Zygmunt BORKOWSKI, ur. w 1894 r. w Warszawie. Służba w wojsku rosyjskim. W 1918 r. wstępuje do armii polskiej — szwadron Tadeusza Kossaka — jako z-ca dowódcy. Przydzielony do oddziału operacyjnego Naczelnego Dłtwa. Delegowany do 7 Brygady jazdy. Bierze udział w zajęciu Kijowa. Później przydzielony do delegacji polskiej na konferencję pokojową najpierw w Mińsku potem w Rydze. Po ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie obejmuje stanowisko szefa sztabu Samodzielnej Brygady Kawalerii.

lerii w Równem. Przydzielony następnie w stopniu mjr jako oficer do zleceń Szefa Sztabu Głównego, gen. St. Hallera. Po zamachu majowym przechodzi na własną prośbę do rezerwy. W sierpniu 1939 powołany z rezerwy i przydzielony do Sztabu Nacz. Wodza. W październiku 1939 zostaje oficerem do zleceń gen. Sikorskiego we Francji. W Anglii jest szefem gabinetu gen. Sikorskiego aż do jego śmierci w 1943 roku. Zajmuje się potem organizacją Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego. Po jego otwarciu jest przez kilka lat jego dyrektorem.

Po wyjściu z Instytutu pracował zarobkowo do czasu kiedy stan zdrowia uniemożliwił mu jakąkolwiek pracę. Przebywa nadal na emigracji w Londynie.

Stanisław WACHOWIAK

WSPOMNIENIA

Z przeznaczenia losu i z własnej woli nie opuściłem Kraju ani na godzinę aż do roku 1946, zaś od dnia 3 września 39 roku aż do końca wojny mieszkalem w Warszawie, gdzie przy boku ludzi tej miary, co metropolita Sapieha, Andrzej Wierzbicki, marszałek Trąpczyński, Cyryl Ratajski, Piotr Drzewiecki, Janusz Radziwiłł, Maria i Adam Tarnowscy, Janusz Machnicki, Alfred Wysocki, arcybiskup Gall, Czesław Klarnier, Feliks Młynarski, Adam Ronikier, biskup Adamski, St. Jankowski, St. Jasiukiewicz — aby wymienić choćby niektórych — mogłem pracować na wyznaczonych mi odcinkach, czy z pożytkiem, tego nie wiem, ale ochotnie na pewno.

O Polsce czasu okupacji nie mamy jeszcze monografii, nie z braku dokumentów, ale z powodu politycznych perypetii, jakie Kraj od 30 lat przechodzi. O Warszawie względnie dużo pisano, ale ludzie — co jest naturalne — tragizmem tych wspomnień są znękani ponad miarę, nie chcą słyszeć nieśmiertelnych „Z dymem pożarów”, bo życie ma swoje żelazne prawa, pędzi naprzód, nie oglądając się za nami. Kiedy mnie proszono o wspomnienia o Warszawie, odpowiedziałem, że owszem, ale że chciałbym pisać o pogodniejszej stronie tego co wówczas przeżywałem. Historia bowiem składa się — jak zwykle w przyrodzie — z przeciwnych biegunów, ze zła i dobra, ciemności i światła. Pewnie, że suma zła, jakiego doznał Naród, przeważała szalę. Ale jaka moc życia tego w swej żywotności jedyne go kraju, że w mrokach potrafił się śmiać, choć przez łzy.

Kiedy mnie Gestapo po pierwszym aresztowaniu zwolniło z więzienia w Opolu, nie pozwolono mi wrócić do Katowic, gdzie nasze mieszkanie wtedy jeszcze było nietknięte.

Wysłano mnie, jako *Spezialhäftling* do Warszawy. Miałem spokój do lutego 1940 roku. Jak wyglądała wtedy Warszawa? No, niemiłosiernie poharatana. Nasze warszawskie mieszkanie przy Koszykowej było przez bombę zniszczone. Ale bez trudu dostałem mieszkanie na Wilczej nr 69, gdzie piętro niżej miał apartament mój przyjaciel i wspólnik Jerzy Kramsztyk, obok niego Ludwik Solski. Był listopad. Nastrój miasta, jak pamiętam, zawsze pogodny był smutny i przygnębiony. Bo pomyśleć: dziesiątki tysięcy rodzin rozbitych w puch, brak opatu, kompletna dezorganizacja dowozu. Tłumy wysiedlonych z Poznańskiego pogarszały sytuację. Dla przykładu przytoczę, że na gwiazdkę koczowało w naszym mieszkaniu 30 osób. I tak było w przeciętnym mieszkaniu warszawskim. Kuchnie Stołecznego Komitetu Samopomocy Społecznej, na którego czele stał szlachetny i mądry Artur Śliwiński, ledwo zipiały. Najlepsi wodzowie jakby poginęli zupełnie. Ten stan przygnębienia psychicznego trwał do końca roku, potem Warszawa zaczęła odzyskiwać swą twarz nieśmiertelną. Na pół żywy — po upadku Stolicy — Stefan Starzyński, jeszcze krótko przed aresztowaniem wzywa do siebie kilku obywateli, z A. Wierzbickim na czele, i nakazuje zreorganizowanie życia gospodarczego, uruchomienie warsztatów, kompletną odbudowę opieki społecznej. Dowiedziawszy się przez nasz wywiad, że Niemcy go chcą aresztować, odpowiada na nasze zaklęcia, by się ratował: „Tylko gwałtem zabrać stąd mnie mogą...”. I gwałtem go zabrali.

Centrum pracy gospodarczej był wtedy Centralny Związek Przemysłu Polskiego; obrano mnie jego prezesem, jako następcę Henryka Strasburgera. Widząc że Niemcy zaczynają wywozić najdrogocenniejsze maszyny z fabryk i zapasy surowców — z samej fabryki „Norblin” wywieziono metali szlachetnych za 50 milionów złotych w złocie — podnieśliśmy krzyk i z całą lojalnością przyzwoitego człowieka powiedzieć muszę, że pomagał nam dopiero co mianowany komisarz Rzeszy, dr Sauberzweig, który okazaną „podludziom” życzliwość życiem miał przypłacić.

Chcąc ratować ogromny przemysł, potrzeba było sprawnego aparatu bankowego. Kiedy okupanci zarządzili zmianę waluty, a konserwatywny „Reichsbank” zdecydował wysłać dr Paerscha jako dyrygenta — tak go nazywali — nowego Banku Emisyjnego, jasne było, że bez protekcji, choćby za kulisami, na politykę tego banku niewiele wpłyniemy. Nominacja Paerscha okazała

się dla nas błogosławieństwem. Już po pół roku wiedziałem co w trawie piszczy: był to wróg hitleryzmu. Zwrócił się on do polskich sfer gospodarczych, aby wysunąć wybitnego ekonomistę polskiego na naczelnego dyrektora Banku Emisyjnego w Polsce, jak brzmiała wówczas jego nazwa. Nie było dyskusji, że najodpowiedniejszym kandydatem jest profesor Feliks Młynarski.

Łatwo to dziś powiedzieć, ale tygodnie trwały zanim nadeszła aprobatą Sikorskiego, bo bez zgody rządu nie chcieliśmy ryzykować tego kroku. Fakt, że mieliśmy potężny wpływ na politykę pieniężną zdecydował o tym, że bankowość była w naszym ręku, że Kraj nie został doszczętnie wyrabowany, że dzięki kredytom bankowym powstał nowy stan średni. Jest to wszelako temat do wielkiej rozprawy naukowej.

Nikt w normalnych warunkach nie uwierzyłby, że początki wielkiej organizacji podziemnej sfinansowali sami Niemcy. Kontakty z rządem w Angers, czy później w Londynie, były słabe, deszczu dolarów jeszcze nie było, środki nasze były skromne. Kiedy Bank Emisyjny wydał swoje banknoty i zarządził zmianę starych polskich złotych, pewnego mroźnego poranku przewożono z Banku Polskiego na Bielańskiej w samochodach pancernych Wehrmachtu ogromną na owe czasy sumę 220 milionów złotych, która miała być przetransportowana z dworca Wschodniego w Warszawie do Krakowa. Było to naturalnie *top secret*. Gdy konwój skręcał na róg Senatorskiej w stronę Placu Zamkowego, z ruin zburzonego przez bomby budynku narożnego huragan ognia karabinów maszynowych wstrzymał opancerzone samochody. Zginęło kilkunastu żołnierzy niemieckich, naszych ośmiu. Kto żyw pozostał wyciągał z samochodów trupy niemieckie i wszystkie pieniądze. Był to zastrzyk nowej wiary i nowej nadziei. Jak mi później mówił Paersch, był to jeden z największych rabunków w dziejach bankowości, który nawet w napadach amerykańskich nie miał sobie równego. O planie i marszrucie konwoju wiedziało dwóch Polaków w Krakowie. Resztę dośpiewać sobie proszę. Bóg łaskaw, że nikomu nic się nie stało. To był początek finansowania A.K.

Pod koniec 1939 roku zostałem prezesem Banku Handlowego po A. Zaleskim; dawało to co prawda wpływy, ale minimalne wskutek kontroli niemieckiego *Preisüberwachung* — dochody. W dodatku razem z Machnickim i S. Jankowskim oraz Alf. Wysockim i Cz. Klarnerem zostałem odkomenderowany do prezydium RGO, gdzie pełniłem obowiązki zastępcy prezesa, Janusza Machnickiego. To nic nie dawało, a kochani rodacy pokpiwali sobie w kabarecikach — tych w Warszawie nigdy nie brakowało — o młynarkach i młynareczkach Młynarskiego, ambasadach

Wysockiego. Zaś o mnie: „RGO i prezesury, oj / A w kieszeni same dziury, oj...”.

Niemcy zaczęli organizować administrację na swą modłę. Agitowali, aby zapisywać się na *Volksliste*, popierali gorąco zmiany nazwisk. I tu pełno było kawałów, jak ten o patriotycznym panu Adolfie Smrodzie z Brwinowa, który przyjechał do Warszawy, aby zmienić swój dotychczasowy podpis. Jak się nazywacie? Adolf Smród. Istotnie, to nadaje się do zmiany — powiada „Landrat” do swego tłumacza. A jak chcecie się nazywać? Józef Smród — proszę pana.

Kiedy w ostatnich dniach grudnia 1939 roku Beria kazał z honorami odstawić rodzinę Radziwiłłów z Rosji na granicę GG, był to nielada pożytek dla naszej sprawy. Janusz Radziwiłł był — że tak rzeknę — puklerzem, za którym w pierwszych latach okupacji kipiała najbardziej skryta robota podziemna. Przede wszystkim był to człowiek niezwyklej inteligencji, po wtóre — Niemcy go respektowali. Znany jest ich sposób myślenia. Prinz Radziwiłł był autentycznym kuzynem ich ostatniego cesarza; jego ojciec, dziad i pradziad nie małą w Poznaniu i Berlinie odgrywali rolę. Niemcy czuli respekt przed świetnością rodu Radziwiłła, przed moralną wielkością metropolity Sapiehy, czego tyle razy byłem naocznym świadkiem.

Pałac Radziwiłłów przy Bielańskiej 14 był chyba jednym z bardzo nielicznych budynków w Warszawie, gdzie noga gestapowca nie stała. Tam więc odbywały się zebrania organizującego się wtedy błyskawicznie ruchu oporu. Drugim miejscem spotkań, przeważnie w soboty, był pałac w Nieborowie, gdzie nie było *Treuhändlera*, a majątkiem zarządzał syn księcia, Edmund. Parter olbrzymiego, niegdyś do kardynała Radziejowskiego należącego pałacu, zajęty był przez jakiegoś generała Wehrmachtu, arystokratę starej daty. Po kawie podwieczorkowej generał wyjeżdżał dyskretnie, zostawiając duże wojskowe radio do dyspozycji. Mieliśmy więc bieżące wiadomości z Londynu.

Po pierwszej wielkiej rzezi ludności w Wawrze, dnia 26. 12. 1939, społeczeństwo na początku stycznia nalegało, aby ks. Radziwiłł, który tyle razy przed wojną gościł w Olyce Goeringa, pojechał do niego z interwencją. Wbrew moim przypuszczeniom, w mig wystawiono dokumenty i ks. Radziwiłł był cztery dni w Berlinie. Goering udawał, że nic nie wie, że to niemożliwe, i że odbędzie narady z całym rządem. Ale tym rządem niemieckim był Himmler. Fatalnie wręcz wypadła rozmowa z nuncjuszem Orsenigo, późniejszym kardynałem, który wierzył w słynne, od A do Z oszukańcze, publikacje niemieckie o rzekomych mor-

dach masowych w Bydgoszczy, dokonanych przez Polaków na Niemcach.

Wkrótce potem wyjechał do Berlina hr. Maurycy Potocki. Rezultat był kiepski, bo Goering nawet osobiście go nie przyjął, mimo że w Jabłonce widziałem olbrzymich rozmiarów portret *Reichmarschala* z dedykacją „Moryś” — jak go nazywano. Jako Polak był on nie bez zarzutu: co chwila zakładał jakąś nową restaurację, lub utrzymywał kluby karciane, gdzie grano o wielkie stawki, a to się po mieście roznosiło i na pewno nie było do pogodzenia z powszechną i codzienną żałobą narodową. Ale organizacja podziemna w bezkrwawy sposób zrobiła z tym porządek. Pewnej nocy na Nowy Świat — gdzie w oficynie dawnej ambasady angielskiej mieściło się jego prywatne kasyno gry — zajechała zielona „buda policyjna”. Na salę wkroczyła nasza polska ekipa „gestapowska” — każdy mówił wybornie po niemiecku — i *Hände hoch!* Zabrano całą kasę — 300 tysięcy złotych i wszystkie kosztowności, a naszą złotą młodzież, z Morysiem włącznie, rozebrano do naga. Następnie cały łup załadowali do budy i już ich nie było. Kasa podziemna znów się wzmocniła, a śmiechu w Warszawie było co niemiara. Moryś skrył się w Jabłonce i zobaczyliśmy go chyba dopiero po pół roku. Mogę zaświadczyć, że podczas Powstania był czynnym żołnierzem i ofiarnym patriotą.

Na początku lutego 1940 roku Gestapo osadziło mnie na Pawiaku. Siedziałem w celi dla prominentów, jak tam mawiali. Byli ze mną prof. Bystron, hr. Branicki z Wilanowa, dwaj Lubomirscy, ks. prałat Węglewicz, stary minister Tołłoczko. Potem Gestapo, dla tzw. ćwiczeń duchowych, trzymało mnie 3 dni bez jedzenia i picia w podziemiach na ulicy Szucha. Wreszcie — na moje szczęście — przewieziono mnie do Katowic. Główny gmach administracji Roburu zajęty był przez Gestapo, tak jak i cztery inne budynki roburowskie. Przesłuchiowano mnie w moim gabinecie, praktycznie nietkniętym. Był tam duży portret Piłsudskiego, pędzla Stefana Norblina, który podarowało mi Polsko-Brytyjskie Towarzystwo Okrętowe kiedy opuszczałem stanowisko prezesa rady. Trzech oficerów Gestapo stanęło na baczność i salutowało portret. Był w tym niesamowity komizm. Uratowanie zawdzięczam hr. Schaffgotsch i jego dyrektorowi dr. Otto Berwe. Na Wielkanoc wysłano mnie do Warszawy.

W tym czasie RGO prawie już była zorganizowana. Na przełomie lat 1940-41 wydawaliśmy 120.000 posiłków dziennie. Cała Warszawa była podzielona na 12 okręgów, według klucza partyjnego — jak nakazywał niekoniecznie chwalebny polski obyczaj. W najbardziej czerwonym okręgu prezesem był Osóbka-

Morawski, człowiek poglądów radykalnych, ale bardzo przyzwoity — jak się miało możliwość przekonać po zakończeniu wojny. Urzędników płatnych miała RGO w Warszawie 4.000, a z tego na pewno 90 % siedziało w podziemiu. Tak zwane „wsypy” były na porządku dziennym. Boże Świąty! Wykończono nam dwóch naszych naczelnych dyrektorów: Jastrzębowskiiego i fenomenalnie zdolnego Andrzeja Jałowickiego. Obaj zginęli w Majdanku.

Gdy A.K. już była zorganizowana, zdarzały się częste napady na nasze magazyny, rozrzucone po Warszawie i po miasteczkach, naturalnie przy świetnie zorganizowanej symbiozie A.K. i naszych urzędników. Z jednego magazynu na Woli zrabowano pewnego dnia kilkanaście tysięcy koców. Kłopot, ambaras, strach! Wiedzieliśmy, że „bandyci” to nasi ludzie z lasu. Tym kocy były potrzebniejsze, niż w Warszawie.

Codziennie powstawały nowe problemy — najgorsze natury moralnej. W takim tłumie urzędniczym zawsze muszą być „odpryski” — więc pospolite kradzieże były częste i na dziesiątki liczyło się akta dochodzeń w sprawach natury kryminalnej. Problem był taki: albo zameldować policji i wtedy niechybna śmierć winnych, albo prowadzić śledztwo bez końca w biurze prawnym, co równało się bezkarności. Nigdy nie użyliśmy pierwszej drogi, ale pod koniec Delegat skłonny był wymierzać sprawiedliwość przez sądy A.K.

Do połowy roku 1940 Warszawa, po ogólnym uporządkowaniu, była w swej dawnej formie psychicznej. Kiedy hasło zimy 1940: „im słońeczko wyżej, tym Sikorski bliżej” nie ziściło się, Warszawa w mig znajdowała nową pociechę. A to słynną przepowiednię Wielogłowskiego z roku 1893, a to Apokalipsę św. Jana, a to nową wersję jasnowiedztwa Ossowieckiego. A szedł rok za rokiem i nawałnica nie malała, lecz rosła w swej potworności i grozie. Najcięższy rok, jaki przeżywałem, był 1943. Ale dzięki temu, że Naród jak jeden mąż odbudował swoje warsztaty i znakomicie je ulepszał, że tworzył nowe, Polska nie zaznała głodu ni chłodu na większą skalę, ani chorób zakaźnych i epidemicznych.

Ze wszystkich darów, jakimi natura szczerze obdarzyła Warszawę, jest jeden, który nie może być zastąpiony: h u m o r ! A to jednego dnia na tysiącach słupów i domów pokazały się małe nalepki „Hitler kaput”. A to na latarniach sznury wisielcze z napisem: „Nur für Deutsche”. A to proste rysunki z żółciem, a to miliony ulotek pisanych świetną niemczyzną: „jak was Hitler oszukał”. Co tydzień było coś nowego. Zaś w przepętnionej kolejce do Podkowy Leśnej muzyczka rżnęła: „Siekiera, toporek, bimber, alas — przegra wojnę głupi malarz”; „Siekiera,

motyka, bimber, szklanka — w nocy nalot, w dzień łapanka”. Bimber był wówczas napojem narodowym. I tak o nim mówili Warszawiacy: jeżeli ci bimber przeszkadza w pracy, przestań pracować. Kiedy na sklepach i kawiarniach ukazały się niemieckie napisy: *Nur für Deutsche: Kein Eintritt für Juden, Zigeuner und Polen*, już po godzinie pod plakatami były drukowane dopiski: *Hitler soll der Teufel holen*.

Jeżeli w one czasy istniał jakiś cień dowcipów w Berlinie, wszystkie one, prawie bez wyjątku, fabrykowane były w Warszawie. A więc niecenzuralne dowcipy o Adolfie, o Ewie Braun, o Goeringu i aktorce Sonnemann, o Goebelsie i jego diabelskich kopytkach. Albo ta słynna modlitwa niemiecka: *„Lieber Herr Gott, mach mich stumm, das ich nicht das Dachau kumm”*, była sfabrykowana w Warszawie w piśmie wydawanym po niemiecku przez A.K. dla armii niemieckiej.

Ponieważ znajomość języka niemieckiego już dziś nie jest tak powszechna jak była, daję to w moim nieudolnym tłumaczeniu:

*Weż mi język wielki Boże,
Bo do Dachau zawieść może.
Obym Boże zaniewidział,
Abym wszystko w tęczy widział.*

*Boże wielki odbierz uszy,
Abym w gustu wierzył w duszy.
Odbierz język, oczy, słuch,
Bo to Trzeciej Rzeszy duch.*

Do dziś posądzam Adolfa Nowaczyńskiego, że to on był głównym dostawcą kalamburów o okupantach.

Podczas wojny ten prawdziwy Sowizdrzał naszej literatury stał się moim przyjacielem. Niemcy go respektowali, zapraszali na pogawędkę do „Propagandaamt” — Teatr Polski dla wystawienia „Fryderyka Wielkiego” jemu i Solskiemu stawiając do dyspozycji. Trzeba wiedzieć, że Solski uratował łaskę starego Frycy, z którą występował przed wojną w Teatrze Polskim. Była ona osobistym darem Hitlera dla Solskiego. Ale tak polski Adolf, jak stary Solski byli niewzruszeni. Mogę coś o tym powiedzieć, gdyż byli częstymi gośćmi w naszym domu, który dzierżawiłem w ślicznej Podkowie od ministra dr. Bertoniego w latach 1942-1943.

Moim zdaniem największym Wielkopolaninem ostatniego 70-lecia był Cyryl Ratajski. Sam dowcipny, cieszył się z facecji jakie

o nim w Kraju krążyły. Kiedy pod koniec 1940 roku został delegatem rządu na Kraj, w miesiącach zimowych prawie co sobotę bywał u nas obławowany bibułą, co ja uważałem za szaloną lekkomyślność. On na to jedną tylko miał odpowiedź: „Mój kochany, zobaczysz, mnie się kule nie imają”. I tak być musiało, bo kilka tysięcy gestapowców, pilnujących najbardziej zapalczego i zapalnego miasta ich okupacji, nigdy go nie wykryło.

Pamiętam zabawną historię z płaszczem Burrberys, który mi dałem kiedy bez niczego zjechał do Warszawy. Płaszcz ten „prze-
kłałem”. Był ciepły, ale bardzo jasny i widoczny z oddalenia. Kiedy nie pomogły perswazje, aby zmienić to okrycie, A.K. przez S. J. Jankowskiego prosiła mnie — wiedząc o moich serdecznych z Ratajskim stosunkach — o interwencję. Na nic się to zdało. Aż pewnej niedzieli czterech Akowców obserwowało jego ruchy po mieście. Gdzieś w jakimś kącie zdjęli z niego Burrberys i ubrali go w doskonałe futro, które ze sobą przynieśli. Były podobne inne historie, ale za prawdziwość tej gwarantuję. Następnej soboty, podczas bytności u nas, martwił się, że nie może oddać mi płaszcza.

Spał przez dwa lata co noc w innej kryjówce. Od początku 1942 roku musiał ograniczać wizyty u nas, gdy policja wpadła na trop roboty Zofii Kossak oraz Wandy i Stanisława Miłaszewskich, którzy z Ratajskim często się u nas spotykali. Zginęli Miłaszewscy, Z. Kossak znalazła się w Oświęcimiu, zaś Ratajskiemu nigdy się nic nie stało. I jak tu nie być zabobonnym? — „Mnie się kule nie imają!”.

Ratajski zmarł w „Omedze” pod koniec października 1942 roku, pod opieką najlepszych naszych lekarzy. Pochowany jest na Powązkach pod nazwiskiem Podlewski. Na pogrzebie było trzech ludzi. Londyn słusznie zakazał udziału w pogrzebie Ratajskiego. Za wielkie było to ryzyko dla sprawy.

Koniec roku 1942 był pełen niepokoju. Dnia 11 listopada w południe żona moja nalegała bym wyjechał do Podkowy Leśnej. Mocno się temu sprzeciwiałem, bo dzień poprzedni — wbrew gestapowskiemu obyczajom ubiegłych lat — przeszedł spokojnie. Zdenerwowała mnie jednak natarczywość żony, więc pociągami elektrycznym wyjechałem o godz. 6-ej wieczorem. Około piątej nad ranem obudził mnie stukot w okiennice. Przyjechała żona z naszym starym Franciszkiem, abym się pakował: w cztery godziny po mym wczorajszym wyjeździe byli gestapowcy po mnie i po hr. Tarnowską. Miałem dalszy dowód przeczucia, tak częstego u kobiet.

Okrężną drogą wróciliśmy do Warszawy, bo z doświadczenia wiedzieliśmy, że tam jest najbezpieczniej. Korzystałem na Kanonii

Nr 12 z gościny rodziny Adamskich, gdzie z biskupem robiliśmy nasze plany strategiczne. Kiedy wypuszczono po kilku tygodniach panią Tarnowską, a Gestapo zaczęło się kręcić koło Katedry, skorzystałem z oferty pani Dziewulskiej i pojechałem do jej majątku (po Edw. Natansonie) pod Grodziskiem.

W pieniądze zaopatrzył mnie szlachetny Leopold Jan Kronenberg, który miał spory kuferek w Banku Handlowym i często się pytał, czy pan Prezes nie potrzebuje pieniędzy. Jak się cieszyłem, gdy pan Leopold, uszedłszy z kraju w 1946 roku, w Londynie odebrał swoją należność, co jemu — wyzutemu wówczas ze wszystkiego — jakby z nieba spadło — jak mi mówił. Biedny pan Leopold; stracił żonę w Warszawie przy nalocie rosyjskim, stracił córkę Wandę, która dla swej inteligencji była nieoceniona w wywiadzie A.K. — zginęła wskutek strasznej pomyłki. Zginął i syn Leopold w Powstaniu. Stary Kronenberg nie stracił pogody ducha ani na chwilę. Widzi pan — mawiał — wszystko to jest przeznaczenie.

Każdy dzień potęgował i tak już bezbrzeżną nienawiść do okupantów. Z wyroków podziemnych najokrutniejsi ginęli jak muchy. Potęgował się do tego stopnia strach psychiczny, że co przyzwoitsi Niemcy z najwyższej administracji meldowali się na front, nie mogąc znieść tej atmosfery. Na początku kwietnia gubernator Fischer zaprosił prez. Kulskiego, prezesa Machnickiego, kilku wybitnych przemysłowców i mnie. Zakomunikował nam, że uprzedniej nocy zabito w Warszawie 78 Niemców i że otrzymał rozkazy, aby choćby najokrutniejszymi sposobami położyć temu kres. Z administracji niemieckiej, obok dyrektorów departamentów, byli obecni: zastępca szefa Gestapo, dr Kah i dr Hoffman, dyrektor Arbeitsamtu. Zabrał głos Kulski; osłupiałem, kiedy ten cichy, małomówny człowiek stał się dla mnie tego dnia jakimś wcieleniem rzymskiego Cyncerona. Cóż, jednak w kilka dni później zastrzelono dr. Hoffmana, który oddał nam tysiące przysług. Był katolickim opozycjonistą. Tego dnia robiłem gorzkie wyrzuty delegatowi Rządu a memu staremu przyjacielowi Jankowskiemu, następcy Ratajskiego, na co sucho odpowiedział: „Widzisz, Hoffman był symbolem”. Do dziś dnia nie mogę tego zrozumieć, bo cała strategia walki musiała mieć jedną zasadę — rozsadzać fundamenty jedności okupantów, wbijać klin między wojsko a administrację, między administrację a Gestapo.

Zabicie Hoffmana okazało się fatalnym błędem, bo Niemcy zbrodnicze swoje z lochów cytadeli, brzegów Wisły, Palmir czy okolicznych lasów przenieśli na ulice. Przedtem wszystkimi środkami swej olbrzymiej maszyny wojennej, artylerią, tysiącami bomb, dokonali wyczynu, którego by się Dżyngis-chan nie pow-

stydził: zniszczyli getto, paląc żywcem ludzi za powstanie jakie tam wybuchło. Z mych bliskich przyjaciół zginął tam Roman Kramsztyk, malarz dużej klasy; strzelał do ostatniej kuli. Mieliśmy wywiad o wszystkim.

W tym to mniej więcej czasie miał miejsce jeden z niezliczonych wyczynów naszej podziemnej organizacji. Monopol Zapalczany wydzierzawiony był Szwedom. Konsulem szwedzkim był pan Herslow, oddany całkowicie sprawie polskiej, tolerowany przez Niemców w Warszawie wobec neutralności jego kraju. Naczelnym dyrektorem fabryki zapalek był inż. Matuszak. Pewnego październikowego poniedziałku, punktualnie o 8-ej, zajęchały przed fabrykę cztery gestapowskie ciężarówki, razem 20 ludzi i kapitan który nimi dowodził. W fabryce były ogromne zapasy zapalek, przygotowanych do wysyłki na front. W kasie było tego dnia 20 milionów złotych, bo ubiegłej soboty banki były zamknięte. Kapitan, wyszedłszy z wozu, poszedł do dyr. Matuszaka, polecił wydać sobie klucze od kasy pancernej, przeciął wszystkie druty telefoniczne, kasę opróżnił kompletnie, a robotnikom kazał załadować zapasy zapalek na samochody ciężarowe. Szło to piorunem. Inż. Matuszak stał z podniesionymi rękami pod murem budynku administracyjnego. Kapitan rozkazał mu, aby cała załoga ustawiła się w rzędach, kiedy to się stało, skoczył na pierwszy furgon i ryknął, ku osłupieniu robotników po polsku: „A teraz razem i z serca: „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Ponoć nigdy jeszcze w Warszawie tak nie śpiewano Mazurka Dąbrowskiego. Cała ta ceremonia trwała mniej więcej 15 minut. Był to jeden z wielkich wyczynów naszej polskiej imitacji Gestapo. Pomyśleć, co za organizacja! Każdy z żołnierzy mówił świetnie po niemiecku, budy gestapowskie — autentyczne, mundury — bez zarzutu.

A teraz rozwiązanie zagadki. W czasie Powstania inż. Matuszak przyszedł do mnie do biura na Mokotowskiej. Miał czas aby martwić się o byłego prezydenta Wojciechowskiego i marszałka Trąpczyńskiego, których co miesiąc punktualnie alimentował. Kiedy odchodził, mówi: „Pan pamięta, że aż do Berlina mnie wozili na śledztwo w sprawie rabunku; wyszedłem cało. Ale dziś mogę panu powiedzieć, że ten wysoki brunet, kapitan, o którym panu opowiadałem, to mój syn, a tę wielką kasę gromadziłem przez czas dłuższy...”. Kochany Matuszak, zginął z rąk Kałmuka, wychodząc z Żoliborza, który musiał się poddać przed zawarciem układu kapitulacyjnego.

Warszawa z pogodnej strony! Choćby historia pomników Stolicy, od monumentu księcia Józefa, dłuta Thorwaldsena i od Chopina poczynszy, a na Kilińskim i Koperniku kończąc. Kiedy dwa pierwsze zniszczono, jeszcze Warszawa nie otrząsnęła się

z tego bezmiaru nieszczęścia jakie na nią spadło. Ale już z Kilińskim i Kopernikiem nie była łatwa sprawa. Jeżeli o Kilińskiego chodzi to Niemcy zastosowali takie środki ostrożności, że dopiero po kilku dniach Warszawa dowiedziała się, gdzie jest jej bohater. Na własne oczy widziałem metrowe napisy na murach Muzeum Narodowego: „Ludu Warszawy, czuwam. Kiliński”.

Z Kopernikiem co chwila było coś nowego, z czego cała Warszawa się śmiała. Ponieważ Kopernik był *Urdeutsch*, Niemcy go zostawili, ale razii ich skromny napis: „Mikołajowi Kopernikowi — Naród”. Usunęli więc ten napis i po dość trudnych technicznych robotach umieścili nowy: „*Dem grossen deutschen Astronomen — das deutsche Volk*”. Tego Warszawie było za dużo i na drugi dzień pokazał się na pomniku napis: „Za znieprawę Narodu polskiego przedłużam zimę o trzy miesiące — M. Kopernik”.

Otwieram jeden z uratowanych notatników — rok 1941, piątek 16 maja: „Spadł dziś w Warszawie 25-centymetrowy śnieg”. Ale na tym nie koniec. Późną już wiosną widziałem nowe rusztowanie i robotnicy miejscy czyścili pomnik. Robota trwała dwa dni. Na trzeci dzień, po usunięciu rusztowań, w godzinach rannych Warszawiacy wylegli na Nowy Świat, aby obejrzyć przywrócony napis polski.

A co śmiechu i zabawy było 3 maja 1943 roku, kiedy ukazał się w sprzedaży o godzinę wcześniej niż zwykle *Nowy Ilustrowany Kurier*, gadzinówka okupanta. Gazeta była wydana identycznie, ale zawierała najnowsze telegramy z Londynu i Waszyngtonu, rewolucyjne artykuły, a nawet świetne polityczne ogłoszenia, jak to: „Fachowiec, garbuje skóry dzikich zwierząt, specjalność Ueberallesy”. Dopiero po trzech godzinach zaalarmowano całe Gestapo. Ale na giełdzie zakazanych wiadomości, pod wieczór płacono za jeden egzemplarz 100 złotych.

W Warszawie nigdy nie było dzielnicy czysto niemieckiej, tak jak w Krakowie. Wiedzieli Niemcy, że nie dadzą rady z sabotażami.

Warszawa miała informacje rychlejsze od sztabów niemieckich. Ręczę, że dekrety Himmlera o utworzeniu Himmlerburgu na Zamojszczyźnie i wywiezieniu dzieci z tego nowego tworu do Reichu były w rękę naszej organizacji wcześniej nim doszły do rąk administracji. Tylko dzięki temu udało się zgnieść w zarodku nowy diabelski pomysł tego zbrodniarza.

Nie wiem skąd ulica Warszawy dowiedziała się o tym. Dosyć, że był to jeden z największych moralnych wstrząsów mego życia. Przed gmachem centrali RGO zaczęły się gromadzić tłumy ko-

biet, żądając widzenia się z zarządem. Prosiłiśmy o wybranie delegacji, którą przyjął prezes Machnicki w moim towarzystwie. Panie twierdziły, że na Dworcu Towarowym są cztery zaplombowane wagony z dziećmi z Zamojszczyzny. Okazało się to nieprawdą, stwierdziła to ekipa polskich kolejarzy. Ale to nie starczyło, ludzie nie uwierzyli. Ba, dochodziło do tego (jakie to polskie), że kierujących robotą ludzi posądzano o współpracę i zdradę. Byliśmy na burzliwej konferencji u gubernatora, który bał się rozruchów i złożył deklarację, że gdyby się ukazał taki transport, odda go pod naszą opiekę.

W jednym dniu mieliśmy ponad tysiąc zgłoszeń osób chcących dać przytułek dzieciom. Nie zapomnę sympatycznej twarzy leciwej już pani, która po uspokojeniu się tej burzy, krzyczała w przedpokoju: „Ja chcę dziecko”. W tej spontanicznej postawie całego Narodu było coś tak pięknego, wielkiego i wzniosłego, że i Niemców porywało. Nigdy sprawy tej nie zdołaliśmy rozgryźć do gruntu. To wiem, że byliśmy świadkami — pierwszy chyba raz — gwałtownych kłótni między Niemcami. Gruby Reichsamtsleiter Schön, szef wewnętrznej administracji guberni, zgłosił się na front rycząc: *Schweiniereien mach ich nicht mit*.

Niemcy ubóstwiali tytuły — im dłuższe, tym lepsze. Ileż na ten temat było dowcipów. Tu przytoczę jeden autentyczny. Siedzi w Al. Szucha jakiś młody członek organizacji. Ma go przesłuchiwać — bo o grubszą sprawę chodzi — jakiś Obergruppentruppenführer. Uczą go tego tytułu. A kiedy dygnitarz gestapowski się zjawił, więzień powtarza „Herr Obergruppentruppenduppenführer”. Niemca ponoć ten mimowolny dodatek „du...” do i tak już długiego tytułu — zachwycił.

W miarę pochodu wojsk sowieckich Niemcy zaczęli gadać o „Mitteleuropa”. Wzywali kilka razy na narady wypuszczonego z więzienia Ronikiera i Ferdynanda Goetla, tak jakby nic nie było zaszło. Wnet się przekonali, że nikt z Polaków rozmawiać z nimi nie będzie. Nie trudno było wtedy przeczuwać, że koniec się zbliża. Czytam w notatniku: „8 maja Wysocki przywiózł trzy butelki magnum i prawdziwą benedyktynę. Lepiej to wypić. Był Solski, Machnicki, Tarnowscy, biskup Adamski”.

Na początku lipca umarł Nowaczyński. Dojechałem ciężarówką Haberbuscha na Powązki. Trumna ubrana była w kłosa zielonej jeszcze, dojrzewającej pszenicy. Kościół prawie pusty. Bracia Albertyni, których był protektorem, czekali z mszą żałobną. Coś się stało, bo to jeden z wielkich naszego pokolenia, a Warszawa umiała być wdzięczna. Czy ktoś przy zdrowych zmysłach mógłby dziś uwierzyć, że Gestapo urządziło na trasie powązkowskiej łapanek — ostatnią na cześć polskiego Adolfa. Po półgodzinnym

opóźnieniu rozpoczęło się nabożeństwo. Kościół był nabity, kazania nie było, bo Adolf żądał ostatniej posługi na wesoło; ; wszak to on napisał: „Rzecz o własnym pogrzebie”. Na pogrzebie były nieliczni przedstawiciele polskiej literatury, teatru, sztuki: Goetel, Ossendowski, Solski. Zaświadczam, że wszystko było — jak chciał — na wesoło. Co za Naród!

Dnia 30 lipca 1944 roku była niedziela. Pierwsza od lat blisko pięciu, gdy Niemców praktycznie w mieście nie było. Ciury niemieckie na zrabowanych samochodach wywoziły co piękniejsze meble z gmachów publicznych. Po południu odwiedził nas dawny prezydent miasta Grudziądz, Józef Włodek. Pod cudzym nazwiskiem, zapuściwszy ogromną brodę, uratował życie pracując w firmie Rudzki. Zaczęliśmy robić plany na przyszłość. Kiedy go żegnałem, nie myślałem, że już go nie zobaczę. Ukraińcy w drugi dzień Powstania wymordowali na ul. Wiejskiej całą rodzinę. Uratował się tylko 19-letni syn, który był w A.K.

We wtorek, dnia 1. 8. 1944 roku, punktualnie o 4-tej po południu, rozpoczęło się w całym mieście Powstanie. Kiedy ostatnim tramwajem szczęśliwie dojechałem do domu, za kilka minut dzwonek odezwał się, raz jeden — a więc obcy. W mieście była nieopisana strzelanina; sam poszedłem otworzyć. Przede mną stało trzech mężczyzn i przystojna, młoda kobieta. Dowodzący nimi był, jak się później okazało, porucznik. Zasalutował i z respektem zapytał, czy może wejść do pokoju po naszym przymusowym lokatorze, dr. Coblitz, majorze lekarzu, bo tam jego oddział ma część sprzętu. Ośłupiałem. Kiedy wszedłem z nimi do pokoju, porucznik, który najwidoczniej znał rozkład mieszkania, podszedł do olbrzymiej francuskiej kanapy, na której Niemiec sypiał, podniósł siedzenie i moim oczom ukazał się niesamowity widok. Było tam co najmniej 40 rewolwerów i innych spluw — jak oni mówili. Zabrali wszystko. Usiadłem w zupełnym ośłupieniu w fotelu i myślałem, że jednak starzy nie mogą robić rewolucji i że mnie młodzi nabrali jak ostatniego durnia. Wtedy zaczęło mi świtać dlaczego młodzi urządzali z majorem popijawy, które mnie tak gorszyły. To przeżycie było szokiem, ale w końcu błogosławiłem szlachetnym chłopakom, że w tysiącach domów potrafili zorganizować gniazda oporu i zbudować armię podziemną, przeciw woli starych. Nie umiałbym dziś opisać głębokiej psychicznej przemiany, jaka we mnie zaszła. Ja, przeciwnik Powstania, stałem się jego wyznawcą. Rację mieli młodzi, nie starzy. Bo cóż znaczy życie, co sumy dóbr materialnych, dzieł sztuki i kultury, kiedy człowiek jest niewolnikiem!

W Warszawie mówiono: „zwycięży nie rasa, nie masa, ale kasa”, robiąc aluzję do Stanów Zjednoczonych. A mnie się wy-

daje, że na długą metę zwycięży duch. Młodzi żołnierze A.K. umierali pogodnie, tak jak umierała ludność cywilna. A ja wyznaję i wierzę, jak ów Clausewitz, że żadna ofiara nie zginie dla Narodu.

W IV tomie pamiętników Churchilla jest fotografia dwóch, jak napisano, patriotów polskich idących przez barykadę około Politechniki Warszawskiej z zawiązanymi oczyma do posterunku niemieckiego w szpitalu Piłsudskiego, aby się potem udać do kwatery głównej gen. v. d. Bacha, na pierwsze rokowania. Pani w długich butach, to Maria Tarnowska, jej towarzysz — to ja. Udział Tarnowskiej postawiłem wicepremierowi za warunek, bo P.C.K., którego była prezesem, był ostatnią resztką suwerenności polskiej.

Pióro polskie nie powinno się nigdy skazić kłamstwem, nikczemnością czy jednostronnością. I wrogowi oddać trzeba sprawiedliwość. Więc v. d. Bach był, poza Paerschem, o którym mówiłem, poza zastrzelonym przez A.K. Hoffmanem i dr. Saubierzweigem który zginął przez Gestapo — jedynym człowiekiem, który lojalnie dotrzymywał zawartych układów. Kiedy pod koniec Powstania objął dowództwo siedmiu dywizji, otaczających Stolicę, skończył z największą plagą: oddziałami Ukraińców, Kałmuków i odprysków armii rosyjskiej. Dowodził zaledwie kilka tygodni.

Pogoda Warszawy. Nawet ewakuacja kilkuset tysięcy mieszkańców nie spowodowała fali samobójstw, czy podobnych aktów rozpacz. Warszawa zachowała twarz. Okolice Warszawy były wtedy jakby fantastycznych rozmiarów obozem. W Podkowie, nowe miasto. Budy z desek sklecone mieściły sklepy ze wszystkim. Niektóre ulice miały szumne nazwy. Moja siostra, Krzycka, otworzyła sklep z wędlinami na Old Bond Street. Skąd ci domorośli kupcy zdobyli tyle towarów — nie wiem — ale że nieźle im się powodziło, to pewne. Na końcu placyków — a jakże Picadilly! — była giełda pieniężna, gdzie handlowano walutami, świnkami, Twardowskimi i miękkimi. Były transakcje gruntami i domami, niejednen Poznaniak sprzedawał tam swoją resztówkę, czy folwarczek. Znałem kilka takich wypadków, że ktoś z nędzy przyszedł do pieniędzy.

Ilość tych, którzy ruszyli do Krakowa szukając dachu nad głową, podano mi na 100 tysięcy.

Zawezwany przez Centralę RGO, której kierownictwo — po zaareztowaniu Ronikiera — objął prezes Tchórznicki, oraz zaproszony przez Metropolitę, byłem w Krakowie od 8 do 15 grudnia. Cichy, spokojny, jakby dla emerytowanych radców stworzony Kraków w historii swej pewnie nie zaznał większego harmideru,

zgiełku i niepokoju. W jakichś tam opuszczonych salach i rupieciarniach Warszawiacy pootwierali restauracje, kawiarnie, bary. Nie brakło w Krakowie niczego, brakło tylko jednej rzeczy — wspólnego języka.

Warszawiacy bronili swego Powstania, Kraków nie mógł tego zrozumieć. Nie cały, broń Boże! Mądry, spokojny arcybiskup Sapieha stał po stronie Warszawy — on sumienie Narodu.

Kiedy wróciłem, wymęczony ponad ludzką miarę, do Podkowy słyhać już było sowieckie katiusze. Był Sylwester przy bimbrze. Niemców nie było widać, a katiusze grały bez przerwy, dniem i nocą, gdzieś nad Wisłą i w Puszczy Kampinoskiej.

Kiedy ostatnie „nachschuby” niemieckie wysadziły w powietrze pruszkowską elektrownię, wiedzieliśmy że to koniec. Ale oddaliła się od nas zburzona Stolica, bo przestała działać kolejka dojazdowa. To była ostatnia zemsta Niemców w tym przeszło pięć lat nieprzerwanym ani na dzień łańcuchu okrucieństw.

Kiedy Osóbka-Morawski przysłał po mnie min. Golańskiego, prosiłem o kilka dni czasu. A kiedy po 30-godzinnej podróży stanąłem na Saskiej Kępie, wszędzie czuło się chaos i niepewność. Był to czas między nadzieją a rozpaczą. Ale nie zginął nieśmiertelny duch Warszawy, pełnej wiary, dumy i poświęcenia, pogodnej nawet w najcięższych chwilach swej burzliwej historii.

Stanisław WACHOWIAK

NOTA BIOGRAFICZNA

Stanisław WACHOWIAK. Ekonomista i polityk. Ur. w 1890 r. W latach 1920-22 wiceminister b. dzielnicy pruskiej, w 1924-26 wojewoda pomorski, w 1929 prezes Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu, dyrektor „Roburu”, poseł na sejm. Od 1939 r. na emigracji w Brazylii. Zmarł w 1972 r.

DOKUMENTY

Roman BUCZEK

PRL W 1946 ROKU

Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej uznany został przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone pod warunkiem przeprowadzenia wyborów najpóźniej wiosną 1946 roku. Rządzący Polską komuniści trafnie jednak oceniali, że przeprowadzenie wyborów w myśl zasad demokratycznych byłoby dla nich klęską. Wobec tego powstaje koncepcja tzw. „bloku”. Z koncepcją tą oficjalnie wystąpiła PPR już na październikowym posiedzeniu KC w roku 1945. W listopadzie koncepcję tę poparła także PPS.

Blok wyborczy dawał zdecydowaną przewagę PPR, stąd uporczywe lansowanie go na kilku kolejnych posiedzeniach Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Demokratycznych. Nieoczekiwanie na przeszkodzie stanęła decyzja PSL, uznająca system blokowy za sprzeczny z zasadami demokratycznymi. W dniu 22. II. 1946 roku Naczelny Komitet Wykonawczy PSL odmówił przystąpienia do bloku a następnie został zmuszony do opuszczenia Komisji Porozumiewawczej. Ponieważ blok nie został przyjęty przez PSL, komuniści znajdują rozwiązanie w postaci referendum. Przez referendum zaś — PPR zamierzała podstępnie osiągnąć zaufanie społeczeństwa, które było jej potrzebne do zalegalizowania narzuconego TRJN, dalszego odłożenia terminu wyborów i wykazania zagranicy, że w Polsce nie ma dyktatury, gdyż społeczeństwo popiera politykę rządu.

Przytoczone niżej dokumenty, nigdzie dotąd nie drukowane, dowodnie wykazują „technikę” stosowaną przez PPR przy montowaniu bloku.

*Protokół z posiedzenia
Konwentu Seniorów Klubów Poselskich KRN*

Działo się w Warszawie dnia 25 stycznia 1946 roku w sali obrad Prezydium Krajowej Rady Narodowej.

Początek posiedzenia o godz. 10 min. 15.

Przewodniczący Zastępca Prezydenta KRN ob. Stanisław Szwalbe. Sekretarz stenograf ob. Tadeusz Zgliński. Obecni przedstawiciele klubów poselskich: ob. Ochab Edward (PPR), ob. Werfel Roman (PPR), ob. Obrączka Ryszard (PPS), ob. Korzycki Antoni (SL), ob. Wójcik Stanisław (PSL), ob. Arczyński Ferdynand Marek (SD), ob. Popiel Karol (SP), ob. Brzeziński Stefan (SP) oraz naczelnik wydziału Prac Parlamentarnych, ob. Stanisław Reymer.

Porządek dzienny:

I. Przyjęcie protokołu z poprzedniego posiedzenia.

II. Wykonanie uchwał poprzedniego zebrania.

III. Sprawa komisji dla ordynacji wyborczej.

IV. Sprawy bieżące.

Przewodniczący, ob. Szwalbe otwiera posiedzenie i przed przystąpieniem do porządku dziennego wysuwa sprawę połączenia posiedzeń Konwentu Seniorów i Komisji Porozumiewawczej Międzypartyjnej, które dotychczas nie były reprezentowane w KRN. Każdy klub miałby dwóch przedstawicieli: jednego do spraw politycznych a drugiego do spraw parlamentarnych.

— Poseł ob. Obrączka uważa propozycję za słuszną. Delegaci posiadając pełnomocnictwa, mogliby na Konwencie Seniorów rozstrzygać wszystkie sprawy.

— Poseł ob. Ochab nie ma mandatu do wypowiedzenia się już dzisiaj w tej sprawie. Uważa jednak, iż tego rodzaju połączenie ułatwiłoby kierowanie tymi sprawami.

— Poseł ob. Brzeziński zasadniczo nie sprzeciwia się tej propozycji.

— Poseł ob. Wójcik sądzi, że przeszkód tu nie ma.

Przewodniczący oznajmia, że ostatecznie zadecyduje się tę sprawę na następnym posiedzeniu.

Ad I. Przewodniczący oznajmia, iż protokół posiedzenia poprzedniego został rozdany i przyjęcie jego nastąpi na następnym posiedzeniu.

Ad II. Przewodniczący oznajmia, iż w wyniku poprzednich uchwał Konwentu wszystkie kluby w terminie przedstawiły kandydatów do komisji. Kluby otrzymają wykazy imienne członków wszystkich komisji. Od 30 stycznia komisje KRN w nowym składzie zaczną już działać. Apeluje, aby kluby zechciały dopilnować na posiedzeniach komisji obsady przewodniczących ustalonej na Konwencie.

Przewodniczący oznajmia dalej, że Prezydium KRN przeznaczyło 6.600 zł. na prace Komisji Morskiej, że zawiązało się parlamentarne koło posłanek, które było u prezydenta KRN i że Prezydium przyznało temu kołu kredyt w wys[okości] 30.000 zł.

Posel ob. Obrączka zauważa, że — o ile mu wiadomo — posłanki z PPS żadnego zaproszenia do koła posłanek nie otrzymały.

Posel ob. Wójcik stwierdza, że i posłanki z PSL nic o tym nie wiedziały.

Naczelnik ob. Reymer oświadcza, że oficjalnie nic o takim kole nie wie. Słyszał tylko, że posłanka Stanisława Garnarczykowa tą sprawą się zajmowała.

Przewodniczący uważa, iż wydział Prac Parlamentarnych powinien wystosować wezwanie do wszystkich posłanek w celu zawiązania koła parlamentarnego posłanek.

Ad III. Przewodniczący oznajmia, iż Prezydium KRN proponuje następujący rozdział mandatów między kluby poselskie do nadzwyczajnej komisji poselskiej dla opracowania projektu ordynacji wyborczej, ułożonej wedle uchwały KRN z 30 osób. W myśl tej propozycji klub:

PPR	deleguje	5	osób
PPS	"	5	"
SL	"	5	"
PSL	"	5	"
SD	"	4	"
SP	"	3	"
KCZZ	"	2	"
ZSCh	"	1	"

Obsadę komisji personalną dokona na wniosek poszczególnych klubów Konwent Seniorów.

Posel ob. Wójcik uważa, iż zagadnienie ordynacji wyborczej jest zagadnieniem wybitnie politycznym i jako takie powinno być rozstrzygane w gronie przedstawicieli stronnictw politycznych. Wobec tego sprzeciwia się wciąganiu do tej komisji czynników zawodowych czy gospodarczych poza stronnictwami.

Posel ob. Arczyński oświadcza, że SD jest za rozszerzeniem wachlarza społecznego i za przyznaniem mandatów ZZ i Sam. Chł.

Posel ob. Popiel solidaryzuje się z posłem ob. Wójcikiem.

Posel ob. Ochab uważa, że waga organizacji zawodowych w życiu społecznym jest olbrzymia, powinny więc brać udział w tej komisji. Za granicą związki zawodowe nabierają wielkiego znaczenia i występują jako czynnik samodzielny obok partii politycznych. Niesłuszne byłoby obawy, iż tą drogą jakaś partia chciałaby przemycić jeszcze jednego swego członka do tej komisji. Nie ma to żadnego istotnego znaczenia. Trzeba mieć również na uwadze i to, że związki zawodowe mają duży procent członków bezpartyjnych. Wpływ moralny tego posunięcia jest tak wielki, iż należy tę propozycję przyjąć.

Posel ob. Arczyński podkreśla, że za powołaniem przedstawicieli związków zawodowych przemawia także i czynnik propa-

gandowy, albowiem w komisji wyborczej powinno być uwzględnione maksimum czynnika społecznego.

Posel ob. Wójcik zaznacza, że omawiane zagadnienie nasuwa nieprzyjemne reminiscencje z okresu sanacyjno-faszystowskich rządów, wówczas również taki nacisk kładziono na korporacje, na związki zawodowe. Była to jednak akcja robiona dla stworzenia pozorów, iż społeczeństwo bierze udział w pracy rządowej. Nie chciałbym, aby podobne reminiscencje nasuwały i nasze poczynania, a niewątpliwie w społeczeństwie one istnieją.

Nasze życie polityczne opiera się o organizacje polityczne. Związki zawodowe mają wielką ilość bezpartyjnych. Uważam za niewłaściwe wciąganie czynnika społecznego, od takiego czy innego warsztatu pracy w aktualia polityczne dnia codziennego, podczas gdy powinni się zajmować zagadnieniami gospodarczymi. Stronnictwa powinny normować te zjawiska, gdyż ich rzeczą jest uwzględniać ambicje związków zawodowych.

Przewodniczący sądzi, że teoretycznie może zachodzi to podobieństwo, jest jednak zasadnicza różnica. Nie jesteśmy zwolennikami czysto liberalnego, parlamentarnego, liczbowego czynnika. Nam chodzi o masowy ruch zawodowy. Nie chcemy, aby wszystkie siły były oderwane od rzeczywistości politycznej, żeby były apolityczne. Dlatego podstawę tę rozszerzamy.

Posel ob. Arczyński jest zdania, że zachodzi duża różnica między tym, co chciał zrobić ze związków zawodowych faszyzm a co my chcemy. Potęga związków zawodowych w skali ogólnozawodowej jest tak wielką, że nie można jej traktować tylko jako rekwizytu. To jest potęga istotna i ma swoją rolę do spełnienia wspólnie z ruchem politycznym.

Posel ob. Werfel wskazuje, że komisja ma 30 członków, w tym przedstawicieli organizacji niepolitycznych jest 10 %. Trudno powiedzieć, aby mogli być języczkiem u wagi. Nie jest właściwe, aby przedstawiciel jakiejś partii był oblepiony rozmaitymi mandatami społecznymi. Organizacje społeczne są w życiu polskiej rzeczywistości szkołą współpracy, wytwarzają pewien klimat koalicji demokratycznej. Udział związków zawodowych, obejmujących wszystkie partie, przyczyni się raczej do wzmocnienia czynnika porozumiewawczego, solidarności i jedności.

Przewodniczący wyjaśnia, że wniosek Prezydium poza czynnikami politycznym pragnie wciągnąć do współpracy i organizacje społeczne.

Posel ob. Obrączka oświadcza, że klub PPS stoi na stanowisku, iż związki zawodowe powinny być w tej komisji reprezentowane. Uważa za właściwe, aby wszedł tu również i przedstawiciel spółdzielczości, która bierze także udział w kształtowaniu rzeczywistości.

Posel ob. Arczyński myślał nad sprawą klucza i nad tym, czy SD i SP traktować jako jedno stronnictwo. SP nie jest jeszcze oficjalne, nie urządziło ani kongresu, ani zjazdu, nie ujawniło swojej siły, nie ujawniło swego programu politycz-

nego. Poza tym jest i drugi czynnik, natury moralnej a nie faktycznej: SD zalicza się do tych partii, które stanęły czynnie do odbudowy kraju i tworzenia tej rzeczywistości. Odzwierciedla to rzeczywisty układ sił w przedstawicielstwie narodowym. Dlatego mówca zastrzega się przeciwko sprowadzaniu SD do jednej partii z SP. Myśl pośła Obrączki, co do udziału spółdzielczości, jest słuszna. Chodzi tylko o to, aby dać temu wyraz w rozdziale mandatów.

Przewodniczący przypomina, że na poprzednim posiedzeniu doszło do porozumienia, iż za podstawę przyjmuje się układ klubów w KRN, nie wchodząc w żadne inne rozważania pod tym względem. Dlatego wniosek pośła Obrączki musi się odbić na ilości mandatów przyznanych klubom.

Poseł ob. Popiel nie chce prowadzić dyskusji w związku z oświadczeniem przedstawiciela SD. Wskazuje, że w ten sposób został ustalony stosunek klubów w KRN. Stronnictwo Pracy ma swoją deklarację programowo-ideową, ale oświadczenia SP na KRN są jawne i ważne. Stronnictwo Pracy formuje się w sposób demokratyczny od dołu, od kół, a nie od góry, od kongresu. Chcemy je mieć z prawdziwego zdarzenia. Na konferencji moskiewskiej ustalono stronnictwa: PPR, PPS, ruch ludowy oraz SD i SP jako jedno stronnictwo. Takie jest już porozumienie.

Poseł ob. Ochab wyjaśnia, że ruch zawodowy wysuwany jest z tego powodu, iż jest on ruchem dynamicznym, udział jego w życiu wyborczym ma już precedensy międzynarodowe. Toteż propozycja Prezydium powinna być przyjęta bez zmian.

Poseł ob. Wójcik oświadcza, że jeżeli tak będzie się stawiało tę sprawę, to spółdzielczość nie powinna być pominięta. W spółdzielczości jest masa ludzi takich, którzy gdzie indziej nie biorą żadnego udziału i żyją bez reszty ideologią spółdzielczą.

Mówca nie przemawia imieniem spółdzielczości, chodzi mu o względy natury utylitarnej.

Poseł ob. Arczyński cofa — przekonany przez pośła Ochaba — swoje wywody o spółdzielczości.

Poseł ob. Korzycki nie występuje przeciwko spółdzielczości, gdyż sam jest spółdzielcą, stwierdza, że przyjęcie propozycji ob. Obrączki uszczupliłoby udział związków zawodowych, które jednak odgrywają dużą rolę.

Poseł ob. Wójcik uważa, że tym trzem związkom należy przydzielić po jednym mandacie.

(Poseł ob. Popiel: — Najlepiej porozumieć się kosztem Stronnictwa Pracy).

Poseł ob. Werfel sądzi, że ci koledzy, którzy wysuwają spółdzielczość, wskażą — jak to uczynić.

Poseł ob. Obrączka wysuwa propozycję, aby SD i SP miało po 3 mandaty, a wówczas spółdzielczość otrzymałaby jedno miejsce.

Poseł ob. Arczyński oświadcza, że SD zrezygnuje z jednego

mandatu na rzecz Samopomocy Chłopskiej wówczas, jeżeli Stronnictwo Pracy zrezygnuje z mandatu na rzecz spółdzielczości.

(Poseł Popiel: — Wiedziałem co powiedzieć).

Poseł ob. Obrączka docenia stanowisko Stronnictwa Demokratycznego, jednak SP mogłoby poświęcić jeden mandat na rzecz słusznej tezy. Nikt tu nie chce uwidocznić swojej supremacji. Uważa, iż SD i SP powinny dojść do porozumienia.

Poseł ob. Wójcik przyłącza się do stanowiska posła Obrączki.

Poseł ob. Arczyński widzi tu pewną niekonsekwencję, bo PPR i PPS mają 10 mandatów a są to stronnictwa robotnicze.

Poseł ob. Ochab oświadcza, że PPR jest stronnictwem robotniczo-chłopskim.

Poseł ob. Wójcik sądzi, że można by się z tym zgodzić. Trzeba wziąć pod uwagę, że PPR i PPS bazują na odcinku robotniczym a SD — na odcinku inteligencji.

Poseł ob. Arczyński przeczy wywodom posła Wójcika i wykazuje, że SD ostatnio na Górnym Śląsku i w Łodzi wchodzi do rad zakładowych.

Poseł ob. Wójcik podtrzymuje swe twierdzenie, że jednak w skali państwowej SD bazuje na odcinku inteligencji. Porównując te dwie bazy uważa, iż SD ma za dużo miejsc. Nie wciąga tu SP, bo ono jeszcze nie uzewnętrzniło swojej postawy, nie ma więc sprawdzianu. Jednak spółdzielczość trzeba uwzględnić. Postawienie SD i SP na jednym poziomie bynajmniej nie przynosi ujmy żadnemu z tych stronnictw.

Poseł ob. Popiel zauważa, iż wiadome jest dobrze, jacy są to członkowie SD w radach zakładowych. Poseł Zambrowski również zna wszystkich ich nazwiska.

Poseł ob. Arczyński stwierdza, że SD zdaje sobie sprawę, iż komisja wyborcza nie jest osią zagadnienia politycznego w Polsce. Stanowisko klubu jest oparte na przeciwstawianiu się jakimkolwiek precedensom w porównaniu ze Stronnictwem Pracy. Rozumie trudności, jakie się wyłoniły, toteż wysuwa propozycję, by SD oddało mandat Samopomocy Chłopskiej a SP zrezygnowało z mandatu na rzecz spółdzielczości.

Poseł ob. Popiel wskazuje, że Stronnictwo, które chce zorganizować elementy drobnomieszczańskie, ma oddać mandat właśnie na rzecz spółdzielczości.

Przewodniczący oznajmia, że przedstawi przebieg dyskusji na najbliższym posiedzeniu Prezydium KRN. Podkreśla, że na najbliższym posiedzeniu Konwentu będzie omawiana również sprawa ewentualnego łącznego odbywania posiedzeń Międzypartyjnej Komisji Porozumiewawczej i Konwentu Seniorów oraz sprawa bloku wyborczego. Poseł Wójcik w naszych rozmowach przed posiedzeniem wysunął sprawę bezpieczeństwa, swobody dla PSL.

Poseł ob. Wójcik wyjaśnia, że chodzi mu o stworzenie odpowiedniej atmosfery politycznej. Łączy się z tym kwestia udziału w Rządzie, w Prezydium KRN, w KRN, w radach narodowych terytorialnych, gdzie dotychczas nie jest uregulowany udział

PSL, gdzie eliminuje się tych członków, którzy przeszli do PSL mimo instrukcji, wydanej przez Prezydium KRN. Zobowiązania zaciągnięte w stosunku do PSL nie są wypełnione.

Przewodniczący prosi posła Wójcika o sformułowanie tego stanowiska na piśmie. Uważa, że nie można stawiać sprawy tak, że najprzód pewne odcinkowe rzeczy mają być załatwione a dopiero potem będzie można przeprowadzić właściwe rozmowy na temat bloku wyborczego. Wprost przeciwnie, przede wszystkim trzeba uwzględnić same zasady bloku wyborczego.

Poseł ob. Wójcik stwierdza, że nie chodzi mu o to, aby wszystko to było w czasie oddzielone. Uwagi swe prześle na piśmie.

Przewodniczący oznajmia, że następne posiedzenie Konwentu odbędzie się w piątek, 1 lutego o godz. 10 w Belwederze, po czym posiedzenie zamyka.

Koniec posiedzenia o godz. 11 min. 30. Na tym protokół zakończono.

Przewodniczący: S. Szwalbe; członkowie: E. Ochab, R. Werfel, R. Obrączka, A. Korzycki, S. Wójcik, F. M. Arczyński, K. Popiel, S. Brzeziński.

PROTOKÓŁ

*z posiedzenia Konwentu Seniorów Klubów Poselskich KRN
oraz*

*Centralnej Komisji Porozumiewawczej
Stronnictw Demokratycznych*

Działo się w mieście st. Warszawie w dniu 1 lutego 1946 roku w sali obrad Prezydium Krajowej Rady Narodowej. Początek posiedzenia o godz. 10 min. 5.

Przewodniczący Zastępca Prezydenta KRN ob. Stanisław Szwalbe. Sekretarz stenograf — Tadeusz Zgliński. Obecni przedstawiciele klubów poselskich i stronnictw: Ob.ob. Zambrowski Roman, Ochab Edward, Cyrankiewicz Józef, Korzycki Antoni, Kaczocha-Józewski Aleksander, Bańczyk Stanisław, Mikołajczyk Stanisław, Arczyński Ferdynand Marek, Chajn Leon, Kwasiborski Józef, Widy-Wirski Feliks, Domiński Jerzy oraz naczelnik wydziału Prac Parlamentarnych ob. Stanisław Reymer.

Porządek dzienny:

- I. Przyjęcie protokołu z poprzedniego posiedzenia.
- II. Sprawa komisji do opracowania ordynacji wyborczej.
- III. Sprawa bloku wyborczego.
- IV. Sprawy bieżące.

Ad. I. Przewodniczący ob. Szwalbe otwiera posiedzenie wobec braku sprzeciwu oświadcza, iż uważa protokół z posiedzenia odbytego w dniu 17. I. 1946 roku za przyjęty, że protokół z posie-

dzenia odbytego w dniu 25. I. 1946 roku został rozdany i przyjęcie jego nastąpi na następnym posiedzeniu.

Ad. II. Przewodniczący podaje do wiadomości, iż zwrócił się do Stronnictwa Demokratycznego z propozycją, aby SD miało 3 mandaty w komisji do ordynacji wyborczej z tym, iż przewodniczącym komisji będzie członek Prezydium KRN W. Barcikowski należący do SD. Odpowiedź była negatywna. Następnie rozmawiał z sekretarzem generalnym CKZZ, z którym uzgodniono sprawę w ten sposób, iż organizacje niepolityczne: ZZ, Samopomoc Chłopska i Spółdzielczość będą miały po jednym członku. Wobec tego skład komisji do opracowania ordynacji wyborczej będzie następujący: PPS, PPR, SL, PSL — po 5 mandatów; SD i SP — 3; ZZ, Samopomoc Chłopska i Spółdzielczość po 1 mandacie.

Posel ob. Bańczyk wypowiada się przeciw udziałowi organizacji niepolitycznych w tej komisji.

Przewodniczący zauważa, iż sprawę tę zdaje się, rozstrzygnięto już zgodnie na poprzednim posiedzeniu w kierunku udziału tych organizacji niepolitycznych.

Posel ob. Mikołajczyk oświadcza, iż stanowisko PSL jest takie, iż w komisji tej powinni brać udział tylko przedstawiciele stronnictw politycznych, bowiem wybory jest to akt czysto polityczny.

Przewodniczący wyjaśnia, iż mimo sprzeciwu PSL sprawa ta jest przesądzona większością głosów i skład omawianej komisji jest już ostatecznie ustalony. Zwraca się do klubów o nadesłanie kandydatów na członków i zastępców do powyższej komisji według ustalonego klucza.

Ad. III. Posel ob. Cyrankiewicz oznajmia, iż rada naczelna PPS wysunęła 4. XI. 1945 roku propozycję bloku wyborczego stronnictw demokratycznych, obejmującego wszystkie stronnictwa. W wykonaniu tego zwrócono się do PSL, ponieważ deklaracje innych stronnictw z góry już akceptowały platformę bloku. Przedstawiciel PSL oświadczył wówczas, iż decyzja w tej sprawie zapaść może na mającym się zebrać w styczniu kongresie. Odbył się kongres, który jednak decyzję w tej sprawie przekazał Radzie Naczelnej, ewentualnie nadzwyczajnemu kongresowi. W tych warunkach CKW PPS powzięło dnia 30. I. 1946 roku następującą uchwałę: „Centralny Komitet Wykonawczy PPS przypomina uchwałę Rady Naczelnej PPS z dnia 4 listopada 1945 roku. PPS, stojąc na stanowisku konieczności uzgodnienia taktyki wyborczej z bratnią PPR, wysuwa inicjatywę stworzenia bloku wyborczego wszystkich stronnictw demokratycznych, stojących na platformie Rządu Jedności Narodowej pod hasłami utrwalenia potęgi niepodległej i suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej w oparciu o Odrę i Nysę i utrwalenia władzy ludu pracującego wsi i miast. Inicjatywa PPS znalazła zrozumienie u większości stronnictw, wchodzących w skład Rządu Jedności Narodowej, co znalazło

swój wyraz w prasie i w szeregu uchwał PPR, Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego.

Przedstawiciele PSL na wspólnej konferencji z przedstawicielami PPS, odbytej w dniu 6. XII. 1945 roku, zasłaniając się brakiem pełnomocnictw, odroczyli decyzję do kongresu PSL, który miał zadecydować o pozytywnym, względnie negatywnym stanowisku tego stronnictwa do koncepcji wspólnego bloku wyborczego wszystkich stronnictw demokratycznych.

Kongres PSL, który odbył się w Warszawie w dniach 19-20 stycznia 1946 roku wbrew zobowiązaniom przedstawicieli PSL, złożonym przedstawicielom CKW PPS, uchylił się od dania wyrażnej odpowiedzi. W tych warunkach CKW PPS stwierdza, że dalsza zwłoka i brak wyrażnej decyzji PSL w sprawie wspólnego bloku wyborczego szkodzą sprawie narodu i państwa. Taktyka PSL, polegająca na przewlekaniu sprawy udaremnia wysiłki polskiej demokracji w kierunku stworzenia jak najszerszej konsolidacji i jedności narodu w jego walce z reakcją, o utrwalenie niepodległości i suwerenności, o odbudowę kraju i zapewnienie dobrobytu masom pracującym wsi i miast.

CKW PPS w poczuciu wielkiej odpowiedzialności za dalsze losy i rozwój państwa, w głębokiej trosce o utrzymanie spokoju i dla uniknięcia zbytecznych walk partyjnych, osłabiających jedność narodową, zwraca się do naczelnych władz PSL z zapytaniem, czy PSL przystąpi do wspólnego bloku wyborczego stronnictw demokratycznych.

Dla wyjaśnienia sytuacji i w celu określenia własnej taktyki wyborczej stronnictw, które już zgodę na utworzenie wspólnego bloku wyborczego wyraziły, CKW PPS poleca swej komisji polityczne nawiązanie kontaktu z naczelnymi władzami i PSL i uzyskanie od nich wyrażnej decyzji najdalej do dnia 1 marca 1946 r.

Nieuzyskanie decyzji do tego terminu traktowane będzie przez CKW PPS jako odmowa przystąpienia PSL do wspólnego bloku wyborczego stronnictw demokratycznych.

Posel ob. Mikołajczyk podnosi, iż ciągle słyszy się o bloku wyborczym a nie zna się trzech zasadniczych rzeczy: zasad, na których ma się stworzyć blok, zasad ordynacji wyborczej i terminu wyborów. Przesądzanie kwestii formalnej ordynacji wyborczej nie na platformie politycznej, a mieszanej polityczno-gospodarczo-zawodowej, budzi poważne refleksje — to samo towarzyszyło tworzeniu ostatniego parlamentu sanacyjnego. Niezależnie od tego, nie wiążę tego z akcją wyborczą, jest zagadnienie atmosfery. Uważamy za duży sukces władz naczelnych stronnictwa, iż kongres PSL w panującej atmosferze, przy braku jakichkolwiek danych co do bloku, poza ogólnikiem „blok”, powziął decyzję taką, jaką powziął. Nareszcie sprawa zasadnicza: jeżeli przedkłada się przyjęcie pewnych zobowiązań, to trzeba najpierw załatwić te rzeczy, które nie są załatwione, a co do których zobowiązania powzięto.

Posel ob. Cyrankiewicz uzupełnia swoje poprzednie przemó-

wienie, iż decyzja PPS łączy się z przeprowadzeniem rozmów partnerów bloku, co do całokształtu stosunków politycznych w Polsce, przejścia punkt po punkcie platformy, na której dziś stoi Rząd Jedności Narodowej i na jakiej chce się stać po wyborach. Rozmowy te zamierzamy przeprowadzić w skali krajowej. Jeżeli uzgodnimy platformę, na której stać chcemy, to załatwimy razem i sprawę atmosfery i dalsze postulaty — też i mandatów.

Posel ob. Zambrowski zauważa, iż kongres PSL nie wykonał zobowiązań nie tylko w stosunku do PPS, ale również i w stosunku do całego obozu demokratycznego, bo wszak cały obóz demokratyczny wypowiedział się w sprawie bloku. Przyłączamy się do uchwały CKW PPS o czekaniu na odpowiedź PSL do 1 marca. Sprawa bloku wyborczego to centralne zagadnienie polityczne kraju.

Mówca przyznaje zgodnie z posłem Mikołajczykiem, iż istniejąca atmosfera nie sprzyja normalizacji i stabilizacji stosunków w Polsce, lecz właśnie PSL zrobiło wszystko, aby tę atmosferę zepsuć. Stanowisko, jakie zajmie kongres PSL w sprawie bloku wyborczego, było nam już znane przed kongresem, dostateczną ilość środków puszczono w ruch celem osiągnięcia takiej uchwały. *Gazeta Ludowa* przed kongresem nie pozostawiała żadnych co do tego wątpliwości. Sam wicepremier Mikołajczyk przytaczając argumenty „za” i „przeciw”, podkreślał wyraziście te ostatnie. Również świadczył o tym i dobór gości, na co miało wpływ kierownictwo i udział studentów SGGW. (Poseł Mikołajczyk: Bardzo się cieszę, iż studenci są w organizacji ludowej). Nie wszyscy byli to chłopci. Ta gra kierownictwa PSL na zwłokę jątrzy sytuację polityczną, utrudnia stabilizację. Kwestię bloku wyborczego gotowi jesteśmy traktować jednocześnie z kwestią zasad towarzyszących blokowi: ordynacji wyborczej i terminem wyborów. Te sprawy powinny być uzgodnione wspólnie. Nie może być takiej sytuacji, iż my wszyscy będziemy przemawiali w imieniu swoich stronnictw w sprawie bloku, a PSL będzie z nami uzgadniało, a potem odwoła się do nadzwyczajnego kongresu.

Posel Mikołajczyk zapytuje, czy zasady ordynacji wyborczej będą zależały od tego, czy będzie określone stanowisko w sprawie ordynacji wyborczej.

Posel Zambrowski: Oczywiście.

Posel ob. Mikołajczyk: Cenię to wyznanie.

Posel ob. Zambrowski oświadcza, iż po to, aby te rozmowy mogły mieć efekt, trzeba mieć zapewnienie PSL, iż uzgodnione w wyniku tych rozmów stanowisko będzie ostateczne i niezależne od późniejszych uchwał innych ciał, abyśmy byli uchronieni przed niespodziankami ze strony PSL.

Posel ob. Korzycki omawia atmosferę panującą w kraju. PSL ma głosić, jak to było w Grajewie (?), iż obecny rząd jest przejściowy, iż PSL wybory wygra, weźmie w swe ręce rząd i Lwów musi być z powrotem nasz. To jest sposób wytwarzania atmosfery. Na kongresie panowała uciecha z tego, co jest złe,

niedostateczne w dzisiejszej rzeczywistości a natomiast milczenie o pozytywnych osiągnięciach. W terenie uprawiana jest agitacja szeptem na ucho. To wytwarza niezdrową atmosferę. W Warszawskim odbyła się niedawno konferencja w sprawie świadczeń rzeczowych i stronnictwa miały dać ludzi do pracy, do ściągania tych świadczeń, ale ludzi nie było. To nie wytwarza atmosfery demokratycznej. Z tych powodów mówca popiera stanowisko posła Cyrankiewicza.

Posel ob. Chajn podkreśla, iż — mówiąc językiem szarego człowieka — stanowisko PSL w sprawie bloku nie było tajemnicą dla nikogo. Stanowisko, jakie zajął kongres PSL, było stanowiskiem władz naczelnych PSL, przesądzonym przed kongresem. Nie tylko PSL, ale i inne stronnictwa nie znają tych samych szczegółów, o których mówił poseł Mikołajczyk. Nie może być tak, aby 4 czy 5 stronnictw ustaliło coś a PSL dopiero to akceptuje lub odrzuci. My chcemy to ustalić wspólnie z PSL. Gdyby PSL miało szczerą intencję przystąpienia do bloku, to by nie zwlekało z odpowiedzią w sprawie bloku.

Posel ob. Kaczocha-Józewski wskazuje, że zagadnienie polityki PSL określa jako smutne resztki wesołej przeszłości. W skali wpływów na masy, to w całej rozciągłości mamy ujawniony wpływ na chłopów na dole. Oto np. we wsi Zborów pow. stopnickiego rozgłasza się, iż PSL jest najbardziej radykalną partią. Postaramy się rozproszyć tę nieświadomość w masach chłopskich, aby stanowisko PSL było istotnie znane. Jeśli PSL nie pójdzie w bloku, to SL weźmie wszystkie mandaty ludowe oraz postara się o wyjaśnienie sytuacji.

Przewodniczący zwraca się do przedstawicieli Stronnictwa Pracy, aby wypowiedzieli się w sprawie bloku.

Posel ob. Kwasiborski wyjaśnia, iż Stronnictwo Pracy tkwi jeszcze we wstępnym okresie organizacyjnym i wskutek tego określenie jego stanowiska nastąpi na mającej się zebrać Radzie Naczelnej w dniu 10 i 11 lutego. Mówca sądzi, iż bynajmniej nie wpłynie to na zwłokę w sprawie bloku, ponieważ będzie to w ramach określonego terminu.

Posel ob. Widy-Wirski podkreśla, iż Stronnictwo Pracy, choć przeszło przez wewnętrzne przeobrażenia, choć organizacyjnie nie jest jeszcze zaawansowane, reprezentuje określone siły w Polsce, które tak słabe nie są. Fakt, iż Stronnictwo Pracy jako stronnictwo katolickie popiera Rząd Jedności Narodowej, nie będą w nim reprezentowane, świadczy o tym, iż w stosunku do zagadnień najważniejszych, dotyczących przyszłości narodu i państwa, SP ma jasne i pozytywne stanowisko, przyczynia się do łagodzenia rozdarcia wewnętrznego w państwie i w narodzie.

Przewodniczący oświadcza, iż dzisiejsze rozważania traktuje jako wstępną dyskusję w sprawie bloku i uważa, że obecnie najlepiej będzie, gdy sprawę tę weźmie w swoje ręce i przeprowadzi rozmowy z poszczególnymi stronnictwami. Niewątpliwie wszystkie stronnictwa podzielają pogląd, iż sprawa jest pilna

i wskutek tego PSL musi przyjąć to stanowisko do wiadomości.

Wobec braku sprzeciwów uważa to swoje oświadczenie za przyjęte przez obecnych i zapowiada zainicjowanie szeregu rozmów w różnych składach międzypartyjnych w sprawach bloku wyborczego.

Ad. IV. Poseł Kaczocha-Józewski opisuje głodowanie dzieci w dawnym pasie przyfrontowym w woj. kieleckim, rzeszowskim, warszawskim i krakowskim. Apeluje do komisji o współpracę robotniczo-chłopską celem natychmiastowego przyścia z pomocą i ratunkiem. Uważa za niewłaściwe wysyłanie dzieci chorych do Szwajcarii. — „Czy to nie będzie natrząsanie się zagranicą z nędzy polskiej?”.

Poseł ob. Mikołajczyk może najgoręcej tylko poprzeć ten apel. Cieszy się, iż z chwilą, gdy przestaje podglądać się tego, co kto robi, znajduje się wspólny język. Poruszana kwestia jest naprawdę paląca i nieodzowna jest pomoc niezwłoczna. Przy sposobności mówca wspomina, iż Związek Kobiet Ludowych w Poznaniu doprowadzono do rozwiązania a miał on przychodzić z pomocą potrzebującym, m.in. w Poznańskim.

Poseł ob. Ochab sądzi, iż poruszona sprawa jest jedną z tych, które odgrywają decydującą rolę w ustalaniu potrzeby wspólnej akcji wyborczej. Musimy wspólnie odbudować kraj, zająć się zapewnieniem chleba ludności i dzieciom, nie tylko chłopskim, ale i robotniczym. Wiąże się to ściśle z wykonaniem świadczeń rzeczowych.

Przewodniczący uważa, iż sprawę tę można przekazać poselskiej komisji opieki społecznej z zaleceniem niezwłocznego zajęcia się tą sprawą przez specjalną podkomisję.

Poseł ob. Kwasiborski nie podziela zastrzeżeń posła Kaczochy-Józewskiego co do przyścia z pomocą dzieciom kraju tak zniszczonego i ograbionego przez berlińskiego barbarzyńskiego najeźdźcę jak Polska, przez kraje inne, niezniszczone, jak Szwajcaria i Szwecja; jest to tylko szlachetnym uczynkiem. Trzeba mieć i to na uwadze, iż korzystamy już z akcji międzynarodowej, mianowicie z akcji pomocy UNRRA.

Przewodniczący imieniem Prezydium KRN obiecuje wszelką pomoc w akcji komisji poselskiej. Wskazuje, iż w Krakowie zawiązał się komitet centralny Roku Kościuszkowskiego, mają powstać komitety dalsze. Apeluje więc do wszystkich stronnictw, aby zechciały z całą energią przyłączyć się do tej akcji celem nadania powszechności uroczystościom kościuszkowskim.

Poseł ob. Widy-Wirski omawia, jako wojewoda poznański, sprawę ewentualnego oddzielenia ziemi lubuskiej od Poznańskiego. Ziemia lubuska to ta część ziem odzyskanych, której zagospodarowaniem zajęło się specjalnie społeczeństwo poznańskie. 80 % osadników na ziemi lubuskiej pochodzi z Poznańskiego. To był teren, na którym we wspólnej pracy jednoczyło się całe społeczeństwo poznańskie. Obecnie w związku z utworzeniem

Ministerstwa Ziem Odzyskanych zamierza się odłączyć Lubusz od Poznania. Mówca apeluje o zapobieżenie temu, aby nie wywoływać rozgoryczenia w społeczeństwie poznańskim i aby nie wzbudzać wspomnień i porównań z pokrzywdzeniem Poznańskiego przez rządy sanacyjne.

Przewodniczący uważa, iż sprawa ta powinna być omówiona na poselskiej komisji organizacyjno-samorządowej.

Oznajmia, że następne posiedzenie Konwentu i Komisji Porozumiewawczej odbędzie się za 2 tygodnie, w piątek 15 lutego o godz. 9 min. 30 punktualnie.

Koniec posiedzenia o godz. 11 min. 35. Na tym protokół zakończono. Przewodniczący: S. Szwalbe; członkowie: R. Zambrowski, E. Ochab, J. Cyrankiewicz, A. Korzycki, A. Kaczocha-Józewski, S. Bańczyk, S. Mikołajczyk, F. M. Arczyński, L. Chajn, J. Kwasiborski, F. Widy-Wirski, J. Domiński.

© Copyright by Roman Buczek and Institut Littéraire.

Z. S. SIEMASZKO

O POLAKACH W ZSSR

„Literatura martyrologii polskiej czasów ostatniej wojny dzieli się na dwie bardzo nierówne części: ogromną i ciągle rosnącą 'niemiecką' i jej ubogą siostrę 'sowiecką'. Pierwsza mnoży się zastraszająco, choć powiedzenie czegoś jeszcze nowego coraz bardziej wydaje się niemożliwe... Cała rzecz coraz bardziej trąci jakimś masochistycznym zamówieniem społecznym, którego symbolem jest ów 'luksusowo wydany' album reklamowany jako podarek gwiazdkowy, ozdoba saloników i stolików do czarnej kawy. Tytuł albumu — 'Majdanek'. W ten sposób najstraszniejsze rzeczy w dziejach ludzkości zamienia się w groteskę. W cieniu literatury okupacji i kacetów zamiera piśmiennictwo 'sowieckie', saga łagrów, bydlęcych wagonów i tysiący rodzin wleczonych w jasyr XX wieku, wymarłych lub zdziesiątkowanych, czyli — jak to ładnie pisano w Polsce ludowej — uciekinierów przed faszystami, których gościnnie przygarnął Związek Radziecki” (Janina Kowalska, *Moje uniwersytety*, PFK, Londyn 1971, str. 60).

Niewątpliwie piśmiennictwo „sowieckie” jest znacznie uboższe i z biegiem czasu coraz to skromniejsze. Ale jednak niekiedy jeszcze coś się ukazuje. Ostatnio została wydrukowana praca Romana Buczka „Działalność opiekuńcza Ambasady RP w latach 1941-43” (29-te *Zeszyty Historyczne*). Praca ta jest w pierwszym rzędzie oparta na dokumentach znajdujących się w Archiwum S. Mikołajczyka w Stanach Zjednoczonych. Zniekształcenia i nieraz złe ustawienie proporcji wynika w pracy p. Buczka w pierwszym rzędzie z bezkrytycznego powtarzania informacji zawartych w dokumentach, które z kolei nie zawsze odzwierciedlały stan faktyczny. Działo się tak dlatego, że ambasada RP w ZSSR, szczególnie na początku swego istnienia, była bardzo słabo zorientowana w sytuacji swych obywateli w ZSSR i opierała swe wiadomości na oświadczeniach poszczególnych osób przybywających do ambasady, które mogły się dostać do Moskwy jedynie za przepustką NKWD. A oświadczenia te były w pierwszym rzędzie oparte jedynie na osobistych przeżyciach, lub też na różnego

rodzaju wersjach krążących wśród Polaków w ZSSR, które nie zawsze odpowiadały sytuacji faktycznej. Prawdę o Polakach znało jedynie NKWD, ale ma się rozumieć nie miało zamiaru tej prawdy udostępnić.

Pan Buczek pominął w swym opracowaniu inne relacje z pobytu w ZSSR, w których zresztą trudno jest się zorientować, gdyż były one wydawane w różnych czasach, przez różne ośrodki i — obawiam się — że żadna instytucja polska na Zachodzie nie posiada całości publikacji na ten temat, ani też ich świadomie nie kompletuje. Wydawałoby się, że zamiast budowania pomnika katyńskiego w Londynie, co zresztą napotyka na stałe trudności, lepiej by było, żeby zgromadzone fundusze zostały wydane na opracowanie dziejów obywateli polskich w ZSSR w latach wojennych, lub przynajmniej na zgromadzenie i skatalogowanie materiałów dotychczas ogłoszonych.

Ale przejdźmy do pracy p. Buczka. Poniższe komentarze będą ograniczone jedynie do kilku spraw poruszonych w tej pracy.

Deportacje do ZSSR

Sposób przedstawienia tej sprawy na str. 45-51 wzbudza wiele zastrzeżeń. Odnosi się wrażenie, że NKWD przeprowadzało deportacje w sposób chaotyczny mieszając różne kategorie i grupy ludzi. Tymczasem NKWD deportowało ludzi systematycznie i skrupulatnie według z góry przygotowanego planu. Natomiast ci, którzy redagowali dokumenty ambasady nie znali tego planu i opierali się na chaotycznych i pomieszanych wiadomościach, które do nich docierały. Między innymi w pracy p. Buczka nie ma wzmianki o deportacji z Wilna i okolic przydzielonych do Litwy, z czerwca 1941, natomiast są wymienione inne grupy, których istnienie jest raczej wątpliwe, jak na przykład: „wobec grożącej wojny władze postanowiły zlikwidować świadków i współpracowników swej działalności na terenach okupowanych. Wywieziono więc członków tzw. komitetów miejscowych rekrutujących się z komunistów, milicjantów i w ogóle wszystkich, którzy współpracowali z władzami sowieckimi” (str. 48). Czy tak było w rzeczywistości? Bardzo wątpię. Niemcy posuwali się na Kresach tak szybko, że zaledwie zdołano wycofać wojska NKWD i częściowo więzienia, o czym jeszcze będzie mowa. O ile mi wiadomo, ci spośród miejscowych ludzi zaangażowanych po stronie komunistycznej, którzy uciekli na wschód razem z władzami sowieckimi, musieli sami zabiegać o to i błagać żeby ich zabrano, gdyż zabierano w pierwszym rzędzie swoich, sowieckich

ludzi. Zorganizowanej odgórnie i nakazanej ewakuacji milicji i „komitetów miejscowych” (zresztą o jakie komitety tu chodzi, czy o partyjne, np. *rajkom* — *rajonnyj komitet partii*, czy też administracyjne, np. *rajspołkom* — *rajonnyj ispołnitielnyj komitet*) z pewnością nie było.

Warto tu może dodać, że w wielu miejscowościach z partyjnymi, którzy pozostali na miejscu, ludność miejscowa rozprawiła się w ciągu 24 godzin, zanim Niemcy zdążyli się do nich zabrać.

Ale w pracy p. Buczka jest jeszcze jedna bardziej zasadnicza sprawa, a mianowicie, jakie kategorie ludzi, którzy znaleźli się w ZSSR obejmuje on pojęciem deportacji? Czytając jego opracowanie, początkowo odnosi się wrażenie, że bierze on pod uwagę jedynie wywiezione rodziny, tzw. *spiecpieriesielencow*, co często błędnie jest tłumaczone na polski jako „wolna zsyłka”. Jednak z dalszego tekstu wynika, że pojęcie to obejmuje również więźniów, jak również powołanych do Czerwonej Armii, ewakuowanych przed Niemcami komunistów itp. Natomiast najwidoczniej nie obejmuje jeńców wojennych.

Spróbujmy wobec tego przedstawić w jakimś porządku wszystkie grupy obywateli polskich, które latem 1941 znajdowały się na przedwojennym terytorium ZSSR.

1. Jeńcy wojenni

Wśród jeńców wojennych należy rozróżnić zasadnicze grupy, które zostaną omówione osobno.

a) Wzięci do niewoli we wrześniu 1939

Krasnaja Zwiezda z 17 września 1940 podała, iż we wrześniu 1939 wzięto do niewoli 181 tysięcy jeńców wojennych, w czym 12 generałów, 55 pułkowników, 72 podpułkowników, 9.227 oficerów niższych stopni¹. W zasadzie szeregowych zwolniono, a pozostałych podzielono na dwie następujące grupy:

1) Grupa Oficerska

W skład tej grupy wchodził następujący ludźmi bez względu na to, z której części kraju pochodzili:

- Oficerowie armii lądowej, lotnictwa i marynarki, zarówno służby stałej jak i rezerwy.
- Oficerowie policji.

1. Stanisław Kot, *Rozmowy z Kremlem*, str. 79.

— Niektórzy podoficerowie takich służb jak Korpus Ochrony Pogranicza, żandarmeria, wywiad i kontrwywiad, służba graniczna.

— Podoficerowie policji.

Po początkowym okresie przebywania w różnych obozach grupa ta została skoncentrowana w trzech obozach — Kozielsk, Starobielsk i Ostaszków. Niektórzy z nich zostali potem przeniesieni do więzień i poddani śledztwu. Ogółem ilość ludzi w tej grupie wynosiła kilkanaście tysięcy, z czego przy życiu pozostało zaledwie 448-iu, po trochu z każdego obozu². Groby tych, którzy przebywali w Kozielsku znajdują się w Katyniu, natomiast miejsca kaźni jeńców z Ostaszkowa i Starobielska nie są znane. Wyselekcjonowaną grupę 448 umieszczono w obozie Pawliszczew Bor, a później (czerwiec 1940) w Griazowcu. Spośród nich wyłono kilkunastu oficerów, których umieszczono w „willi szczęścia” w Małachowce pod Moskwą. Wśród nich znajdowali się: ppłk dypl. Zygmunt Berling, płk Leon Tyszyński, ppłk Leon Bukojemski, płk Eustachy Gorczyński, ppłk Marian Morawski, ppłk Dudziński, mjr Lis, kpt. Rosen-Zawadzki, por. Imach, por. Wicherkiewicz, ppor. Szczypiórski, pchor. Kukuliński.

2) Grupa Podoficerska

Podoficerów, zarówno zawodowych jak i rezerwy, różnych broni i pochodzących z różnych dzielnic Polski umieszczono w kilku ośrodkach na Ukrainie, zatrudniając ich przy budowie dróg. Latem 1941 roku ustępując przed nacierającą armią niemiecką ewakuowano te grupy na piechotę w niezmiernie ciężkich warunkach; słabych i chorych strzelano. W sierpniu 1941 byli oni skoncentrowani w dwóch obozach; ogółem było ich około 20 tysięcy. Wśród nich ukrywało się 23 oficerów i jeden kapelan³. Literatura na temat tej grupy jest niezmiernie uboga.

b) Internowani na Litwie i Łotwie

Oficerowie zarówno służby stałej, jak i rezerwy, którzy we wrześniu 1939 schronili się na Litwie i Łotwie i tam zostali internowani. W czerwcu 1941 dostali się oni w ręce sowieckie, kiedy kraje te zostały zajęte przez Czerwoną Armię. Niektórych spośród nich aresztowano i poddano śledztwu, a między innymi płk. Jerzego Dąbrowskiego i mjr. Bobiatyńskiego, po których wszelki ślad zaginął. Seniorami tej grupy, w skład której wcho-

2. J. K. Zawodny, *Death in the forest*, Macmillan, London 1971, str. 117.

3. Wł. Anders, *Bez ostatniego rozdziału*, str. 62 i 68. Kot natomiast podaje, iż podoficerów było zaledwie 12 tysięcy (*Listy...*, str. 90).

dziła również pewna ilość podoficerów, byli gen. Wacław Przeździecki (później osadzony w więzieniu) i płk Alfred Schmidt. Grupa ta liczyła około tysiąca ludzi⁴. Latem 1940 została ona przeniesiona do Kozielska (tzw. Kozielsk nr 2), z którego usunięto już wszystkich uprzednich jeńców. W ramach tej grupy powstała organizacja nosząca nazwę Lewicy Demokratycznej. Zainicjowała ona wysłanie memoriału do dowództwa Armii Czerwonej wyrażającego chęć walki przeciwko Niemcom obok wojsk sowieckich. Memoriał ten podpisało 150 oficerów na czele z polskim komendantem obozu ppłk. Podwysockim, przedwojennym komendantem miasta Wilna. Na początku lipca 1944, wobec postępów armii niemieckiej, grupę tę przetransportowano do Gрязowca koło Wołogdy i połączono z pozostającą przy życiu resztą grupy 1). W lipcu 1941 spośród tych którzy podpisali wspomniany memoriał, władze sowieckie powołały 44 oficerów na kurs sabotażowo-dywersyjny pod Moskwą. Zostali oni później zrzućeni na polskie terytorium bez zgody władz polskich. Między innymi dwóch z nich „Aleksander” i „Julian” działało w Wilnie. Wszyscy jeńcy wojenni, którzy znajdowali się w ostatnich dniach sierpnia 1941 w Gрязowcu — z wyjątkiem kilkunastu którzy uprzednio podali się za volksdeutsche i kilkunastu spośród członków Lewicy Demokratycznej — którzy wstąpili do Armii Polskiej w ZSSR⁵.

Jeńcy uprzednio internowani na Litwie i Łotwie byli najlepiej traktowanymi Polakami w ZSSR, przez pewien czas płacono im nawet 20 rubli miesięcznie⁶.

2. Więźniowie i łagiernicy

Aresztowani i poddani śledztwu. Wśród nich można odróżnić następujące grupy.

a) Aresztowani między wrześniem 1939 i czerwcem 1941 na

4. Według Józefa Czapskiego (*Na nieludzkiej ziemi*, str. 11) grupa ta liczyła 1.300 jeńców.

5. Dane na temat grupy 1.b) pochodzą z następujących prac: Kot, *Listy...*, str. 94; ks. Franciszek Tyczkowski, *Wspomnienia z pierwszej i drugiej wojny światowej w Polsce*, New York 1973, str. 90; Jean Carrer, *Across the continents...*, Chicago 1970, str. 53; *AK w dokumentach*, tom II, str. 156.

6. Dane o traktowaniu tej grupy pochodzą z pracy Tadeusza Kiersnowskiego, *Moje spostrzeżenia o Rosji sowieckiej*, przygotowanej na sugestię gen. Sikorskiego, Londyn wrzesień-październik 1942, maszynopis — tekst częściowo polski, a częściowo angielski.

terytorium przyłączonym do białoruskiej i ukraińskiej republiki.

- b) Aresztowani spośród jeńców wojennych, z grupy 1. a).
- c) Aresztowani w Wilnie i okolicy przydzielonej do republiki litewskiej, między czerwcem 1940 i czerwcem 1941.
- d) Aresztowani na Litwie, Łotwie i Estonii, zarówno cywile jak wojskowi, po zajęciu tych krajów przez Armię Czerwoną⁷.
- e) Aresztowani już na terenie ZSSR spośród tych którzy zostali wywiezieni z rodzinami, lub powołani do Czerwonej Armii. Władze sowieckie pozbawiły wolności i poddały śledztwu następujące kategorie osób:
 - tych którzy odgrywali przed wojną jakąkolwiek rolę przywódczą, a więc działacze społeczni i polityczni wszelkiego rodzaju, różnych narodowości;
 - tych oficerów lub podoficerów Wojska Polskiego, zarówno służby stałej, jak i rezerwy, jak również oficerów i podoficerów policji, którzy nie dostali się do niewoli;
 - tych którzy zatrudniali ludzi lub prowadzili handel na szerszą skalę, a więc ziemianie, przedsiębiorcy, właściciele hurtowni i większych sklepów;
 - tych którzy byli znani i mogli mieć wpływ na społeczeństwo;
 - tych którzy występowali czynnie lub słownie przeciw ZSSR lub partii komunistycznej przed zagarnięciem tych terenów;
 - tych którzy czynnie wspierali państwowość polską;
 - tych którzy byli czynnymi zwolennikami niezależności ukraińskiej, białoruskiej, lub żydowskiej (syjoniści);
 - tych których władze sowieckie podejrzewały o krytyczne nastawienie w stosunku do nich;
 - tych którzy byli konfidentami polskiej policji (akta policyjne przeważnie dostały się w ręce sowieckie);
 - tych którzy już po zajęciu tych terenów wyrażali się negatywnie o czymkolwiek co sowieckie;
 - tych którzy przekraczali granicę Ribbentrop-Mołotow (niezależnie w którym kierunku), granicę z Litwą, lub granicę z Węgrami, tzw. *graniczniki*;
 - tych którzy należeli do ZWZ, lub do innych nielegalnych organizacji lub kółek, często młodzieżowych;
 - tych którzy w przeszłości mieli powiązania z partią komunistyczną, ale od niej odeszli;
 - tych których ktokolwiek zadenuncjował;

7. Na przykład: Jerzy Stypułkowski, *Droga do wojska*, PFK, Londyn 1967.

— aresztowano również większość prostitutek.

W ten sposób aresztowania objęły szeroki zakres ludzi różnego wieku, od kilkunastu lat do późnej starości, głównie mężczyzn ale również i kobiety, zarówno Polaków, jak i Ukraińców, Żydów, Białorusinów, Rosjan i Litwinów, zarówno członków elity intelektualnej, społecznej, lub ekonomicznej, jak również ludzi szarych, skromnych i przeciętnych. Ludzi tych kwalifikowano jako zdrajców, wrogów ludu, pasożytów, szpiegów, agentów i spekulantów. Oskarżano ich głównie z artykułu 58 sowieckiego kodeksu karnego, który zawierał 14 paragrafów. Obywatele polscy byli najczęściej oskarżani z następujących paragrafów:

- 2 — zdrada główna, zbrojna walka przeciw ZSSR, kara — śmierć przez rozstrzelanie;
- 6 — szpiegostwo;
- 10 — dywersja i propaganda skierowana przeciw ZSSR;
- 13 — historyczna kontrrewolucja;
- 14 — sabotaż.

Paragraf 13 był stosowany bardzo często za udział w organizacjach zwalczających komunizm w okresie wojny domowej, a między innymi za służbę w Armii Polskiej w 1920 roku.

Niektóre paragrafy przewidywały deportację rodziny i domowników. Wyroki wydane przez specjalną komisję NKWD odczytywano na korytarzu więziennym, wynosiły one przeważnie 5 do 8 lat, wyjątkowo — za nic — 3 lata⁸. Syjoniści dostawali 5 lat. Jeżeli wyrok przekraczał 8 lat, miała miejsce pewna forma rozprawy⁹.

Należy tu zwrócić uwagę na to, że prawodawstwo sowieckie działało wstecz, czyli oskarżeni musieli odpowiadać według sowieckiego kodeksu karnego za czyny popełnione przed opanowaniem ich miejsca zamieszkania przez władzę sowiecką. Poza tym przestrzegano pilnie zasady, że organy NKWD nie mogą się mylić, więc ktokolwiek został aresztowany musi być winien i musi dostać co najmniej trzy lata. Dlatego było tak mało zwolnień ludzi aresztowanych.

W momencie wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej poszczególni więźniowie znajdowali się w jednej z trzech następujących sytuacji.

8. Niekiedy bywało gorzej. „Za co tyle dali?” — „A za nic”. — „Łiesz. Za nic — daje się dziesięć” (Sołżenicyn, *Archipelag GUŁag*, str. 275).

9. Dane na temat oskarżeń i kar pochodzą ze wspomnień T. Kiersnowskiego. Pełne omówienie artykułu 58 podaje Sołżenicyn, *Archipelag GUŁag*, str. 76-84.

(a) W stosunku do wielu śledztwo zostało już zakończone i wyroki wyznaczone na podstawie których zostali oni rozesłani do *isprawitielno-trudowych łagierej* administrowanych przez osławione książką Al. Solżenicyna *Głównoje Uprawlenije Łagierej* (GUŁag), rozrzuconych po całym terytorium, a głównie na północy i północnym-wschodzie ZSSR.

(b) Niektórzy zostali już skazani na karę śmierci i albo wyrok został już wykonany, albo też czekali oni na wykonanie, jak na przykład ppłk Nikodem Sulik, czy mgr Antoni Józef Zielicki¹⁰.

(c) W stosunku do wielu prowadzono jeszcze śledztwo, trzymając ich w różnych więzieniach na terenie ZSSR, a między innymi w moskiewskiej Łubiance.

(d) Wielu znajdowało się jeszcze w więzieniach na przedwojennych terenach polskich. W stosunku do nich również prowadzono jeszcze śledztwo. Na skutek ataku niemieckiego w niektórych wypadkach NKWD rozpoczęło ewakuację tych więźniów na wschód, niekiedy pociągami, ale częściej na piechotę. Straty wśród tych więźniów były znaczne, gdyż tych, którzy nie mogli nadążyć w intensywnym marszu dobijano. W innych wypadkach rozstrzelano więźniów politycznych na miejscu przed odejściem NKWD na wschód. Między innymi takie wypadki miały miejsce we Lwowie i w Równem. Z więzienia w Wilejce wyprowadzono 24 lub 25 czerwca 1941 roku kolumnę 800 więźniów w kierunku stacji Mołodeczno odległej o 20 km. Jednak wobec tego, że Mołodeczno było bombardowane, skierowano więźniów do Borysowa odległego o 150 km. W czasie marszu więźniom nie dawano żadnego pożywienia, a słabych dobijano bagnetami. Zabito w ten sposób 300 ludzi. Więzienie mińskie zbombardowano. Następnego dnia więźniów politycznych rozstrzelano na miejscu, a resztę w dwóch kolumnach pod strażą ewakuowano na zachód. Jednak już następnego dnia ofensywa niemiecka zbliżała się gwałtownie. Większość mężczyzny rozstrzelano, po czym konwojenci odjechali ciężarówkami na wschód. Pozostały przy życiu przeważnie kobiety-więźniarki. Z Wilna więźniów ewakuowano pociągiem. W czasie bombardowania kolejarzy zdołali odczepić kilka wagonów. Jednak większość więźniów (około 900) odjechała na wschód 23 czerwca 1941¹¹.

10. Patrz: J. Czapski, *Na nieludzkiej ziemi*, str. 237.

11. Dane dotyczące losu więźniów na wschodnich Kresach w czerwcu 1941 pochodzą z następujących prac: T. Kiersnowski, *op. cit.*, Solżenicyn, *op. cit.*, str. 92, *Polacy w ZSSR*, Instytut Literacki, Paryż 1963, str. 36. O ile mnie wiadomo w jednym z odczepionych w Wilnie wagonów znajdowała się Wanda Pełczyńska.

3. Spiecpieriesielency (element podejrzany)

a) Z lutego 1940

W nocy z 9 na 10 lutego (według innych źródeł miało to miejsce w nocy z 8 na 9 lutego) wywieziono z terenów przyłączonych do republik białoruskiej i ukraińskiej osadników wojskowych oraz administrację i obsługę lasów zarówno państwowych jak i prywatnych. W większości wypadków wywieziono w tej grupie całe rodziny, gdyż przed wywiezieniem aresztowano niewielu osadników, gajowych i leśników, pomimo że, w porównaniu z innymi osobami, kwalifikowali się oni, a szczególnie osadnicy, do wczesnego aresztowania. Widocznie NKWD planowało ich wywiezienie już od dłuższego czasu i dlatego nie przeprowadzało wśród nich aresztowań. O ile represje w stosunku do osadników, jako tych, którzy walczyli przeciwko Związkowi Sowieckiemu w latach 1919-20, były zrozumiałe, o tyle wywiezienie obsługi lasów było trudne do zrozumienia. Sprawa wyjaśniła się dopiero podczas okupacji niemieckiej w latach 1941-44, kiedy to lasy kresowe, które dotychczas, zarówno w czasie powstania styczniowego, jak i w latach 1919-20 były schronieniem dla Polaków, teraz po usunięciu dawnej obsługi stały się siedliskiem partyzantki sowieckiej.

Władze NKWD wykazały wielką skrupulatność wywożąc na przykład tzw. Moskali osiedlonych za czasów carskich, którzy nieraz byli gajowymi w lasach prywatnych, lub nawet byłych gajowych, których właściciele lasów zwolnili z posad za sympatie prokomunistyczne.

O ile można zorientować się, do podległych wywózce zaliczano osadnika lub pracownika lasów, jego żonę i dzieci, oraz jego lub żony rodziców i rodzeństwo, jeżeli stale razem z wywożonymi mieszkali. Natomiast jeżeli mieszkali osobno, wywózce nie podlegali. Patrole, które zabierały poszczególne rodziny z domów miały imienny spis osób, które należało wywieźć. Jeżeli ktoś z dalszej rodziny, kto był tej nocy w domu wywożonych, wyrażał chęć wyjazdu razem z daną rodziną, mógł jechać, ale nie musiał. Służba domowa nie znajdowała się na liście i pozostawała na miejscu. Patrole NKWD składały się z trzech lub czterech osób: podoficer — dowódca patrolu, jeden lub dwóch szeregowych wojsk NKWD (*strietki*) i jeden lokalny milicjant lub milicjantka często żydowskiego pochodzenia.

W większości wypadków patrole te budziły domowników nad ranem, przed wschodem słońca. Na początku były one bezwzględ-

ne i ostre w traktowaniu wyznaczonych do wywiezienia. Jednak w wielu wypadkach stopniowo stawały się one bardziej ludzkie, a szczególnie *strietki*, którzy niekiedy doradzali co należy zabierać ze sobą i niekiedy pomagali nawet pakować rzeczy. Zwykle dawano 2-3 godziny na spakowanie się.

Można sobie wyobrazić jak rozległa była akcja przygotowawcza ze strony organów NKWD, chociażby jedynie zapewnienie odpowiedniej ilości furmanek w celu dowiezienia rodzin do stacji. Jednak zdołano utrzymać całą tę akcję w tajemnicy i wywiezienie osadników i gajowych było całkowitym zaskoczeniem.

Wywożenie to miało miejsce w czasie silnych mrozów. Wypadki zamarznięcia w wagonach, szczególnie dzieci, nie były odosobnione.

Transporty te skierowano w całości do lasów na północy w obłastach archangielskiej, wołogodskiej, kirowskiej, gorkowskiej (część północna), mołotowskiej, swierdłowskiej, irkuckiej, nowosibirskiej, omskiej, jak również do Komi ASSR, Marijskiej ASSR i krasnojarskiego kraju. Wywiezionych w lutym 1940 ulokowano w *spieczposiołkach* administrowanych przez NKWD i nie wydano im paszportów sowieckich.

Pewien procent mężczyzn, zresztą chyba niezbyt znaczny, został aresztowany już w posiołkach na północy.

b) Z marca 1940

W tym miesiącu — jak podaje p. Buczek — wywożono ludność z miejscowości przygranicznych (str. 47). Nie znam bliżej tych spraw, więc nie mogę dodać żadnych komentarzy.

c) Z kwietnia 1940

W nocy z 13 na 14 kwietnia z całego terytorium przyłączonego do republik białoruskiej i ukraińskiej wywieziono rodziny wszystkich dotychczas aresztowanych, jak również rodziny jeńców wojennych znajdujących się tak w niemieckiej, jak i sowieckiej niewoli, oraz rodziny tych, którzy uciekli za granicę. W tych transportach, w przeciwieństwie do transportów lutowych, przeważały matki z dziećmi. Czasami wywózce podlegali starsi wiekiem rodzice i niekiedy dorosłe rodzeństwo aresztowanego. Przy wywożeniu zastosowano taką samą metodę jak w lutym. Tym razem sam fakt wywożenia nie był tak wielkim zaskoczeniem jak w lutym, z tym, że konkretna noc wywózki została zachowana w tajemnicy do ostatniej chwili.

Zasady jakimi kierowało się NKWD decydując kto ma być wywieziony można poznać na przykładzie rodziny Dubanowiczów.

W tym wypadku, w pierwszym rzędzie, podlegała wywózce siostra Dubanowiczowej — jako żona oficera znajdującego się w Starobielsku — wraz ze swymi dziećmi. Do listy wywozonych dodało jednak NKWD jej matkę, jak również siostrę Dubanowiczową, wraz z jej mężem, dlatego że mieszkali w tym samym mieszkaniu. Natomiast córki Dubanowiczów, chociaż mieszały razem w tymże mieszkaniu, jak również służąca, wywózce nie podlegały. Jednak w trakcie zabierania z domu zaszły pewne zmiany. Dowódca patrolu zgodził się skreślić z listy matkę-staruszkę obłożnie chorą, a jednocześnie pozwolił Dubanowiczom zabrać ze sobą córki¹².

W grupie tej znalazły się między innymi rodziny ludzi następujących kategorii: oficerowie i podoficerowie wojska i policji, ziemianie, nauczyciele szkół powszechnych i gimnazjów, przedsiębiorcy, kupcy (wśród nich pewien procent Żydów), działacze społeczni i polityczni, urzędnicy państwowi i samorządowi, zamożniejsi chłopci, nacjonaliści białoruscy i ukraińscy, dawni członkowie partii komunistycznej.

Transporty te skierowano do Kazachstanu i rozmieszczono je równomiernie w następujących obłastach: zapadno-kazachstanskaja (uralskaja), aktiubinskaja, kustanajskaja, siewiero-kazachstanskaja, (pietropawłowskaja), karagandinskaja, pawłodarskaja, wostoczno-kazachstanskaja (siemipałatinskaja). Ludność tę rozmieszczono w różnego rodzaju osiedlach — w kołchozach, sowchozach, przy budowie kolei Akmolinsk (obecna nazwa Cielinograd) — Kartały, w miasteczkach rejonowych i w różnych aulach, toczkach, gurtach, fermach i motostancjach (*motorno-traktornaja stancja*)¹³.

Spiecpieriesielencow z kwietnia potraktowano o wiele łagodniej niż tych z lutego. Zostali oni rozmieszczeni w zwykłych osiedlach nie podległych bezpośrednio administracji NKWD, byli oni z małymi wyjątkami (okresowe meldowanie się) zrównani w prawach z mieszkańcami Kazachstanu, wydano im — w przeciwieństwie do tych z lutego — paszporty sowieckie. Jednak z powodu ograniczonych możliwości zarabiania (przeważnie kobiety i dzieci) nie mieli łatwych warunków życia.

12. Magdalena Dubanowiczowa, *Na mongolskich bezdrożach*, PFK, Londyn, 1974.

13. O ile się orientuję polskich spiecpieriesielencow nie rozmieszczano w czterech pozostałych południowych obłastach Kazachstanu: gurdżewskaja, kzył-ordinskaja, jużnio-kazachstanskaja i ałma-atinskaja. Część tego terytorium, a szczególnie okolice Czimkientu i Dżambułu zapełniły się Polakami dopiero po tzw. amnestii.

d) *Z czerwca 1940*

W miesiącu tym wywieziono głównie z Małopolski Wschodniej uciekinierów z centralnej i zachodniej Polski, a w szczególności tych, którzy zgłaszali się uprzednio do repatriacji. W grupie tej procent Żydów był bardzo wysoki. Głównie tą wywózką należy tłumaczyć dane przytoczone przez p. Buczkę, a mianowicie że procent Żydów na Kresach wynosił 8, natomiast procent Żydów wśród deportowanych do ZSSR wynosił około 30 (str. 43 i 50)¹⁴. W niektórych wypadkach władze sowieckie zawiadamiły kandydatów do wywiezienia, żeby stawili się na stacjach kolejowych w celu repatriacji na zachód. Petenci przyjeżdżali i załadowywali się własnym przemysłem, ale pociągi ruszyły na wschód, a nie na zachód, jak im obiecywano. Wywiezieni w czerwcu zostali osiedleni w lasach Syberii.

e) *Z lata 1940*

W czerwcu i lipcu 1940 wywieziono z poszczególnych obszarów na polskich terenach tych, którzy nie z własnej winy nie zostali wywiezieni w lutym, lub w kwietniu 1940. Dotyczyło to tych, których NKWD przeoczyło, lub nie zdążyło zabrać, jak również tych którzy danej nocy nie byli w domu, co jednocześnie nie wzbudzało podejrzeń NKWD, w przeciwnym wypadku poszliby do więzienia. Transporty te obejmowały niewielkie ilości ludzi.

f) *Z czerwca 1941*

Między 13 i 22 czerwca 1941 przeprowadzano deportacje z republik bałtyckich przydzielonych do ZSSR latem 1940. Dotknęło to Wilno i okolice przyłączone do republiki litewskiej. W Wilnie główne nasilenie miało miejsce 15 i 16 czerwca. Tym razem zastosowano inną metodę. Zamiast zabierać z domów wszystkich jednocześnie, zwożono na stację i ładowano do wagonów w sposób ciągły, zarówno w dzień jak i w nocy. Z samego Wilna wywieziono prawdopodobnie 10 tysięcy ludzi, czyli około 5 % mieszkańców. Objęło to głównie Polaków, jak również częściowo Żydów i Litwinów. W drodze wielu mężczyzn aresztowano i bez śledztwa lub sądu skierowano do łagru w Soświe, położonej w swierdłowskiej oblasti.

14. Studia przeprowadzone po wyjeździe z ZSSR (w 1942 roku) wskazują, że skład narodowościowy wśród obywateli polskich w ZSSR był następujący: Polacy 58 %, Żydzi 20 %, Ukraińcy 15 %, Białorusini 4 %, „Poleszacy” 2 %, Rosjanie i Litwini 1 %. Patrz: artykuł Z. Stahla, *Tydzień Polski* z 3 sierpnia 1974.

Wszystkie transporty wileńskie umieszczono w ałtajskim kraju, a głównie w Barnaule¹⁵.

g) *Sierocińce i kolonie letnie*

Pan Buczek podaje, iż w czerwcu 1941 wywieziono wszystkie sierocińce i kolonie letnie (str. 49) z dawnego terytorium polskiego. Nie znam okoliczności tych deportacji, więc nie mogę dodać żadnych komentarzy.

4. *Powołani do RKKA*¹⁶

Pan Buczek podaje, widocznie na podstawie dokumentów ambasady, że w miesiącach wiosennych 1941 powołano na dawnych polskich terytoriach do Czerwonej Armii trzy roczniki: 1917, 1918 i 1919 i pisze, że ilość powołanych wynosiła 100 tysięcy. Bardzo wątpię, czy dane te odpowiadają prawdzie, ale nie wiem gdzie można by je sprawdzić. (W naszej dokumentacji „sowieckiej” istnieją poważne luki). Można jednak twierdzić z całą pewnością, że rocznik 1917, który został powołany do Polskiej Armii na początku 1939, nie był później powołany do Armii Czerwonej, gdyż wypadki, żeby ktoś kto odbył służbę w Polskiej Armii a potem był w Armii Czerwonej były nieznane. Na pewno został powołany przez władze sowieckie rocznik 1918, mam nawet na to dowód w postaci ewidencji jednej przynajmniej osoby. Czy został również powołany rocznik 1919 nie potrafię powiedzieć, ale raczej wątpię, gdyż na terenach polskich, o ile mnie pamięć nie myli, był tylko jeden pobór i to raczej w jesieni 1940, a nie na wiosnę 1941, jak podaje p. Buczek. Za wcześniejszym poborem przemawia znany mi fakt ukończenia przez jednego z powołanych szkoły podoficerskiej jeszcze przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej.

W kilka tygodni po wybuchu tej wojny wszystkich powołanych z polskich terenów wycofano z oddziałów Armii Czerwonej i stworzono z nich *stroj-bataliony*, czyli bataliony robocze. Mieli tam obniżone racje żywnościowe i musieli ciężko pracować. Niektóre z tych batalionów były zatrudnione przy budowie lotnisk oddanych potem do dyspozycji angielskiego RAF'u.

15. Dane na temat wywożenia z Wilna zaczerpnięte zostały głównie z pracy T. Kiersnowskiego.

16. Roboczko-krestjanskaja krasnaja armia.

Pewna część żołnierzy ze *stroj-batalionow* wysłano potem do Polskiej Armii. Jakimi kryteriami kierowały się władze sowieckie w tym wypadku, nie potrafię powiedzieć. Znałem również jeden wypadek ucieczki ze *stroj-batalionu* i dostania się do Polskiej Armii. W jaki sposób ten młody wiejski chłopak z postawskiego powiatu, który na pewno w domu mówił po białorusku, zdołał przejść przez komisję poborową, w której zasiadał przedstawiciel NKWD, nie posiadając *udostowierienija* (będzie jeszcze o nim mowa) — nie wiem.

5. Z własnej woli

a) Robotnicy

Zasadniczo zaciąg do pracy w Donbasie i na Uralu był ochotniczy, jednak wywierano sporą presję na robotników przemysłowych na polskich terenach, aby zgłaszali się do wyjazdu. W pierwszym rzędzie wyjechali entuzjaści systemu sowieckiego, część wyjechała na skutek presji, a niekiedy ci, którym już grunt zaczynał się palić pod nogami znaleźli schronienie zgłaszając się na pracę w przemyśle sowieckim. Jednak 30 tysięcy podane przez p. Buczkę (str. 46) to z pewnością przesada. Przecie — musieliby wyjechać bez mała wszyscy robotnicy przemysłowi wschodniej Galicji, żeby uzbierała się tak poważna ilość.

b) Komuniści i „poputcziki”

Działacze zaangażowani po stronie sowieckiej, którzy albo znajdowali się w ZSSR w chwili wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, albo też zdolali uciec przed Niemcami. Takich było niewiele i w okresie 1941-43 nie dawali się we znaki. Wyłynęli na wierzch dopiero po zerwaniu stosunków z Rządem polskim¹⁷.

c) Artysty

Grupa rewiowo-muzyczna ze Lwowa, która latem 1941 objeź-

17. Jednak już w czasie podróży gen. Sikorskiego do ZSSR, 27 listopada 1941, odbył się w Saratowie „radio-meeting przedstawicieli polskiego narodu”, w którym wzięli udział Wanda Wasilewska, Jakub Parnas, Aleksander Joczys, Julian Bronowicz-Brun, Stefan Jędrzychowski, Jerzy Putrament, Wiktor Grosz, A. Korniejczuk — mąż Wasilewskiej, który przemawiał po ukraińsku. Uczestnicy uchwalili odezwę do narodu polskiego, którą podpisali: J. Parnas, Wł. Krasnowiecki, A. Joczys, W. Wasilewska, J. Bronowicz, S. Jędrzychowski, J. Putrament, L. Pasternak, W. Grosz, A. Ważyk. (Kot, *Listy...*, str. 65). Donosiły o tym *Izwestia* z 2 grudnia 1941. W tym dniu gen. Sikorski wraz ze swą żoną podróżował z Kujbyszewa do Moskwy, aby spotkać się ze Stalinem.

działa z występami miasta sowieckie. Ilościowo nieliczna, odegrała ona jednak potem pewną rolę w życiu artystycznym AP w ZSSR, na Środkowym Wschodzie i we Włoszech.

d) *Lekarze*

Pewna, niewielka zresztą, ilość lekarzy, wśród których przeważali lekarze-Żydzi z centralnej i zachodniej części kraju zaangażowała się do pracy na terenie ZSSR. Niektórzy spośród nich — ale nie wszyscy — wstąpili potem do AP w ZSSR.



Liczba obywateli polskich, którzy znaleźli się w ZSSR oceniana jest na co najmniej półtora miliona, a może nawet dochodziła do 2 milionów¹⁸. Wśród wywiezionych dominowała Małopolska Wschodnia, a w szczególności Lwów¹⁹, do czego mogło się przyczynić zarówno rozpracowanie przez NKWD organizacji podziemnej kierowanej przez mjr. Emila Macielińskiego, jak również tendencje poszukiwania porozumienia z władzami sowieckimi panujące wśród lwowskich sfer uniwersyteckich. Te dwa zjawiska musiały prowadzić do licznych denuncjacji.

Pan Buczek pisze na podstawie dokumentów ambasady, iż ostrze deportacji „zostało w praktyce skierowane przede wszystkim przeciwko działaczom lewicowym” (str. 50), a w innym artykule (*Orzeł Biały*, czerwiec 1974) jako przykład tego rodzaju nastawienia przytacza aresztowanie wileńskiego adwokata Kazimierza Petruszewicza „jednego z założycieli rosyjskiej socjaldemokratycznej partii robotniczej w Mińsku w roku 1898”. Zdanie tego rodzaju było już wyrażane niejednokrotnie, ale czy jest ono słuszne? Na przykładzie tegoż Wilna można by udowodnić, że było odwrotnie, gdyż tam okupacja sowiecka wyniszczyła wszystkie elementy prawicowe (endeckie, sanacyjne i tradycyjno-zachowawcze) do tego stopnia, że za czasów okupacji niemieckiej wysunęła się na czoło nietypowa dla Wilna przedwojennego reprezentacja lewicowa w postaci Wileńskiej Koncentracji Demokratycznej (Stronnictwo Ludowe, PPS, Stronnictwo Demokratyczne,

18. Dnia 2 października 1941 Kot informował przedstawicieli amerykańskiego Czerwonego Krzyża: „Według cyfr podanych przez rząd sowiecki, ogólna liczba wywiezionych nie przewyższa 350 tysięcy ludzi, co jednakże zupełnie nie odpowiada rzeczywistości, gdyż według informacji otrzymanych przez ambasadę polską, ogólna cyfra wywiezionych przewyższa jeden i pół miliona”. (*Listy...*, str. 107). Widać, że już na początku października ambasada była świadoma przynajmniej ogólnych rozmiarów polskiego problemu w ZSSR.

19. Ten stan rzeczy potwierdza między innymi T. Kiersnowski, *op. cit.*

Klasowe Związki Zawodowe i Związek Zawodowy Pracowników Umysłowych).

Pośród wymienionych powyżej grup znajdujących się w ZSSR najliczniejszą była grupa 3.c) (wywózka z kwietnia 1940) i grupa 3.a) (wywózka z lutego 1940). Załącznikiem jednak AP w ZSSR byli podoficerowie, którzy uprzednio budowali drogi na Ukrainie, jak również oficerowie zgrupowani w Griazowcu. W dalszym rozwoju oddziały wojskowe zostały zasilone przez więźniów i łagierników, jak również przez *spiecpieriesielencow*. Natomiast znaczna część wyższych dowódców pochodziła spośród więźniów, co przyczyniło się do wzrostu ich popularności wśród szeregowych. Należeli do nich Anders, Karaszewicz-Tokarzewski, Boruta-Spiechowicz, Okulicki, Bąkiewicz, Rudnicki, Sulik, Wiśniowski, Pstrokoński i inni. Z wyjątkiem Andersa, Bąkiewicza i Wiśniowskiego wszyscy wymienieni byli uprzednio członkami ZWZ, z tym że Karaszewicz-Tokarzewski, Boruta-Spiechowicz i Rudnicki nie zostali przez NKWD rozpoznani.

Pan Buczek pisze, iż spisy NKWD przewidzianych do deportacji „objęły 3-4 miliony ludzi” (str. 46) i przewiduje, iż „gdyby nie wojna, współczesne środki techniczne umożliwiłyby Rosji wysiedlenie w ciągu najbliższych pięciu lat, całości ludności polskiej z zajętych terenów do Azji i zlikwidowanie „sprawy polskiej” w sposób nieodwracalny” (str. 49). Niewątpliwie NKWD byłoby zdolne do wywiezienia nawet 4 milionów ludzi i to w czasie krótszym niż 5 lat, gdyż bez użycia „współczesnych środków technicznych” w przeciągu trzech miesięcy (luty — kwiecień 1940) zdołało wywieźć około miliona ludzi, ale należałoby zapytać skąd pochodzą te dane na temat planów NKWD na przyszłość? Powyższy cytat dotyczący planów NKWD wymaga dalszych komentarzy. Tak przyzwyczailiśmy się myśleć kategoriami nacjonalistycznymi (zlikwidowanie „sprawy polskiej”), lub też partyjnymi (prześladowania sowieckie „skierowane przede wszystkim przeciwko działaczom lewicowym” — str. 50), że zasłania to nam zrozumienie rzeczywistych celów postępowania sowieckiego. A przecież władzom sowieckim chodziło w pierwszym rzędzie o zniewolenie ludzi, o wyeliminowanie niezależności myśli i czynu, o doprowadzenie do całkowitej uległości przed systemem sowieckim. Zasada ta była w równej mierze stosowana do wszystkich narodowości (co zresztą widać wyraźnie z danych przytoczonych przez p. Buczkę) i do różnych ugrupowań politycznych. A o ile chodzi o „sprawę polską”, to zasadniczym celem było opanowanie jej, a nie likwidacja. I dlatego na pewną jej odmianę, na polskość uległą i satelicką, władze sowieckie patrzyły łaskawym okiem. Dla przykładu można tu wymienić komunistów

wileńskich z Jędrzychowskim na czele, oficerów w Małachowce, sfery uniwersyteckie we Lwowie, redakcję *Widnokręgów*, a potem *Nowych Widnokręgów* i wreszcie Związek Patriotów Polskich. Obywatele polscy cierpieli w ZSSR nie tylko dlatego, że część ich była Polakami, a w pierwszym rzędzie dlatego, że w przytłaczającej większości i bez względu na narodowość zajmowali zdecydowaną postawę, że opowiadali się za kulturą zachodnią, za chrześcijańskimi zasadami, za poszanowaniem jednostki, że nie chcieli poddać się presji kultury wschodniej w interpretacji komunistycznej. Przed tymi, którzy znaleźli się pod władzą sowiecką w latach 1939-41 stała możliwość wyboru — uległość i współpraca, lub co najmniej wewnętrzny opór i zachowanie osobistej niezależności. Ogromna większość wybrała tę drugą możliwość i dlatego bez mała dwa miliony musiały pojechać do łagrów i na stepy. Nie były to więc cierpienia bierne spowodowane czynnikami zewnętrznymi, takimi jak na przykład przynależność narodowa. Nie należy utożsamiać represji sowieckich z represjami niemieckimi.

WYKONANIE UKŁADU LIPCOWEGO

Wiele już pisano za i przeciw układowi Sikorski-Majski. Nie poruszamy już więc tego tematu z wyjątkiem stwierdzenia, iż zarówno krytycy, jak i obrońcy tego paktu nie zauważyli, że zasadniczymi aktami prawnymi, na które powoływał się później rząd sowiecki były następujące uchwały *Wierchownowo Sowieta*:

- w sprawie przyłączenia do ZSSR tzw. Zachodniej Ukrainy, z 1 listopada 1939;
- w sprawie przyłączenia do ZSSR tzw. Zachodniej Białorusi, z 2 listopada 1939;
- w sprawie nadania obywatelstwa sowieckiego wszystkim tym, którzy w nocy z 1 na 2 listopada 1939 przebywali na terytoriach przyłączonych do ZSSR (jak wyżej), z 29 listopada 1939;
- podobne ustawy w sprawie przyłączenia do ZSSR Litwy wraz z Wilnem i okolicą, jak również nadania obywatelstwa ludności tam zamieszkałej, z lipca 1940.

Akty te nie zostały anulowane układem Sikorski-Majski, co z góry przesądzało ułożenie stosunków pomiędzy ZSSR i polskim kierownictwem niepodległościowym.

Podobnie do innych źródeł, opracowanie p. Buczka wskazuje wyraźnie, że władze polskie w Londynie nie orientowały się w rozmiarze problemu obywateli polskich na terenie ZSSR i nie były przygotowane do zajęcia się tymi obywatelami w tak rozle-

głym kraju. A przecież na Kresach zdawano sobie sprawę z ogromu problemu, a liczne kontakty korespondencyjne ze *spiecpieriesielencami* (pocztą sowiecka działała o wiele lepiej niż inne dziedziny życia tego kraju) dawały pojęcie, gdzie ludność polska znajduje się w ZSSR. Wydawałoby się, że gdyby Londyn zażądał informacji z kraju w sprawie aresztów i wysiedleń, to mógłby je dostać i ocenić dość dokładnie sytuację Polaków w ZSSR przez zawarcie umowy Sikorski-Majski. Oto kilka przykładów:

- ilość rodzin osadników na Kresach można było w Londynie dość dokładnie obliczyć, a ich rozmieszczenie w ZSSR można było ustalić na podstawie wiadomości z kraju;
- ilość personelu zatrudnionego przynajmniej w lasach państwowych na Kresach też mogła być w Londynie oszacowana;
- ilość aresztowanych i ich wywiezione rodziny też można było w przybliżeniu obliczyć, zaś na podstawie korespondencji z krajem można było ustalić ich zasadnicze przynajmniej rozmieszczenie.

Tymczasem odnosi się wrażenie, iż władze w Londynie interesowały się jedynie jeńcami wojennymi i miały w tej dziedzinie jakieś pojęcie co do ich ilości.

To zaniedbanie w akumulowaniu informacji w sprawie deportacji z Kresów odbiło się później fatalnie na układaniu się polskiego życia w ZSSR po zawarciu paktu, gdyż władze polskie nie zdawały sobie sprawy z jak ogromnym problemem mają do czynienia i na jak ogromnych przestrzeniach terytorialnych należy te problemy rozwiązywać.

Drugim zaniedbaniem był brak uprzedniego przygotowania personelu na objęcie poszczególnych funkcji w ZSSR.

Pomimo, że Sikorski nosił się z zamiarem paktowania z ZSSR już w czerwcu 1940 (memoriał złożony władzom brytyjskim w tej sprawie) i pomimo że od wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej do zawarcia paktu z ZSSR upłynęło pięć tygodni, zarówno szef misji wojskowej, gen. Zygmunt Szyszko-Bohusz, jak i ambasador prof. Stanisław Kot dowiedzieli się, iż mają te funkcje objąć dopiero po zawarciu układu. O ile szef misji wojskowej, choć nie przygotowany do tej funkcji, znalazł się w Moskwie już 12 sierpnia, to ambasador przybył tam dopiero 4 września 1941. Prof. Kot tłumaczy to opóźnienie brakiem transportu, trudno przyjąć to wytłumaczenie za dobrą monetę²⁰. Tymczasem interesy polskie w Moskwie reprezentował Józef Retinger, który z woli brytyjskiego ambasadora Sir Stafford Crippsa stał się polskim *chargé d'affaires*.

20. *Listy...*, str. 19.

Początek więc nie był najlepszy. A jak było dalej? Oto kilka przykładów.

Na pierwszym posiedzeniu mieszanej komisji polsko-sowieckiej w dniu 9 września strona polska zażądała, żeby niezgodni do służby wojskowej „nie zmieniali miejsca pobytu bez instrukcji ambasady polskiej, której winni domagać się w krótkiej depeszy” (str. 53). To w zasadzie może i słuszne żądanie świadczy jednak, że ambasada w tym czasie nie zdawała sobie zupełnie sprawy ani z ilości Polaków w ZSSR, ani też z sytuacji w jakiej się znajdowali. Już 22 września 1941 Kot pisał do Sikorskiego: „Otrzymujemy dziennie nie mniej niż tysiąc listów i depesz. Nie ma sił, aby to otworzyć wszystko, a co dopiero załatwić!” (*Listy...*, str. 99).

Tymczasem na skutek wydania sowieckiego dekretu o amnestii z 12 sierpnia, zaczęto już wydawać *udostowierienija*. Przy odbiorze tych zaświadczeń trzeba było decydować, czy się przenosi na nowe miejsce zamieszkania, czy też zostaje się na miejscu.

Warto przytoczyć tekst tego *udostowierienija*, które wówczas było drogocennym dowodem przynależności do innego świata. Niestety odnalazłem jedynie tekst angielski, który podaję w swoim tłumaczeniu.

„Oświadczają, iż okaziciel tego dokumentu obywatel.....
..... urodzony w roku, zgodnie z decyzją Sowietów
Narodnych Komisarów z 12 sierpnia 1941 uzyskał amnestię. To umożliwia mu zamieszkanie gdziekolwiek na
terytorium ZSSR z wyjątkiem pasów przygranicznych,
okręgów zakazanych, 'reżimnych gorodów' 1-ej i 2-ej
klasy. Obywatel celowo wybrał jako miejsce za-
mieszkania.....

Ważne na 3 miesiące. Podpis. Pieczęć”.

„Reżimnyje goroda” były to takie miasta w których mogli mieszkać jedynie sowieccy obywatele, ale tylko ci którzy nie byli karani. Do takich miast należały między innymi Kujbyszew, Czkałow i Taszkient²¹.

Te *udostowierienija* były niezmiernie ważnym dokumentem i podobno posiadały wysoką cenę na czarnym rynku, gdyż dawały możliwość wstąpienia do polskiego wojska, a z tym była związana stała nadzieja na wyjazd za granicę. Były one tak samo ważne również po upływie 3 miesięcy wymienionych w tekście.

21. Zarówno tekst *udostowierienija* jak i wyjaśnienie w sprawie „reżimnych gorodów” pochodzą z relacji T. Kiersnowskiego.

Wydawanie tych zaświadczeń (co w Kazachstanie było związane ze zwrotem sowieckich paszportów) rozpoczęto w różnych częściach kraju w różnym terminie, ale pierwsi zaczęli je dostawać już w drugiej połowie sierpnia 1941 i jednocześnie musieli decydować gdzie zamieszkają. Przy wydawaniu tych zaświadczeń nie wprowadzano rozróżnień narodowościowych, lub wyznaniowych.

Łagiernicy i więźniowie, którzy mieli adresy swoich rodzin, a takich było niewiele, jechali do rodzin, większość natomiast przyjmowała sugestie administracji NKWD wydającej *udostowierienija*, marząc w pierwszym rzędzie o tym by wyjechać z mroźnego klimatu. Większość zwalnianych nie orientowała się w topografii ZSSR.

W Kazachstanie (deportacja z kwietnia 1940) dominowało pozostanie na miejscu. Było to spowodowane w pierwszym rzędzie tym, iż wśród ludności brakowało mężczyzn, a kobiety z dziećmi nie miały odwagi wyruszać w nieznane, jak również tym, iż żony lub matki miały nadzieję, że jeżeli będą siedzieć na miejscu, to ich aresztowani mężczyźni łatwiej je odnajdą. Był jeszcze jeden powód. Po przeszło rocznym pobycie wśród normalnych sowieckich obywateli zdawano sobie sprawę, iż gdzie indziej nie może być o wiele lepiej. Wkrótce też zaczęły nadchodzić listy od oficerów, przeważnie tych, którzy byli internowani na Litwie i Łotwie, zalecające swym żonom pozostanie tymczasem na miejscu. Te wszystkie czynniki wpływały hamująco.

Na północy natomiast sytuacja wyglądała odmiennie. Były tam przeważnie całe rodziny, z mężczyznami na czele i przez to bardziej skłonne do podjęcia ryzyka. Poza tym przerażała następna zima i dokuczała NKWD'owska administracja *spieczosiołków*. A nie będąc w bezpośrednim kontakcie z normalnym życiem sowieckim wyobrażano sobie nieraz, że poza zasięgiem bezpośredniej administracji NKWD powinno być o wiele lepiej. Należało się decydować szybko, bo lada chwila miała już zapaść syberyjska zima, co praktycznie rzecz biorąc uniemożliwiłoby wyjazd. W tych okolicznościach ruszyła północ, chociaż pewna część pozostała na miejscu. Między innymi ruszyła większość Żydów wywiezionych w czerwcu 1940. Tragedie tych transportów są znane, przytoczę jedynie dwa przykłady ze wspomnień Tadeusza Kiersnowskiego, który był przedstawicielem polskich władz cywilnych w Czałowie od października 1941 do lutego 1942, przez który przejeżdżało miesięcznie w tym okresie nie mniej niż 15 tysięcy polskich obywateli. Podróż z północy na południe trwała przeciętnie 6 do 8 tygodni. Pewien transport wyruszył z Komi ASSR we wrześniu, a dopiero w grudniu dotarł do Czałowa. W innym transporcie,

liczącym 2.280 ludzi rozmieszczonych w 51 wagonach, 128 osób zmarło w drodze i 362 były ciężko chore w momencie przyjazdu do Czkałowa.

Opracowanie p. Buczka wskazuje, że do wiosny 1942 pomoc okazywana ludności przez ambasadę była improwizowana i nieskoordynowana. Czyli zorganizowanie opieki społecznej zajęło co najmniej dziewięć miesięcy, chociaż nawet i po upływie tego czasu jeszcze daleko było do objęcia pomocą całości ludności polskiej w ZSSR. Złożyło się na to wiele powodów, a między innymi niechęć i opory ze strony władz ZSSR, jak również krytyczna sytuacja wojenna panująca w tym czasie w ZSSR. Jednym z powodów była również nieudolność ambasadora Kota i jego upór niekiedy niezrozumiały i bezcelowy. Oto parę przykładów.

Zamiast z miejsca przyjąć sugestie sowiecką, iż opieka społeczna powinna być wprowadzona w życie poprzez delegatów wyznaczonych przez ambasadę, Kot upierał się przy tworzeniu systemem samorządowym całego szeregu obieralnych komitetów obywatelskich, które prowadziłyby akcję pomocy. Nie zdawał on sobie sprawy z tego, że na terenie państwa rządzonego totalitarnie nie da się wprowadzić demokratycznych systemów organizacyjnych. Targi na ten temat opóźniały przyjsie ludności z pomocą, a i tak skończyło się ostatecznie na wyznaczaniu delegatów, tak jak to sugerowała strona sowiecka od samego początku²².

Z mianowaniem delegatów też były kłopoty i opóźnienia spowodowane niepotrzebnym uporem ambasadora Kota. W późniejszym okresie, kiedy już władze sowieckie zdecydowanie odmawiały Żydom prawa do polskiego obywatelstwa, ambasada umieszczala na liście delegatów do zatwierdzenia przez władze ZSSR osoby o takich nazwiskach jak Rozencwaig i Lustgarten. Fakt ten doprowadzał do tego, że cała lista delegatów nie została zatwierdzona i że nie wyjechali oni w teren, aby dopomagać ludności.

Ale najbardziej bezcelowe było żądanie Kota, aby władze sowieckie zwolniły z pracy Żydów polskich w dniach ich święta 2 i 3 kwietnia 1942 (str. 93). Tego rodzaju drobiazgowo dezyderaty w sprawach z góry przegranych (gdyż nie załatwiono problemu obywatelstwa w sposób jasny w układzie lipcowym) nie mogły dać żadnych korzyści, a doprowadzały jedynie do pogorszenia stosunków z władzami sowieckimi, co z kolei odbijało się niekorzystnie na losach ludności polskiej w ZSSR.

22. W powojennym komentarzu Kot sugeruje iż: „Retinger zapewnił, że władze sowieckie zgodziły się na tworzenie polskich komitetów obywatelskich” (*Listy...*, str. 83).

KOMISJE POBOROWE

Sprawa komisji poborowych i związanego z tym „drastycznego sposobu stwierdzania 'narodowości', jak oględziny lekarskie (obrzezanie)” (str. 95) została przedstawiona w sposób niejasny.

Po pierwsze należy odróżnić polskie komisje poborowe przy poszczególnych dywizjach, które pobierały ostateczną decyzję, czy ktoś ma być przyjęty do wojska, czy też nie, od sowieckich komisji w terenie, a w szczególności w Kazachstanie, które decydowały, czy dany *bywsiyj polskij grażdananin* zostanie wysłany do polskiego wojska, czy też nie.

W skład polskich komisji poborowych w poszczególnych ośrodkach tworzenia wojska wchodził polscy oficerowie, lekarze i kanceliści, jak również oficer NKWD. Jego zadania — o ile można było się zorientować — były następujące: dopilnować żeby do wojska polskiego nie wstępowałoby obywatele sowieccy nie posiadający *udostowierienija*; strzec, żeby nie został przyjęty ten, kto wyraził w tej sprawie jakiegokolwiek wątpliwości; oraz, od grudnia 1941, nie dopuścić do przyjęcia do wojska polskiego posiadających *udostowierienije* „byłych obywateli polskich” narodowości ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej. O ile chodzi o Białorusinów i Ukraińców, a szczególnie Białorusinów, trudno było ustalić granicę narodowościową. Faktycznie granica między Polakami z Kresów i Białorusinami nie istniała. Wobec tego władze sowieckie zastosowały jako kryterium wyznaczenie, co zresztą było bardziej miarodajne. Mimo to jednak, prawosławni, którzy twierdzili, że są Polakami prawosławnego wyznania, dostali się do wojska. Praktycznie rzecz biorąc, ci Białorusini i Ukraińcy, którzy dojechali do wojska i zdecydowanie twierdzili, stając przed oficerem NKWD wchodzącym w skład komisji poborowej, że są Polakami, zostawali do wojska przyjęci.

Natomiast o ile chodzi o Żydów, to sytuacja była nieco trudniejsza, gdyż wszyscy poborowi stawali przed komisją (włączając oficera NKWD) całkiem nago i obrzezanie było z miejsca widoczne, a obrzezanemu trudno było twierdzić, iż nie jest Żydem. W czasie tworzenia 5-ej i 6-ej dywizji (jesień 1941) dyskryminacji przeciwko Żydom nie było. Natomiast wprowadzono ją później przy tworzeniu 7-ej, 8-ej, 9-ej i 10-ej dywizji (początek 1942). W tym późniejszym okresie, o ile się orientuję, przedstawiciele NKWD zezwalali Żydom na wstąpienie do wojska, jeżeli byli przechrzczeni (choć obrzezani), lub jeżeli potrafili udowodnić, że przed wojną służyli w wojsku polskim. Posiadanie jednak takich dowodów nie było sprawą prostą. Mimo tego ro-

dzaju obostrzeń w 28 pułku piechoty tworzonemu w Ługowoj (10 dywizja) było kilku Żydów, którzy ani nie byli przechrztami, ani też nie służyli w wojsku przed wojną. Jak zdołali oni przejść przez komisję nie potrafili wyjaśnić.

Zgodnie z umową podpisaną przez Sikorskiego w Moskwie w grudniu 1941, na terenie Kazachstanu, przynajmniej w północnych obłastiach, powołano wszystkich *bywших polskich graждан* mężczyzn w wieku chyba od lat 17 do 50 przed sowieckie komisje poborowe w poszczególnych rejonach. Miało to miejsce przezwaznie w lutym 1942. Skład komisji tych był czysto sowiecki, taki sam jak i przy poborze do Armii Czerwonej — rejonowy naczelnik NKWD, naczelnik Wojenkomat'u (odpowiednik polskiego PKU — Powiatowa Komenda Uzupełnień), lekarz i personel pomocniczy. Z wyjątkiem odosobnionych wypadków polskich przedstawicieli na tych komisjach nie było. Z obserwacji pracy komisji wynikało, że celem ich było wysłanie jak najmniejszej ilości ludzi do wojska polskiego. Naczelnik NKWD, który był najwyższym autorytetem danej komisji rejonowej, szukał różnych powodów, aby doprowadzić do zatrzymania danego kandydata. Z niewiadomych przyczyn nie korzystał on z ewidencji sporządzonych przed „amnestią”, w których każdy podawał swą narodowość, natomiast za zasadnicze kryterium uważano wyznanie, które przedtem w oficjalnej ewidencji nie było zapisywane, ale teraz okazało się, że naczelnik NKWD jest dobrze zorientowany w przynależności religijnej poszczególnych kandydatów. Przed tymi komisjami rejonowymi również wszyscy stawali nago, więc obrzezanie było z miejsca widoczne.

Powody którymi kierował się naczelnik NKWD przy zatrzymywaniu poborowych były między innymi następujące:

- brak chęci ze strony kandydata do wyjazdu;
- wyznanie mojżeszowe, obrzezanie jako ostateczny dowód przynależności do tego wyznania;
- wyznanie prawosławne;
- nazwisko o brzmieniu rosyjskim, ukraińskim lub białoruskim;
- pozytywne nastawienie w stosunku do Związku Sowieckiego, co zdaniem naczelnika NKWD, mogło doprowadzić do represji w stosunku do kandydata ze strony wojskowych władz polskich.

Jednak komisje rejonowe zajmowały sztywne stanowisko jedynie w stosunku do Żydów. W znanych mi wypadkach na kilkunastu Żydów pozwolono wyjechać tylko jednemu, który był

przechrzta. Natomiast w stosunku do innych stosowano metodę perswazji. Wyjechali jednak ci, którzy byli zdecydowani wyjechać. Między innymi komisja przepuściła prawosławnego z rodziny rosyjskiej osiadłej na Kresach — Nestora Mołczanowa, jak również prawosławnego Borysa Żegałę, lub prawosławnego z matki Rosjanki Włodzimierza Kraškę. Poza tym, w znanych mi wypadkach, głównie dzięki własnemu zdecydowaniu, wyjechali do wojska i zostali później do niego przyjęci poborowi o tak białorusko brzmiących nazwiskach jak Abińczuk, Arcimionek, Bielaj, Karepczyk, Łoziczonek, Razumczyk, Rymdzionek i Wołk.

Dziwi mnie zdanie u p. Buczka: „do szeregów wojska polskiego w ZSSR trafiły tylko nader nieliczne jednostki pochodzenia ukraińskiego, białoruskiego i żydowskiego” (str. 95). Jeżeli tak, to skąd się wzięli żołnierze-Żydzi, którzy potem zdezerterowali w Palestynie i skąd się wzięły groby żydowskie na cmentarzach polskich we Włoszech? O ile chodzi o Białorusinów i Ukraińców, to trudno o jakieś dane statystyczne, ale wiadomo przecie, że procent żołnierzy, który nie mówił w domu po polsku był wysoki. „Faktycznie 2-gi Korpus był zróżnicowany pod względem narodowościowym i wyznaniowym” — tak to określił generał Anders (*Kultura*, nr 7/8, 1970).

Zastanawia mnie również sprawa powołania w listopadzie 1941 obywateli polskich narodowości żydowskiej, ukraińskiej i białoruskiej z terenu Kazachstanu do robót na tyłach Armii Czerwonej (str. 86 i 87). Pomimo, że jest o tym mowa w przytoczonych przez p. Buczka dokumentach, nie sądzę, żeby rzeczywiście zostało to przeprowadzone na jakąś większą skalę. Gdyby faktycznie taka mobilizacja do *stroj-batalionow* objęła większość Kazachstanu w listopadzie 1941, to w czasie poboru do polskiej armii na tym samym terenie w lutym 1942 (o czym była mowa powyżej), nie byłoby już zagadnienia rozróżnienia pomiędzy Polakami i innymi narodowościami, gdyż te inne narodowości spośród polskich obywateli zostałyby już powołane do służb tyłowych trzy miesiące przedtem, w listopadzie 1941. Natomiast późną jesienią 1941 powołano do *stroj-batalionow* na terenie Kazachstanu wszystkich Niemców obywateli sowieckich, których zwieziono do Kazachstanu wraz z rodzinami z całego terytorium ZSSR (znad Wołgi, z Kaukazu, z Leningradu itd.) w sierpniu lub wrześniu 1941.

Należy wyjaśnić jak rozpoczęła się dyskryminacja narodowościowa wśród obywateli polskich w ZSSR. W początkowym okresie współpracy polsko-sowieckiej władze sowieckie nie wprowadzały żadnych rozgraniczeń narodowościowych czy też wyznanio-

wych. W ten sposób procent Żydów w niektórych oddziałach 5-ej dywizji dochodził do 30. W 6-ej dywizji, pod wpływem syjonistów, rozpoczęto nawet tworzenie batalionu żydowskiego, który jednak później został rozwiązany na skutek interwencji bundowców²³.

W międzyczasie nastąpiło „wcielenie do wojska sowieckiego kilku Żydów obywateli polskich w Ałma-Ata, przeciwko czemu 10 listopada” 1941 ambasador Kot wniósł notę (*Listy...*, str. 250).

Narkomindiel (Narodnyj Komissariat Inostrannykh Diel — Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych) odpowiedział pismem z 1 grudnia 1941, w którym po raz pierwszy władze sowieckie wprowadziły rozróżnienie narodowościowe motywując je następująco:

„W związku z ukazem Prezydium Rady Najwyższej ZSSR z dnia 29 listopada 1939, wszyscy obywatele Ziem Zachodniej Ukrainiejskiej i Białoruskiej SSR, którzy znajdowali się na terytorium wskazanych obszarów w dniu 1-2 listopada 1939, nabyli... obywatelstwo ZSSR.

Gotowość rządu sowieckiego uznania jako obywateli polskich tych osób narodowości polskiej, które zamieszkiwały w dniu 1-2 listopada 1939 na terytorium wyżej wskazanym, świadczy o dobrej woli i uступliwości rządu sowieckiego, ale w żadnym wypadku nie może stanowić podstawy do analogicznego uznania jako obywateli polskich osób innych narodowości, a w szczególności: ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej” (Kot, *Listy...*, str. 250).

Sprawa ta nie została poruszona przez Sikorskiego w czasie konferencji ze Stalinem w dwa dni później, 3 grudnia 1941 (patrz: *Bez ostatniego rozdziału*, str. 87, lub *Listy...*, str. 191). Widocznie wiadomość o tym nie dotarła na czas do gen. Sikorskiego.

Kot protestował przeciw ujęciu sprawy obywatelstwa przez *Narkomindiel* pismem z 9 grudnia 1941 powołując się na Konwencję Haską z 1907 roku. W tym czasie Sikorski przebywał w ambasadzie w Kujbyszewie, więc prawdopodobnie został o tym poinformowany, jednak nie ma śladów jego interwencji u władz sowieckich, chociaż możliwe, że poruszał on te sprawy z Wyżyńskim, który towarzyszył mu w czasie wizytacji wojska między 10 i 15 grudnia 1941. Kot również towarzyszył Sikorskiemu w podróży do Buzułuku, Tockoje i Tatiszczewa.

Jednak władze sowieckie wprowadziły zasadę rozgraniczenia narodowościowego w życie. W dniu 29 grudnia 1941 nie uznały ważności paszportów polskich wystawionych dwom rodzinom

23. Dalsze informacje w sprawach żydowskich patrz: Kot, *Listy...*, str. 136, 164, 249, 252 i inne. Oraz: *Generał Anders — życie i chwala*, str. 63.

żydowskim, Anatola Sterna i Aleksandrowicza (*Listy...*, str. 251) i tegoż samego dnia pułkownik NKWD Wołkowyski, oficer łącznikowy do AP w ZSSR, podał do wiadomości, iż „dozwolony jest tylko pobór Polaków z Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, oraz uciekinierów. Inne narodowości poborem nie mają być objęte” (*Listy...*, str. 240).

Ilu pozostało?

Jak już wiemy w chwili wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej znajdowało się na terenie ZSSR co najmniej 1.500 tysięcy obywateli polskich. W ramach armii gen. Andersa (wraz z cywilami) wyjechało do Persji zaledwie 114.5 tysięcy²⁴. Czyli musiało pozostać ponad 1.385 tysięcy, z czego pewna część już nie żyła, pewna ilość była w dalszym ciągu w więzieniach i łagrach, a reszta na tzw. wolności. Tymczasem p. Buczek pisze: „po wyjeździe wojska polskiego pod dowództwem gen. Andersa, pozostało w ZSSR na wolności 272 tys. obywateli polskich” (*Orzeł Biały*, czerwiec 1974). Cyfra ta jest jakimś nieporozumieniem.

Prof. Kot podaje, iż przed ostateczną likwidacją opieki społecznej w ZSSR w lutym 1943 ambasada udzielała wsparcia „265.5 tys. obywateli polskich, z czego: w Rosji europejskiej — 46 tys., na Syberii — 71 tys., w Kazachstanie — 56 tys., w Azji południowej — 90 tys.”²⁵

Cyfry te brzmią o wiele bardziej prawdopodobnie i oznaczają, iż na początku 1943 roku spośród pozostałych w ZSSR co najmniej 1.385 tysięcy pod opieką ambasady było 265.5 tys., natomiast na dalsze co najmniej 1.118 tys. składali się zmarli, łagiernicy i więźniowie, oraz ci, którzy byli na wolności, ale znajdowali się poza zasięgiem opieki ambasady polskiej.

Nie ma dokładnych danych dotyczących strat wśród obywateli polskich deportowanych do ZSSR w latach 1939-41. Jeszcze mniej posiadamy informacji o deportacjach przeprowadzonych w późniejszym okresie, zaczynając od roku 1944.

Wiadomo jedynie, ilu ludzi zmarło już w wojsku, po przyjęciu do Armii Polskiej w ZSSR, w latach 1941-42. Ilość ta wynosi 2.891. Można również do tej ilości dodać 722 zgony w bazie ewakuacyjnej w Iranie w roku 1942, gdyż były one spowodowane

24. Z. Stahl, *Biuletyn nr 16*, Polskie Stowarzyszenie b. Sowieckich Więźniów Politycznych.

25. *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*, str. 27.

przeżyciami w ZSSR²⁶. Czyli w sumie 3.613. Biorąc pod uwagę, iż przyjęci do wojska byli wyselekcjonowani zarówno pod względem wieku, jak i kondycji fizycznej, ta niezmiernie wysoka cyfra wynosząca bez mała 5 % całości AP w ZSSR wskazuje do jakiego stopnia została wyczerpana fizycznie i stała się podatna na choroby, ludność polska w ZSSR, w ciągu względnie krótkiego czasu, wynoszącego przeciętnie około dwóch lat.

Ciąg dalszy

Tak już się przyjęło, że pomimo wielu tysięcy ludzi, którzy tam pozostali, relacje na temat losu obywateli polskich w ZSSR kończą się z wyjazdem wojska (sierpień 1942), lub najpóźniej w momencie zerwania stosunków polsko-sowieckich (kwiecień 1943). Tym razem zrobimy wyjątek i chociaż w wielkim skrócie z powodu braku danych napiszmy co działo się dalej.

Jak pisze p. Buczek (str. 107) w pierwszych miesiącach 1943, jeszcze przed odnalezieniem grobów katyńskich, władze sowieckie stwierdziły, że nie ma już obywateli polskich w granicach ZSSR i rozpoczęły likwidację aparatu opieki społecznej zorganizowanego przez ambasadę. Cofnęły uznanie polskim delegatom, skonfiskowały magazyny i fundusze i rozwiązały polskie szkoły i ośrodki dożywienia w terenie. Nastął najczarniejszy okres w dziejach obywateli polskich w ZSSR, wśród których przeważały kobiety, dzieci i starcy, gdyż większość mężczyzn zdolnych do służby wojskowej odjechała z armią Andersa. Możliwości więc zarobkowe pozostałej ludności były ograniczone.

Urzędy NKWD rozpoczęły wydawanie sowieckich paszportów, konfiskując jednocześnie wszelkie polskie dowody osobiste i dokumenty. Początkowo wielu — a szczególnie żony i matki tych, którzy znajdowali się w armii Andersa — odmawiało przyjęcia paszportów sowieckich, za co zamykano ich w lokalnych aresztach. Nie widząc z nikąd pomocy, a jednocześnie troszcząc się o dzieci, które pozostały bez opieki, matki i żony stopniowo ustępowały i przyjmowały sowieckie obywatelstwo, tym bardziej, iż grożono im, że po upływie pewnego terminu zostaną wysłane do więzienia w celu rozpoczęcia śledztwa. Niektóre

26. Dane te zostały zaczerpnięte z „Wykazu poległych i zmarłych żołnierzy PSZ na obczyźnie w latach 1939-46”, Inst. Hist. im. gen. Sikorskiego, Londyn 1952. Dla porównania można przytoczyć, iż straty 2-go Korpusu na Środkowym Wschodzie, we Włoszech i w Wielkiej Brytanii w latach 1942-1946 wyniosły 4.872 zmarłych.

jednak sowieckich paszportów nie przyjęły. Po tych przeważnie ślad zaginął.

Wiosną 1943 rozpoczęło się organizowanie armii Berlinga. Na terenie Kazachstanu przeprowadzono pobór do tej armii latem 1943 znajdując jeszcze tu i ówdzie mężczyzn zdolnych do służby wojskowej (a wśród nich tych, którzy nie chcieli służyć w wojsku „kapitalistycznym”), lub chłopców, którzy w międzyczasie dorosli.

Powoli zaczęło rozwijać swą akcję Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Stopniowo zaczęto tworzyć polskie ośrodki pomocy, sierocińce i szkoły, ale już inne — bez Boga. Kresy nazywano teraz Zachodnią Ukrainą i Zachodnią Białorusią, a mapa Polski była piastowska. Warunki materialne były niezmiernie ciężkie, a perspektywa pozostania na zawsze w ZSSR upiorna. Od tych którzy wyjechali z wojskiem Andersa nie tylko żadnej pomocy, ale nawet żadnej wiadomości nie było a więc — słusznie, czy niesłusznie — żal i pretensje zaczęły przybierać na sile. W tej sytuacji coraz większa ilość osób zaczęła się angażować do nowej polskiej działalności, pomimo jej odmiennego charakteru. Wydawało się, iż jest to jedyna pozostała możliwość ratunku.

O ile można się zorientować nie było ogólnej dyskryminacji w stosunku do rodzin żołnierzy z armii Andersa. Natomiast powstawała więc z armią Berlinga, do której poszli członkowie niektórych rodzin. Były rodziny z których jeden brat był u Andersa, a drugi (lub siostra) u Berlinga, gdzie jeszcze pomimo wszystko, w owym czasie usiłowano zachowywać pewne formy wojska przedwojennego.

Mijał rok 1943, 1944, 1945. Wielu w tym czasie umarło, ale nikt ich — tak jak i przedtem — nie liczył. Niektórych synowie lub mężowie zginęli pod Lenino, lub w innych walkach dywizji kościuszkowskiej. A od tych, którzy wyjechali z Andersem w dalszym ciągu nie było żadnych wiadomości.

Wojna już się skończyła. Ale dopiero na wiosnę 1946 rozpoczęła się repatriacja. Radość była wielka, wagony ubierano kwiatami, śpiewano stare polskie piosenki. Niektórzy mimo wszystko sądzili, że jadą do Polski takiej jaką sobie wymarzyli. Nie mogli sobie wyobrazić Polski komunistycznej. Czerwone flagi również i po polskiej stronie granicy były dla nich wielkim rozczarowaniem.

Według oficjalnych danych Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w latach 1944-48 repatriowały się do PRL zaledwie 263

tysiące²⁷. Cyfra ta wskazuje, że zmarło w latach 1940-48 lub pozostało w ZSSR po roku 1948 co najmniej 1.122 tysięcy ludzi. Po październiku 1956 przez okres dwóch lat (marzec 1957 - marzec 1959) miała miejsce dalsza repatriacja z ZSSR, ale dotyczyła ona głównie, jeżeli nie wyłącznie, przedwojennych polskich terenów.

Ci, którzy repatriowali się w 1946 roku twierdzą, że wszyscy, którzy przeżyli i chcieli wyjechać z ZSSR — wyjechali. Ale bieżące statystyki sowieckie wykazują Polaków między innymi w Kazachstanie i Uzbekistanie. Czy to są resztki tych, których wywieziono w latach 1939-41, czy też pochodzą oni też częściowo z późniejszych deportacji, przeprowadzonych po roku 1944? Nie wiemy.

Według oficjalnych danych z 1970 roku ilość ludzi podających się za Polaków w granicach ZSSR, tak w republikach azjatyckich jak i europejskich, włączając dawne tereny polskie, wynosiła 1.167 tysięcy, z czego zaledwie 32 % podało język polski jako swój język ojczysty. Przyzwyczajenie do myślenia kategoriami nacjonalistycznymi jest tak głębokie wśród Polaków, że zjawisko to jest tłumaczone jedynie tym, iż 68 % Polaków w ZSSR zostało już zrusyfikowanych do tego stopnia, iż nie posługują się oni językiem polskim, pomimo, że jeszcze uważają się za Polaków²⁸.

Proces taki z pewnością ma miejsce, tym bardziej, iż w granicach ZSSR polskie szkolnictwo istnieje jedynie w Wilnie i okolicy przydzielonej do litewskiej republiki, oraz w bardziej ograniczonej skali we Lwowie. Nie ma natomiast żadnych polskich szkół na Białorusi, ani też w żadnej innej republice. Jednocześnie na terenie całego Związku Sowieckiego ukazuje się tylko jeden dziennik w języku polskim. Jest to wileński *Czerwony Sztandar*. Tego rodzaju sytuacja niewątpliwie przyczynia się do zanikania polskiego języka w granicach ZSSR. Ale czy rzeczywiście tłumaczy ona w pełni fakt, iż aż 68 % uważających się jeszcze za Polaków przestało, w ciągu jednego pokolenia (około 33 lat), mówić po polsku?

Wydaje się, iż innym powodem tego rodzaju sytuacji jest spadek po dawnych czasach, kiedy to szczególnie na kresach północno-wschodnich (województwa: wileńskie, nowogródzkie, część białostockiego i większość poleskiego) obowiązywał nie podział

27. Z. Stahl, *Biuletyn nr 16*, Polskie Stowarzyszenie b. Sowieckich Więźniów Politycznych, str. 18.

28. Jako przykład można przytoczyć wypowiedź w *Na Antenie* z czerwca 1974.

na zasadzie narodowościowej, a na zasadzie wyznaniowej, a może nawet kulturalnej. Katolicy, bez względu na to, czy mówili w domu po polsku (takich na wsi było niewiele), czy po białorusku, uważali się za Polaków, bo byli „polskiej wiary”. Tym prostym stwierdzeniem wyrażali oni głębszą myśl, a mianowicie, że przez katolicyzm i polskość należą do zachodniej kultury. Jeżeli natomiast zadał im ktoś pytanie, jakim językiem mówią w domu, to odpowiadali zgodnie z prawdą, iż mówią „po prostemu”, czyli po białorusku, chociaż polski znali w mniejszym lub większym stopniu i po polsku modlili się. Natomiast prawosławni, mówiący w domu „po prostemu”, uważali, iż są „ruskiej wiary” i w ten sposób, świadomie lub nieświadomie, wyrażali oni swym stwierdzeniem głębszy sens przynależenia do kultury wschodniej o zapleczu bizantyjskim. Ma się rozumieć były wyjątki w obu kierunkach, byli katolicy, przynajmniej z pochodzenia, którzy ciążyli na wschód i prawosławni, którzy ciążyli na zachód.

Można domyślać się, iż wśród tych 68 % Polaków nie mówiących po polsku występują nie tylko rdzenni Polacy, którzy zapomnieli swego języka, ale również ci, którzy z pokolenia na pokolenie uważali się za Polaków, chociaż nigdy język polski nie wszedł do ich życia codziennego. Wyjaśnienie to może się stosować nie tylko do dawnych polskich terytoriów należących obecnie do ZSSR, ale również do ludności przesiedlonej z tych terenów do innych republik Związku Sowieckiego w Europie, czy Azji.

Biorąc pod uwagę, iż w granicach ZSSR mieszka przeszło milion obywateli sowieckich, uważających się za Polaków, można by sądzić, że instytucje takie jak Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, podtrzymuje w dalszym ciągu swe dawne tradycje z lat 1943-46 i opiekuje się tymi ludźmi, zaspakajając ich potrzeby kulturalne i dostarczając im informacji w sprawach polskich. Można by też przypuszczać, iż „pociągami przyjaźni polsko-radzieckiej”, które witane są na polskich stacjach białymi, czerwonymi i niebieskimi chorągiewkami, przyjeżdżają właśnie ci mieszkańcy Związku Sowieckiego, którzy uważają się za Polaków. Ale niestety tak nie jest. A tymczasem, gdyby odpowiednio pokierowano tymi sprawami, to może Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej zdołałoby zorganizować takie „pociągi przyjaźni polsko-radzieckiej”, które, umajone kwiatami, tak jak w roku 1946, przywiozłyby tych z Kazachstanu, Uzbekistanu i innych odległych republik do PRL na stałe. Czy w kraju są czynniki, które dążą do zrealizowania takich celów?

Z. S. SIEMASZKO

KIJOWSKIE „POPRAWKI HISTORYCZNE”

Wspomnienia Wiktora Tomira Drymmera — myślę o części drugiej — które ukazały się w 28-ym *Zeszytach Historycznym*, przeczytałem z ciekawością jak i z pewnym zdumieniem; pełno w tych skądinąd interesujących i osobistych pamiętnikach było go oficera II. Oddziału Sztabu, a później wysokiego urzędnika MSZ-etu nieścisłości i błędów, nieraz bardzo rażących.

Pragnę tylko niektóre z nich, zdaniem moim najbardziej istotne sprostować i częściowo uzupełnić jego wspomnienia.

Wspomnienia osobiste, które są mile widziane przez historyków mogą mieć jedynie wartość, gdy opierają się na dobrej pamięci — a gdy ta po 50 czy 60 latach może nieraz zawodzić, zostały sprawdzone i mogą być potwierdzone w istniejącej dokumentacji, czy choćby u współuczestników relacjonowanych wydarzeń.

Z góry muszę podkreślić, że „poprawki historyczne” czy konieczne uzupełnienia zgłaszam nie tylko jako jeden z czytelników *Zeszytów Historycznych* ale przede wszystkim jako uczestnik wydarzeń, szczególnie z okresu naszej wojny w decydującym 1920 roku — gdy byłem Szefem Oddziału II. Sztabu w pierw w 2 armii gen. Listowskiego, a następnie — po wyjeździe z Żytomierza, Sztabu ścisłego Naczelnego Wodza — w nowo utworzonym Dowództwie Frontu.

Nim do tych zasadniczych i mnie najbardziej interesujących uwag przystąpię, chcę wnieść ważne poprawki.

1) Komendant Główny P.O.W. Śmigły nie był nigdy w 1918 roku w Kijowie. Miał tam wyjechać na konferencję ze Stanisławem Grabskim i gen. Hallerem. Do konferencji tej nie doszło, gdy Haller inspirowany przez swego szefa sztabu Żymierskiego niepotrzebnie wdał się w petraktację z Radą Regencyjną i dał się otoczyć pod Kaniowem przez przeważające siły niemieckie. Stwierdzam to jako uczestnik tych poczynań, gdy razem z 2 innymi peowiakami, późniejszymi generałami Schally'm i Gałązką zabezpieczaliśmy podróż Grabskiego z Czernihowa do Kijowa. Od niego dowiedzieliśmy się, że do wspólnej narady nie może dojść. Grabski ukrywał się wówczas w domu prezesa miejscowego C.K.O. (Centralnego Komitetu Obywatelskiego) adw. Stanisława Retingera (nie spokrewniony ze znanym dr Józefem Retingerem) i obawiał się możliwości aresztowania w związku z poprzednią działalnością we Lwowie.

2) 14 listopada 1918 roku Beselera nie było już w Warszawie; Wisłą „wyjechał” jeszcze przed powrotem Piłsudskiego do Gdańska

czy Torunia. Pertraktowano z jego szefem sztabu. Można to stwierdzić również w „Pismach Zbiorowych” Józefa Piłsudskiego. I wydaje mi się, że pertraktował nie Filipowicz, ale kpt. Boerner.

3) Marian Zyndram-Kościałkowski nie był nigdy szefem czy dowódcą żandarmerii P.O.W. — był jednym z inspektorów tej organizacji na okupację niemiecką. W latach 1919-1920 był Szefem 2 Oddziału Sztabu wojsk, stojących na granicy z Litwą.

Na front przyjechałem w styczniu 1920 roku (gdy wspomniany przez Drymmera por. Hildt zachorował na tyfus plamisty) po ukończeniu 1-ego kursu Wyższej Szkoły Wojennej. Wróciłem do oddziału dopiero w czerwcu.

Ówczesny podporucznik a następnie kpt. Drymmer był moim bezpośrednim podkomendnym i jak to nieraz później podkreślał, zachował w mojej pamięci współpracę ze mną. Był wówczas Szefem Wydziału defensywy tzn. kontrwywiadu tego II. Oddziału.

Gdy wyjeżdżałem z Warszawy — po krótkim stażu w Biurze Wywiadowczym u majora Matuszewskiego — równocześnie nie miał inni absolwenci pierwszego kursu naszej nowej uczelni wojennej obejmowali podobne stanowiska w innych armiach. I tak zaczynając od północy w 1-szej armii (gen. Majewskiego) Szefem dwójki został porucznik, później major Sztabu generalnego Józef Beck, a 4-ej armii (gen. Szeptyckiego) rtm. później major Sztabu gen. Kazimierz Stamirowski. W 2-giej armii, przemianowanej z „Frontu Wołyńskiego”, której Sztab stał dawno w Równem (a nie w Łucku) objąłem w styczniu 1920 w stopniu kapitana sztabu gen. — to stanowisko.

Z 2-gą armią sąsiadowała na północy mała grupa poleska gen. Sikorskiego, a na południu 6-ta armia gen. Iwaszkiewicza, gdzie Szefem Oddziału II-go był kpt. później ppłk Walery Sławek. Był nim raczej teoretycznie, zastępcą jego był kpt. Władysław Włoskiewicz (b. bojowiec z 1905 roku, który rzucił bombę na gubernatora w Radomiu). Walery Sławek miał powierzoną całość kontaktu z Ukrainą, specjalnie z Petlurą. Chyba trzykrotnie przyjeżdżał w związku z tą „misją ukraińską” do Równego, gdzie konferował, a raczej dawał zlecenia wyłącznie mnie. Nigdy nie był wzywany do niego kpt. Zagłoba i nigdy o nim nawet nie wspominał. Zagłoba wysłany w 1919 roku na front miał nawiązać kontakt z Petlurą i to wykonał.

Armia 3-a utworzona została dopiero 2 kwietnia 1920 w chwili rozpoczęcia ofensywy kijowskiej. Dowódcą jej był, ale dopiero od chwili zajęcia Żytomierza gen. Rydz-Śmigły, szefem sztabu mjr szt. gen. Tadeusz Kutrzeba, szefem oddziału operacyjnego kpt. szt. gen. Władysław Bortnowski a szefem oddziału 2-go kpt. Janusz Gaładyk, z 2-go kursu Wyższej Szkoły Wojennej (przerwanego z chwilą rozpoczęcia ofensywy, ukończonego po wojnie). Do chwili zajęcia Żytomierza Rydz-Śmigły był dowódcą 1-ej dywizji legionowej a wchodząca na front armia w ciągu tych kilku dni podlegała Wodzowi Naczelnemu.

Ogólne dowództwo nad tymi 3 armiami oraz grupą jazdy gen. Jana Romera objął osobiście Wódz Naczelny, mając przy sobie tzw. Ścisły Sztab Generalny z gen. Stanisławem Hallerem jako szefem, płk. Julianem Stachiewiczem, jako szefem oddziału operacyjnego i mjr. później ppłk. Ignacym Matuszewskim jako szefem Oddziału 2-go, do którego wchodził — jako jego zastępca mjr. szt. gen. Tadeusz Schaetzel oraz por. Roman Michałowski (oba z tegoż 1 kursu W.S.W.) i inni.

W Warszawie Sztab Generalny z wszystkimi oddziałami i służbami pracował jak poprzednio, kierowany przez zastępcę gen. Stanisława Hallera, gen. Mieczysława Kulińskiego. Nie są to żadne rewelacje, wiele z przytoczonych przeze mnie danych znaleźć można w pracach o roku 1920 — gdy chodzi o ofensywę rozpoczętą 25 kwietnia na Ukrainie — w dużej, źródłowo opracowanej monografii Tadeusza Kutrzeby „Wyprawa Kijowska — 1920 roku” (nakład Gebethnera i Wolfa z 1937 roku).

Przedstawiłem całokształt sytuacji i obsady stanowisk w chwili rozpoczęcia akcji ofensywnej na naszym froncie południowym. W toku tej akcji następowały różne zmiany. Wydaje mi się, że takie przedstawienie faktów, jest słuszniejsze niż wnoszenie „poprawek” poszczególnych.

Najbardziej ważnym i charakterystycznym momentem jest objęcie dowództwa frontu przez Wodza Naczelnego. Piłsudski widział — o czym mówił później i pisał — 2 kandydatów na stanowisko dowódcy frontu — gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego, który odmówił i stawiał różne warunki nie do przyjęcia oraz gen. Tadeusza Rozwadowskiego, którego osobiste antyukraińskie nastawienie uniemożliwiało jego nominację. D-ca 4-ej armii gen. Stanisław Szeptycki, wkrótce potem objął dowództwo całego frontu północnego.

Piłsudski objął więc osobiście dowództwo naszego południowego frontu — wbrew podstawowym zasadom, sprawując równocześnie naczelne dowództwo. Podobnie jak w sierpniu w kontrofensywie nad Wieprzem.

Od dnia 27 kwietnia m.p. dowództwa frontu jak i 3-ej armii był Żytomierz. Po zajęciu Kijowa 7-8 maja — sztab 3-ej armii tam się przeniósł, choć na przedmościu toczyły się jeszcze walki grupy płk. Rybaka (mówił doskonale językiem polskim).

W kwietniu, niewiele tygodni przed rozpoczęciem ofensywy gen. Listowski wezwany został na odprawę do Warszawy wraz z szefem armii ppłk. szt. gen. Marianem Przewłockim i mną, jako szefem oddziału 2-go. Na odprawie u Szefa Sztabu Głównego, na której był również marszałek, wezwani zostali dowódca armii i szef sztabu.

Dla mnie najwyższą instancją był płk. Matuszewski, który omówił ze mną całą sytuację i dał mi dokładne instrukcje, dotyczące zarówno wywiadu ofensywnego, jak i kontrwywiadu, tzw. defensywy. Polityczne instrukcje otrzymałem w Belwederze od mjr. Kazimierza Świtalskiego, dokąd zawiózł mnie Matuszewski.

Uprowadził mnie płk Matuszewski, że część mego aparatu wywiadowczego będę musiał odstąpić 3-ej armii, gdy wejdzie w akcję.

Wydział Kontrwywiadu Drymmera miał być podzielony na dwie części; w armii 2-giej zostać miał — pomimo moich zastrzeżeń — kpt. Jan Zagłoba-Mazurkiewicz, Drymmer miał przejść do 3-ej armii, gdyż Kijów uchodzić musiał za główną centralę całej pracy kontrwywiadu. Do 3-ej armii musiałem przekazać również część wywiadowców przyfrontowych oraz kilku deszyfrantów. Byli to młodzi chłopcy, wyciągnięci przeze mnie z Oddziałów, maturzyści, wybitni w matematyce. Po ukończeniu krótkiego, parodniowego kursu u por. (później pułkownika) Jana Kowalewskiego, byli świetnymi deszyfrantami i zmieniany często szyfr czy kod sztabu armii sowieckiej rozwiązywali prawie tak szybko jak inni niedzielne krzyżówki. Dotyczyło to przede wszystkim rozkazów armii konnej Budiennego, przekazywanych wyłącznie drogą radiową.

Kapitana Zagłobę uważałem za jednego z najgorszych oficerów kontrwywiadu, niezdyscyplinowanych i operujących metodami, które zapożyczył raczej od bolszewików.

Z Drymmerem praca układała się jak najlepiej, pracował solidnie i wprowadzał mnie uczciwie, lojalnie w nieznane mi arkana kontrwywiadu, o którym nie wykładano nam nic na Szkole Wojennej, kierowanej przez oficerów francuskich. Miał zawsze i stale wiele nowych pomysłów, nieraz ciekawych czy oryginalnych i już w chwili objęcia przeze mnie Oddziału istniało stworzone przez niego takie własne udzielne księstwo czy państewko w odrębnym gmachu. Raczej ogólnie lubiany, był również ceniony przez przełożonych. Generał Listowski miał do niego jeszcze z Polesia specjalnie czułe podejście i już przy moim pierwszym meldunku uprzedził mnie — „prosze państwa (takiego zwrotu zawsze używał) — państwo Drymmer to świetny oficer”. Drymmer dla pewności jednak wolał otoczyć go swą opieką i wszystko o nim chciał wiedzieć. Miał rację, gen. Listowski miał różne słabości i był nieraz w rozmowach telefonicznych i osobistych nieostrożny.

W stosunkach z podwładnymi był zawsze uprzejmy. Toteż byłem zdziwiony, gdy raz — już o 8-ej rano, w chwilę po przyjeździe do sztabu, przysłał po mnie adiutanta rtm. Romana Potockiego, bym natychmiast zameldował się u niego.

Nie witając się, trzymając jakieś pismo w ręku zwrócił się do mnie podniesionym tonem: „To państwo chcą tu 'burdel' zakładać”? Nie wiedziałem o co generałowi chodzi i taką dałem odpowiedź, gdy generał pokazując mi pismo z moim podpisem do Komendy Miasta, w którym żądałem osobnego zakonspirowanego lokalu do dyspozycji szefa kontrwywiadu — był bardzo podniecony i zażądał dalszych wyjaśnień. Spojrzałem na pismo i dopiero wtedy przypomniałem sobie o jednej z ostatnich „inicjatyw Drymmera”. Zgodziłem się na to, gdy uzyskałem parafę „na koszulce” szefa sztabu płk. Przewłockiego, który ostrożnie

zadecydował jednak, że wystarczy mój podpis do komendy miasta. „Za zgodność” widniał podpis Drymmera. Przewłocki lojalnie interweniował i uspokoił potem generała, zapewniając go o cnotliwym życiu oficerów sztabu. Generał był na to bardzo czuły.

Jak słusznie relacjonuje Drymmer, gen. Listowski mówił dobrze i bezbłędnie po polsku (raczej niespotykane u innych wyższych dowódców ze służby rosyjskiej) i poza stale używanym zwrotem „prosze państwa” często również przekręcał słowa i całe zwroty. I tak czekając na konie, gdy miał odbierać defiladę 19 marca 1920 roku wołał na luzaka z okna „Walek sonie ką?” i powtarzał to parokrotnie, aż ordynans, chłopak sprytny widocznie zorientował się, odpowiadając „ką, ką panie generale”. Ogólnie znany był toast Listowskiego, gdy podejmowany przez Koło Polek powiedział — „prosze państwa ja powiem tylko dwa słowa 'niech żyje kołek Polek'”.

Do inicjatyw Drymmera należało również wstrzymanie całego ruchu kolejowego dla cywilów i kontrola ruchu drogowego na 2 tygodnie przed ofensywą kwietniową. Jeżeli połów podejrzanym nie był zbyt obfity — jak sądził szef kontrwywiadu — to szef kolejnictwa polowego w Warszawie płk inż. Brzozowski oraz szef sanitarny ucieszyli się z tego zarządzenia, naturalnie ogłoszonego już za podpisem szefa sztabu czy może nawet samego generała. Szef kolejnictwa polowego, już nie pomnę czy był to ten sam płk Jan Brzozowski (późniejszy prezydent Lwowa i poseł na Sejm) czy też ppłk prof. Kazimierz Bartel — zwrócili się — w czasie przygotowań do naszej ofensywy do naszego Oddziału 2-go o zdobycie planów mostu kolejowego, wysadzonego na rzece Teterew w miejscowości o tej samej nazwie. Teterew był wtedy po stronie bolszewickiej, a plany mostu miały olbrzymie znaczenie dla 2-giej armii, której całe zaopatrzenie w czasie ofensywy musiało iść właśnie po tej linii kolejowej, przerwanej brakiem mostu. Magistrala o znaczeniu strategicznym.

Wtedy Drymmer „pożyczył” mi swego najlepszego wywiadowcę czy raczej agenta. Był to wspaniały, ideowy chłopak — nazwiska nie pamiętam. Przerzucony przez front wrócił z olbrzymią księgą planów tego ważnego mostu po kilku zaledwie dniach. Miał mocną głowę i łatwo upił sowieckiego naczelnego inżyniera kolejowego w Teterewie. Księga planów, wysłana natychmiast do Warszawy wywołała tam entuzjazm, płk Brzozowski zdołał przygotować wszystkie elementy i most został bardzo szybko odbudowany po zajęciu Teterewa.

Dostaliśmy pochwałę nie tylko Matuszewskiego ale i Szefa Sztabu Generalnego. Wiedział o tym wyczynie i Wódz Naczelny.

Z całą stanowczością muszę dobitnie podkreślić, że przypuszczenia Drymmera o fakcie „że były to jakieś rozmowy z Machno” (przywódca dużego zgrupowania Ukraińców antybolszewików) z polecenia Komendanta Piłsudskiego — są absolutnie nieuzasadnione. Kpt. Sławek zarówno informował mnie jak i instruował dokładnie w sprawach ukraińskich. Ugrupowanie „atamana

Machny" nie było poważnie traktowane a on sam uchodził raczej za bandytę.

Zapewne dyr. Drymmer miał na myśli atamana ukraińskiego Kurowskiego, który chciał być podległy i współpracować bezpośrednio z nami, a nie z Petlurą i działał przed frontem naszej armii.

Sprawę aresztowań w Równem znałem raczej dobrze. W związku z aresztowaniem m.in. przez defensywę lekarza-okulisty w Równem — o czym pisze Drymmer — interweniował i ręczył za niego u generała burmistrz, czy może miał tytuł prezydenta miasta, w Równem p. Baliński, brat rodzony czy stryjeczny prezydenta rady miejskiej w Warszawie Ignacego Balińskiego. Musiałem więc z urzędu zbadać osobiście całą sprawę bardzo dokładnie. Jednym dowodem naszego kontrwywiadu była wzmianka w przyłapanych materiałach „wracz-jewrej w złotych okularach”. Sądziłem, że takich lekarzy w złotych okularach może być więcej — na rozkaz generała i zlecenie Matuszewskiego lekarza tego — nazwiska niestety nie pamiętam — Drymmer zwolnił z więzienia.

Sąd polowy 13 dywizji rozpatrywał sprawę aresztowanych przez Drymmera członków szajki komunistyczno-spiegowskiej i skazał — jak pamiętam — 7-miu na karę śmierci. Jednego i to sierżanta z tejże 13-ej dywizji zwolnił, uważając, że jego „kontakty” polegały na prowokacji szajki.



Jak zaznaczyłem na wstępie, jest rzeczą trudną „poprawianie” wszystkich mylnych twierdzeń Drymmera.

Nie można jednak — jak napisał Drymmer — ograniczyć się do napisania „kpt. Gaładyk poinformował mnie, że na naszym froncie północnym nie jest dobrze i że dlatego Śmigły śpieszy się by skrócić front”; „z rozmów wiedziałem, że jako ostatnie mają wyjść z Kijowa ciężkie działa strzelające do ostatka” itd. w podobnym stylu.

Tak — zdaniem moim — nie wolno i nie można nawet we wspomnieniach osobistych ujmować przebiegu wielkich działań.

Sądzę, że na tle zrozumienia ogólnej sytuacji armii operującej, w składzie której działała „defensywa kpt. Drymmera” można i wolno było opisać dzieje jej w odwróceniu spod Kijowa. Tak jak została opisana jest i nieprawdopodobna i, niestety niepoważna (używam możliwie skromnych określeń). Przystudiowanie czy choć pobieżne zaznajomienie się z łatwo dostępną dokumentacją i literaturą wojenną dałoby możliwość kpt. Drymmerowi ujęcie jego osobistych wspomnień z lat wojennych zgodnie z ówczesną rzeczywistością.

Opisywanie odwrotu wymaga obszernego potraktowania na który w ramach moich „poprawek” brak na pewno miejsca. Podać jednak należy, że walki odwrotowe przynoszą zaszczyt

dowódcy 3-ej armii, choć nie były zgodne z rozkazem i główną ideą manewru, nakazanego przez Wodza Naczelnego, jak stwierdza to również autor „Wyprawy Kijowskiej”.

Budienny nie zdołał wykonać swego zadania, rozbicia dywizji polskich — ponosząc nawet lokalnie poważne straty. 3-cia armia Śmigłego nie została zniszczona — jak nakazało dowództwo frontu sowieckiego przez wojska XII-ej sowieckiej armii i Budiennego. Śmigły przerwał okalający armię jego pierścień i połączył się z ogólnym frontem polskim. Manewr polski jednak — wskazany przez Wodza Naczelnego jako główne zadanie 3-ej armii — nie został należycie zrozumiany przez dowódcę frontu i na czas przekazany 3-ej armii. Spowodowało to odwołanie Listowskiego i Przewłockiego.

Następuje szereg zmian personalnych. D-cą frontu zostaje w drugiej połowie czerwca gen. Rydz-Śmigły, szefem sztabu ppłk Tadeusz Kutrzeba. 3-cią armię obejmuje gen. Zygmunt Zieliński. Utworzona na nowo 2-ga armia oddana zostaje gen. Raszewskiemu.

Przed swoją dymisją gen. Listowski i jego szef sztabu płk Przewłocki starali się — przy pomocy nadeszłych rezerw raz jeszcze doprowadzić do starcia z Budiennym nad Słuczą i próby okrążenia jego armii konnej. Sztab nasz stał jeszcze przed wyjazdem do Równego w Szepietówce, gdzie wyładowywały się nowe nadeszłe rezerwy naczelnego Dowództwa, przerzucone z północy m.in. 3-cia dywizja Legionów i I-sza Brygada kawalerii, dowodzona przez płk. Beline-Prażmowskiego.

Zdołałem na podstawie przejętych radiowych meldunków ustalić nakazaną nową koncentrację Budiennego, w trójkącie Zwiahel nad Słuczą i Korzec.

W swej książce „Między podwodą i czołgiem” wspomina o tej akcji gen. Stanisław Maczek, wówczas porucznik czy kapitan w Oddziale Operacyjnym: „Wkrótce potem gdy Budienny, mimo tych i innych rozkazów robił postępy i groził rozerwaniem frontu południowego, zdarzyła się gratka wyrwania się od wojowania na mapie, kpt. Benedykt szef Oddziału II. przyłapał i odcyfrował depezę Budiennego, alarmującą wyższe dowództwo, o zupełnym braku amunicji, szczególnie artyleryjskiej a podającą dokładne rozlokowanie brygad w rejonie m. Korca. Zmontowano koncentryczne uderzenie...”.

Obejmując dowództwo frontu gen. Śmigły przejął część sztabu gen. Listowskiego, m.in. mnie jako szefa Oddziału II-go. Dowództwo Frontu rozpoczęło urzędowanie w pociągu na stacji w Równem. Chyba tam również wszedł w skład Oddziału II-go z powrotem kpt. Drymmer.

Niestety moja praca w sztabie Frontu skończyła się 6 lipca, gdy znalazłem się w lazarecie polowym. Na szczegóły nie ma tu miejsca.

Szefem Oddziału II-go został mój kolega ze Szkoły Wojennej

i przyjaciel jeszcze z okresu Legionów mjr szt. gen. Stefan Ro-
wecki.

Przedstawiłem sytuację „ukraińską” na froncie w 1920 roku, gdy byłem tam szefem Oddziału II-go w armii a następnie w dowództwie Frontu, odmiennie od wspomnień kpt. Drymmera. Muszę jednak zaznaczyć, że w mojej pamięci stosunki służbowe i koleżeńskie z Drymmerem były jak najlepsze. Zachowałem również w mojej pamięci list wspólny państwa Drymmerów, jaki otrzymałem z Tallina w 1921 czy 1922 roku, wyrażający jak najbardziej przyjazne wspomnienia z naszej wspólnej służby. Halszka Trzcińska, młodzieńka peowiczka rodem z Żytomierza pracowała przed ofensywą jako stenotypistka w adiutanturze mego Oddziału. Do mnie skierował ją kpt. Drymmer z Kijowa z listem, gdy urzędowałem jeszcze w Żytomierzu — z prośbą, bym wysłał ją do Warszawy. Ale odważna p. Halszka spotkawszy w Żytomierzu znajomych z kolumny samochodowej nie chciała ewakuować się i zamierzała wrócić do Kijowa. Nie została wzięta do niewoli, dzielnie schroniła się o chłopów ukraińskich na wsi — świetnie znała język — i zmizerowana ale cała zgłosiła się do mnie w czasie odwrotu, chyba już w Szepietówce. I tu doczekała się spotkania ze swym narzeczoną a wkrótce potem mężem. I ten szczegół „rodzinny” w odmienny sposób pozostał w pamięci autora pamiętników.

Stefan BENEDYKT

RECENZJE

Józef LEWANDOWSKI

PÓŁ-OPOZYCYJNOŚĆ — SOJUSZNIKIEM REŻYMU

Książka Miedwiediewa oczekiwana była w kołach historyków i sowietologów na Zachodzie z dość dużym zainteresowaniem, zarówno ze względu na osobę autora jak i ze względu na osobę jego brata. Istnieje bowiem dwóch Miedwiediewów, braci-bliźniaków. Jeden z nich, Żores jest biologiem, specjalistą w zakresie gerontologii, drugi jest znany jako badacz historii. Bracia byli wcześniej już znani w kołach fachowych, ale międzynarodowy rozgłos zdobyli w 1970 roku, gdy władze sowieckie przymusowo osadziły Żoresa w szpitalu psychiatrycznym. Obydwaj bracia należeli bowiem do kół opozycyjnych. Ściślej mówiąc, do tej części sowieckiej opozycji, która dąży do reform w ramach systemu, akceptującej lub afirmującej to, co się nazywa „sukcesją leninowską”, odrzucającej jednak to, co się potocznie określa jako stalinizm.

Mimo że bracia uważali się za marksistów i bezpartyjnych komunistów, poglądy ich nie znalazły aprobaty władz, których szczególną irytację wywołało opublikowanie przez Żoresa w USA nie wydanej w Związku Sowieckim pracy pt. „Kariera i upadek Łysienki”.

Osadzenie w szpitalu psychiatrycznym wywołało duże oburzenie zarówno za granicą jak i w Związku Sowieckim. Szereg osób podjęło akcję mającą na celu uwolnienie uwięzionego. Szczególnie wyróżnił się tu Andriej Sacharow, ale i wielu weteranów partyjnych, zaprzyjaźnionych z braćmi, pośpieszyło w sukurs. Po 19 dniach nastąpiło wydarzenie w sowieckiej praktyce

*Miedwiediew Roj A., *K sudu istorii. Genezis i posledstwia stalinizma.* (Pod sąd historii! Geneza i skutki stalinizmu). New York 1974, wyd. Alfred A. Knopf. Str. 1136.

bez precedensu: władze wypuściły Żoresa z zakładu. Był to niewątpliwie sukces ruchu obrony praw człowieka, zachęcający do kontynuowania tego rodzaju działań. Ponieważ jednak w innych przypadkach równie zdecydowane akcje nie zostały uwieńczone sukcesem, przeto uzasadnione wydaje się pytanie o przyczyny ustępliwości władz.

Nie znamy toku rozumowania władz sowieckich, pewne jednak aspekty całej sprawy odsłania wydana na Zachodzie broszura, w której obaj bracia relacjonują szczegółowo, dzień za dniem, przebieg całej afery¹. Z tekstu broszury wynika, że bracia akcentowali swą prawomyślność, swój sowiecki patriotyzm oraz dystansowali się od bardziej radykalnej opozycji. Żores tłumaczył, iż dlatego wydał „Kariere i upadek Łysienki” za granicą, bo na Zachód przedostał się egzemplarz, złożony do któregoś z sowieckich wydawnictw, egzemplarz przestarzały, który został opublikowany przez niewymienione przezeń „... prowokacyjne czasopismo wydawane w języku rosyjskim na terenie Zachodnich Niemiec”. Żores chciał więc przeszkodzić temu czasopismu w kolportowaniu jego pracy a zwłaszcza w tłumaczeniu na języki obce².

W świetle tego można przypuszczać, że centralne władze w Moskwie uznały, że miejscowe władze w Obnińsku, gdzie Żores mieszkał, i wojewódzkie w Kałudze wykazały nadmiar gorliwości i nie najlepsze rozeznanie w skomplikowanych sprawach. Zrezygnowawszy z hospitalizacji władze nie zaaprobowaly Żoresa, postanowiły tylko inaczej rozwiązać kłopotliwy problem. Gdy uczzonego biologa zaproszono na stypendium do USA, władze zgodziły się na jego wyjazd, lecz pośpiesznie odmówiły mu prawa powrotu, zmuszając w ten sposób do przyjęcia statusu emigranta.

W ZSSR pozostał Roj Miedwiediew. Przygody brata nie odstraszyły go od publikowania za granicą ale zaczął publikować dopiero po uwolnieniu brata. W 1972 roku wydał on „Książkę o socjalistycznej demokracji”³, która została życzliwie przyjęta na Zachodzie, choć nie zetknęłam się z jakąś wnikliwszą jej oceną w prasie fachowej.

Mniej więcej w tym samym czasie Roj Miedwiediew opublikował ciągle na Zachodzie — następną monografię, tym razem

1. Ż. A. i R. A. Miedwiediew, *Kto sumaszedziej?* (Kto tu wariat?) London 1971, wyd. Macmillan, str. 164.

2. *Kto sumaszedziej?* str. 10, 25, 33, 157, 158.

3. Miedwiediew Roj, *Kniga o socialisticheskoj demokratii*. Amsterdam-Paryż 1972, wyd. Fundacji im. A. Herzena oraz Editions Grasset et Fasquelle, str. 402.

poświęconą zbrodniom stalinowskim. Ukazała się ona w 1972 r. w języku angielskim⁴ i francuskim.

Z tego co wiem, i publikacja angielska i francuska jest tylko wyborem ze znajdującej się na Zachodzie pierwszej redakcji manuskryptu. Nie wiadomo na ile redakcyjna selekcja zachowała wszelkie subtelności znaczeniowe tekstu autorskiego. W każdym bądź razie jesienią 1974 roku amerykańskie wydawnictwo Knopf wydało pełny, poprawiony i rozszerzony wariant pracy, będący przedmiotem niniejszego artykułu.



Przystępując do omówienia chciałbym przede wszystkim przytoczyć swe własne zdanie sprzed kilku lat, iż „... ocena prac historycznych powstałych w warunkach nam nieznanych jest rzeczą bardzo skomplikowaną. Często brak nam klucza do zrozumienia publikacji, która takiego klucza wymaga⁵”.

Przykładów mylnego, czasem nawet skandalicznego, odczytania publikacji powstałych „tam” można podać dużo. Wystarczy przypomnieć potknięcie się — łagodnie mówiąc — Bradshera i Pampuch-Brońskiej w ocenie Amalrika. Nawet ocena publikacji powstałych w PRL nie zawsze jest bez zasadzek, o czym świadczą kreowanie na opozycjonistów niektórych polskich historyków i pisarzy, którzy wcale, ale to wcale, nie są w opozycji.

Nie łatwo odczytać myśl autora publikującego legalnie, w państwowych wydawnictwach, gdzie tekst jest deformowany przez redaktorów i cenzorów. Nie łatwiej odczytać sens pracy Miedwiediewa. „Pod sąd historii” zostało wydane na Zachodzie i autor nie musiał uzależniać tekstu od dyrektora instytutu i od Gławlitu, ale to nie znaczy, by w swym postępowaniu był całkowicie wolny.

Publikując za granicą autor sowiecki podejmuje ryzyko, że władze zastosują wobec niego represje, przy czym zakres i rodzaj tych ostatnich będzie w obecnej sytuacji zależny nie tylko od faktu opublikowania czegoś, ale również od charakteru opublikowanej rzeczy. Innymi słowy, autor może zmaksymalizować ryzyko, może je też zminimalizować.

Praca Miedwiediewa jest rozprawą historyczną ale bardziej niż czysta nauka przyświecał autorowi cel polityczny. Jak stwierdził we wstępie, pracę podjął w okresie po XX zjeździe KPZS w związku z konkretnymi potrzebami chwili. Był to okres, gdy

4. Medvedev Roy, *Lets historia judge*.

5. Zeszyty Historyczne, 1973, nr 23, str. 17.

po XX zjeździe stalinowcy przeszli do zdecydowanej kontrofensywy. W Moskwie i Leningradzie bez przerwy mówiono o mającej nastąpić rehabilitacji Stalina, co nie było zbyt dalekie od urzeczywistnienia. Chruszczow, krótko po wygłoszeniu swego słynnego referatu na poufnym posiedzeniu XX zjazdu, był zmuszony zaprzeczyć, by jakkolwiek referat wygłosił. W gazetach poczęły ponownie pojawiać się artykuły o *wielkim marksizmie* a Chruszczow zaczętnie stwierdził, że nie da się Stalina imperialistom na pożarcie. Nad Związkiem Sowieckim rozciągało się widmo przekreślenia rehabilitacji pozostałych przy życiu ofiar świeżo wypuszczonych z łagrów i ponownego wciągnięcia na piedestał ich oprawcy. Nie trzeba zresztą było wciągać — wszędzie poza Polską pomniki stały w nieuszczipionej ilości.

W tej sytuacji w Związku Sowieckim postępowe elementy toczyły dość desperacką walkę celem zapobieżenia rehabilitacji Stalina i stalinizmu. Formami tej walki były przemówienia na zebraniach partyjnych, na posiedzeniach związków twórczych i naukowych, publikacje literackie, memoriały adresowane do KC, opracowania historyczne. Te akcje odbywały się nie bez aprobaty i zachęty Chruszczowa, który też podejmował odpowiednie kroki — zmieniał aparat, wprowadzał nowych ludzi do władz, wciągnął do centralnego aparatu partyjnego pewną ilość synów rozstrzelanych działaczy komunistycznych, pozwolił na zameldowanie w Moskwie kilku tysięcy wypuszczonych z więzień, nawet takich, którzy przedtem nie mieszkali w stolicy.

W ten sposób Chruszczow tworzył swego rodzaju „grupę nacisku”, urabiającą tzw. „mołwę” — niepisaną opinię publiczną, przeciwdziałającą niebezpiecznej osobiście dla Chruszczowa restalinizacji.

Akcja przeciwko restalinizacji miała charakter pierwszego od dziesiętków lat ruchu społecznego. Ideologia ruchu była niezbyt skomplikowana. Jej podstawowym hasłem był „nawrót do leninowskich norm życia partyjnego”, hasło, któremu nie można było nic zarzucić ani z punktu widzenia ortodoksji ani z punktu widzenia aktualnej linii partii — kierownictwo sowieckie wysunęło bowiem identyczny postulat. Oczywiście, te normy leninowskie można było interpretować w różny sposób — Stalin także akcentował, że jedynie realizuje spuściznę Lenina.

Ruch społeczny przeciwko restalinizacji przeszedł niezauważony przez współczesnych — w tym czasie zagraniczni dziennikarze i dyplomaci byli odseparowani od społeczeństwa jak za najlepszych czasów Stalina i niewiele wiedzieli co się w społeczeństwie dzieje. Zwracam na to uwagę dlatego że, niezależnie od jakiegoś niewymiernego wpływu na wydarzenia, ruch anty-

stalinowski późnych lat pięćdziesiątych odegrał rolę jako załączek wszystkich późniejszych ruchów opozycyjnych. W ramach wspólnego frontu mieściła się zarówno „Odwilż” Erenburga — słusznie nazwanego później „mistrzem półprawdy” (Głazow) — jak i pierwsze powieści Sołżenicyna, które także odbierano jako mieszczące się w ramach zreformowanego systemu. Wszyscy opozycjoniści publikowali zresztą w jednym i tym samym piśmie, w *Nowym mirze*, co pogłębiało wrażenie zbieżności.

Postulat nawrotu do leninizmu był jednak spoiwem powierzchownym i chwilowym. Pomijając już że nikt dokładnie nie wiedział czym jest ten leninizm, do którego należy wracać, to sam nawrót nie mógł być panaceum tyle dziesięcioleci minęło od śmierci Lenina, świat nie stał w miejscu, pojawiły się nowe problemy wymagające rozwiązania, którego nie mogła dostarczyć zastarzała spuścizna budowniczego Związku Sowieckiego.

Roj Miedwiediew pozostał wierny ówczesnemu hasłu. Jak sam stwierdza (str. 13) zaczął pracę nad książką około roku 1956, a oddał ją do druku po dwudziestu niemal latach. Konfrontacja z czasem nie musi być problemem dla pracy naukowej, jest nim jednak dla pracy o zamierzeniach politycznych. Nie ulega wątpliwości, że kilkanaście lat temu, czy nawet przed dziesięciu laty, publikacja ta miałaby duże znaczenie poznawcze i polityczne. Jaką ma wartość w momencie wydrukowania? Jaką posiada na Zachodzie, gdzie została opublikowana, jaką w Związku Sowieckim, dokąd trafi w postaci intelektualnego szmuglu? Nim spróbujemy dać odpowiedź na te pytania należy przedstawić w najogólniejszych zarysach samą pracę, jej dokumentację, i wnioski.



Zgodnie z zasadami zacznijmy od przedstawienia źródeł. Autor zaznacza, że w pracy swej nie mógł korzystać „... z jakichkolwiek państwowych lub partyjnych archiwów, specjalnych składnic akt⁶, lub jakichkolwiek innych tajnych lub niedostępnych zespołów archiwalnych” (s. 24). Jest to stwierdzenie nie tylko o walorze naukowym, lecz również prawniczym: autor wyraźnie zabezpiecza się przed ewentualnym oskarżeniem o naruszenie tajemnicy państwowej. Autor zwracał się do odpowiednich urzędów o zezwolenie na zbadanie materiałów archiwalnych, ale prośby nie odniosły skutku. Tu autor daje również obszerny komentarz, w którym dowodzi, że sowieckie archiwa wcale nie są tak bogate, jakby się na pozór zdawało (s. 21). Ten wniosek

6. W oryginale *specchraniliszcze*.

jest co najmniej ryzykowny, zwłaszcza, że nie poparty zbadaniem tych archiwów. I jeszcze jeden komentarz na marginesie archiwaliów: Miedwiediew co prawda nie korzystał z pomocy władz, ale i nie doznał z ich strony „żadnych poważnych przeszkód w prowadzeniu badań” (s. 24).

Ta ostatnia uwaga wiąże się chyba z innym źródłem informacji. Dużą rolę w badaniach odegrały niezbyt dostępne, tajne i na wpół tajne, materiały publikowane w latach dwudziestych i trzydziestych. Autor wymienia je tylko od czasu do czasu. Trudno ocenić, co w tej dziedzinie zostało zbadane, można tylko stwierdzić, że wnioski są wnikliwe, dające czasami nową i zaskakującą interpretację materiału co prawda znanego, lecz zlekceważonego lub powierzchownie odczytanego.

Dużą, może nawet zasadniczą, rolę jako źródło wiedzy odegrały niepublikowane relacje i pamiętniki. Jaką posiadają one wagę mogą ocenić wszyscy czytelnicy „Archiplagu GUŁag”. Miedwiediew pisze, że „z autorem współdziałały setki ludzi, bez pomocy których badania nie mogłyby posunąć się naprzód”. Tym niemniej podziękowanie za udostępnienie materiałów i świadectw Miedwiediew składa wyłącznie „starym bolszewikom” (s. 23-24). Czy ludzie poza tą kategorią nie mieli nic do powiedzenia? Czy nie zasłużyli na wdzięczność? A może autor celowo nie sięgał do świadectw niepartyjnych? Nie wykluczam zresztą, że cytowane zdanie jest tylko niezręcznym sposobem dowodzenia bolszewickiej ortodoksji, mającym służyć „zabezpieczeniu tyłów”. Pytanie nie błahe, bowiem dobór źródeł określa pole widzenia. Zaliczyć je jednak trzeba do kategorii pytań na które nie mamy wyraźnej odpowiedzi.

Miedwiediew nie wymienia wykorzystanych druków zwartych, daje tylko ich sumaryczny przegląd. Sowieckie, publikowane w czasach stalinowskich — trzeba tu zgodzić się z autorem — są na ogół bez wartości. Wysoką ocenę otrzymały natomiast sowieckie publikacje po XX i XXII zjeździe KPZS które „... legły u podstaw niniejszej pracy...” (s. 23). Tak generalna entuzjastyczna ocena nowszej produkcji sowieckiej wydaje mi się przynajmniej przesadzona, choć trzeba przyznać, że Miedwiediew czytał te publikacje starannie i wyluskiwał z nich okruchy wiedzy, uchodzące uwadze innych czytelników. Publikacje te, dowodzi Miedwiediew, „... idąc po linii wytyczonej na (XX i XXII) zjazdach, prawdziwie i uczciwie oświetlają wydarzenia związane z kultem Stalina” (*ibid*).

Zdecydowanie natomiast odcina się Miedwiediew od literatury wydanej poza Związkiem Sowieckim. „Burżazyjni historycy, zachowując pozory obiektywizmu zazwyczaj analizują i krytykują

przestępstwa Stalina z wyraźnie antysowieckich pozycji. Przestępstwa okresu kultu są w literaturze tej wykorzystywane przede wszystkim nie po to, by potępić Stalina, który odszedł od marksizmu-leninizmu, lecz by oczernić same idee socjalizmu i komunizmu" (s. 22-23).

Jeszcze ostrzej traktuje Miedwiediew rosyjską literaturę emigracyjną, którą w całości nazywa „białoemigracyjną”, nie dostrzegając w niej istotnych różnic. Jest ona „... przesiąknięta ślepą nienawiścią do wszystkiego co sowieckie i niezdolna do naukowej analizy naszej rzeczywistości” (s. 23).

Nie mam zamiaru polemizować z tymi twierdzeniami ani dowodzić nijakości (w najlepszym wypadku) sowieckiej literatury historycznej, nawet tej która pojawiła się w okresie *odwilży*, są to bowiem sprawy wychodzące poza ramy recenzji. W jej ramach natomiast ważne jest stwierdzenie, że autor nie stosował rozumowych kryteriów zbierania i selekcji materiałów lecz kryteria ideologicznej prawomyślności. Stosował je na domiar apriorycznie: jeśli jakaś praca, jakieś świadectwo pochodzi od kogoś, kto nie jest entuzjastą systemu sowieckiego to przez to samo podlega dyskwalifikacji.

Zaskakuje ta pyszałkowatość! Zdawałoby się, że nie ma nauki tak zakłamanej jak sowiecka nauka historyczna i świadomość tego jest w Związku Sowieckim dość powszechna — zwłaszcza wśród samych historyków. Znane doświadczenia nakazywałyby przynajmniej ostrożność w formułowaniu sądów potępiających, skierowanych przeciwko „historiografii burżuazyjnej”... Zresztą, można by wymienić szereg sowieckich historyków, którzy tę ostrożność zachowują i wcale nie lekceważą tego, co napisano za granicą.

Pozostawmy jednak źródła i zajmijmy się samą pracą. Składa się ona z trzech części, będących odpowiednikami tomów. Część pierwsza zatytułowana „Uzurpowanie przez Stalina władzy w kraju i w partii”, liczy ponad 500 stron. Sam tytuł nie jest najlepszy, gdyż w części tej pisze się nie tylko o procesie opanowania władzy przez Stalina, lecz w ogóle o jego działalności od zarania aż do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Dziwi również, że ze wszystkich aspektów działalności Stalina na czoło wysunięte zostało zdobywanie władzy, podobnie jak trudno zrozumieć, dlaczego proces ten został nazwany *uzurpacją*. Ostatecznie *uzurpacją* było objęcie niepodzielnej władzy przez bolszewików, w jej ramach Stalin działał już zupełnie legitymistycznie. Z ogólnego tonu rozprawy wnioskuję, że przez *uzurpację* Miedwiediew rozumie przejęcie władzy wbrew testamentowi Lenina. Trudno jednak uważać, że testament miał moc prawa konstytucyjnego.

Ujęcie przedrewolucyjnych lat działalności Stalina nie jest ciekawe. Stosując dość upraszczającą zasadę metodologiczną demaskowania Stalina gdzie się tylko da, autor na serio traktuje świadectwa dość wątpliwe. W błahym konflikcie między Stalinem a Swierdłowym na zesłaniu (s. 33) wina nie musiała być koniecznie po stronie Stalina — jak wiadomo Swierdłow też nie był aniołem. Nie jest to nawet najważniejsze. Gorzej, że zgubiona została możliwość wnikliwszej analizy ewolucji, która dokonała się w Stalinie. Jak wynika z wielu niepodważalnych świadectw, Stalin należał do umiarkowanych bolszewików. Na zesłaniu przyjaźnił się nawet z *pepesowcami* wołąc ich od bolszewików, co autor mu mimochodem wytyka (s. 34). Przed przyjazdem do Piotrogradu w marcu 1917 roku należał do wspólnej z mienszewikami organizacji socjaldemokratycznej (tzw. *objediniönki*) a w Piotrogradzie był nie tylko rzecznikiem udzielenia poparcia Rządowi Tymczasowemu, ale także niewyodrębniania się bolszewików z szeregowi tzw. „rewolucyjnej demokracji”, którym to mianem określano wówczas socjaldemokratów i eserów wszelkich kierunków. Na tym tle powstał pierwszy konflikt między Leninem a Stalinem. Dlaczego i w jaki sposób tak liberalny bolszewik przekształcił się w krwawego tyrana? — pytanie to powinno być jednym z głównych w omawianej pracy. Niestety Miedwiediew tego problemu nie dostrzega, być może zresztą że nie umiałby na to pytanie odpowiedzieć, nawet gdyby je dostrzegł.

Do najcenniejszych stron książki należą natomiast opisy walk wewnętrznych w łonie partii bolszewickiej po Rewolucji Październikowej a zwłaszcza po śmierci Lenina. Tu metoda autora znajduje najpełniejsze zastosowanie. Stalin wraz z Zinowiewem i Kamieniewem przeciwko Trockiemu, z Bucharinem przeciwko wczorajszym sojusznikom, przeciwko Bucharinowi gdy ten zdobywa popularność w aparacie partyjnym, morderstwo Kirowa, gdy wokół niego zaczynają się skupiać ludzie osobiście mu oddani — wszystkie te układy i walki ożywiają pod piórem autora, który umiejętnie pokazuje, jak szczując jednych przeciwko drugim, samemu pozostając w półcieniu, zajmując niemal pozycję pojednawczą dobrego wujaszka, Stalin wykańczał i swoich wrogów i sojuszników — wszystkich którzy stali mu na drodze jako przeszkoda do władzy absolutnej lub jako ewentualni rywale, wokół których mogłyby się skupić siły społecznego niezadowolenia.

Wszyscy rywale Stalina zostali zamordowani w procesach sądowych lat 1936-38 (wyjąwszy Trockiego, którego zemsta dosięgła nieco później i poza granicami ZSSR). Rehabilitacja okresu

Chruszczowa ludzi tych nie objęła i formalnie nadal pozostają oni skazani prawomocnymi wyrokami i objęci infamią. Miedwiediew przechodzi jednak nad tym do porządku dziennego; procesy — dowodzi — były taką samą prowokacją jak wszystkie inne wyczyny Stalina. Stanowisko to nie jest może zbyt odkrywczе, ale w warunkach sowieckich jakieś walory nadal zachowuje.

W miarę obiektywny, w warunkach sowieckich nawet odkrywczы charakter mają stronicę poświęcone Trockiemu (s. 75-96) a do historii zamordowania go autor wnosі ważne, dotychczas na Zachodzie nie znane szczegóły.

Autor zdejmujе anatemę z Zinowiewa i Kamieniewa choć, moim zdaniem, przypisujе im — zwłaszcza pierwszemu z nich — walory intelektualne, których ten czołowy działacz partii bolszewickiej i Kominternu wcale nie posiadał. Walka Stalina z takimi przeciwnikami była raczej ułatwiona. Byli totumfackimi Lenina i stąd ich autorytet, który jednak nie oni, lecz Stalin zaliczył do swych aktywów.

Mimo gloryfikacji partii jako całości, czasem w pierwszej części książki przemknę się zdanie, które trudno przeczytać bez zadumy: „... Walka wewnątrz partii nosiła szczególnie zawzięty charakter, zwłaszcza że każda strona starała się przedstawić swych oponentów w najbardziej odpychającym świetle, takie czy inne wypowiedzi przekręcano aż do niepoznania, błędy i nieścisłości (przeciwnika) przesadzano. Grubiaństwa i nielojalności nie tylko nie powściągano, lecz przeciwnie, popierano, zarówno z jednej jak i drugiej strony” (s. 67). „W swoim czasie bolszewicy nie widzieli nic niezwykłego w tej atmosferze nieprzerwanej prawie walki wewnętrznej (s. 69). Przeciwnicy Stalina — jak wynika z lektury — nic a nic nie ustępowali mu w stosowaniu brudnych chwytów i pozostaje otwarte pole do domysłów, jak wyglądałyby rządy przeciwników Stalina, gdyby to oni doszli do władzy. O obietnicy Zinowiewa łamania kości opozycjonistom wiadomo np. z historii Polski.

Miedwiediew ubolewa chwilami nad niepowściągliwością również i Lenina w doborze środków walki, ale znajduje usprawiedliwienie w tym że był brutalny w stosunku do niebolszewików (s. 69-70). Inna rzecz w stosunku do „naszych”!

Przypomina się obserwacja Nadieżdy Mandelsztam, która tak oto widziała zjawiska zachodzące w rządzącej partii: „Wszelka zamknięta w sobie, odizolowana grupa rozwija się w sposób podobny do gangu, wedle własnych praw i wbrew interesom całego społeczeństwa. Grupa taka czci herszta i plac zbiórek, zachowuje — jak długo umie — zwartość na zewnątrz, przestrzega tajem-

nić, unika kontaktów z obcymi, a od czasu do czasu z niezrozumiałych przyczyn wzajemnie się wyrzyna". Ale do takiej oceny zdolny jest jedynie ktoś, kto jest poza gangiem. Do krytyki ruchu jako całości Miedwiediew nie posuwa się.

Ciekawe są opisy grup spiskowych w łonie ruchu bolszewickiego, które u progu lat trzydziestych zamierzały podjąć konspiracyjną walkę przeciwko tyranii Stalina. Dodajmy tu, że członkowie tych grup rekrutowali się przeważnie z klasy robotniczej, jak np. Kajurow — legendarny przywódca robotniczy dzielnicy wyborskiej w dniach rewolucji lutowej. Ciekawe że, jak mogłem się zorientować uczestnicy grupy Kajurowa nadal objęci są w Związku Sowieckim ścisłą anatema.

Można przeprowadzić klasyfikację polityczną ujęć historycznych w zależności od tego, jaki rok zostaje uznany za początek „zła”. A więc stalinowcy uważający, że wszystko co w ZSSR robiono do śmierci Stalina było dobre, oficjalna linia sowiecka milcząco przyznająca zbrodnie 1937 roku, linia „Archipelagu...” akcentująca zbrodniczość nawet pierwszych poczynań władzy sowieckiej. Miedwiediew łańcuch zbrodni dostrzega od kolektywizacji. Samą kolektywizację co prawda uważa za słuszną i chwalebłą („Potężna epopeja kolektywizacji wymagała wielkiej, napiętej pracy — w niej pełno bohaterstwa całej partii i wielu tysięcy jej członków” — s. 180), (przepraszam czytelników za nieskładność tłumaczenia, ale ta pompa z trudem znosi przekład na jakikolwiek język). Tyle tylko, że w czasie kolektywizacji naruszono zasadę dobrowolności. Jeśli dobrze zrozumiałem autora to sądzi on, że można było skłonić chłopów rosyjskich, by dobrowolnie wyzuli się z wszelkiej własności. Tego, że celem kolektywizacji wcale nie było uspołdzielczenie lecz wywłaszczenie chłopów, autor nie dostrzega. Autor zna pracę W. Grossmana „Wsio tieczot”, nawet ją kilkakrotnie cytuje, ale obraz kolektywizacji i panującego po niej głodu wypadł bezbarwnie i to nie tylko dlatego, że warsztat literacki historyka ustępuje warsztatowi wielkiego pisarza. Opis zamordowania Kirowa jest u Miedwiediewa doskonały, ale zajął mu osiemdziesiąt stron, podczas gdy kolektywizacja — osiemnaście, wytepienie milionów chłopów (tzw. rozkułaczenie) — dziesięć stron, ani o stronę więcej — wielki głód u progu lat trzydziestych. Za tymi arytmetycznymi proporcjami kryją się poważne problemy. Czy wolno odczytać je jako bagatelizowanie spraw dziejących się poza partią? A może chęć przystosowania się do tych, w których mocy było i jest potępienie Stalina lub jego rehabilitacja, do audytorium, któremu

naplewał na losy milionów chłopów, lecz które czułe jest na to co może się przytrafić ludziom należącym do elity władzy? Jaka motywacja nie kryłaby się za taką hierarchizacją spraw, jest to motywacja polityczna a nie naukowa.



O zbrodniach stalinizmu wiadomo już dość dużo, ale nie wszystko. Nawet nie wszystko, co w swoim czasie odnotowano w prasie sowieckiej zostało wciągnięte do rejestru zbrodni. Miedwiediew np. sugeruje, że pierwszą wielką prowokacją w *łonie ruchu komunistycznego* było zamordowanie Kirowa w 1934 roku. To nieprawda. Już rok wcześniej odbyły się, zrelacjonowane w prasie sowieckiej, procesy-monstre przeciwko polskim komunistom z Jerzym Czeszejko-Sochackim i Tadeuszem Żarskim na czele. Oskarżono ich o to, że byli oficerami polskiego wywiadu, kierującymi organizacją POW na terenie ZSSR, mającą na celu ni mniej ni więcej tylko zniszczyć ZSSR od środka. Wolno w tych procesach widzieć akt wstępny późniejszych prowokacji. Być może, że wniosek mój jest mylny, że istniały jakieś inne procesy, o których ja z kolei nie wiem lub nie pamiętam. Piszę to dlatego, że rejestr zbrodni ciągle nie jest pełny. A eksterminacja Polaków w 1937 roku, nie Polaków jako komunistów, ale Polaków jako Polaków? Przecież dopiero po niespełna czterdziestu latach ukazał się pierwszy artykuł na ten temat, choć rzecz ta jest powszechnie dobrze znana w ZSSR i w PRL — przynajmniej w kołach partyjnych⁸.

Mimo niepełnego inwentarza zbrodni stalinowskich, w chwili obecnej o wiele ważniejsze wydaje się jednak zrozumienie przyczyn i warunków w jakich stalinizm się zrodził. Od ich zrozumienia zależy bardzo dużo. Przede wszystkim ustalenie czy stalinizm był przypadkowym wyłomem w ramach systemu czy też nieuchronnością. Jeśli zaś był nieuchronnością — to czy był zjawiskiem przejściowym czy też założonym w samej treści ustroju sowieckiego. Od odpowiedzi na te pytania zależy czy należy się liczyć z możliwością recydywy stalinizmu.

Tym zagadnieniom autor poświęca drugą część swej pracy, zatytułowaną „Przyczyny i warunki powstania i utrwalenia się stalinizmu”. Dla Miedwiediewa stalinizm to przede wszystkim władza Stalina. Na niego i jego totumfackich spada przede wszystkim odpowiedzialność. Ta teza dominuje w książce i powtarzana jest przez autora wielokrotnie. Co więcej uważa on, że stalinizm

8. *Zeszyty Historyczne*, 1974, nr 30, str. 16-23.

wcale nie był nieuchronnością: „Niektórzy moi rozmówcy... starają się dowieść, że w latach dwudziestych nieuchronnie musieli dojść do władzy w Związku Sowieckim ludzie typu Stalina. [...] Uważam jednak, że podobny punkt widzenia w zastosowaniu do naszego kraju jest jednostronny i niesłuszny” (s. 694-5). „W ogóle fakt, że po Leninie — który był ucieleśnieniem wszystkiego co najlepsze w rosyjskim ruchu socjalistycznym i w rosyjskim proletariacie — do steru partii i kraju doszedł Stalin — który był ucieleśnieniem wszystkiego najgorszego, co dołączyło do ruchu rewolucyjnego — ten fakt jest — wedle mego najgłębszego przekonania historyczną przypadkowością” (s. 701).

Trzeba zaznaczyć, że Miedwiediew nie jest zbyt konsekwentny w dowodzie tego twierdzenia, gdyż kilkadziesiąt stron dalej przytacza projekt ustawy proponowanej przez Lenina w 1922 roku, karzącej śmiercią „propagandę lub agitację obiektywnie pomagającą tej części międzynarodowej burżuazji, która...” oraz pomoc w uprawianiu takiej agitacji (s. 779, myśl urwana w manuskrypcie po słowie *która*). W istocie w tym projekcie ustawy zawarte były podstawowe zasady stalinizmu, wyjąwszy jedną — prawo mordowania również i swoich.

Wracając jednak do głównego toku swoich myśli, czyli do rozważań na temat przyczyn stalinizmu, autor widzi następujące historyczne przyczyny. Po pierwsze: „rozdmuchany kult jednostki”. Wykład na ten temat nie jest zbyt odkrywczy, wyjąwszy zdanie, iż „nie można nie dostrzegać pewnych przesłanek powstania kultu jednostki, tkwiących w samej rewolucji” (s. 709). Jest to słuszne. Zlikwidowanie demokratycznej władzy, rozpędzenie Konstytuanty, narzucenie krajowi władzy uzurpatorów — to wszystko stwarzało grunt dla stalinizmu. Nie wiem jednak czy mój komentarz pokrywa się z tym sensem, jaki w cytowane zdanie włożył autor, gdyż dalej pisze on, iż rewolucja była tak wielkim dziełem, iż ludzie, którzy jej dokonali nabierali częstoć w oczach ludu charakteru półbogów (s. 709).

Drugą przyczyną pojawienia się stalinizmu był według autora „brak jawności i swobody krytyki w latach kultu jednostki” (s. 713). Autor uważa, iż bolszewicy byli pod tym względem w porządku, a tylko Stalin nie chciał prawdy (*ibid.*). Co prawda w latach rewolucji swoboda wypowiedzania się została ograniczona, ale w założeniu był to tylko środek tymczasowy, wymuszony przez układ warunków. Marks przecież dowodził, że nie może być wolności bez wolności prasy (s. 717), ale „... Stalin chwilowy monopol partii na drukowane słowo wykorzystał na szkodę partii i narodu” (s. 721).

Inne przyczyny to centralizacja i długotrwałość władzy, swoista interpretacja zasady jedności partii, osobista kontrola Stalina nad organami policyjnymi itp. Obawiam się, że autor pomylił tu przyczyny z techniką sprawowania dyktatury. Natomiast ma rację, gdy twierdzi, iż jedną z przyczyn stalinizmu było zagubienie „współmierności celu i środków w rewolucji socjalistycznej” (s. 769). Autor usprawiedliwia tzw. czerwony terror i okrucieństwa w toku rewolucji. Zarzuca ówczesnym bolszewikom jedynie to, że „my, jako rewolucyjna partia popełniliśmy błąd, traktując rewolucyjną przemoc nie jako smutną konieczność lecz jako bohaterstwo” (s. 780). Ale, konkluduje Miedwiediew, sumując wszystkie przyczyny: „należy uwzględnić jednakże, że nasza partia i wszyscy sowieccy ludzie nie mieli jeszcze w tym czasie niezbędnego doświadczenia historycznego, doświadczenia dyktatury proletariatu” (s. 811-2).

A skoro tak, to nie powinna czytelnika zdziwić ocena tych przywódców partyjnych, którzy obecnie kierują państwem, lecz ostrogi zdobywali w czasach stalinowskich a ściślej mówiąc w 1937 roku. Okazuje się, że „... W kierownictwie partii znajdowali się również względnie młodzi działacze, którzy prawie we wszystkim popierali Stalina, którzy wykonywali jego rady i polecenia, ale którzy nie byli poinformowani o wielu jego przestępstwach. Posiadając niektóre wady — typowe dla otoczenia Stalina — ludzie ci chcieli uczciwie służyć ludowi i partii, lecz brak dostatecznego doświadczenia politycznego stał na przeszkodzie w zorientowaniu się w zachodzących w kraju tragicznych wydarzeniach. Niektórzy spośród tych młodych działaczy zginęli nieco później. Inni pozostali przy życiu i po śmierci Stalina w takim czy innym stopniu poparli walkę przeciwko kultowi jednostki oraz o przywrócenie leninowskich norm życia partyjnego i państwowego” (s. 825). Ponieważ Chruszczowa autor wyraźnie nie lubi, przeto nie omylimy się, iż jest to rozgrzeszenie udzielone Breżniewowi i jego ekipie. W Moskwie już od dziesięciu lat krąży dowcip, że „brwi Leonida Iljicza (Breżniewa) nie są niczym innym, niż podniesionymi na właściwą wysokość wąsami Władimira Iljicza (Lenina).



Trzecia część książki nosi nazwę „Jedynowładztwo Stalina. Niektóre skutki i rezultaty stalinowskiej dyktatury”. Z obszernej problematyki zawartej w tej części trzeba zwrócić szczególną uwagę na ocenę polityki zagranicznej Związku Sowieckiego w latach 1939-1941.

Na czoło wysuwa się ocena paktu Ribbentrop-Mołotow, zawartego 23 sierpnia 1939 roku. Autor zdaje sobie sprawę, że podpisanie tego paktu rozpętało II wojnę światową (s. 871), lecz mimo to politykę sowiecką tego okresu ocenia jako słuszną. Uważa, że byłoby lepiej, gdyby Związek Sowiecki doszedł do porozumienia z państwami antyfaszystowskimi, ale to było niemożliwe z powodu „... wyraźnie nieszczerej i niebezpiecznej gry politycznej ze strony Anglii i Francji...” (*ibid.*) oraz amerykańskiego izolacjonizmu. Zgódźmy się, że ten problem ciągle jest dyskusyjny i że pewnych racji stanowisku autora odmówić nie sposób. Związek Sowiecki kierował się swoimi własnymi interesami co jest zupełnie zrozumiałe. Inna sprawa, to ocena moralna tej polityki: Miedwiediew nie chce widzieć, że pakt ten był paktem ofensywnym, wojennym, grabieżczym, nie tylko ze strony Niemiec ale także i ze strony Związku Sowieckiego.

Aprobując pakt Ribbentrop-Mołotow, autor nie odcina się i od słynnego *protokołu dodatkowego*, przewidującego podział jeszcze żyjącej Polski. Protokół ten stanowi kłopot dla apologetów polityki sowieckiej i dlatego przez wiele lat zaprzeczano jego istnieniu. W czasach Chruszczowa protokół ten cichcem przypomniano sobie i równie cichcem potępiono. Miedwiediew uważa jednak, że aprobując pakt nie ma powodu, by nie aprobować aneksu (s. 873), „zwłaszcza, że w danym wypadku chodziło właściwie nie o polskie ziemie, lecz o białoruskie i ukraińskie, których ludność od dawna walczyła o swe wyzwolenie” (s. 874).

Akceptując współdziałanie z Hitlerem w rozpęтaniu II wojny światowej i podział Polski autor potępia niektóre przynajmniej aspekty polityki Stalina na anektowanych terenach, mianowicie „... wielką ilość bezprawnych aresztowań”. Te ostatnie — jak wynika z przytoczonego sformułowania dzieliły się zresztą na prawne i bezprawne, przy czym nie trudno stwierdzić, jakie kryteria prawa autor w danym wypadku stosuje. Okazuje się, że „... poza niektórymi rzeczywistymi wrogami proletariatu, agentami ochrony, reakcyjnymi działaczami politycznymi, członkami faszystowskich i na wpół-faszystowskich organizacji na terenie nowych zachodnich rejonów Związku Sowieckiego poddano represjom wiele tysięcy zupełnie niewinnych ludzi” (s. 478). Jeśli nawet stosować w stosunku do Miedwiediewa taryfę ulgową i uznać powyższe sformułowanie za skutek niechlujstwa myślowego i stylistycznego, — a passusów o tym świadczących jest w książce bardzo dużo — to i tak trzeba stwierdzić, że ta bezmyślność o czymś świadczy.

O aneksji krajów nadbałtyckich autor nawet nie wspomina, natomiast potępia najazd na Finlandię, prawdopodobnie ze względu na nieudolność najeźdźcy.

Aprobując pakt z Hitlerem, uważa jednak Miedwiediew, że niewybaczalnym błędem było zawarcie 29 września 1939 roku *niemiecko-sowieckiego paktu o przyjaźni i granicach*. Ten pakt bowiem, spowodował „...przerwanie propagandy antyfaszystowskiej”, współdziałanie z wojenną propagandą Hitlera a nawet tajne rozporządzenie Berii, by więźniów politycznych nie nazywać faszystami (s. 874-5).

Politykę sowiecką w 1944/5 roku na okupowanych terenach i stworzenie tzw. krajów demokracji ludowej autor pochwała (s. 944).

Nie wiem, jak na te rozważania Miedwiediewa zareagują Anglicy czy Amerykanie, mogą jednak przewidzieć reakcje Polaków, Ukraińców, Łotyszy, Litwinów, Czechów itd. Ich reakcje mogą wręcz zaważyć na stosunku do rosyjskiej opozycji w ogóle — gdyby stanowisko Miedwiediewa było dla niej typowe. Wierzę że tak nie jest — wolałbym jednak by zaprzeczenie przyszło od kompetentnych Rosjan.

◆

Istnieją prace dające się ocenić jednoznacznie, jako dobre lub złe, jako odkrywcze czy przyczynkarskie, uczciwe lub nieuczciwe. Potężna rozmiarami praca Miedwiediewa nie daje się wtłoczyć w szufladkę. Nie jestem w stanie dać jednoznacznej oceny całości. Składa się na to kilka przyczyn. Pierwsza i główna — to sprzeczności w samej pracy. Autor chce jednocześnie zachować wierność marksizmowi-leninizmowi i być demokratą i człowiekiem wolnym. Jest to sprzeczność w założeniu. Nie można jednocześnie wielbić wolności i dyktatury, przemocy i demokracji. Stąd poszczególne szkice różnią się od siebie dyrektywami metodologicznymi.

Druga przyczyna, dla której nie sposób jednoznacznie ocenić pracę Miedwiediewa tkwi w sowieckich powikłaniach międzynarodowych i wewnętrznych. W warunkach sowieckich omawiana praca nadal zachowuje walor opozycyjności nie tylko dlatego, że wiedza o zbrodniach Stalina i stalinowców ciągle trzymana jest pod korcem, ale i dlatego, że odzwierciedla poglądy części ruchu demokratycznego — tych wszystkich, którzy służąc reżymowi („Bo co innego można robić?”) są jednocześnie jego ofiarami, tych, którzy nie mając siły by otwarcie wystąpić przeciwko restalinizacji starają się po cichu, ostrożnie, bez narażania się, proces ten sabotować. Ich wysiłkom w jakiejś mierze należy

zawdzięczać to, że proces restalinizacji posuwa się naprzód z dużymi oporami a często w ogóle stoi w miejscu. Sprzeczności książki to sprzeczności postaw i poglądów tych właśnie ludzi.

Źródłem siły *półopozycji* jest jej zrośnięcie się z systemem. Wszystkie czystki i „uzdrawiania” nie są w stanie jej wyrugować, gdyż rodzi się ona z niejednorodnej ideologii komunistycznej i w ideologii tej znajduje swą pożywkę i podniechęć. Dopóki nie nastąpi przewyższenie rozbieżności między sprzecznymi pierwiastkami teorii, dopóty ruch komunistyczny nie będzie w stanie oddzielić od siebie tej *półopozycji*.

Ale w tym zrośnięciu się z systemem tkwią i źródła słabości. Dając Panu Bogu świeczkę a diabłu ogarek, *półopozycjoniści* zmuszeni są do uczestniczenia w systemie wraz z całym ryzykiem deprawacji oraz ryzykiem wypadnięcia z gry.

Czy książka Miedwiediewa będzie krzepiła serca sowieckich *półopozycjonistów*? Znając tę warstwę z osobistych kontaktów, nie przypuszczam by wzbudziła entuzjazm. Ludzie z wykrzywioną twarzą nie lubią, gdy się im pod nos podsuwa zwierciadło. Zbyt wiele jest w książce ustępstw na rzecz sowieckiej liturgii. Ale mimo to książka może liczyć na poczytność, jako swego rodzaju wzór jak pogodzić opozycyjność z prawowiernością. I dlatego władze sowieckie — mimo przejrzystych inwokacji do tow. Breżniewa — nie pozwolą na szmugiel książki do Związku Sowieckiego, choć kary za jej posiadanie będą łagodniejsze niż za tom „Archipelagu...”

Nie wiem natomiast, czy władze sowieckie są; równie niezadowolone z kolportowania książki Miedwiediewa na Zachodzie. Należy zdać sobie sprawę, że ukazanie się „Archipelagu GUŁag”, skupienie się nowej emigracji sowieckiej wokół czasopisma *Kontynent* i zarysowujące się możliwości międzynarodowego współdziałania emigrantów wschodnio-europejskich — wszystko to jest niebezpieczne dla władz sowieckich. Na Zachodzie praca Miedwiediewa traci walor odkrywczości, nabiera natomiast innych wartości. Dowodzi, że stalinizm był zjawiskiem przypadkowym w życiu Związku Sowieckiego, że obecni przywódcy — mimo że wyrosli w szkole Stalina — są w gruncie rzeczy porządnymi ludźmi, że ludzie sowieccy — nawet opozycjoniści — są za a nie przeciwko ustrojowi. Książka służyć będzie osłabianiu tego szoku, jaki nastąpił, gdy świat zapoznał się z prawdą o Archipelagu Więziennym. *Półopozycyjność* przeniesiona na Zachód staje się sojusznikiem salonowego komunizowania.

Józef LEWANDOWSKI

KSIĄŻKA O ZWZ I ARMII KRAJOWEJ W OKRĘGU LUBELSKIM

W grudniu 1971 roku wyszła w Polsce w Wydawnictwie Lubelskim, książka: *Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okręgu Lubelskim 1939-1944*, opracowana przez Ireneusza Cabana i Zygmunta Mańkowskiego, jako tom VII *Źródeł i materiałów do dziejów Ruchu Oporu na Lubelszczyźnie (1939-1944)*. Są to właściwie dwa duże tomy, zwane częściami i oddzielny indeks. Część pierwsza — to zarys monograficzny, druga — to dokumenty. Indeksy obejmują nazwiska, pseudonimy oraz nazwy geograficzne. Książka zawiera interesujące fotografie i widać w jej technicznym opracowaniu troskliwość i doświadczenie wydawnicze. Nakład książki jest bardzo niski, bo wynosi 4.500 + 261 egzemplarzy, drukowanych na marnym papierze, o dużo gorszym niż np. tom pierwszy serii, poświęcony Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. Książka znika szybko z półek księgarskich i jest już trudna do dostania. Ta szczupłość nakładu jest zapewne jedną z przyczyn, dlaczego książka nie jest dosyć znana ani w Kraju ani zagranicą.

Jest to niewątpliwie bardzo pożyteczna publikacja, pierwsza w swoim rodzaju, wydana dopiero po przeszło 26 latach od zakończenia wojny. Obejmuje tylko jeden okręg, ale i w tym ograniczonym obrazie mówi dużo nie tylko o ZWZ i AK, ale także o całym Ruchu Oporu w Polsce. Ukazuje wczesne tworzenie się w Polsce organizacji podziemnych jako wyrazu nieprzerwanej walki przeciw okupantowi. Nie sposób nie dostrzec, czytając tę książkę, ogromnych osiągnięć Armii Krajowej, zjednoczonej z BCh i szerokiego jej poparcia przez społeczeństwo.

Oczywiście książka ma także wiele braków i jest oparta na fałszywych przesłankach politycznych. Kilka z nich musimy tutaj omówić. Najpierw baza źródłowa tej książki niepokoi z wielu względów. Sami autorzy to przyznają, mówiąc o „szczególnych trudnościach badawczych”. „Wynikają one przede wszystkim z wieloletnich zaniedbań w zakresie prac badawczych oraz zniszczenia, rozproszenia, a w pewnym stopniu niedostępności zasobów archiwalnych tej organizacji” (Część I, str. 5). Autorzy korzystali przede wszystkim z archiwów partyjnych, UB, milicji i sądu, które ze swej natury są zamknięte oraz w pewnej mierze z archiwów publicznych i z kilku zbiorów prywatnych. Sygnatura wielu cytowanych dokumentów wskazuje na to, że są one nieuporządkowane i nawet z tego powodu swobodny do nich dostęp, ich sprawdzenie i publiczny użytek jest ograniczony lub wręcz niemożliwy. Ale najgorsze jest to, że

wszystkie te źródła okazały się niewystarczające i nie pozwoliły autorom na usunięcie wielu luk i opuszczeń i na wyzbycie się sądów stereotypowych, komunistycznych schematów i apriorycznych ocen, bez próby ich krytycznej konfrontacji ze źródłami.

Autorzy książki przyjęli, niestety, za podstawę swych obserwacji i sądów politycznych schemat sowieckiej historiografii, który widzi tylko po swojej stronie obóz postępowy, a reakcję po stronie przeciwników komunizmu. A to nie jest prawdziwe ani obiektywne.

Część monograficzna książki obejmuje: genezę organizacji, strukturę terytorialną, strukturę wewnętrzną, strukturę i zadania ogniw dowodzenia, akcję scaleniową, rozwój liczbowy organizacji, uzbrojenie, działalność propagandową, łączność operacyjną, charakterystykę kadry, „Związek Odwetu”, kierownictwo dywersji („Kedyw”), oddziały partyzanckie, koncepcję walki i walkę bieżącą w Okręgu. Część ta kończy się rozdziałami: „Plan powstania powszechnego”, „Plan 'Burza'”, oraz „Odtwarzanie Sił Zbrojnych”. Następnie idą aneksy z obsadą personalną Komendy Okręgu Lublin, inspektoratów i komend obwodowych i niektórych rejonowych, spis (metryczka) oddziałów partyzanckich, lista prasy konspiracyjnej okręgu, kryptonimy jednostek organizacyjnych, posłowie, bibliografia i spis ilustracji. Dokumenty, zawarte w drugiej części, odpowiadają z grubsza zagadnieniom, ujętym w części monograficznej. „Z grubsza” — tylko, ponieważ obserwacje części pierwszej daleko wybiegają poza opublikowane źródła, a także te źródła pozwalają na zupełnie inne wnioski niż te, pomieszczone w części monograficznej. Selekcja tych dokumentów była robiona z myślą o ilustracji głównych linii opisu pierwszej części. Aneksy były, widać, robione w pośpiechu. Książka wyszła w grudniu 1971; aneksy oddane były do składania 27. XII. 71, a drukowane już po 30. XII. To jest jeden z powodów, dla których zawierają wiele pomyłek i nie sprawdzonych odnośników.

Oczywiście ani Armia Krajowa ani BCh nie skończyły się w lipcu 1944 roku. Jest o tym wzmianka w rozdziale: Posłowie. Ale nie ma ani pełnego obrazu tej nowej rzeczywistości ani wystarczającego opisu, jak się ustosunkowały władze PKWN i Związku Sowieckiego do AK, Administracji Zastępczej, przedstawicielstwa Rządu Polskiego w Londynie i społeczeństwa, które popierało tę orientację. Książka pomija terror, deportacje do Związku Sowieckiego — intensywne w roku 1944, bezpośredni udział władz sowieckich w akcjach politycznych, administracyjnych i policyjnych. W każdym powiecie, czynnikiem decydującym był oficer NKWD. Np. w Krasnymstawie, przez pewien czas k-tem UB był Król, ale wszystkie decyzje zależały od kpt. NKWD Wasilewskiego.

Książka siłą rzeczy objęła jedynie wyselekcjonowane aspekty przedmiotu i tylko część najczynniejszych członków AK. Nie jest to pełny obraz działalności organizacji. W szczególności jej tery-

torialny rozwój poniżej obwodu, na poziomie rejonów i placówek, jest bardzo fragmentaryczny i niekompletny. W rzeczywistości obejmowała ona wszystkie gminy i prawie wszystkie miejscowości okręgu. Pomija ona także wiele spraw z różnych dziedzin podziemia. Dla przykładu wymienię kilka. Armia Krajowa prowadziła intensywną i skuteczną pomoc dla ofiar Majdanka. Kierowała tą akcją Janina (Dr Janina Suchodolska-Mehlbergowa¹). Często w heroicznym lekceważeniu śmierci, pomagała setkom i tysiącom ofiar nazistowskich. Współpracowała z nią bardzo dzielnie i ofiarnie Hanka Huskowska, a z ramienia władz okręgowych Delegatury Rządu bardzo był zaangażowany w tej akcji mgr Józef Dolina, ps. Zych, st. asyst. KUL'u. Patronowali jej p. Andrzej Skrzyński i dr Stanisław Łoś z R.G.O. W książce nie ma o tym nawet wzmianki. Drugi przykład: Książka wspomina o drukarni „Ziarna” i BiP'u Ostoi, na przedmieściu Krasnystawu. Wspomina, że w drukarni „powielano” wydawnictwa inspekcji. Drobną pomyłka? Nie! przykład stałej tendencji do obniżania osiągnięć. Wspomina drukarnia była regularną konspiracyjną drukarnią płaską, z pełnym składem czcionek, z możliwością poligrafowania obrazów. Ponieważ z drukarnią współpracował dobry artysta, często wydawaliśmy naszą prasę z ilustracjami. Np. na śmierć gen. Władysława Sikorskiego wydaliśmy numer *Zewu* z pięknym drzeworytem. Mieliśmy oczywiście także powielacz, na którym wydawany był codzienny biuletyn radiowy. Piszę o tym szczegółowiej, bo to dotyczy miary wysiłku, heroizmu i osiągnięć AK. Całą tę drukarenkę i wiele kilogramów ołowianych czcionek przywiózł Ostoja osobiście, z pomocą kolegów z Warszawy, na własnym ciele, pod kożuchem i na każdym odcinku od Warszawy do Krasnystawu ryzykował życie już na początku konspiracji, kiedy jeszcze komuniści współpracowali z hitlerowcami. Drukarnia posiadała odbiorcze aparaty radiowe i akumulatory na elektryczne oświetlenie; całe urządzenie znajdowało się całkowicie pod ziemią, z wylotem wentylacji w gęstych krzakach, które rosły na wierzchu.

Ciekawym problemem, zupełnie nie poruszonym, były prowokacje jeńców sowieckich, udających partyzantów, a współpracujących z Niemcami. Np. w pow. hrubieszowskim, w Gdeszynie, przez grudzień i styczeń 1941-42 chodził po wsi taki jeniec Wańka, który później widocznie doniósł Niemcom szczegółowo jakie było wobec niego zachowanie poszczególnych gospodarzy. W pacyfikacji, która była następnie przeprowadzona wiosną, oddziały „Rollkomando Globotznika” spaliły wszystkie gospodarstwa, które Wańce udzieliły noclegu. Nie wystarczająco został uwzględniony sabotaż gospodarzy wobec okupanta. Problem walk polsko-ukraińskich wymagałby większej uwagi. Memorandum, opracowane w tej sprawie przez Halnego, a przedstawione przez płk. Su-

1. Maszynopis części jej pamiętników czeka na wydawcę.

licę Komendzie Okręgu, wniosłoby wiele światła do tych bolesnych problemów. Wśród osiągnięć AK, spenetrowanie do pewnego stopnia siatki władz niemieckich i granatowej policji wymagało walkę z okupantem. Jeden taki zaprzysiężony żołnierz podziemia, Lessner, prawdopodobnie z rodziny socjalistów pomorskich, uratował dziesiątki ludzi i nie jedną okolicę od najgorszych konsekwencji. Co się z nim stało? Słyszałem, że został zastrzelony w roku 1944 przez milicję lub UB.

Dobrze by było, gdyby można było uzupełnić i skorygować informacje, pomieszczone w tej książce. Autorzy zachęcają do tego, prosząc „o nadsyłanie swych wspomnień, relacji, materiałów, życiorysów i zdjęć na adres autorów: Instytut Historyczny Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, ul. Nowotki 14”. (Dla sprawniejszej komunikacji zapamiętajmy, że obecnie dodaje się do adresu polski „zip code” 20-080 przed Lublinem; może można by także zgłaszać zamówienia na drugie wydanie tej książki?). Nie wiemy w jakim stopniu autorzy będą mogli je uwzględnić czy swobodnie się do nich ustosunkować. Toteż kopie takich materiałów trzeba by równocześnie przysyłać do Studium Polski Podziemnej — 11, Leopold Road, London, W.5., albo Zarządu Głównego b. Żołnierzy Armii Krajowej — 240, King Street, London, W.6.

Trzeba by zrobić także wiele poprawek i uzupełnień personalnych w tej książce. Od ręki daję tego przykłady. Autorzy piszą np., że skierowany do pow. hrubieszowskiego kpt. Władysław Zalewski „rozpoczął swoją pracę od porozumienia się z przedstawicielami: Stronnictwa Ludowego — Lucjanem Świdzińskim, Stronnictwa Narodowego — Antonim Ciesielczukiem oraz działaczem społecznym, inspektorem szkolnym — Wilhelmem Gregerem” (I, s. 22). Ta relacja jest niezupełnie ściśła. Prof. Świdziński już w październiku porozumiał się z wymienionymi osobami i z Zawadzkim, synem miejscowego popularnego rejenta i stworzył organizację, gotową do współpracy z czynnikami wojskowymi. Współpraca tej lokalnej „rady politycznej” z Zalewskim była wzorowa. Niestety, zepsuła się zupełnie gdy komendę obwodu objął Antoni Rychel, ps. Anioł. Ale znowu po przyjsciu do obwodu Mariana Gołębiowskiego (ps. Irka, Korab, Ster), który na własną prośbę został zrzucony z Anglii do Kraju w roku 1942, konflikty się zmniejszyły, a współpraca znacznie się odbudowała.

Książka zupełnie pomija por. Józefa Kurdziela, z-cę komendanta obwodu Hrubieszów w okresie początkowym. Został on schwytany w pierwszych większych aresztowaniach i zmarł w jednym z obozów koncentracyjnych. Jestem przekonany, że dokładniejsze o nim informacje można łatwo zebrać. Był to dzielny i ofiarny młody oficer, a nawet wzmianki o nim nie znajduję w książce. Dziwi mnie także brak wiadomości o Jakubie Hałasie, ps. Głaz, który przyszedł do AK w NOW i piastował funkcję

szefa BiP-u przez pewien czas. Był on zatorturowany przez UB i zmarł 23 grudnia 1944 roku, w piątą rocznicę pierwszych egzekucji hitlerowskich w Lublinie, kiedy rozstrzelano prof. Martyniaka i ks. prof. Niechaję z KUL-u. (A właśnie ks. Michał Niechaj figuruje w książce jako Nieczaj). Podejrzewam, że kpt. Marian Tułacz, ps. Jacek, Step, szef BiP-u w Okręgu Lublin — to kurator śląskiego okręgu szkolnego Owidzki, który występował pod fałszywym nazwiskiem „Tułacz”. Zdaje się, że został zamordowany przez UB, ale tego dobrze nie wiem.

Już w roku 1939-40 organizacja SZP i ZWZ sięgała gmin i poszczególnych placówek we wsiach i miasteczkach i była szeroko wspierana przez polskie społeczeństwo. Np. placówka wsi i kolonii Gdeszyn powstała już wczesną wiosną roku 1940. Przysięgę od pierwszych członków podziemia w tej placówce przyjmował już w lutym 1940 roku kol. Dąbski, student KUL-u i brat ks. harcmistrza Dąbskiego z Turkowic. Nie ma o nich wzmianki ani w indeksach ani w książce. Placówką kierował na początku Paweł Pogarda (późniejszy pseudonim Halny), a po nim Wojciech Duma. Przez długi czas komendantem rejonu Mołodiatycze był ppor. Ludwik Stopyra ps. Topór, który zginął zamordowany wraz z Franciszkiem Jasińskim, ps. Huragan, przez nacjonalistów ukraińskich w roku 1943. Topora nie ma zupełnie w tej książce. Oczywiście wykaz i obsada rejonów w aneksie 2 (str. 232) są nieścisłe. Być może także, że zasięg terytorialny rejonów zmienił się, co nie zostało należycie uwzględnione. Huragan spełniał pewne funkcje dywersyjne już w roku 1940, stąd notatka o „Powiatowej Grupie Dywersyjnej” s. 120, odnośnik 22, powinna być uzupełniona informacją o wcześniejszym istnieniu plutonu dywersyjnego, którego k-tem był przez pewien czas Franciszek Jasiński, ps. Huragan. Co do jego funkcji k-ta rejonu IV (s. 232) to nie mógł on być komendantem do roku 1944, bo zginął w jesieni roku 1943.

Charakterystyczne i może interesujące z ogólniejszego punktu widzenia są opuszczenia i przeinaczenia informacji o podpisanym. Zaprzysiężony byłem w SZP w lutym 1940 roku w swojej wiosce Gdeszyn, pow. Hrubieszów. Pracowałem tam pod pseudonimem: Paweł Pogarda do opuszczenia powiatu na wiosnę roku 1943. Pozostawałem w ZWZ i AK aż do jej rozwiązania, używając w inspektoracie: Chełm, Krasnystaw, Włodawa i we władzach okręgowych pseudonimów Halny, Jałczyn, Gdeszyński, Stanisław Cieśla, Skalnik, Lelum. W pow. Hrubieszów byłem k-tem placówki, żołnierzem dywersji, szefem wywiadu na rejon przez krótki czas i pracowałem w szkolnictwie podziemnym. Wierny swoim przedwojennym zainteresowaniom ruchem ludowym, równocześnie rozszerzałem i pogłębiałem swoje kontakty z Rochem. W Rochu złożyłem formalnie ślubowanie przed Krukiem i Doktorem w roku 1943. Tę równoczesną przynależność ludzi do kilku organizacji, do AK i różnych stronnictw politycznych autorzy zauważyli i słusznie podkreślili.

Informacje o mnie są nieściśle, jak nieściśle były te, ogłoszone w tomie o Ruchu Ludowym². W cz. 1-szej s. 54 znalazła się wzmianka, „że Wacław Soroka ps. Halny — student KUL-u dołączył do 'Ziarna'”, i że w sztabie Inspektoratu Rejonowego „Chełm” został oficerem kontrwywiadu. Również na s. 206, w aneksie, obejmującym „Obsadę personalną Komendy Okręgu, Inspektoratów i Komend Obwodów” pomieszczono mnie jako oficera kontrwywiadu od marca 1944 roku³. Tymczasem byłem już wtedy nie studentem, ale mgr. praw i od lipca 1939 roku starszym asystentem przy katedrze historii dawnego prawa polskiego KUL-u i pracowałem głównie w informacji, od 1943 roku jako z-ca szefa BiP-u i redaktor wydawnictw, włącznie z *Zewem* i *Ziarnem*, w Inspekcji Chełm, Krasnystaw, Włodawa. Szefem — był Jan Zadrąg, Ostoja, zajmujący się po moim przybyciu do Inspekcji poza ogólnym kierownictwem — głównie nasłuchem radiowym i wydawaniem biuletynu radiowego jak i udziałem w odprawach i konferencjach. Do moich zadań należały też różne przemówienia na uroczystościach podziemnych, jak uroczystość AK w Rudniku, zakończenie podchorążówki koło Turobina, Święto Niepodległości 11 listopada itp. Zajmowałem się też kolportażem prasy centralnej w inspekcji i utrzymywaniem siatki kolportażu. Sprawdzając raz tę siatkę z podoficerem Rekinem, głównie na punkcie Rębacza (I, s. 231) trafiliśmy na obławę i byliśmy o włos od śmierci. Oczywiście pracowałem także w „Ziarnie”, które za moich czasów nie było żadną konkurencją dla Stronnictwa Ludowego. Do Stronnictwa Ludowego już należałem, bezpośrednio związany osobną przysięgą. Wkrótce po konferencji w Ksawerówce formalnie objąłem w Ruchu Ludowym kierownictwo Informacji BCh w okręgowej komendzie BCh, przy Janie Pasiaku, oraz kierownictwo Informacji Rocha w wojewódzkim Zarządzie SL, przy Pawle Hadaju, Janie Chmielewskim (wymieniony na s. 323 jako delegat Rządu Londyńskiego na powiat lubelski tylko przez niedopatrzenie, bo był deportowany w roku 1944 wraz z Wojewódzką Delegaturą do Rosji, gdzie zmarł i dlatego nie wymienia się go na ogół nawet w materiałach, dotyczących Ruchu Ludowego, zapewne na skutek cenzury). Już po rozpoczęciu działalności PKWN byłem w AK z-cą szefa BiP-u AK na Okręg, członkiem Okręgowej Komisji Porozumiewawczej Informacji i Propagandy, a przejściowo, po aresztowaniu Magdaleniaka, także redaktorem *Wiadomości Urzędowych* Wojew. Delegatury Rządu Londyńskiego. Równocześnie pozostawałem w tej części BCh, która oczekiwała na możliwości ujawnienia w harmonii z polityką S.L., kierowanego przez Wincentego Witosa i Stanisława Mikołajczyka. Dlatego rozeszliśmy się z Pasiakiem, gdy

2. Materiały źródłowe do historii Polskiego Ruchu Ludowego, t. IV, Lud. Społ. Wyd., 1966.

3. Odpowiedziałem na to listem, ogłoszonym w *Tygodniku Powszechnym*, z 30 lipca 1972 roku.

uległ presji i poszedł na współpracę z PKWN zanim o tym zdecydowało Prezydium i KW Stronnictwa.

W tym spojrzeniu na obraz pracy jednej konkretnej osoby i na wypaczenia informacji o tej pracy, jakie widzimy w książce, możemy znaleźć ilustrację dowolności autorów w selekcji uwzględnianych materiałów. Często przerzucają oni odpowiedzialność za fałszywe formułowanie opisu na informatorów z AK. Na przykład w wyliczaniu obsady pracowników wydawnictw Inspekcji Chełm, rzekomo na podstawie informacji Jana Zadraga (Ostoi), Władysława Zalewskiego (Leśnika, Inspektora), Józefa Litwina (Szczupaka), Jana Wojtala (Jeża), w szczególności na s. 272, w odnośniku 44 moje nazwisko zostało opuszczone, tak jak opuszczono nazwisko Mieczysława Jawora (Chmiela), zecera drukarni i dzielnego kolegi redakcyjnego, oraz nazwisko tego artysty z Krakowa, który często nas wspomagał rysunkami i był częściowo na naszym etacie. Jest nie do pomyślenia, aby ktokolwiek z wymienionych kolegów mógł zapomnieć o tych nazwiskach, w szczególności aby wypadło z pamięci szefa tej służby długa i owocna współpraca jego zastępcy i jego drukarza. W konkluzji nasuwa się refleksja, iż reżym zdecydował się na ogłoszenie pierwszej pełniejszej monografii o AK dosyć późno, bo dopiero w 26 lat po zakończeniu wojny. Ale nawet po 26-ciu latach — choć czasem się zdecyduje na fragmentaryczne jej ujawnienie — to jednak zawsze ją wypacza, przeinacza, fałszuje i pomniejsza. Mimo wielu zalet tej książki i pożytku, jaki może przynieść, nie zmienia ona jednak faktu, że nie zdobyto się jeszcze w stosunku do AK na szczere uznanie prawdy. Książka objęła tylko jeden okrąg. A czekają na właściwe opracowanie wszystkie inne okręgi.

Wacław SOROKA
pseudonim HALNY*

E. ŻAGIELL

UKRADZIONA LEGENDA

W ub. roku ukazała się w Wilnie książka pt. „Wyzwolenie Litewskiej RSR spod okupacji hitlerowskiej, 1941-45” (*Lietuvos TSR Išvadavimas*). Autorem jest gen. Vladas Karvelis, niegdyś

* Dr Wacław W. Soroka jest profesorem historii na Uniwersytecie Wisconsin w Stevens Point.

brygadier armii litewskiej, później sowiecki generał — dowódca litewskiej dywizji w czasie wojny 1941-45.

Książka zawiera poza wstępem, zakończeniem i pobieżnym opisem pierwszych lat wojny, dzieje sowiecko-litewskiej dywizji i — bardziej dokładnie — opis kampanii na terenie Litwy oraz kilkunastostronicowy rozdział, poświęcony bitwie o Wilno. Niemcy przygotowani byli do walki również w samym mieście, o czym Rosjanie dobrze wiedzieli gdyż: „Ruch w mieście i na jego przedpolu cały czas śledziły bardzo wzmocnione i zwiększone oddziały partyzantów. Za pośrednictwem swego radia żądały one od okupantów nawet kapitulacji. Hitlerowcy naturalnie nie skorzystali z tej oferty”.

Dalej w tym rozdziale czytamy, że gdy w dniach 13-14 lipca 1944 roku przybyli przywódcy litewskiej kompartii, objęli oni kierownictwo nad odbudową. „Nasi partyzanci zaczęli oczyszczać ulice miasta, gasić pożary, udzielać pomocy mieszkańcom, pełnić obowiązki milicjantów, regulować ruch uliczny. W akcji tej pomagali również mieszkańcy miasta wychodząc ze swych schronów, lub wracając z sąsiednich wsi. Wskazywali oni naszym żołnierzom niemieckie punkty oporu, zbierali i przynosili amunicję, opatrywali rannych. Wieść o wyzwoleniu Wilna powitała radośnie całą ludność Litwy...”.

W końcowej części książki czytamy o zrzutach litewskich komunistów i sowieckich instruktorów partyzantki: „Partyzanci dużo pomogli Sowietkiej Armii w walce z okupantami. Mściciele ludu ściśle współpracowali z naszym zbliżającym się wojskiem, jak też i po jego wkroczeniu na Litwę. Jedynie tylko przy wyzwoleniu Wilna — razem z naszymi bojownikami bezpośrednio brało udział w walkach 11 zgrupowań partyzantów”.

„W latach 1941-1944 operowały na Litwie 92 oddziały partyzantów o liczebności ponad 10 tysięcy. Spośród zarejestrowanych partyzantów 62,5 % stanowili Litwini, 22 % sowieccy żołnierze, a resztę Rosjanie, Żydzi, Polacy, Ukraińcy, Białorusini i inni”.

(Encyklopedia sowiecko-litewska podaje, że Polacy stanowili 3,5 % partyzantów, czyli około 400 osób i wymienia litewskie nazwy podwileńskich oddziałów komunistycznych). Jak widać więc udział AK w walkach o Wilno został zupełnie przemilczany.

Celem powstania wileńskiego było zamanifestowanie polskości tego miasta, a przyczyniło się do legendy, że mieszkańcy stolicy Republiki Litewskiej ofiarnie wspomagali czerwoną armię, by przyspieszyć chociaż o kilka dni, powrót władz sowieckich.

To się nazywa wyrzucić swych przeciwników na śmietnik historii, a raczej poza historię, która jedynie obowiązuje w tamtym kraju. Jaka wersja bitwy o Wilno trafiła do opracowań amerykańskich i zachodnio-europejskich, i czy polska prawdziwa wersja została dostarczona gdzie należy?

E. ŻAGIELL

LISTY DO REDAKCJI

Ottawa, 24 października 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

W swych „Wspomnieniach” p. W.T. Drymmer pisze (Nr 29 *Zeszytów Historycznych*, str. 160-161) o przedstawicielstwie polskiej młodzieży akademickiej na terenie międzynarodowym.

Niestety trzech ostatni prezesi N.K.A. (Naczelnego Komitetu Akademickiego), rozwiązanego przez władze sanacyjne w końcu 1933 roku, okupili życiem swą czynną rolę w ruchu oporu. Nie żyją też obaj polscy prezesi C.I.E. (*Confédération Internationale des Etudiants*), Jan Baliński-Jundziłł (1923-25) i Jan Pożaryski (1931-33), ten ostatni także był ofiarą okupantów.

Niech mi więc będzie wolno, jako bezpośredniemu współpracownikowi śp. Jana Pożaryskiego w biurze prezydyjnym C.I.E., a potem ostatniemu kierownikowi Wydziału Zagranicznego N.K.A., przypomnieć, że powodem konfliktu między p. Drymmerem a tymi, których on sam określa jako „naczelne władze młodzieży studiującej”, nie były bynajmniej „antyrządowe popisy młodych endeków” na terenie międzynarodowym. Chodziło o coś całkiem innego. W przeciwieństwie do uproszczonej koncepcji, jaką p. Drymmer formułuje na temat C.I.E., jako terenu propagandowych poczynani poszczególnych rządów, założeniem tej organizacji była swobodna wymiana poglądów i wzajemnych usług między naczelnymi organizacjami krajowymi, reprezentującymi nie gabinety ministerialne, lecz opinię większości młodzieży uniwersyteckiej, wyrażoną w demokratycznych wyborach do ich władz.

Zresztą uważny czytelnik uwag p. Drymmera na temat założonej przez niego tzw. „LIGI” akademickiego zbliżenia międzynarodowego, dostrzeże bez trudu, że reprezentacyjna organizacja młodzieży zastąpiona została z góry mianowaną grupką uległych jednostek, z której dobierano sobie nawet później urzędników do MSZ.

„Sztwyne, partyjne (endeckie) stanowisko” na które uskarża się autor „Wspomnień”, polegało po prostu na niemożności zredukowania roli naczelných władz akademickich, wyłonionych przez większość młodzieży, do roli takich właśnie pionków, występujących się propagandzie urzędowej, sprzeczej z poglądami tej większości.

Wnosząc do C.I.E. pozytywną współpracę, przedstawiciele N.K.A. wystrzegali się zawsze uprawiania na terenie zagranicznym „antyrządowych popisów”. Na własnej skórze doświadczyłem, jak fabrykowano przeciw nam tego rodzaju oskarżenia, kiedy w aktach mojej i kilku kolegów sprawy sądowej o nielegalną kontynuację prac N.K.A. po jego rozwiązaniu (zakończoną zresztą wyrokiem uniewinniającym), przeczytałem ze zdziwieniem anonimowy

donos, który trafił tam za pośrednictwem usprawionego przez p. Drymmera M.S.Z'u. Donosiciel z Paryża twierdził, jakoby skarżył się tam publicznie, że Polska „żyje pod okupacją”. Zarzut ten był wierutnym kłamstwem, nie mającym nawet cienia oparcia w rzeczywistości.

Osobnym rozdziałem, który warto by kiedyś opisać, była polityka paszportowa, utrudniająca — czasem nawet wręcz uniemożliwiająca — nam w latach urzędowania p. Drymmera uzyskanie chociażby płatnych (i to słono!) paszportów na wyjazdy, związane z pracami C.I.E. Pan, Drogi Redaktorze, zapewne dobrze pamięta okoliczności, w jakich śp. Jan Pożaryski musiał walczyć o to, aby jako ustępujący Prezes C.I.E. pojechać do Wenecji w 1933 roku na kongres, podczas którego miano dokonać wyboru jego następcy.

„Szttywne, partyjne stanowisko” istniało więc niewątpliwie, ale nie tam, gdzie je z tak lekkim sercem p. Drymmer lokuje, zmuszając, gwoi prawdzie historycznej, do wyjaśnień, których wolałoby się uniknąć, aby nie powracać do przedwojennych sporów.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku,

Andrzej RUSZKOWSKI



Reading, 10 września 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

W 28-ym Zeszytzie *Historycznym* znajduje się artykuł pt. „Wyjaśnienia Sztabowca” (zastanawia, czemu autor w artykule historycznym ukrywa się za pseudonimem?).

Artykuł jest opracowany pod kątem politycznym nie przychylnym w stosunku do gen. K. Sosnkowskiego.

Pan A. Ciołkosz w artykule umieszczonym w *Tygodniu Polskim* w dniu 17 sierpnia 1974 roku pt. „Sikorski-Sosnkowski-Rowecki” opierając się na źródłach historycznych — inaczej przedstawia sprawę aniżeli „Sztabowiec”.

Sprawa Cerizay

„Sztabowiec” w odsyłaczu „3” na stronie 77 wymienionego 28 numeru *Zeszytów Historycznych* pisze: „w maju 1940 roku została powołana przez Sikorskiego rządowa Komisja 'Badania Przyczyn Klęski Wrześniowej'. Przewodnictwo tej Komisji objął prof. Winiarski” i dalej:

„dla źle wykonywujących obowiązki w czasie kampanii w Polsce zorganizowano we Francji w Cerizay obóz dla oficerów, których działalność w czasie jesiennej kampanii zbadała Komisja prof. Winiarskiego”.

Tyle na temat obozu w Cerizay — „Sztabowiec”.

Byłem zesłany do obozu w Cerizay w listopadzie 1939 roku (załączam dokument). Nigdy żadna Komisja ani mnie ani innych członków obozu w Cerizay nie badała! Obóz w Cerizay zorganizowany w listopadzie 1939 roku trwał do upadku Francji

Posiadam listę oficerów obozu Cerizay z okresu początkowego — ponieważ w okresie późniejszym władze naślały do Cerizay „zboczeńców”, „złodziei” i innych przestępców. Zostało to zrobione w celu ukrycia politycznego znaczenia obozu w Cerizay.

Na liście figuruje trzech generałów: S. Kwaśniewski, który podczas wojny wrześniowej był poza granicami Polski, gen. S. Roupert, który przydziału w wojsku nie miał i gen. S. Osikowski, też poza służbą.

Było trzech wojewodów, którzy udziału w wojnie nie brali, a to A. Soko-

łowski — wojewoda Nowogródzki, W. Lamot — wojewoda Toruński, K. Jurgielewicz — wicewojewoda Warszawy.

Byli trzej Dyrektorzy Departamentów, którzy też udziału w wojnie nie brali. Byli to: H. Abczyński — Dyr. Dept. Lotnictwa, Michał Łubieński — Dyr. Dept. Min. Spraw Zagranicznych, W. Rusin — Dyr. Dept. Min. Opieki Społecznej.

Byli w obozie osadzeni: M. Wyżel Ścieżyński — Prezes Dziennikarzy Polskich, Pułkownik T. Alf-Tarczyński — będący poza służbą.

Było paru oficerów Policji Państwowej, paru konsułów, jeden był poseł na Sejm i szereg niższych stopniem oficerów.

I tych ludzi „Sztabowiec” traktuje nonszalancko, jako takich co „złe wykonywali obowiązki w czasie kampanii w Polsce”. Jest to ogólne, bezpodstawne oskarżenie ludzi, z których większość już nie żyje.

A teraz parę danych o obozie w Cerizay:

1) Komisja „Badania przyczyn klęski wrześniowej” została utworzona nie w maju a w czerwcu 1940 roku. Skład tej Komisji był następujący: prof. Winiarski, Stanisław Mikołajczyk, H. Lieberman, K. Popiel, gen. Iz. Modelski.

2) Sekretarz Generalny francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, p. Alexis Léger, z nieukrywaną pogardą mówił: „*Drôle de nation!... ils sont venus ici en mendiant et la première chose qu'ils firent — fut de réclamer des tribunaux et des camps de concentration...*”.

3) Ambasador brytyjski przy Rządzie Polskim we Francji, Kennard, wystąpił z ostrzeżeniem, że tworzenie Komisji i obozów spotka się w Anglii z bardzo ostrą krytyką.

Wielka szkoda, że „Sztabowiec” opracowując tak troskliwie swój artykuł, mając możliwość wglądu do aktów — nie zainteresował się rzeczowo sprawą Cerizay.

Oboz w Cerizay — to ciemna plama działalności rządów gen. Sikorskiego. Dlatego też o Cerizay pisze się albo fałszywie, albo przemilcza się tę przykrą sprawę.

B. WANKE

*Obóz odosobnienia oficerów polskich we Francji w Cerizay
(listopad 1939 do upadku Francji — czerwiec 1940)*

Lista oficerów w Obozie w Cerizay

Generalowie: Kwapiński Stanisław, gen. bryg.; Roupert Stanisław, gen. bryg.; Osikowski Stanisław gen. bryg.; Dąb-Biernacki Stefan, gen. dyw. (przebył w kwietniu 1940 roku).

Pułkownicy: Alf-Tarczyński Tadeusz, płk dypl.; Abczyński Henryk, płk dypl., Dyr. Dept.; Wyżel-Ścieżyński Mieczysław, płk; Czuruk Otto, płk.

Podpułkownicy: Rusin Władysław, Dyr. Dept.; Ryszanek Władysław; Szeli-gowski Bohdan; Sokołowski Adam; Pęczkowski Mieczysław; Gosiewski Antoni; Górecki Janusz (od grudnia 1939 — uprzednio członek Komendy).

Majorowie: Jurgielewicz Kazimierz; Kaciukiewicz Kazimierz; Matuszewski Leonard.

Kapitanowie: Kaleta Karol, inż. górnik; Wańkowicz Karol, starosta; Magdziak Karol; Kuraś Karol; Hrynkiewicz Stanisław; Faliszewski Zdzisław; Ropelewski Tadeusz.

Porucznicy: Jasiński Marian; Mierzwa Paweł; Łubieński Michał, Dyr. Dept.; Wanke Bronisław, inż., b. poseł na Sejm; Paczyński Stanisław; Ładziński Stanisław, handlowiec; Szczerba-Likiernik Adolf, handlowiec; Zabielski Józef; Trybulec Stanisław; Krajewski Gabriel.

Podporucznicy: Holiński Alfred, urzędnik; Jabłoński Kazimierz; Zieleniec Leon, komisarz policji; Winnicki Adam; Mazurkiewicz Stefan; Sakowski Teodor; Lamot Wiktor, wojewoda; Miller Paweł, wicekonsul.

Komenda Obozu: Rumsza Kazimierz, płk; Stasiz-Staszewski Bronisław, mjr; Ostrowski Zdzisław, mjr; Lach Władysław, kpt.; Weber Henryk, por.; Górecki Janusz, ppłk (do XII).



Szanowny Panie Redaktorze!

W 28-ym *Zeszycie Historycznym* prof. Piotr Wandycz zamieszcza bardzo interesujący szkic „Pierwsza Republika a Druga Rzeczpospolita” w którym chciałby widzieć „inwit do dyskusji”. Nie czuję się na siłach do dyskusji ale pragnąłbym zrobić dwie uwagi.

Polska i Czechosłowacja w okresie międzywojennym miały przede wszystkim to wspólne, że głównym ich problemem były sprawy narodowościowe. Jednakże wyglądały one w każdym z tych państw odmiennie.

W Czechosłowacji Czesi byli mniejszością. Nie mogli sami rządzić demokratycznie. Jednakże mniejszości czechosłowackie nie były separatystyczne czy niechętne państwu, z wyjątkiem dwóch: Węgrów na Słowacji i Polaków na Śląsku. Tylko te dwie mniejszości chciały odłączyć się od Czechosłowacji i przyłączyć do swoich państw narodowych. Słowacy chcieli autonomii, nie separacji, chcieli rzeczywistego wykonania umowy pittsburskiej o wspólnym państwie dwóch narodów, czego im Czesi w praktyce odmawiali. Niemcy sudeccy, aż do objęcia władzy przez Hitlera w Niemczech, uważali się politycznie za Czechów (*Böhmen*). Chcieli mieć autonomię czy przynajmniej swobodę kulturalną i nie wahali się przed braniem udziału w rządach Republiki. Dopiero zwycięstwo SDP Henleina wśród Niemców czeskich w ostatnich latach przed wojną zmieniło sytuację.

Polacy w Polsce stanowili dwie trzecie ludności. Możliwe były rządy demokratyczne czysto polskie. Dochodziło do nich kilkakrotnie, żeby wymienić tylko rząd jedności narodowej (1920), rząd „chienopiasta” 1923/24, rząd koalicyjny Śkrzyńskiego (1925/26 i drugi gabinet Witosza (1926) przeciw któremu Piłsudski dokonał zamachu stanu. Natomiast mniejszości polskie były w dużej części separatystyczne (Niemcy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini). Do rządów wprowadzić można było z tych grup tylko jednostki, jak to zrobiono w Bezpartyjnym Bloku Współpracy z Rządem (1926), nie reprezentowały one jednak poparcia masowego.

W Polsce rządzili Polacy a w Czechosłowacji Czesi. Jednakże Polska miała postać państwa narodowego a Czechosłowacja państwa narodowościowego.

Prof. Wandycz trafnie rozróżnia między rządami koalicyjnymi, do których dochodziło w Polsce a stałą koalicją rządową jaka istniała w Czechosłowacji. Różnica ta wynikała przede wszystkim z odrębnej „podszewki” życia politycznego, jaką wynieśli Czesi i Polacy z okresu niewoli.

Politycy wszystkich partii czeskich, z wyjątkiem bodaj Narodowych Demokratów Kramarza i słabutkiej partii katolickiej, spotykali się w organizacji związanej z dziejami odrodzenia narodowego w XIX wieku i mającej być przedłużeniem tradycji Husa, Komensky’ego i Placky’ego, to jest w organizacji Svobodne Žednarstvi, czy wolnomularskiej. Do organizacji tej

należeli także przywódcy słowackich agrariuszy, niemieckich socjalistów i liberałów a nawet niektórzy Węgrzy. Wolnomularstwo czeskie było na wpół jawne. Wiadomo więc że w latach trzydziestych jeszcze w niemieckiej loży „Harmonia” w Pradze wygłaszał referaty o polityce zagranicznej ówczesny minister spraw zagranicznych Edward Benes z loży „Jan Amos Komensky”. W mieszanej narodowościowo loży „Quatuor Coronati” o sprawach wojskowych przemawiał ówczesny szef sztabu czechosłowackiego gen. Jan Syrový z loży „Narod”. Bywał tam także jego zastępca i następca gen. Moravec z loży „Bernard Bolzano”. Loża czeska „Jan Kollar” w stolicy Słowacji Bratysławie była instalowana przez niemiecką lożę istniejącą od dawna w tym mieście „Zur Verschwiegenheit” pod patronatem węgierskiej loży „Testveriseg”. W odległym Užhorodzie na Rusi Podkarpackiej ośrodkiem życia urzędników czeskich była loża „Centrum Securitatis”. Zastępcą Wielkiego Mistrza Wielkiej Loży Narodowej Czechosłowacji był w latach trzydziestych Francuz stale zamieszkały w Pradze, fabrykant Constant Pierre. Łącznikiem z wolnomularstwem polskim był dr Przemysław Rudzki z Warszawy.

W Polsce wolnomularstwo było tajne. Co ważniejsze, było słabe. Było prawdopodobnie najsłabszą z trzech organizacji „podszewki” polskiej. W pierwszym dziesięcioleciu XX wieku ząbebiało się o Ligę Narodową, w następnym okresie o Konwent piłsudczyków ale nigdy w Polsce nie rzędziło, nawet gdy przywódcy jego odłamów stali na czele gabinetu, jak Skrzyński czy Bartel.

Inaczej mówiąc w Czechosłowacji „podszewka” łączyła pozornie różne a nawet etnicznie odrębne elementy, w Polsce dzieliła naród na trwałe. Stąd zjawisko zaobserwowane przez prof. Wandycza, że w partiach czeskich nie było rozłamów, a w polskich powtarzały się raz po raz.

Łączę wyrazy szacunku,

Wojciech WASIUTYŃSKI

SPIS TREŚCI

Bogusław Miedziński: <i>Polityka wschodnia Piłsudskiego</i> ..	3
V. Sliogeris: <i>Tajne rokowania polsko-litewskie</i>	46
E. Žagiell: <i>Kronika litewska</i>	50

PAMIĘTNIKI

Wiktor Tomir Drymmer: <i>Wspomnienia</i> (dokończenie) ..	53
Zygmunt Borkowski, płk: <i>Wspomnienia 1939-1943</i> (c.d.)	122
Stanisław Wachowiak: <i>Wspomnienia</i>	143

DOKUMENTY

Roman Buczek: <i>PRL w 1946 roku</i>	158
--	-----

POLEMIKI

Z. S. Siemaszko: <i>O Polakach w ZSSR</i>	171
Stefan Benedykt: <i>Kijowskie „poprawki historyczne”</i>	201

RECENZJE

Józef Lewandowski: <i>Pół-opozycyjność — sojusznikiem re- żymu</i>	209
	239

Wacław Soroka (ps. Halny): <i>Książka o ZWZ i Armii Krajowej w Okręgu Lubelskim</i>	225
E. Żagiell: <i>Ukradziona legenda</i>	231

LISTY DO REDAKCJI

Andrzej Ruszkowski: <i>List do Redakcji</i> na marginesie „Wspomnień” W. T. Drymmera (<i>Zeszyt Historyczny</i> Nr 29), dot. Polskiej Młodzieży Akademickiej na terenie międzynarodowym	233
B. Wanke: <i>List do Redakcji</i> — polemika z „Wyjaśnieniami Sztabowca” (<i>Zeszyt Historyczny</i> Nr 28)	234
Wojciech Wasiutyński: <i>List do Redakcji</i> w związku z art. Piotra Wandycza pt. „Pierwsza Republika a Druga Rzeczpospolita” (<i>Zeszyt Historyczny</i> Nr 28)	236

Achévé d'imprimer le 4 février 1975 sur les presses de l'Imprimerie Richard,
24, rue Stephenson, Paris, 18^e.
Dépôt légal : 1^{er} trimestre 1975.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO
KWARTAŁ NA POZATKU LUTEGO, MAJA,
SIERPNIA I LISTOPADA KAZDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA — F. 95,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 80,00.

F. 25 (dol. 6,50)